

STOWARZYSZENIE ABSOLWENTÓW POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

# POLITECHNIKA WROCŁAWSKA W MOJEJ PAMIĘCI



OFICyna WYDAWNICZA POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ  
WROCŁAW 2010

Zespół redakcyjny

Ludomir JANKOWSKI, Stanisław LOCHYŃSKI,  
Zdzisław SAMSONOWICZ, Adam ZALAS

Opracowanie redakcyjne

Marzena CZAPOROWSKA

Korekta

Marzena CZAPOROWSKA  
Elżbieta ŻURAWSKA-LUCZYŃSKA

Projekt okładki

Marcin ZAWADZKI

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki, zarówno w całości, jak i we fragmentach, nie może być reprodukowana w sposób elektroniczny, fotograficzny i inny bez zgody wydawcy i właścicieli praw autorskich.

Publikacja dostępna na stronie internetowej

Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Wrocławskiej

<http://absolwent.pwr.wroc.pl>, e-mail: [alumni@pwr.wroc.pl](mailto:alumni@pwr.wroc.pl)

© Copyright by Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej, Wrocław 2010

OFICyna WYDAWNICZA POLITECHNIKI WROCLAWSKIEJ

Wybrzeże Wyspiańskiego 27, 50-370 Wrocław

<http://www.oficyna.pwr.wroc.pl>

e-mail: [oficwyd@pwr.wroc.pl](mailto:oficwyd@pwr.wroc.pl)

[zamawianie.ksiazek@pwr.wroc.pl](mailto:zamawianie.ksiazek@pwr.wroc.pl)

ISBN 978-83-7493-549-4

Drukarnia Oficyny Wydawniczej Politechniki Wrocławskiej. Zam. nr 823/2010.

# Słowo wstępne

## JM Rektora Politechniki Wrocławskiej

Szanowni Państwo,

w tym roku przeżywamy szczególny jubileusz: 65-lecia Politechniki Wrocławskiej i 100-lecia Uczelni Technicznych we Wrocławiu. Początków Politechniki Wrocławskiej należy bowiem szukać w dorobku materialnym niemieckiej Wyższej Szkoły Technicznej oraz spuściźnie intelektualnej i naukowej przedwojennej Politechniki Lwowskiej. Początki były mniej niż skromne. W lipcu 1945 r. do zrujnowanego Wrocławia przybyła grupka lwowskich profesorów i ich studentów. Naukę w tym pierwszym roku akademickim rozpoczęło 595 osób na czterech politechnicznych wydziałach.

Dziś Politechnika Wrocławska to potęga: 12 wydziałów, 4 tysiące pracowników, 33 tysiące studentów, ponad tysiąc doktorantów. To uczelnia stawiająca na rozwój: naukowy, dydaktyczny, infrastrukturalny. Zawsze w pierwszej trójce najlepszych uczelni technicznych w Polsce. Niekwestionowany lider w kraju pod względem liczby uzyskiwanych patentów.

Osiągnięcia te nie byłyby jednak możliwe, gdyby nie ludzie, którzy naszą uczelnię budowali, na której studiowali, prowadzili badania naukowe, kształcili młodzież.

Nie tylko jako rektor, ale przede wszystkim jako absolwent Politechniki Wrocławskiej, z radością przyjąłem informację o konkursie na pamiątniki, wspomnienia i inne wypowiedzi osobiste moich starszych i młodszych kolegów. Największą bowiem wartością Politechniki Wrocławskiej nie są budynki czy świetnie wyposażone nowoczesne laboratoria, ale jej wychowankowie, ich dobre wspomnienia i duma z naszej Alma Mater.

Mam nadzieję, że ta książka dostarczy jej Czytelnikom wzruszeń. A opowieści innych uruchomią nasze własne, dobre wspomnienia.

*prof. Tadeusz Więckowski*  
Rektor Politechniki Wrocławskiej



# Wprowadzenie

Słowo pisane, szczególnie we wspomnieniach, niesie z sobą niepodważalne walory poznawcze. Słowami nie tylko opisujemy fakty, ale również nadajemy im walor emocjonalny. Pewien subiektywizm spojrzenia na te same, znane również innym, wydarzenia – połączony ze specyficznym dla każdego z nas sposobem korzystania z języka – jest nieocenionym, nie waham się tego tak nazwać, „skarbem”. Nasza Uczelnia to nie tylko badania i bogata wiedza kadry naukowej, nie tylko umiejętności (jeszcze bez doświadczenia) jej świeżych absolwentów, ale także wiedza, bogate doświadczenie i tradycje niesione przez tych, którzy naszą Politechnikę ukończyli kilkadziesiąt lat temu.

Mając to na uwadze, Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Wrocławskiej ogłosiło konkurs na pamiętniki, wspomnienia i inne wypowiedzi osobiste pod tytułem *Politechnika Wroclawska w mojej pamięci*. W rezultacie powstała właśnie ta książka, która zawiera – zdaniem Komisji Konkursowej – najciekawsze prace lub ich fragmenty.

W skład Komisji Konkursowej weszli: Piotr Berkowski, Jan Cieżak, Zbigniew Gnutek, Ludomir Jankowski, Paweł Kafarski, Stanisław Lochyński, Andrzej Mulak, Zdzisław Nawrocki, Ewa Rysiakiewicz-Pasek, Zdzisław Samsonowicz, Jadwiga Sołoducho i Adam Zalas. Praca autorstwa Zbigniewa Piotrowskiego została już wydrukowana w periodyku Politechniki Wrocławskiej „Pryzmat” (nr 239/2010), a praca autorstwa Mieczysława Szustakowskiego doczekała się odrębnego wydawnictwa pod patronatem Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Wrocławskiej.

Wszystkie nadesłane wspomnienia zostały ponadto skatalogowane i złożone w Archiwum i Muzeum Politechniki Wrocławskiej, gdzie utworzą odrębną kolekcję zbiorów rękopiśmiennych.

Gratuluje wyróżnionym Autorom, wyrażam głęboką wdzięczność za chęć udostępnienia części siebie i pamięci o „swoich” czasach nam wszystkim.

Pamiętając o tym, postaramy się kontynuować tę specyficzną, trwającą już 60 lat sztafetę, której na imię Politechnika Wroclawska.

*Jerzy Łaskawiec*  
Przewodniczący  
Stowarzyszenia Absolwentów  
Politechniki Wroclawskiej

Kazimierz Banyś

## Moje studia na Politechnice Wrocławskiej

### Początki

G rudniowym mroźnym rankiem 1945 roku dojeżdżam do Wrocławia. Samo wyjście z Dworca Głównego robi na mnie ogromne wrażenie. Gruzy, choć częściowo pokryte śniegiem, przerażają. Zatrzymuję się jeden dzień u znajomych. Idę na Politechnikę – wprost do dziekana Wydziału Elektromechanicznego, prof. Kazimierza Idaszewskiego. Przedkładam dokumenty, w tym dyplom technika-mechanika z Liceum Budowy Maszyn w Krakowie, które ukończyłem 6 czerwca 1944 r. Pan dziekan Idaszewski przejrzał dokumenty i z uprzejmym uśmiechem powiedział, że – niestety – nie może mnie przyjąć na Wydział Mechaniczny, ponieważ wszystkie miejsca są już zajęte. Widząc moją zmartwioną minę powiedział mi, abym się udał do prof. Zwierzyckiego, dziekana Wydziału Hutniczego. Tak też zrobiłem. Prof. Zwierzycki przyjął mnie bardzo serdecznie i uzyskałem wpis na Wydział Hutniczy. Udało mi się też otrzymać pokój w domu akademickim przy ul. Stanisławskiego 15. Ponieważ spotkałem wielu kolegów, łatwo przystosowałem się do życia studenckiego w takim zbiorowisku, jakim były dwie ulice akademickie, tzn. Stanisławskiego i Kotsisa na Biskupinie.



W krótkim czasie zaczęły się tworzyć studenckie koła naukowe. Zostałem wybrany na prezesa Koła Hutników, uczestniczyłem także w działalności Bratniej Pomocy. W czerwcu 1946 roku zostałem wybrany delegatem na Pierwszy Kongres Studentów w Warszawie. Pojechaliliśmy dwoma samochodami ciężarowymi, wyposażonymi w ławki i krzesła. W Warszawie uczestniczyliśmy w ogólnopolskich obradach młodzieży akademickiej. Byliśmy na

przyjęciu u premiera Osóbki-Morawskiego. Pobyt w stolicy był dla nas dużym przeżyciem, gdyż to miasto, zniszczone prawie całkowicie, w ciągu kilku miesięcy od zakończenia działań wojennych potrafiło stworzyć (choć bardzo trudne i skromne) warunki umożliwiające egzystencję coraz większej liczbie mieszkańców, a młodzieży – możliwość pobierania nauki w szkołach i uczelniach. Wracaliśmy pełni wrażeń. Spotkaliśmy przecież i poznaliśmy przedstawicieli młodzieży akademickiej z różnych środowisk naszego kraju. Niestety, w drodze powrotnej, w Zduńskiej Woli, ulegliśmy wypadkowi. Nasz samochód dosłownie wywrócił się na zakręcie. Zaledwie kilka osób wyszło bez szwanku (w tym i ja), toteż na nas spadł obowiązek zorganizowania pomocy. Na szczęście była to niedziela i w pobliskim kościele odbywała się procesja Bożego Ciała. Mężczyźni natychmiast pospieszyli z pomocą. Dosłownie podnieśli samochód odwrócony kołami do góry i wyciągali znajdujących się tam poturbowanych pasażerów. Szybko zorganizowana pomoc, a więc karetki pogotowia, straży pożarnej oraz przypadkowe samochody, umożliwiła przewiezienie rannych do szpitala w Zduńskiej Woli, skąd część po opatrzeniu została przetransportowana do szpitala w Sieradzu. Rannych było ponad dwadzieścia osób, ale na szczęście wszyscy przeżyli. Wśród ciężiej rannych znalazł się Dionizy Smoleński, późniejszy rektor Politechniki i prof. Mieczysław Cena z Akademii Rolniczej. Ich kuracja trwała kilka miesięcy.

Studenci Wydziału Hutniczego zbratali się bardzo szybko. Pomagali sobie wzajemnie w rozwiązywaniu trudnych problemów mieszkaniowych (problemy z ogrzewaniem), aprowizacyjnych (ach! te stołówki) i dydaktycznych (prawie nieogrzewane sale wykładowe).

\* \* \*

Po wakacjach zaskoczyła nas wiadomość o likwidacji Wydziału Hutniczego. Jako prezes Koła Hutników udałem się więc na czele delegacji studenckiej do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Wiceminister Bieńkowski zapewnił nas, że możemy się przenieść na drugi rok studiów na dowolną uczelnię i na dowolny wydział w kraju, w tym także na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie.

Na urządzenie się w nowym miejscu uzyskaliśmy bezzwrotną dotację 300 tys. złotych. Pieniądze rozdzieliliśmy pomiędzy tych wszystkich, którzy zaliczyli pierwszy rok. Dziesięciu kolegów przeniosło się na Wydział Hutniczy Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Około 80 kolegów zostało na Politechnice Wrocławskiej, na wydziałach: Mechanicznym, Elektrycznym i Budownictwa, jedyna koleżanka zrezygnowała z dalszej nauki.

Warto przypomnieć, że właśnie z Wydziału Hutniczego wywodził się prof. Jan Kmita, rektor Politechniki Wrocławskiej w latach 1984–1990. Z roz-



rzewniem wspominam znakomite wykłady z matematyki, prowadzone przez prof. Edwarda Marczewskiego (późniejszego rektora Uniwersytetu), oraz z chemii nieorganicznej – prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego (późniejszego prezesa Polskiej Akademii Nauk). Nasi wykładowcy byli w stosunku do nas wymagający, ale także ogromnie życzliwi.

Po rozwiązaniu Wydziału Hutniczego przenieśliśmy się na Wydział Mechaniczny Politechniki Wrocławskiej. Zaraz też zostałem wybrany starostą i pełniłem tę funkcję do zakończenia studiów. Uczestniczyłem również w pracach zarządu Bratniej Pomocy. Ponieważ musieliśmy nadrabiać niektóre przedmioty, drugi rok minął nam na wypełnianiu powinności studenckich.

Nastał rok 1948. Jest organizowana Wystawa Ziem Odzyskanych, w której my, studenci, bierzemy czynny udział. Ogromna radość, że w kraju dzieje się coś pozytywnego. W tym samym roku odbywa się we Wrocławiu Światowy Kongres Intelktualistów. Uczestniczyliśmy również w organizacji tej wspaniałej imprezy. Mieliśmy okazję zobaczyć sławnych twórców kultury i intelektualistów. Było to ogromne przeżycie. Do dziś zachowałem zdobyte wtedy autografy takich sław, jak Picasso, Irena Joliot-Curie, Tuwim, Iwaszkiewicz i wielu innych. Okazją do wspomnień o Kongres Intelktualistów



Nauka w domu akademickim przy ul. Stanisławskiego 25



Na nartach w Karpaczu w 1946 r. Juliusz Preminger i Kazimierz Banyś

był Kongres w 1988 roku, na który zostałem zaproszony. Odbył się w tej samej Auli Politechniki co czterdzieści lat temu.

\* \* \*

Na trzecim roku studiów prof. Władysław Chowaniec, prowadzący wykłady z obróbki skrawaniem, zaproponował nam, sześciu, mającym dyplomy techników-mechaników, pracę w charakterze asystentów-wolontariuszy. Praca nasza polegała na przygotowaniu i prowadzeniu ćwiczeń z pomiarów warsztatowych. Byliśmy tym ogromnie przejęci, tym bardziej że ćwiczenia mieliśmy prowadzić z naszymi kolegami.

## O profesorach Wydziału Mechanicznego

**N**a Wydziale Mechanicznym mieliśmy wielu świetnych wykładowców. Do najznakomitszych należał późniejszy członek rzeczywisty PAN, doktor honoris causa, prof. Robert Szewalski. Wykładał nam turbiny parowe i spalinowe. Równie znakomite były wykłady z termodynamiki i teorii

maszyn ciepłych prof. Stanisława Ochęduszki. Świetne były wykłady z silników spalinowych prof. Kazimierza Szawłowskiego oraz z kotłów parowych prof. Teodora Wróblewskiego.

### **Profesor Władysław Chowaniec**

Profesor Chowaniec był wybitnym organizatorem i niezwykłym pedantem. Przed przystąpieniem do ustawienia na stołach aparatów do pomiarów warsztatowych on opracowywał program, a my – wykaz aparatów pomiarowych. Aparaty te ustawialiśmy według kolejności pomiarów i byliśmy przekonani, że ćwiczenie zostało przygotowane. Bardzo się jednak myliliśmy. Profesor bowiem patrzył na salę krytycznym wzrokiem i dopiero wtedy się zaczynało. Aparaty powinny były być ustawione nie tylko według czynności pomiarowych, ale także według wielkości. Wydawało nam się, że to niemożliwe. A jednak po kilku godzinach przestawiania – czasem około godz. 23.00 – udawało się nam w końcu osiągnąć to, czego profesor od nas oczekiwał.

Dzisiaj, z perspektywy 65 lat wiem, że okres asystentury przydał mi się na całe życie i to nie tylko w pracy zawodowej, ale także w życiu prywatnym. Te dwie cechy: organizacja i pedanteria, a także rzetelność i konsekwencja, są nieodzowne w pracy naukowej i inżynierskiej. Każdy projektant maszyn powinien zwracać baczną uwagę na wygląd zaprojektowanej maszyny, na estetykę i zagadnienia ergonomiczne. Konstruktor nowej maszyny musi mieć krytyczny osąd swojego „dzieła”, aby po badaniach prototypu umieć określić jego wady i wprowadzić takie zmiany, aby maszyna kwalifikowała się do produkcji seryjnej. Konsekwencją uruchomienia produkcji danego typu maszyny powinno być prowadzenie dalszych badań, a dzięki nim modernizowanie i ulepszanie danego urządzenia. Tak naprawdę jest to proces nigdy się niekończący. Jeśli bowiem osiąga się kres takich możliwości, to znaczy, że najwyższa pora pomyśleć już o czymś zupełnie nowym. Przykładem takim może być maszyna parowa. W kolejnictwie zastąpiona silnikami spalinowymi i elektrycznymi, a w elektrowniach – turbinami parowymi. Albo samochód. Od początku doskonalony, zarówno pod kątem obniżenia zużycia paliwa, ale także zwiększenia szybkości jazdy, skrócenia czasu na osiągnięcie maksymalnej prędkości, czy poprawy bezpieczeństwa kierowcy i pasażerów. To modernizowanie i doskonalenie wszystkich produkowanych i eksploatowanych maszyn wymaga konsekwencji konstruktorów. I takie cechy, my, studenci Politechniki Wrocławskiej, przejęliśmy od profesora Władysława Chowańca.

### **Profesor Ryszard Podarewski**

Profesor Podarewski był znakomitym konstruktorem pojazdów. Tłumaczył nam, że konstruktor samochodu powinien wiedzieć, że auto „ma jeździć”. Należy skonstruować je tak, aby osiągnąć ten podstawowy cel.

Dopiero wtedy należy je doskonalić pod każdym względem, a więc poboru paliwa, przyspieszeń, prędkości jady itp. Natomiast niedopuszczalnym błędem konstruktora byłoby zaprojektowanie takiego pojazdu, którego elementy nośne nie wytrzymałyby założonego w projekcie ładunku. Prototyp może być zaprojektowany z nadwyżką masy własnej, którą będzie się odejmować w czasie badań tensometrycznych, lecz nie może być za „słaby”.

W latach 1948–1955 byłem na części etatu asystentem profesora Ryszarda Podarewskiego w Katedrze Budowy Samochodów i Ciągników. Pod jego kierunkiem wykonałem projekt silnika spalinowego do samochodu ciężarowego (była to moja praca przejściowa). Później, w ramach pracy dyplomowej, zaprojektowałem do tego silnika samochód ciężarowy o ładowności 3,0 t. Ponieważ byłem pierwszym absolwentem w tej Katedrze, profesor poświęcał mi bardzo wiele czasu. Były to znakomite lekcje projektowania, które w okresie kariery inżynierskiej zawsze miałem w pamięci, a doświadczenia te przekazywałem następnym pokoleniom moich wychowanków.

### **Profesor Kazimierz Ochęduszko**

Profesor Kazimierz Ochęduszko, świetny wykładowca teorii maszyn cieplnych twierdził, że dobry inżynier, to taki, który potrafi wyprowadzać wnioski z zaistniałej sytuacji i z uzyskanych wyników pomiarów i badań maszyn, procesów technologicznych.

Twierdził także, że wszędzie tam, gdzie jest to możliwe, należy przebieg procesów próbować oprawić w reguły matematyczne. Jego zdaniem nie można zaprojektować maszyny cieplnej bez bardzo dobrej znajomości przebiegu procesów cieplnych. Rygorystycznie przeprowadzane egzaminy zmusiły nas do opanowania tej wiedzy w sposób co najmniej zadowalający.

### **Profesor Robert Szewalski**

Profesor Robert Szewalski, późniejszy rektor Politechniki Gdańskiej i członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, wykładał nam turbiny parowe i spalinowe. Nazywaliśmy go arystokratą wśród wykładowców. Sposób mówienia o procesach zachodzących w turbinach to była poezja. Zdania jasno sprecyzowane, treść interesująca, a do tego wspaniała modulacja głosu. Na wszystkich jego wykładach był prawie komplet studentów. Twierdził, że dewizą każdego inżyniera powinna być perfekcja. Cokolwiek będzie się robić w technice, a więc konstruować maszyny, trzeba mieć na względzie, aby to wszystko robić najlepiej jak można. Do tych zaleceń starałem się zawsze stosować.

Pomimo rozlicznych trudności, jakie napotykaliliśmy w czasie studiów (brak pomocy naukowych i podręczników, niepełna kadra nauczająca), młodzież akademicka (wracająca z partyzantki, wojska, obozów koncentracyjnych, Syberii), która podjęła studia bezpośrednio po zakończeniu wojny, przejawiała przeogromny pęd do wiedzy, co spowodowało, że jej znakomita większość studia te ukończyła.

Pierwsi absolwenci Politechniki Wrocławskiej jeszcze w czasie studiów włączyli się w wielkie dzieło odbudowy i rozbudowy naszego kraju. Z grona absolwentów pokolenia Kolumbów wywodzą się twórcy znakomitych maszyn, wspaniałych budowli, wyróżniający się naukowcy. Osiągnięcia te nie byłyby możliwe, gdyby nie ofiarna praca nielicznego grona profesorów i asystentów w trudnych warunkach lat 1945–1950. Za to składam Im wyrazy podziękowania.

## Moje związki z Politechniką Wrocławską

W latach 1945–1950 byłem studentem, w latach 1947–1955 asystentem i adiunktem. W 1967 roku obroniłem na Politechnice Wrocławskiej doktorat z pracy pt. „Pewne zagadnienia procesu wytwarzania masy betonowej na tle rozwoju mechanizacji z uwzględnieniem wskaźnika jednorodności betonu” i uzyskałem tytuł doktora nauk technicznych na Wydziale Budownictwa. Przez całe pięćdziesiąt lat współpracowałem z Politechniką. Uczestniczyłem w realizacji wielu tematów badawczych, zarówno na Wydziale Mechanicznym, jak i na budownictwie. Przez dwadzieścia lat kierowałem Wrocławskim Oddziałem Instytutu Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego. W skład Rady Naukowej tego Instytutu wchodziłi profesorowie Politechniki Wrocławskiej:

- prof. zw. dr hab. inż. Henryk Hawrylak – przewodniczący,
- prof. dr Mieczysław Zachara – wiceprzewodniczący,
- prof. dr Kazimierz Pieczonka – członek,
- doc. dr inż. Jerzy Tęsziorowski – członek.

Z uznaniem obserwowałem rozwój mojej macierzystej uczelni, powstawanie nowych wydziałów i nowych instytutów oraz zakładów. Cieszyła mnie rosnąca nieustannie liczba studentów i pracowników naukowych. Rozwój uczelni jest istotnie imponujący. W 1945 roku było 5 wydziałów i 500 studentów. Po 65 latach jest 12 wydziałów i około 40 000 studentów oraz ok. 4000 pracowników.

Osiągnięcia naukowe Politechniki Wrocławskiej są niewymierne. Uczelnia ma swój wpływ na przemysł i budownictwo nie tylko Dolnego Śląska, ale całej Polski. Wykształciła również wielu znakomitych specjalistów cieszących się dużym uznaniem poza granicami kraju.



Okładka do I wydania Księgi Pamiątkowej



Zjazd w 2005 roku. Od lewej: Kazimierz Banyś, Jan Kmita, Zdzisław Samsonowicz, Edward Mielcarzewicz

Jestem z Uczelnią związany od chwili ukończenia studiów do teraz, wchodziłem bowiem w skład komitetu organizacyjnego wszystkich zjazdów pierwszych słuchaczy Politechniki Wrocławskiej, których celem były nie tylko koleżeńskie spotkania, ale także odnowienie kontaktów z macierzystą uczelnią. W 1985 roku, z okazji kolejnego zjazdu, wydana została *Księga pamiątkowa pierwszych słuchaczy Politechniki Wrocławskiej roku inauguracyjnego 1945*, której byłem współredaktorem. Byłem również przewodniczącym Sądu Koleżeńckiego Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Wrocławskiej.

## Działalność po studiach

Po ukończeniu studiów byłem naczelnym inżynierem w zakładach ZREMB we Wrocławiu oraz kierownikiem Pracowni Konstrukcyjnej Maszyn Budowlanych i dyrektorem Zakładu Badań i Doświadczeń Budownictwa. Kilka lat prowadziłem wykłady z maszyn budowlanych na Akademii Rolniczej we Wrocławiu. W latach 1973–1990 byłem dyrektorem Wrocławskiego Oddziału Instytutu Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego. Od 1990 jestem dyrektorem INSMASZBUD we Wrocławiu. Po uzyskaniu doktoratu na Politechnice Wrocławskiej zostałem docentem, a później profesorem, a także generalnym dyrektorem górnictwem. Od 1980 r. jestem też prezesem Sekcji Maszyn Roboczych Ciężkich i Transportu SIMP. Byłem członkiem Sekcji Ekonomiki Organizacji i Mechanizacji Budownictwa PAN, członkiem Rady Naukowej Instytutu Mechaniki Budownictwa i Górnictwa Skalnego w Warszawie oraz członkiem Rady Naukowej Wydziału Budownictwa Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Wychowałem wielu konstruktorów i badaczy maszyn: budowlanych i dla górnictwa skalnego. Opublikowałem



Medal za zajęcie I miejsca  
w pływaniu stylem klasycznym

ponad 300 artykułów i 16 książek. Skonstruowałem ponad 60 maszyn produkowanych dla krajowego budownictwa i na eksport, uzyskałem 32 patenty.

Od 2000 roku jestem przewodniczącym Kapituły Konkursu i Nagród za wybitne osiągnięcia naukowo-techniczne NOT. Wypromowałem 120 magistrów i siedmiu doktorów nauk technicznych. Przepracowałem dotychczas 70 lat. Za tę działalność otrzymałem 40 odznaczeń państwowych, resortowych, stowarzyszeniowych i uczelnianych. W tym roku – w wieku 88 lat – otrzymałem złoty medal za zajęcie pierwszego miejsca w pływaniu stylem klasycznym w Letnich Otwartych Mistrzostwach Polski w Pływaniu w Kategorii „Masters”.



Urszula Dołęga-Molasy

## Cztery pory roku dziecka Politechniki

Urodziłam się i wychowałam pośród ludzi nauki. Od kiedy pamiętam, prawie wszyscy w rodzinie (także poprzednie pokolenia) byli związani z uczelniami, a przede wszystkim – z Politechniką Wrocławską. Tak więc i dla mnie naturalną sprawą była myśl, aby swoją przyszłość łączyć z naszą Uczelnią.

W kwartale ulic: Norwida, Smoluchowskiego, Łukasiewicza i M. Skłodowskiej-Curie, aż do Wybrzeża Wyspiańskiego, bawiliśmy się – MY – dzieci przesiedlonych ze Wschodu pionierów trzech szkół wyższych: Politechniki, Akademii Medycznej i Uniwersytetu Przyrodniczego (wówczas Wyższej Szkoły Rolniczej). Z ulicy Norwida – gdzie mieszkaliśmy – do Gmachu Głównego PWr, gdzie przez długie lata pracował tata, dziadek oraz sporo ciotek i wujków, miałam około minuty drogi...



### Wiosna

Bardzo lubię tę porę roku. Pięknie kwitną drzewka owocowe w sadzie dziadka (tam, gdzie mieści się obecnie budynek C-6). Tu też trwają ożywione dyskusje ogrodniczo-służbowe pań i panów profesorów mających również swoje ogródki działkowe, ciągnące się wtedy od ul. Norwida do obecnej ul. Janiszewskiego i sięgające prawie do pl. Grunwaldzkiego.

Oprócz sadu przy ul. Norwida, rodzina ma również drugi ogródek (wraz z innymi pracownikami) na terenie dzisiejszego Instytutu Nafty i Węgla przy ul. Bujwida.

\* \* \*

Idę do swojej Szkoły Podstawowej nr 12 ulicą Ludwisarską, która już nie istnieje, a szkoda, bo historycznie łączyła dawne wejście główne Politechniki z pl. Grunwaldzkim, na wysokości kościoła i mostu Grunwaldzkiego. „Moja szkoła” to obecnie Studium Języków Obcych, oczywiście nowoczesnie



Wiosna 1956 roku, ul. Norwida – wejście boczne do A-1 – widok z okna pokoju ojca.  
Na dole – z mamą

zaadaptowana na potrzeby studentów – bo kto by chciał chodzić do toalety na środku podwórka albo zniósłby palenie w piecu kaflowym podczas zajęć?

Po prawej stronie ulicy Ludwisarskiej mijam czynną ludwisarnię, gdzie wytwarzane są dzwony, a po lewej zostawiam uczelniane obiekty sportowe z kortami tenisowymi na czele (obecnie okolice „Dziurawca”).

Na kortach zawsze komplet naukowców. Gdy po południu gra tata, to mam pozwolenie na podawanie piłek. Koniecznie chcę się nauczyć tej gry, ale niestety – przedwojenna rakietka tenisowa jest dla mnie za ciężka i odpadam ze szkółki tenisowej.

\* \* \*

Pierwszego Maja idę zawsze w pochodzie z tatą (wtedy nie wiedziałam, że to obowiązek). Zbiórka pod Gmachem Głównym, potem ustawianie się wydziałami, instytutami i wreszcie – ciekawy „spacer” z czerwonymi akcesoriami, szczególnie w rejonie ul. Świerczewskiego (dziś Piłsudskiego), gdzie tylko w to święto prosto z ciężarówek można było kupić atrakcyjne wtedy towary: owoce cytrusowe, parówki (sic!), czekoladę. Na szczęście idziemy prawie zawsze jako pierwsza grupa, rektorzy bowiem muszą zająć miejsce na trybunie honorowej w rejonie placu PKWN (dziś pl. Legionów).

Potem czekam niecierpliwie na Dzień Dziecka, gdyż Politechnika dla „swoich” dzieci organizuje gry i zabawy na terenie sportowym. Zwycięzam w biegu na 60 m oraz w skoku wzwyż w odpowiedniej grupie wiekowej. Dyplom i tabliczka czekolady znaczą dla mnie tyle, co olimpijski złoty medal. Cała ulica mi zazdrości...

\* \* \*

Również na ul. Ludwisarskiej sypię dumna kwiatki w procesji Bożego Ciała, postępującej wolno dookoła Politechniki. W zależności od humorów rektorów, ołtarze umieszczane są na schodach Uczelni albo – jeśli akurat jest zakaz – ustawiane przy siatkach ogrodowych m.in. obok naszego sadu.

### Lato

Pędzę na drewnianej hulajnodze do Gmachu Głównego z kanapką dla taty. Jego „królestwo” to pokój i laboratoria na parterze, wyposażone w ponemieckie ogromne ruchome baseny do nauki budownictwa wodnego. I choć śniadanie podają tacie przez okno, czuję te wszystkie dziwne chemiczne zapachy. Boję się głośnych machin ryczących, pływających, kręcących się, które czasami uruchamia ojciec albo jego asystenci. Widząc strasznie niezrozumiałe wzory fizyczne i chemiczne na planszach dla studentów, pytam wszystkich z prawdziwym niedowierzaniem: czy ktoś jest w stanie to zrozumieć i jeszcze się tego nauczyć? Ich śmiech nie pozostawia żadnych wątpliwości.



Kolonia dla dzieci pracowników w Kortowie  
koło Olsztyna, rok 1963  
(autorka – pierwsza z prawej strony)



Ustka, Ośrodek Wypoczynkowy Politechniki Wrocławskiej – lato 1966 lub 1967 roku



Ustka – wieczorek zapoznawczy dla młodzieży – lato 1969 roku (autorka – druga z prawej)

Czasem chodzimy nad służę przy ul. Wyspiańskiego (vis à vis wejścia głównego), gdzie znajduje się laboratorium dla studentów. Podczas gdy tata pracuje, ja siedzę na trawie, przyglądając się otwieraniu lub zamykaniu służy, czasem ze statkiem wycieczkowym.

\* \* \*

Na przełomie lipca i sierpnia prawie zawsze wyjeżdżamy nad morze. Politechnika na dużym terenie z wydumą ma w Ustce swój ośrodek wypoczynkowy. Porzucane w lasku domki campingowe, jednopokojowe, a z czasem dwupokojowe, bardzo małe i prymitywne, są jednak letnim marzeniem większości pracowników Uczelni, bo coroczny „system punktowy”, umożliwiający dostanie się do ośrodka, nie gwarantuje wyjazdu wszystkim chętnym. Jeśli na danym turnusie wypoczywa jakiś VIP (rektor, prorektor albo dyrektor administracyjny) – można mówić o dużym szczęściu: stolówka serwuje wtedy dania pyszne i jak na tamte czasy – obfite. Wieczorki zapoznawcze przy skrzeczącym adapterze, a następnie zabawy już na zakończenie – dla dzieci, młodzieży i dorosłych – wspomniane są później przez cały rok. Kaowiec (osoba kulturalno-oświatowa na turnusie – wyjaśniam niewtajemniczonym), wywodzący się przeważnie ze Studium Wychowania

Fizycznego PWr., organizuje gry sportowe na terenie ośrodka albo „załatwia” miejski kort tenisowy.

Czasem jestem wysyłana na kolonie letnie. Niestety, nie wspominam ich miło. Straszny reżim, poranna gimnastyka o 7.00, apele o 8.00 z wciągnięciem flagi na maszt, śpiewy i komunistyczne przemówienia wychowawców oraz obrzydliwe jedzenie, po którym często chorujemy – taki wyjazd uważam za karę, a nie wakacyjną przyjemność. Niezależnie od wszystkiego, turnus bywa swoistą „rewią mody”, czyli odzwierciedleniem socjalistycznej zasobności finansowej rodziców politechnicznych dzieci, bardzo dzielącym kolonistów na „lepszych” i „gorszych”.

### Jesień

Z ciężkim kartonowym (tak, tak!, kartonowym właśnie – to nie pomyłka) tornistrem idę w błocie ul. Ludwisarską do szkoły. Dodatkowe obciążenie to tenisówki i strój na wuef. Czasami moja podstawówka wynajmuje salę gimnastyczną od Uczelni. Z porządnymi drabinkami, ciężkimi kozłami i materacami do fikania koziołków, jest naszym marzeniem. Mieści się w podziemiu budynku A-1 (później siedziba Zakładów Graficznych). Mam to szczęście, że przez dwa, trzy semestry sala ta zamienia się na salę baletową dla dzieci (filia Arabeski). Muzykę stanowi rozklekotane pianino czy fortepian.

\* \* \*

Rozpoczyna się kolejny rok akademicki. Biegnę do Auli zobaczyć tatę i wujków kroczących dostojnie w orszaku i ubranych w piękne togi. Uwielbiam ten dzień. Rozpływam się przy *Gaudeamus...* i śpiewam hymn po łacinie, nie rozumiejąc ani słowa.

Sam budynek A-1 znam od podziemi aż do ostatniej kondygnacji. Nikt specjalnie nie pilnuje gmaszyska, można więc buszować do woli. Zawsze kłaniam się z szacunkiem marmurowym wizerunkom starożytnych uczonych koło rektoratu i macham ręką na powitanie ślicznej rzeźbie bawiących się dzieci na dziedzińcu. Dziwię się, gdy starzy (dla mnie, dziecka) studenci błądzą po korytarzach, wtedy ponurych i słabo oświetlonych, szukając sali lub biblioteki. Często bardzo dumna służę jako przewodnik po budynku i prowadzę na wskazane miejsce.

### Zima

Dla wszystkich najtrudniejsza pora roku, zawsze z dużym śniegiem i mrozem. Ale dla nas, dzieci... to przecież czas sportów zimowych. Każdego roku na korcie tenisowym przy ul. Ludwisarskiej na około dwa, trzy tygodnie urządzone jest lodowisko z wypożyczalnią łyżew. Prawie nikt nie ma prawdziwych figurówek, za to większość z nas zakłada brzydkie, ciężkie,



Bal mikołajowy dla dzieci (prawdopodobnie rok 1953)



Zima 1955 – na sankach, ul. Norwida, A-1, koło wejścia bocznego;  
po prawej – z tatą przed wejściem głównym



Bal sylwestrowy 1960/1961 – Aula Politechniki



Dekoracje z balu sylwestrowego 1968/1969 Politechniki wypożyczone na studniówkę do II LO przy ul. Rosenbergów (obecnie ul. Parkowa)



sznurowane za kostki własne buty ze specjalną wmontowaną w obcas blaszką, aby tam przykręcić łyżwy. Działa nawet krótko „szkółka łyżwiarska” i na tych „niefigurówkach” wywijamy wszystkie płasy.

Po zmierzchu jedna lampa oświetla to swoiste lodowisko i do domu wraca się na sztywnych od mrozu nogach przez nieodśnieżoną i słabo oświetloną lampami gazowymi ul. Norwida. Na sankach (z braku górək w okolicy) zjeżdżamy prosto z ośnieżonych schodów Gmachu Głównego lub z minigórki pod oknami pokoju mojego ojca, również przy ul. Norwida (wejście boczne).

\* \* \*

W karnawale jest jeszcze jedna oczekiwana przez dzieci impreza, czyli św. Mikołaj – nazywany przez czas jakiś Dziadkiem Mrozem.

Każdego roku w Auli Politechniki odbywa się wielki Sylwester, na który – oprócz chętnych pracowników Politechniki – zapraszane są władze Wrocławia, prominenci partyjni i znane postacie z innych Uczelni. Na długo przed balem panie szykują kreacje, a panowie debatują nad doborem odpowiedniego towarzystwa przy wieloosobowych stolikach. Podobnie jak kreacje pań, również dekoracje Auli nigdy nie są takie same...

Po wielkim balu dla dorosłych jest bal dla dzieci w tym samym zresztą entourage’u. Paczka ze skromnymi słodyczami musi starczyć na długo, a bibułkowa czapeczka i kolorowy balonik wiszą do wiosny nad moim łóżkiem. Czasem Aula służy też jako sala teatralna albo kinowa.

\* \* \*

Zimą jeździliśmy do ośrodków wczasowych: „Limba” w Karpaczu oraz „Radość” w Szklarskiej Porębie. Największy kłopot stanowił dojazd (auta osobowe posiadało wszak wtedy niewiele osób). Potem jednak te trudy wynagradzały niezapomniane zjazdy na saneczkach i nartach.

\* \* \*

Po ciężkiej zimie znowu przychodzi odwilż i znów wiosna.  
Politechnika rozbudowuje się i powoli znika moje dzieciństwo...

\* \* \*

Moje wspomnienia dedykuję Rodzicom, szczególnie Ojcu – Jerzemu oraz Koleżankom i Kolegom – dzieciom Politechniki, którzy podobnie jak ja, od dzieciństwa, czyli od powojennych lat, są lub byli związani z tą uczelnią: nauką i pracą, ale także sportem, kulturą, wypoczynkiem i... mieszkaniem.



Zbigniew Girulski

## Na Wydziale Lotniczym Politechniki Wrocławskiej

### Moja droga do lotnictwa

S twierdzenie, iż lotnictwem zajmowałem się od ko-  
lebki byłoby lekką przesadą, niemniej jednak to  
zainteresowanie – nie wiem skąd i dlaczego – tkwiło  
we mnie od najmłodszych lat.

Niestety, w tym zakątku Wileńszczyzny, gdzie miesz-  
kałem przed wojną, daleko od centrum życia i nowych  
zdarzeń, nie miałem szans na zetknięcie się ze środowi-  
skiem zainteresowanym lotnictwem. Natomiast całe  
moje dorosłe życie było już ściśle związane z lotnictwem.

Przed wojną sprawami lotnictwa sportowego  
w Polsce zajmowała się LOPP (Liga Obrony Powietrz-  
nej i Przeciwgazowej) – chyba daleki przodek powojennej LPŻ (Liga Przyjaciół  
Żołnierza – przyp. red.). LOPP była organizacją ogólnopolską, a na terenie  
Wileńszczyzny działała jako Wileński Okręg Kolejowy LOPP. Naturalnie w Kró-  
lewszczyźnie, gdzie mieszkałem – miasteczku kolejarskim – też działała LOPP,  
ale z tego co widziałem i pamiętam, była to działalność objawiająca się masowy-  
mi „czynami społecznymi”, np. przy pracach drogowych. Działalności lotniczej  
nie było, a może była, ale ja byłem jeszcze zbyt mały, aby się z tym zetknąć.

Ten skrajnie północno-wschodni rejon Polski był ubogi w infrastrukturę  
związaną z lotnictwem. Lotniska były – oprócz Porubanku pod Wilnem –  
chyba tylko w Mołodecznie, Postawach i Słonimiu. Naturalnie mówię tu  
o lotniskach cywilnych i sportowych, bo o wojskowych – siłą rzeczy – powie-  
dzieć mogę niewiele.

Na Wileńszczyźnie była też tylko jedna Szkoła Szybowcowa w Auksztagirach  
pod Wilnem (w całej Polsce, w 1937 roku, szkół takich było siedemnaście,  
a szybowisk około osiemdziesięciu).



Po raz pierwszy bezpośrednio zetknąłem się z lotnictwem, mając chyba sześć czy siedem lat. Zobaczyłem z bliska samolot, a nawet w nim siedziałem. Był to samolot wojskowy, który z jakichś tam przyczyn wylądował na polu koło Królewskiej. Oczywiście przez krótki okres przedwojenny, w czasie wojny i po wojnie czytałem namiętnie wszelkie dostępne mi książki o tematyce lotniczej.

Natomiast bakcyła lotniczego „na serio” zaszczerpił mi – o dziwo – syn sąsiada ze wsi, pierwszy pilot szybowcowy, z którym zetknąłem się osobiście. Stało się to, gdy w latach 1945–1947 mieszkaliśmy na wsi Jastrzębsko Stare koło Nowego Tomyśla. Mieliśmy tam sąsiada o nazwisku Fedan. Otóż jego właśnie syn – Maryś Fedan – chłopak siedemnasto-, osiemnastoletni dojeżdżał do Aeroklubu w Poznaniu (jak teraz oceniam) na kurs podstawowy szkolenia szybowcowego lub na trening. W tej chwili tych szczegółów nie odtworzę. Zresztą, nie jest to ważne. W moich oczach był „bohaterem przestworzy”, gdy opowiadał mi (podczas pasienia krów), jak „na szybowcu wznosi się za urządzeniem startowym i tylko przywiązany pasami, bez żadnej kabiny, patrzy na ziemię w dole”. Chyba to były starty na szybowcu ABC lub SG-38, za wyciągarką.

Zadawałem sobie wtedy pytanie: czy ja nie mógłbym być na jego miejscu? Te rozmowy i pochłanianie książki o tematyce lotniczej ugruntowały we mnie tęsknotę za lotnictwem i zdecydowały o dalszym kierunku zainteresowań, a zwłaszcza o kierunku studiów i pracy zawodowej. Jeszcze w szkole średniej nie angażowałem się w „lotnictwo” w sensie praktycznym, oprócz chłonięcia literatury. Na przeszkodzie stał brak wolnego czasu – musiałem nadrabiać wojenne zaległości w nauce i pomagać rodzicom w gospodarstwie.

Po zdaniu „dużej matury”, w 1949 roku w Wolsztynie, trzeba było podjąć decyzję: co dalej? Rodzice namawiali mnie na studia, a ja nie miałem nic przeciwko temu, pod warunkiem jednak, że będą one związane z lotnictwem! Wydział Lotniczy znajdował się wówczas jedynie na Politechnice Warszawskiej i było to za daleko, biorąc pod uwagę możliwości finansowe rodziców, utrzymujących rodzinę z dziesięciohektarowego gospodarstwa. O systemie stypendiów nie bardzo wiedziałem i na to nie liczyłem.

Na szczęście dla mnie okazało się, że Szkoła Inżynierska w Poznaniu (obecnie Politechnika Poznańska) ma sekcję lotniczą na Wydziale Mechanicznym. Zdałem tam konkursowe egzaminy wstępne (o ile pamiętam – przypadały cztery osoby na jedno miejsce) i zostałem przyjęty! Nie mogłem zrazu w to uwierzyć: ja, chłopak ze wsi, bez żadnych stosunków, znajomości i pieniędzy, jestem studentem i to na specjalności lotniczej! Tego nie było w moich najśmielszych marzeniach! Naturalnie nigdzie nie przyznawałem się, że tata był przed wojną policjantem – uchodziłem za syna chłopca małego rolnego i szlus. Ten może nadmiar ostrożności okazał się później zbawienny.

W końcu 1949 roku sekcję lotniczą w Poznaniu zlikwidowano, a studenci (po pewnej selekcji – chyba politycznej) zostali przeniesieni na tworzący się wtedy Wydział Lotniczy na Politechnice Wrocławskiej. Ja – syn chłopa, również.

Po zadowoleniu się w nowym miejscu, na początku 1950 roku, ukończyłem kurs teoretyczny na pilota szybowcowego, zorganizowany przy Wydziale Lotniczym wspólnie z Aeroklubem. Dużą pomoc okazał przy tym inż. Bolesław Kochanowski – wtedy asystent w Katedrze Aerodynamiki u prof. Jerzego Teisseyre, czynny i zapalony pilot szybowcowy, który życzliwym okiem patrzył na studentów – amatorów latania.

Następnym etapem wtajemniczenia lotniczego były badania lotniczo-lekarskie, które miały zadecydować o możliwości szkolenia praktycznego. Z Ligi Lotniczej dostałem skierowanie do Centralnego Instytutu Badań Lotniczo-Lekarskich w Warszawie przy Wawelskiej. W tej to „cebuli” (skrót nazwy Instytutu brzmiał CIBLL) przeszedłem w maju 1950 roku badania z niezachęcającym orzeczeniem treści następującej: „Zdolny jako pilot szybowcowy niewyczynowy, tylko do lotów dziennych – grupa IV. Rozpoznanie – osłabienie poczucia barw”.

Taki werdykt w sposób zasadniczy wpływał na moje plany lotnicze i aspiracje na przyszłość, znacznie je ograniczając. Musiałem „przestawić się” z wymarzonej kariery pilota wojskowego lub komunikacyjnego, gdzie moim zawodem byłoby latanie, na przyziemną karierę inżyniera lotnictwa, pracującego zawodowo w fabryce (dobrze że lotniczej), a latającego sportowo w Aeroklubie. Dobrze i to! Zostałem sprowadzony z nieba na ziemię, a ściślej rzecz biorąc – na Wydział Lotniczy Politechniki we Wrocławiu.

## Specjalność lotnicza w Politechnice Wrocławskiej

**N**a Politechnice Wrocławskiej specjalność lotnicza istniała od początku powołania uczelni w 1945 roku, jako sekcja lotnicza w ramach Wydziału Mechaniczno-Elektrycznego. Skończyły ją (przed utworzeniem Wydziału Lotniczego w 1949 roku) trzy roczniki: 1945, 1946 i 1947. Były to pełne, nieskracane czteroletnie studia dające tytuł magistra inżyniera.

Z większością tych absolwentów zetknąłem się później w pracy w przemyśle lub na lotniskach. Z rocznika 1945 byli to: Bolek Kochanowski, Henryk Ostromecki, Bogdan Krachelski i Szymon Pilecki. Z rocznika 1946: Waldemar Błocki, Adam Meus i Stanisław Czubernat. Najwięcej jednak było absolwentów z rocznika 1947 (sekcja lotnicza liczyła wtedy szesnaście osób), którzy ukończyli studia w 1951–1952 roku i trafili do szukającego inżynierów, rozwijającego się przemysłu lotniczego. Byli to: Zdzisław Denkiewicz,

Stanisław Moczulski, Ireneusz Zambrzycki, Zbigniew Kasznia, Zbigniew Winnicki, Leszek Kalinowski, Marian Wiśniewski i Jerzy Wesołowski. Z większością z nich pracowałem później w jednym zakładzie, to jest w WSK (Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego – przyp. red.) Wrocław.

Niezależnie od formalnej struktury uczelnianej, tj. sekcji lotniczej, istniała tu też organizacja pod nazwą Akademyka Sekcja Lotnicza – jako związek ludzi zainteresowanych tą dziedziną. Do ASL należeli nie tylko studenci z sekcji lotniczej, ale również z innych wydziałów. Akademyka Sekcja Lotnicza aktywnie działała również poza Politechniką. Prowadziła teoretyczne kursy szybowcowe i wspólnie z Aeroklubem – szkolenia szybowcowe w Jeżowie. Organizowała wyprawy po sprzęt lotniczy, ściągając na wrocławskie lotnisko zarówno szybowce, jak i samoloty przydatne dla Aeroklubu, które były poukrywane po wojnie w najdziwaczniejszych miejscach i miejscowościach.

Prezesem Akademyckiej Sekcji Lotniczej był Bolesław Kochanowski – doświadczony pilot szybowcowy, student sekcji lotniczej i *spiritus movens* całej działalności ASL.

Na Politechnice był też tunel aerodynamiczny, niezbyt duży, ale wystarczający do celów dydaktycznych. Jak widać, Politechnika Wrocławska nie była pustynią w zakresie lotnictwa.

## Wydział Lotniczy – profesorowie i studenci

W końcu lat czterdziestych, w związku z przewidywanym zapotrzebowaniem na inżynierów lotnictwa (przygotowywano uruchomienie w Polsce produkcji odrzutowych samolotów myśliwskich MIG-15), chyba celem koncentracji środków materialnych i objęcia bardziej ścisłą kontrolą polityczną przyszłe kadry techniczne przemysłu lotniczego, zlikwidowano w 1949 roku rozproszone sekcje lotnicze istniejące w różnych uczelniach, pozostawiając tylko Wydział Lotniczy w Politechnice Warszawskiej i powołując Wydział Lotniczy w Politechnice Wrocławskiej.

Na pierwszym roku studiów, w 1949 roku, było nas studentów Wydziału Lotniczego – około 35 osób. Piszę około, bo po przetarasowaniach personalnych przeprowadzonych na Wydziale w 1950 i 1951 roku nie mogę w tej chwili tego jednoznacznie określić, tym bardziej że na pierwszym, a częściowo i drugim roku, mieliśmy niektóre wykłady wspólne z Wydziałem Mechanicznym, który liczył około 250 osób, o pomyłkę więc kto jest kto nie było trudno.

Część studentów Wydziału Lotniczego zdawała egzaminy wstępne i została przyjęta od razu we Wrocławiu, ale większość została przeniesiona

z innych uczelni, gdzie – jak już wspomniałem – specjalizacje czy sekcje lotnicze zostały zlikwidowane. Tak właśnie było w Poznaniu, skąd do Wrocławia przenieśliśmy się ja, tak było chyba również w Krakowie, Gliwicach i innych technicznych wyższych uczelniach z wyjątkiem Warszawy, gdzie Wydział Lotniczy został utrzymany.

Pierwszym dziekanem Wydziału Lotniczego w Politechnice Wrocławskiej został prof. Jerzy Teisseyre – postać dobrze znana w świecie lotniczym. Absolwent Politechniki Lwowskiej, po dodatkowych studiach we Francji, pracował przed wojną w przemyśle lotniczym Polski i w Turcji, gdzie był również wykładowcą w Politechnice w Stambule. W czasie wojny zatrudniony był w fabryce w Tuluzie (w zakładach Devoitine), a potem w Anglii, również w przemyśle lotniczym. Do Polski powrócił w 1947 roku – na Politechnikę Wrocławską.

Na pierwszych latach studiów szereg wykładów – jak już wspominałem – mieliśmy wspólnych z Wydziałem Mechanicznym. Matematykę wykładał prof. dr Jan Mikusiński, fizykę prof. dr Jan Nikliborc, a geometrię wykreślną – prof. mgr inż. Konrad Dyba, który siał największe „spustoszenie” wśród studentów. Mnie z trudem udało się uzyskać dostatecznie, chociaż z innych przedmiotów miałem dużo lepsze stopnie. Profesor Dyba stale podkreślał, że jest uczniem prof. Kazimierza Bartla ze Lwowa, i że tylko prof. Bartel rozumiał geometrię wykreślną na bardzo dobrze. Na wykładach prof. Dyby trzeba było albo notować, albo rysować i zawsze czegoś brakowało (profesor miał do pomocy w rysowaniu asystenta). Na szczęście już w 1948 roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” wznowiła przedwojenne wydanie *Geometrii wykreślnej* prof. Bartla, było więc z czego uczyć się w domu po wykładach.


Mechanika i wytrzymałość materiałów były domeną prof. dr inż. Stanisława Bodaszewskiego z Gliwic, zapalonego kibica zapasów i sędziego w tym sporcie. Zagadywany przez nas, chętnie i łatwo przechodził z tematyki wytrzymałości do zapasów i wyników ostatniego meczu, poświęcając im pozostałą część zajęć.

Ćwiczenia z zakresu mechaniki prowadził asystent – mgr Władysław Siuta.

Metalurgię, odlewnictwo i obróbkę plastyczną wykładał prof. dr inż. Egon Dworzak, a obróbkę skrawaniem – prof. dr inż. Władysław Chowaniec.



Prof. mgr inż. Jerzy Teisseyre  
– pierwszy dziekan  
Wydziału Lotniczego  
Politechniki Wrocławskiej  
w latach 1949–1950

<p><b>IOS RECTOR</b> ET <b>DECANUS</b> IS _____ IN _____ et POLYTECHNICA WRATISLAVIENSIS stum esse volumus omnibus et singulis _____ e _____ in Album _____ et POLYTECHNICAE WRATISLAVIENSIS rite relatum (-am) anu propria et Sigillo Universitatis et obis praesentibus adpresso testamur. lie _____ mensis _____ Anno 19 _____ itatis _____ h. l. Rector Universitatis et Polytechnicae _____ L. S. 111</p>	<p>Nr <u>10</u> <b>MY REKTOR</b> I <b>DZIEKAN</b> WYDZIAŁU <u>Lotniczego</u> W UNIWERSYTECIE I POLITECHNICE WE WROCLAWIU wszystkim i każdemu z osobna wiadomem czynimy, że Obywatel (-ka) <u>Gimulski</u> <u>Wlbigisław</u> urodzony (-na) w <u>Dokoryczach</u> _____ w Album _____ UNIWERSYTETU I POLITECHNIKI WE WROCLAWIU WYDZIAŁU <u>Lotniczego</u> prawowicie wpisany (-a) został (-a), co własnoręcznym podpisem i pieczęcią Uniwersytetu i Politechniki w Naszej obec- ności odcisniętą zaświadczamy. Wrocław, dnia <u>15</u> miesiąca <u>grudnia</u> roku 19 <u>49</u>. t. cz. Dziekan Wydziału _____ t. cz. Rector Uniwersytetu i Politechniki _____ </p>
--	--

Książeczka legitymacyjna autora

Drugi przedmiot budzący grozę wśród studentów, prócz geometrii wykreślnej, to była teoria maszyn cieplnych, którą wykładał prof. mgr inż. Wiktor Wiśniowski. Strachem napawała nas nie tyle klasyczna termodynamika, co nowe pojęcia teoretyczne, które wprowadzał do niej prof. Wiśniowski, a mianowicie „termen” i „ergen”, wiążąc je z pojęciem entropii i energii. Teoria prof. Wiśniowskiego nie była uznawana przez środowisko naukowe. Ja sam odczułem to boleśnie, gdy będąc w Wojskowej Akademii Technicznej (kiedy i dlaczego – o tym później), musiałem ponownie zdawać teorię maszyn cieplnych, mimo iż miałem ten egzamin zdany we Wrocławiu. „Elew, wy macie



umieć termodynamikę, a nie terminy i ergeny” – tak skwitowano moje powoływanie się na podpis prof. Wiśniowskiego w indeksie.

Do przedmiotów ściśle lotniczych należały aerodynamika i hydrodynamika oraz później mechanika lotu, wykładane przez prof. mgr. inż. Józefa Wysockiego ściągniętego z Gdańska. Prof. Wysocki został w 1951 roku dziekanem Wydziału Lotniczego, na miejsce prof. Jerzego Teisseyre’a.

Prof. mgr inż. Jerzy Teisseyre wykładał płatowce oraz statykę i wytrzymałość ustrojów lotniczych, a prof. mgr inż. Rudolf Matz był wykładowcą przedmiotów: wyposażenie samolotu oraz paliwa, oleje i smary lotnicze.

Adiunkt – mgr inż. Andrzej Teisseyre, prowadził wykłady z silników lotniczych, z tym że wykład dotyczył zasadniczo silników tłokowych. Silniki odrzutowe – traktowane nieco po macoszemu – wykładał mgr inż. Władysław Gundlach, a wykłady dotyczące produkcji silników lotniczych wraz z ćwiczeniami prowadził mgr inż. T. Vorbrodt.

„Materiałoznawstwo lotnicze” prowadził prof. inż. Bronisław Bochenek z Warszawy, którego asystentem był wspomniany wcześniej Marian Wiśniewski, późniejszy kierownik Aeroklubu w Łodzi, znany jako „Pedro”. Naturalnie nie wymieniam tu wszystkich przedmiotów wykładanych w ciągu trzech lat studiów, takich jak: języki obce, ekonomia, podstawy ustroju PRL, marksizm i leninizm, rysunek techniczny itp., a tylko przedmioty główne lub charakterystyczne dla Wydziału Lotniczego.

Z grona profesorów najbardziej szanowanym i poważanym przez studentów Wydziału Lotniczego był prof. Jerzy Teisseyre – jako świetny teoretyk i praktyk w przedmiotach związanych z techniką lotniczą, a równocześnie umiejący nawiązać dialog ze studentami. Najbardziej nielubianym był prof. Józef Wysocki, natomiast najbardziej lubianym – prof. Rudolf Matz, drobny i szczupły, utykający po skomplikowanych złamaniach w wypadku lotniczym. Do prof. Matza udawaliśmy się często z prośbą o drobne pożyczki przed wypłatą stypendium, których nigdy nie odmawiał. Grób prof. Matza na cmentarzu przy ul. Bujwida w każdy dzień zaduszny był ozdobiony kwiatami przez byłych studentów z sekcji lotniczej i Wydziału Lotniczego.

### **Studenci pierwszego roku Wydziału Lotniczego (1949/1950)**

1. Bałaziński Bogdan – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
2. Baranek Włodzimierz
3. Brych Janusz
4. Brodacki Zdzisław
5. Buliński Czesław – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
6. Chowaniec Stanisław
7. Cegliński Aleksander

8. Frank Marian – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
9. Girulski Zbigniew
10. Hoffa Tadeusz
11. Janik Władysław
12. Jankowski Mieczysław
13. Kawalec Leszek – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
14. Kieroński Julian
15. Klarczyński Waldemar – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
16. Kołton Tadeusz
17. Kuc Tadeusz
18. Kuchta Marian
19. Majewski Alfred – powołany do WAT w 1951 r.
20. Makles Jacek
21. Mroczkowski Stanisław
22. Nadratowski Zbigniew
23. Noga Kazimierz – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
24. Orzeł Stanisław
25. Potocki Jerzy – przeniesiony na Wydział Mechaniczny w 1951 r.
26. Różowicz Adam – powołany do WAT w 1951 r.
27. Rygiel Waław
28. Siemaszkiewicz Adolf
29. Słomczyński Edward – powołany do WAT w 1951 r.
30. Słonowski Zbigniew
31. Sobolewski Zdzisław
32. Sobolewski Edmund
33. Stępiak Leon
34. Surmacz Józef – powołany do WAT w 1951 r.
35. Szymutko Tadeusz
36. Wiatrek Ryszard – powołany do WAT w 1951 r.
37. Wierzba Stanisław
38. Wojciechowski Jerzy

## Studia na Wydziale Lotniczym

Studia były skrócone i trwały trzy i pół roku, tj. siedem semestrów. Przez sześć semestrów natężenie nauki było bardzo duże, natomiast w siódmym semestrze wykłady były tylko szczątkowe – resztę czasu przeznaczono bowiem na odbycie praktyki dyplomowej i opracowanie projektu pracy dyplomowej.

Ukończenie studiów i obrona pracy dyplomowej dawały prawo do tytułu inżyniera (ale nie magistra inżyniera). Były to studia tzw. pierwszego stopnia.



Wykłady na pierwszym roku Wydziału Lotniczego

W czasie ich trwania trzeba było wykonać i zaliczyć dwie prace przejściowe i dwie praktyki przemysłowe. Moja pierwsza praca przejściowa z płatowców – robiona u prof. Jerzego Teisseyre’a – obejmowała obliczenia aerodynamiczne i dynamiczne samolotu Handley Page Hermes, a druga polegała na zaprojektowaniu (obliczenia i główne rysunki) pompy olejowej lotniczego silnika tłokowego – robiłem ją u prof. Andrzeja Teisseyre’a.

W trakcie opracowywania projektu przejściowego z zakresu silnikowego przeżyłem przykrą przygodę, która jednak zakończyła się szczęśliwie. Rysunki związane z projektem musieliśmy robić w kreślarni na uczelni, zresztą tylko tam były deski kreślarskie formatu A1 i A0. Otóż pewnego razu, jadąc z Politechniki na Biskupin, i mając przy sobie już zaakceptowane brudnopisy rysunków projektu w tzw. tubie, zostawiłem to wszystko w tramwaju! Rozpacz moja była ogromna – projekt musiałem robić na nowo, profesor zgodził się tylko przesunąć termin oddania o jeden miesiąc. Zrobiłem i zdążyłem, ale kosztowało to trochę nieprzespanych nocy...

Pracę dyplomową pod tytułem „Obliczenie dynamiki i wytrzymałości oraz główne rysunki 7-cylindrowego gwiazdowego silnika lotniczego” robiłem również u prof. Andrzeja Teisseyre’a.

Praktyki przemysłowe dwukrotnie odbyłem w WSK Wrocław: pierwszą w charakterze tokarza prowadnic popychaczy do silnika M-11D, a drugą na



Wieczorna nauka w akademiku.  
Dyskutuję nad czymś  
z Edwardem Słomczyńskim

montażu i hamowni silników M-11D. Natomiast trzymiesięczną praktykę dyplomową odbyłem jesienią 1952 roku w WSK Kalisz, w biurze technologicznym. Obronę projektu i egzamin dyplomowy zaliczyłem 24 stycznia 1953 roku.

Jak już wspominałem wcześniej, na pierwszym roku Wydziału Lotniczego było tylko trzydzieści kilka osób, pochodzących z różnych stron Polski, z różnych środowisk i w mocno zróżnicowanym wieku – od osiemnastu do chyba czterdziestu kilku lat. Niektórzy (tak jak ja) byli świeżo po

maturze, a niektórzy mieli już żony, dzieci i moc wojennych i zawodowych przeżyć. Wszystkich natomiast cechowała wzajemna nieufność. Bardzo powoli i z dużymi oporami zawiązywały się stosunki koleżeńskie lub przyjacielskie. Polska wchodziła w okres nasilającej się stalinizacji i dawało się to odczuć również na wyższych uczelniach. Rosło znaczenie i dyktat organizacji partyjnej i młodzieżowej. Wprowadzano „szkolną dyscyplinę” studiów – od sprawdzania obecności poczynając. Studenci brani byli „pod lupę”, zwłaszcza na takim wydziale jak lotniczy. Wszystko to nie sprzyjało nawiązywaniu bliższych znajomości – wyłączając rzecz jasna sprawdzonych już najbliższych przyjaciół. Nigdy nie było wiadomo, co kto naprawdę myśli – bo wszyscy na ogół mówili to, co należało mówić i to, co podawał „notatnik agitatora” ZMP czy PZPR, mimo że większość była bezpartyjna.

Ten brak ufności i wzajemnych kontaktów oczywiście z czasem złagodniał, ale poczucie wzajemnej więzi tak naprawdę nie zostało zbudowane do końca studiów, na zakończenie nie było więc u nas wspólnego „oblewania” ani *tableaux* ze zdjęciami. Każdy lepiej lub gorzej zaliczył egzamin, wzięął dyplom, nakaz pracy i „zniknął z horyzontu” kolegów.

Skład socjalny studentów był również bardzo zróżnicowany. Kilkanaście osób miało pochodzenie inteligenckie, ale większość z nich stanowiło „przyszłą inteligencję w pierwszym pokoleniu”. Niestety, w dużej mierze okazywało się później, że byli co prawda dobrze wykształceni zawodowo, ale książka w ich domu była albo o tematyce ściśle zawodowej, albo służyła za ozdobę regału... Politycznie zaangażowanych było naprawdę tylko kilkanaście osób. Większość chodziła na zebrania ZMP, bo trzeba było chodzić (tak samo na pochody pierwszomajowe czy czyny społeczne), ale bez angażowania się w politykę ani w dyskusje na te tematy.

Wydział Lotniczy był traktowany specjalnie w szerokim znaczeniu tego słowa. Każdy student tego wydziału mógł np. dostać miejsce w akademiku (jeżeli tylko chciał, a nie wszyscy chcieli), mieliśmy również najwyższe stypendia na uczelni. Zarazem jednak cały czas byliśmy pod obserwacją ze strony władz uczelni oraz działających na jej terenie organizacji politycznych. Odnosiło się to do wydziału jako całości, ale również do poszczególnych studentów. Sytuacja ta uwidoczniła się na drugim roku studiów, w 1951 roku, kiedy zaczęły się „czystki”. Szereg osób zostało przeniesionych z Wydziału Lotniczego na Mechaniczny i odwrotnie – spora grupa trafiła z Wydziału Mechanicznego na Lotniczy, przyjmując „propozycję nie do odrzucenia”. Ci przeniesieni na Wydział Lotniczy byli w większości aktywnymi członkami partii.

W tym czasie zmieniony też został dziekan Wydziału – odszedł prof. Jerzy Teisseyre, a na jego miejsce został „sprowadzony” z Gdańska prof. Józef Wysocki, bardzo upolityczniony – nawet jak na owe czasy. Prof. Teisseyre został na wydziale tylko jako wykładowca przedmiotów ściśle lotniczych.



Władysław Janik  
– mój współlokator z akademika,  
późniejszy dyrektor naczelny  
WSK Rzeszów i WSK Świdnik



Kolega z roku – Julek Kieroński,  
1951 rok

Nie wiem skąd pojawiła się (na roku niższym od mojego) Nina Kupiec, rosyjska żydówka z Leningradu „ożeniona” w Polsce. W krótkim czasie okazało się, kto ma tu coś do powiedzenia. Nina była tyleż mało pojętna w przedmiotach politechnicznych, co szpetna i dobrze ustawiona politycznie. Jednak dawała sobie radę – zawsze znaleźli się chętni koledzy do pomocy przy zrobieniu projektu. Sam przypominam sobie pewne zdarzenie wskazujące na rolę tej pani na wydziale. Pewnego dnia zostałem wezwany do dziekana. Wszedłem. Prof. Wysocki siedział przy niskim stoliku kawowym, za jego biurkiem natomiast siedziała Nina. Przed nią leżała otwarta torebka. Prócz damskich fatałaszków wystawał z niej pistolet TT. Nie pamiętam już, jaką sprawę miał do mnie prof. Wysocki, ale wtedy zdałem sobie wyraźnie sprawę, że moja odpowiedź jest ważna nie tylko dla dziekana, ale również dla UB (a może KGB?).



Kolega z Politechniki i z latania  
– Lolek Amigo-Osmęcki  
ze swoją dziewczyną



Olek Cegliński – najstarszy ze studentów  
naszego rocznika. Zmarł też najwcześniej  
– już jako pracownik WSK Wrocław

Nie wiem jak w tym okresie ocalałem ja – syn policjanta sprzed 1939 roku. Prawdopodobnie szperano tylko w dokumentach składanych na uczelni, a moje były przysłane z Poznania, gdzie figurowałem jako syn małorolnego chłopca. Na zebrania ZMP chodziłem, uczyłem się dobrze – nie szukano więc dalej. Tym razem mi się upiekło. Na tym jednak historia mojego „złego pochodzenia” się nie skończyła. Jesienią 1951 roku, po drugim roku studiów i po powrocie z ćwiczeń w Zamościu, byłem na wakacjach u ciotki Janki w Gubitach na Mazurach, nad rybnym jeziorem. Niespodziewanie dostałem telegram z domu, że pilnie mam się stawić w dziekanacie. Tu bez żadnych wyjaśnień – skierowano mnie do sali 328, do której wejść było łatwo, gorzej z wyjściem, gdyż stał przed nią uzbrojony żołnierz. W sali oczekiwał dziekan z jakimś pułkownikiem. Rozdano ankiety – bo było nas więcej – i dużo papierów do wypełnienia. Potem wszystko zabrano i kazano czekać na odpowiednie decyzje, dając każdemu na „osłodę” po kawałku kielbasy z bułką. Po paru godzinach oczekiwania kilka osób odprawiono do domu, pozostali – a wśród nich ja – zostali poinformowani, że z dniem dzisiejszym powołano ich do wojska. Wręczono nam karty wcielenia i kazano wieczorem zgłosić się na odpowiednim peronie dworca kolejowego. Uprzedzono: „Niestawiennictwo będzie ścigane przez WSW jako dezercja”.

Tym nieskomplikowanym sposobem trafiłem do tworzonej właśnie Wojskowej Akademii Technicznej na trzeci rok Fakultetu Lotniczego jako elew i oficer bez stopnia.

Obecnie byłbym pewnie co najmniej pułkownikiem, jak wszyscy moi ówczesni koledzy, gdyby nie Informacja Wojskowa. Otrzymałem z domu wiadomość, że jej funkcjonariusze kręcą się koło rodziców, wypytuja sąsiadów itp.

Stało się dla mnie jasne, że lada dzień zostanie złożone do WAT formalne doniesienie, że rzekomy „chłopski syn” to syn policjanta.

Sytuacja była dość dziwna – w Nowym Tomyślu, gdzie rodzice wówczas mieszkali, a tata pracował w Gminnej Spółdzielni, wszyscy wiedzieli, co robił przed wojną, nie dało się tego zresztą ukryć, bo za dużo było w okolicy byłych mieszkańców Królewszczyzny. Natomiast w Politechni-



Jako służbowy w WAT – 1951 rok



Elew Zbigniew Girulski  
jako oficer bez stopnia – na trzecim roku  
Fakultetu Lotniczego WAT.  
Boernerowo, listopad 1951 roku

ce we Wrocławiu, gdzie moimi dokumentami osobowymi były dokumenty przesłane z Poznania z „wersją chłopską”, tylko ta wersja była znana, a ja ją cały czas starannie podtrzymywałem. Zdałem sobie jednak sprawę, że okoliczności się zmieniły i sprawa zaczyna „brzydko pachnieć”! Byłem obecnie w wojsku, w wyższej uczelni wojskowej i to byłem na fałszywych papierach. Za znacznie mniejsze przewinienia można było wtedy zdrowo posiedzieć. Odpowiedź na pytanie „po co ja się wkręcałem do WAT-u” byłaby jednoznaczna – szpiegostwo. Nikt nie dochodziłby – czy ja się „wkręcałem” czy zostałem wcielony bez pytania o zgodę!

Po rozważeniu sytuacji i możliwych jej skutków, postanowiłem uprzedzić Informację i zrobić „donos na siebie”. Zameldowałem się więc do raportu w sprawach osobistych do zastępcy komendanta WAT do spraw polityczno-wychowawczych (jeżeli dobrze pa-

miętam, był to major Rosen). Do raportu przedstawił mnie opiekun roku – major F. Był bardzo blady, bo jemu też dopiero wtedy powiedziałem prawdę o moim pochodzeniu.

Po przedstawieniu sprawy majora najpierw zatkało – myślałem, że będę świadkiem ataku apopleksji. Kiedy trochę doszedł do siebie, postawił mnie na baczność i zrugął według najlepszych wzorów kaprałskich – zostałem „srowadzony do parteru i wdeptany w ziemię”. Słownictwa nie będę tu powtarzał. Na koniec kazano mi się rozliczyć i wynosić z Akademii, tak „aby w przeciągu 24 godzin nawet waszego smrodu tu nie było!!!” Wezwany wartownik zabrał mi pas i odprowadził w miejsce zakwaterowania.

Decyzję – czy zostanę odesłany na Politechnikę, czy skierują mnie do normalnej czynnej służby w jednostce na trzy lata, czy też może do kopalni (a i to było możliwe) odłożono na później. Byłem już przecież wcielony do wojska.

Prócz strachu o własną skórę, bałem się również o majora F. Był to bardzo dobry i sympatyczny oficer, a groziły mu poważne konsekwencje (choć był tuż przed emeryturą) za taki „brak czujności”.

Nie wiem, co ostatecznie wpłynęło na to, że dostałem pismo odsyłające mnie na Politechnikę i to bez żadnego komentarza. Zawdzięczam to chyba osobistemu przyznaniu się do tej „winy”. Po trzech miesiącach na WAT wróciłem na Politechnikę, gdzie również nie obeszło się bez „sabatu czarownic” nad moim nieprawomyślnym pochodzeniem.

O przyjęciu mnie z powrotem na Wydział Lotniczy formalnie decydował dziekan, ale w praktyce egzekutywa Podstawowej Organizacji Partyjnej Politechniki (dla wyjaśnienia – członkiem partii nie byłem). Odbyło się kilka długich posiedzeń egzekutywy i ostatecznie zdecydowano o pozostawieniu mnie na Wydziale Lotniczym, uwzględniając dobre wyniki w nauce, nie naganne pod względem politycznym zachowanie i stwierdzając, że „nie powinienem cierpieć za winy ojca”. Jakiś czas potem dowiedziałem się, kto był na egzekutywie moim obrońcą i wywalczył pozytywną dla mnie decyzję – Stasiak O., którego bym o tę obronę nigdy nie posądzał. Byłem mu serdecznie wdzięczny, bo wówczas ważyła się cała moja przyszłość.

Na posiedzenie egzekutywy decydujące o moim losie jechałem z akademika na Biskupinie z kolegą B. z mojego roku. Rozmawialiśmy o tym i owym, on mnie pocieszał, potem zaś dowiedziałem się, że właśnie kolega B. był głównym zwolennikiem usunięcia mnie z Politechniki i odesłania do wojska, został jednak przegłosowany (w posiedzeniu, rzecz oczywista, udziału nie brałem – czekałem w sekretariacie).

Tak odebrałem życiową lekcję obłudy, tak też zachwiana została moja naiwna wiara w lojalność i uczciwość postępowania, przynajmniej między kolegami. Była to jedna z pierwszych lekcji, ale nie ostatnia.



Tak więc w sposób niezależny ode mnie najpierw trafiłem do wojska, a następnie z niego wyszedłem – bez większych strat życiowych.

Tego wyjścia zawsze trochę żałowałem, gdyż w zasadzie wojsko mi odpowiadało, zwłaszcza w lotnictwie. Odpowiadały mi dyscyplina i mundur, jednoznaczność rozkazów i odpowiedzialność. Odstraszała mnie zaś władza polityków – tak jak obecnie kleru – i możliwość trafienia na głupiego przełożonego, ale to już kwestia szczęścia...

## Studium wojskowe

Wyszkolenie wojskowe mające umożliwić zaliczenie obowiązkowej służby wojskowej w czasie pobytu na uczelni zostało wprowadzone na Politechnice chyba po raz pierwszy od 1950 roku (tzn. dla mnie od drugiego semestru pierwszego roku studiów).

Przedmiot ten, pod nazwą studium wojskowe, zabierał tygodniowo cztery godziny z ogólnych czterdziestu ośmiu godzin wykładów i ćwiczeń. Tyle samo, tj. cztery godziny, zajmował wykład i ćwiczenia z wytrzymałości materiałów. Kierownikiem Studium Wojskowego był na początku kapitan Piotr Bortkiewicz. Oprócz niego było tam jeszcze kilku oficerów. Podstawowe tematy, przynajmniej na początku, to były regulaminy, nauka o broni i musztra. Zajęcia teoretyczne odbywały się w salach na Politechnice, ćwiczenia musztry zaś – nad brzegiem Odry, w pobliżu. W związku z tym, że Politechnika miała mieć specjalizację wojskową inżyniersko-saperską, rozpoczęły się jeszcze wykłady dotyczące materiałów wybuchowych, typów min, zasad rozminowywania itp.

Wydział Lotniczy wywalczył sobie zamiast saperskiego szkolenie techniczno-lotnicze.

Stosunki między studentami a kadrą wykładowców początkowo nie układały się zbyt dobrze. Wykładowcy nie bardzo wiedzieli, jak się do nas zwracać i próbowali egzekwować sztywny wojskowy dryl, łącznie z meldowaniem się, odpowiedziami regulaminowymi itd. Studencka cywilbanda, co nietrudno przewidzieć, nie traktowała tych poruczników jako profesorów, lecz jakby trochę z przy-



Zajęcia ze studium wojskowego na nadbrzeżu Odry. Od lewej stoją: Tadeusz Kuc, Zbigniew Girulski, Stanisław Orzeł, Zbigniew Nadratowski i Zdzisław Sobolewski



Zajęcia ze studium wojskowego na nadbrzeżu Odry przed Politechniką

mrużeniem oka. Z czasem wzajemne stosunki jakoś się ułożyły, zwłaszcza kiedy dotarło do nas, że niezaliczenie egzaminu ze studium wojskowego powoduje niezaliczenie roku. A były takie przypadki! Wtedy to przestawało już być zabawne.

Na naszym roku było kilku studentów, którzy już odsłużyli normalną służbę wojskową. Jeden był w stopniu porucznika, a drugi w stopniu kaprała. Naturalnie byli zwolnieni z zajęć ogólnowojskowych, ale specjalistyczne przedmioty obowiązywały ich podobnie jak nas.

Częścią składową studium wojskowego były letnie ćwiczenia w jednostkach wojskowych. Ponieważ ostatecznie wywalczyliśmy sobie przeszkolenie lotnicze,



Każdy musiał mieć zrobioną „do akt” fotografię w mundurze

na zajęcia te skierowano nas do Technicznej Oficerskiej Szkoły Wojsk Lotniczych (TOSWL), która w tamtych latach mieściła się w Zamościu.

W pierwszych dniach lipca 1950 roku załadowaliśmy się więc do wagonu towarowego z umocowanymi pryczami i dużym zapasem słomy. Wagon został doczepiony do dużego towarowego składu jadącego na wschód. O jedzenie każdy musiał zadbać we własnym zakresie. Podróż trwała około dwudziestu czterech godzin. Z dworca w Zamościu zaprowadzono nas do koszar za miastem.

Zakwaterowani zostaliśmy w jednej dużej sali z piętrowymi łózkami, wspólnie ze studentami pierwszego roku Wydziału Lotniczego Politechniki Warszawskiej. Traktowani byliśmy jak rekruci. Zaczynając od gimnastyki poran-



Postój transportu  
w drodze do Zamościa

nej na placu apelowym, a kończąc na capstrzyku i gaszeniu świec. Poruszanie się po terenie koszar możliwe było tylko w szyku zwartym – czwórkami. Wyżywienie w stołówce trudno nazwać wytwornym, ale głodni nie chodziliśmy. W pamięci zostało mi jedno z częstych dań obiadowych: a mianowicie nie bardzo wymoczone śledzie (chyba były to tzw. „moskali-ki”) z kaszą. Kasza była na talerzach (aluminiowych), a śledzie w jednej dużej misce na środku stołu – taka samoobsługa. Trzeba się było spieszyć, bo jeżeli starszy sierżant Wasyl



Do Zamościa na ćwiczenia jechaliśmy  
w wagonie towarowym,  
bardzo wygodnie – na słomie



A tu jesteśmy już w koszarach – łóżka,  
jak widać, są piętrowe



Chwila zadumy – jak to będzie  
na tych ćwiczeniach?  
Myślą: porucznik Jurek Wojciechowski,  
kapral Ryszard Wiatrek  
(obaj już po odbytej służbie wojskowej)  
i rekrut – szeregowy Zbyszek Girulski

(student z Warszawy, ale już po wojsku) skończył jedzenie, padał rozkaz: „Powstań! Czapki włóż, kolejno stołami wychodzić!” i można było najwyżej wepchnąć śledzie do kieszeni.

Nigdy również nie zapomnę zupy pomidorowej – nawet smacznej – serwowanej przez pięć dni w tygodniu. Można było ją zniechęcić, co pozostało mi do dzisiaj.

Prócz dowódcy Kompanii studenckiej (bo taką mieliśmy oficjalną nazwę) wyznaczonego przez komendę TOSWL, mieliśmy też własną władzę w osobie porucznika Eugeniusza Franciszczaka z Wydziału Lotniczego z Warszawy. Genek odsłużył wojsko przed studiami – i to chyba w piechocie, bo bardzo lubił wykazywać nam – „cywilom zakichanym” – różnicę w postawie wojskowej i umiejętności musztry, którą z zamiłowaniem prowadził.

A musztry, zwłaszcza na początku, było dużo, bo szykowaliśmy się do przysięgi. Złożyliśmy ją 22 lipca 1950 roku, zgodnie z ówczesną rotą – bez wspomniania ZSRR. Potem, w czasie uroczystego obiadu, każdy dostał 100 g wódki w aluminiowym półlitrowym kubku. Ponieważ nie wszyscy chcieli pić ciepłą wódkę w upalny dzień, a szkoda przecież było ją marnować, niektórzy uzbierali po pełnym kubku i kompania wracała do miejsca zakwaterowania jeszcze wprawdzie w czwórkach, ale trzymając się pod rękę, bo jakoś „bardzo rzucało”.

Już po przysiędze dawano nam przepustki, wbrew pozorom jednak nie znalazło się wielu chętnych. Po prostu na takiej przepustce nie było co robić. Miasto było małe i zapchane wojskiem, a zwłaszcza oficerami. Obowiązywała jeszcze wtedy zasada, że jeżeli w kawiarni przebywał oficer, to zwykły żołnierz mógł do niej wejść za jego aprobatą. Średnia przyjemność – prosić o taką zgodę i spotkać się z odmową, a i tak przecież bywało. Nie było też mowy o poderwaniu dziewczyny, każda „możliwa” miała po kilku kręcących się wokół niej oficerów. Natomiast pójście na wódkę zwykle kończyło się w pacy, bo patrole krążyły gęsto i tylko szukały takich bardziej „chwiejnych”.

Prócz musztry, nauki regulaminów i służby wartowniczej, mieliśmy dużo zajęć na sprzęcie lotniczym. Uczono nas budowy i obsługi samolotu Pe-2, dwusilnikowego bombowca nurkującego wsparcia taktycznego. Najpierw były wykłady, a potem zajęcia na sprzęcie. W hangarze stało kilka egzemplarzy tego samolotu, a my wykonywaliśmy na nich codziennie prace obsługowe, co jakiś czas wymontowując z nich dodatkowe zespoły i rozbierając je na części. Potem zaś składaliśmy je ponownie i regulowaliśmy. Jako ciekawostkę zapamiętałem do dzisiaj automat wyprowadzający samolot z nurkowania. Po zrzuconiu bomb w locie nurkowym przy kącie nurkowania około 75°, pilot tylko naciskał przycisk na wolancie, a wyprowadzenie z tej piki następowało samoczynnie. Zresztą pilot w tym czasie i tak miał zaburzenia wzroku i czucia z powodu przeciążenia.



Na przepustce w parku w Zamościu. Od prawej siedzą: Tadeusz Kuc, Zbigniew Girulski, Ryszard Wiatrek, Zbigniew Słonowski. Dalej – warszawiacy



Zwiedzamy forty w Zamościu. Grupa mieszana wrocławsko-warszawska. W środku szarże – porucznik Wojciechowski z Wrocławia i starszy sierżant Wasyl z Warszawy



Omawianie założeń ćwiczeń „natarcie połączone z forsowaniem wpraw rzeki”.  
Ta rzeka to Łabuńka – zbiera ścieki z całego Zamościa

Następnym samolotem, w obsłudze którego przeszkolono nas w TOSWL (z tym że już w roku następnym, tj. 1951) był Jak-9P (myśliwiec końcowych dni wojny) i Il-10 (ostatnia wersja szturmowego samolotu Il-2). Metoda szkolenia była identyczna.

Praktyka w Zamościu była bardzo dobra: pozwalała nam skonfrontować teorię z zajęć na Politechnice z realnym, rzeczywistym samolotem i wymogami stawianymi eksploatacji.



Wymarsz na ćwiczenia  
w pełnym oporządzeniu



Szperacze ubezpieczają przemarsz  
kolumny marszowej. Szperacze to dwa  
Zbigniewy: Słonowski i Girulski



Przerwa w czasie ćwiczeń.  
Adolf Siemaszkiewicz  
gasi pragnienie

Urozmaiceniem po zajęciach w hangarze lub na betonce były zajęcia w terenie. Mógł to być marsz na czas z pełnym wyposażeniem i obciążeniem w szyku ubezpieczonym ze szperaczami ubezpieczającymi boki i przód kolumny marszowej. Zwykle maszerowaliśmy drogą na wioskę Sitaniec. Parę razy mieliśmy taki marsz z alarmu nocnego; całe szczęście, że noce były pogodne i suche. Dzielne marsze urozmaicano co jakiś czas okrzykiem „Lotnik! Kryj się!!!” – kiedy to należało natychmiast rozproszyć się i paść płackiem na ziemię za rowem – obojętnie – czy było to rżysko, czy zaorana ziemia. Jeżeli nie rozpraszaliśmy się dostatecznie szybko, wówczas kolumna po sformowaniu musiała śpiewać. Słabo wypadał ten śpiew, gdy człowiek ledwo dyszał z upału i zmęczenia. Wtedy znowu padała komenda „Lotnik!...” itd. Takie marsze bardzo lubił Genek Franciszczak! Nawiasem mówiąc, spotkałem się z nim ponownie w WSK Wrocław:

ja byłem konstruktorem, a on dyspozytorem i wspólnie wspominaliśmy miło czasy z Zamościa.

Z ćwiczeń polowych zostały mi jeszcze dwa wspomnienia. Jedno – to było natarcie połączone z forsowaniem wpływ przeszkody wodnej. Tą przeszkodą była rzeczka płynąca przez Zamość – Łabuńka. Rzecz polegała tylko na tym, że Zamość nie miał oczyszczalni ścieków i zrzucał je w całości do Łabuńki.

Dostaliśmy ślepą amunicję i strasznie strzelając, dotarliśmy skokami do rzeki. Wody było średnio po szyję (jak dla mnie). Obok mnie siedł „Synek”, jak nazywaliśmy najniższego, co nie znaczy najmłodszego z kompanii. W pewnej chwili stwierdziliśmy, że z wody wystaje tylko ręka trzymająca broń (oto dobry żołnierz!), natomiast nie widać Synka. Z pomocą najbliższych sąsiadów, całego i zdrowego, doholowaliśmy go do brzegu. Gdy złapał oddech, stwierdził jedynie, że „woda Łabuńki nie przypomina krynicy”.



Przerwa na papierosa.  
Stanisław Orzeł (z lewej)  
i Janusz Brych



Po zakończeniu zadania nieraz trzeba było wykręcać z potu koszulę

obu stronach stały duże kopy zboża w snopkach. Nasi szperacze zaczęli bez pardonu przeszukiwać bagnetami kopki, skąd z krzykiem zaczęli uciekać „zasadzkowicze”. Dla dopełnienia rozgardiaszu porucznik otworzył tajemnicze skrzynie i wyjąwszy z nich granaty zaczepne (chyba RG-42), zaczął je rzucać wzdłuż drogi, pozorując ostrzał artyleryjski. I wtedy z wierzb jak ulegalki posypała się druga grupa „zasadzkowiczów”. Po całej tej wojnie był tylko jeden „ranny” – mikroodłamek blaszki z granatu przebił mu policzek i krwi było dużo. Najbardziej przestraszony był porucznik – było to ewidentne jego niedopatrzenie. No ale wszystko skończyło się szczęśliwie.

Na ćwiczeniach w ramach studium wojskowego byliśmy w sumie dwa razy: w 1950 i w 1951 roku. Oba pobyty niewiele się od siebie różniły, tyle że za drugim razem byliśmy bardziej oblatani.

Zajęcia ze studium wojskowego mieliśmy do końca szóstego semestru i po zdaniu egzaminów otrzymaliśmy wpis do indeksu o ukończeniu szkolenia wojskowego. Podobno przysługiwał nam stopień chorążego, ale nie było to nigdzie uwidocznione. Pierwszy stopień oficerski podporucznika otrzymałem w 1958 roku, po przeniesieniu do rezerwy (1955) i odbyciu ćwiczeń jako rezerwista (1957) w KPOR przy TOSWL (już w Oleśnicy).

Drugie wspomnienie wiąże się z ćwiczeniami pn. „marsz spotkaniowy zakończony potyczką z nieprzyjacielem”. Na planowaną trasę z wyprzedzeniem została wysłana grupa pozorująca, z zadaniem urządzenia zasadzki. Główna kolumna wyruszyła tą samą trasą znacznie później, ubezpieczając się szperaczami i szpicą. Porucznik z TOSWL, prowadzący ćwiczenia (bardzo miły młody człowiek), kazał nieść za sobą dwie zamknięte tajemnicze skrzynki. Po pewnym czasie doszliśmy do drogi wysadzanej starymi wierzbami, po której



Do cywila – na dworzec kolejowy odprowadzano nas uroczyście, z orkiestrą



## Życie studenckie

W owych czasach bycie studentem dawało powód do dumy, zatem każdy chciał tę przynależność jakoś zaakcentować – najprościej noszeniem czapki studenckiej. Musiała być ona dostatecznie zniszczona, a daszek przełamany. Inne części stroju były mniej ważne, aczkolwiek modne było również noszenie „oficerek”, tj. butów z długimi cholewami. Była to pozostałość okupacyjnej mody miejskich bojówek AK. Nieliczni tylko ubierali w miarę eleganckie cywilne ciuchy, kapelusz itd.

Również nieliczni bywali w restauracjach czy kawiarniach. Raz, nie było na to pieniędzy, a dwa: było to bardzo źle widziane przez polityczne władze uczelni i łatwo można było stracić zarówno stypendium, jak i miejsce w akademiku. W kawiarniach zacząłem bywać dopiero po zakończeniu studiów, już jako pracownik WSK.

Zawsze chyba istniał zasadniczy problem studenta – mieszkanie. Wśród studentów Wydziału Lotniczego tego problemu nie było. Każdy kto chciał dostawał miejsce w domu akademickim. Niektórzy jednak nie chcieli mieszkać w takim „kołchozie”, wynajmowali więc prywatne kwatery.

W tym czasie nie było rzecz jasna specjalnie wybudowanych domów studenckich – na akademiki przeznaczano normalne kamienice. Były takie przy ul. Skłodowskiej-Curie, Norwida i w szeregu innych miejsc. Największe skupisko znajdowało się jednak na Biskupinie. Wyznaczono tam dwie ulice zabudowane jednopiętrowymi szeregowcami – Kotsisa i Stanisławskiego, przeznaczając je całkowicie na akademiki.

Mieszkałem tu i tu: w latach 1949–1951 na Stanisławskiego 22/2, a potem dwa lata na Kotsisa 3/4. Normalne dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką zajmowało zwykle 5–6 studentów. Kwatery wyposażone były w kuchenki gazowe, a administracja domów studenckich dostarczała do piwnicy węgiel dla ogrzewania mieszkań – nosić węgiel i palić w piecach trzeba już było samemu. Umeblowanie stanowiła zbieranina przypadkowych sprzętów bez ładu i składu, ale było na czym spać i na czym usiąść.

Wyżywienie każdy lokator załatwiał we własnym zakresie. Do dobrego tonu należało jednak częstowanie współlokatorów w wypadku otrzymania „wałowy” z domu. Obiady zwykle jadało się w stołówce. Najbliższa znajdowała się przy ul. Wojciecha z Brudzewa nad Odrą, zawsze jednak zapchana „studenterią” z Wyższej Szkoły Rolniczej i Akademii Medycznej. My, mieszkańcy Biskupina, uczęszczaliśmy najczęściej do dużej już nieistniejącej stołówki na rogu ulic Wróblewskiego i Wittiga, w połowie drogi z uczelni do domu.

Przy ulicy Skłodowskiej-Curie, po drodze na most Zwierzyniecki, znajdowała się też mała restauracja – jadłodajnia „Pod jeleniem”, gdzie można było zjeść może mało wytworny obiad, ale za cenę zbliżoną do stołówkowej.



Nie samą nauką żyje człowiek –  
popisy „artystyczne” w akademiku  
przy ul. Stanisławskiego 22. Od prawej stoją:  
Zbigniew Girulski i Adam Różowicz.  
Siedzi – Leszek Kawalec. Na skrzypcach gra  
Edward Słomczyński



Wieczorek „trunkowy” w akademiku  
przy ul. Stanisławskiego 22.  
Od lewej siedzą: Zbigniew Girulski,  
Leszek Kawalec, Bogdan Bałaziński,  
Kazio Noga.  
Stoi – Edward Słomczyński



Prace społeczne Wydziału Lotniczego  
przy odgruzowywaniu nadbrzeża Odry  
naprzeciw Politechniki.  
Rok 1950



Wydział Lotniczy został skierowany  
do pomocy przy pracach w PGR (rok 1950 lub  
1951). Od prawej maszerują: Alfred Majewski,  
Zbigniew Girulski, Ryszard Wiatrek

Kiedy było bardzo krucho z pieniędzmi, gotowaliśmy wspólny posiłek. Mieliśmy duży garnek, chyba dziesięciolitrowy, do którego ładowało się wszystko, co możliwe z resztek zapasów domowych oraz jakieś zakupione ochłapy mięsne. Wieczorem lub nocą robiliśmy z latarką wypadki po wszelkie warzywa do ogródków działkowych położonych z tyłu, za domami akademickimi. Po ugotowaniu danie to miało konsystencję pośrednią między zupą a gulaszem. Korzystał z tego jedzenia każdy kto miał ochotę i... odwagę. Rano całość podgrzewał „dyżurny” i jadło się zwykle „w biegu”, z garnka.

Codziennym problemem był ranny dojazd na Politechnikę. Większość zajęć zaczynała się o godzinie 9.00, a ponieważ dyscyplina, tj. obecność na wykładach, była bardzo przestrzegana, na tramwaje zwała się o tej samej porze populacja dwu ulic. Wagony ruszały z trudnością – obwieszane wiszącymi z każdej strony gronami pasażerów (drzwi tramwajów nie były zamknięte). Najbardziej zdesperowani jechali „na darte go orła”, tj. wisząc na zewnątrz i trzymając się każdą ręką za inny uchwyt.

Rozrywki, jakim oddawali się mieszkańcy akademików, nie były wymyślne, bo i czasu wolnego poza nauką nie było zbyt wiele. Najbardziej popularny był brydż. Od tamtego czasu już go nie lubię. Całodobowe sesje karciane w zadymionym pokoju, w którym usiłowałem się uczyć i spać (mój współlokator był „zakamieniałym” brydżystą), znacznie ograniczyły mój entuzjazm dla tej gry.

Były i mniej wyrafinowane intelektualnie rozrywki. Najpierw – kto dłużej wytrzyma w wannie z zimną wodą. Inicjatorem takich zmagania był zwykle Adolf Siemaszkiewicz. Chętnych zbyt wielu zresztą nie było. Natomiast hasło „idziemy zdobywać majtki dziewczyn” budziło wiele entuzjazmu. Dla wyjaśnienia dodać trzeba, że domy akademickie nie były koedukacyjne, ale ostatnie budynki przy ulicy Stanisławskiego zamieszkiwały dziewczęta z Uniwersytetu i Akademii Medycznej. Zdobywanie tych części garderoby dotyczyło egzemplarzy suszących się po praniu, ale dawało okazję do odważnych ataków i piskliwej obrony połączonej z laniem wody z okien. Potem odbywały się rokowania pokojowe zakończone zwykle potańcówką.

Ja osobiście czas wolny poza nauką poświęcałem przede wszystkim lataniu na szybowcach. Nie pozostawiało mi to zbyt wiele czasu na rozrywki w akademikach.

Czas zabierały nam też różne „czyny społeczne”, w których udział był nieobowiązkowy, ale konieczny. Odgruzowywaliśmy więc nadbrzeże Odry koło Politechniki, a później ładowaliśmy na wagony cegły wybierane z gruzu za operą (dzisiejszy plac Wolności). Od dworca Świebodzkiego przez fosę doprowadzone były tory kolejowe na plac Wolności i tam podstawiano skład wagonów. Pracowaliśmy w swoich ubraniach, bez rękawic ochronnych i bardzo wkurzało nas, gdy dowiadywaliśmy się, że ktoś robi na tej cegle dobre interesy (podobno szła na odbudowę Warszawy).

Czasami jednak brać studencka reagowała zdecydowanie. Którejś jesieni, chyba w 1952 roku, przez kilka dni z rzędu o zmroku wyłączano światło w akademikach. Interwencje samorządu studenckiego na Politechnice nie pomagały i pewnego wieczoru tama puściła! Krótko po wyłączeniu światła uformował się pochód i z latarkami w rękach, bijąc w patelnie i garnki oraz wznosząc okrzyki – „my chcemy światła!” i inne mniej cenzuralne – ruszył na Politechnikę. Był coraz bardziej liczny, dołączali doń bowiem inni studenci



Zbiórka przed pochodem pierwszomajowym  
w 1951 roku



W pochodzie  
na placu Grunwaldzkim



Na moście Szczytnickim, w drodze  
do stołówki przy ul. Wojciecha z Brudzewa  
(1951 rok). Od lewej: Zbigniew Girulski,  
Władysław Janik, Bogdan Bałaziński,  
Waldemar Klarczyński, Czesław Buliński



Na ulicy Stanisławskiego,  
wiosną 1951 roku.  
Stoją: Czesiek Buliński,  
Krystyna Kozłowska z koleżanką i autor

i przechodnie. Kolumna doszła z Biskupina do mostu Zwierzynieckiego, gdzie zaalarmowane władze uczelni skłoniły manifestantów do rozejścia się spokojnie i bez awantur. Milicji nie wzywano. O ile wiem, odbyło się również bez jakichkolwiek oficjalnych represji.

Po zakończeniu trzeciego roku musieliśmy opuścić akademiki na Biskupinie. Rozpoczęcie roku akademickiego 1952–1953, tj. siódmego semestru, powitaliśmy w nowym miejscu – w akademiku przy ulicy Sienkiewicza, nad brzegiem Odry, przy wjeździe na most Szczytnicki. Budynek ten dzieliliśmy zresztą z... siostrami zakonnymi. Studenci zajmowali drugie piętro, na pierwszym była zakonna klauzura, a na trzecim siostry miały chyba kaplicę. Mieszkało się tam paskudnie, w dużych wieloosobowych pokojach. Do tego stale

mijaliśmy się na schodach z siostrami, co nie odpowiadało ani nam, ani – jak sądzę – im. Na szczęście trwało to krótko – w lutym zdawaliśmy już bowiem egzaminy dyplomowe i dostawaliśmy nakazy pracy.

Miałem obawy, czy dostanę nakaz pracy do przemysłu lotniczego, lecz stało się tak jak chciałem – WSK we Wrocławiu. A więc i przemysł lotniczy, i Wrocław.

Pracę rozpocząłem 28 lutego 1953 roku.

Wydział Lotniczy istniał w Politechnice Wrocławskiej tylko pięć lat, od 1949 do 1954 roku i wypuścił dwa roczniki absolwentów: rocznik mój – 1949 w 1953 roku i następny – w 1954. Studenci, którzy otrzymali skierowanie na dalszy kurs magisterski musieli przenieść się do Warszawy.

Ja również złożyłem podanie o skierowanie na kurs magisterski, mimo jednak bardzo dobrej lokaty na wydziale skierowania takiego nie dostałem. Znowu to moje „policyjne pochodzenie”.

Studia magisterskie odbyłem dopiero w latach 1964–1966 na Wydziale Mechanicznym, w trybie wieczorowym, pracując już w WSK. Pracę dyplomową robiłem z hydrauliki i była to: „Analiza rozrządu czołowego pomp wielotłoczkowych”. Egzamin dyplomowy i obronę pracy zaliczyłem z wynikiem bardzo dobrym 22 lutego 1968 roku, uzyskując tytuł magistra inżyniera mechanika.



Michał Jadczyk

## Politechnika Wrocławska – okruchy wspomnień

### Studia

Mój indeks, a właściwie – zgodnie z wydrukowanym tytułem – KSIĄŻECZKA LEGITYMACYJNA z nagłówkiem UNIwersytet i Politechnika we Wrocławiu, wystawiony został z datą 20 października 1949 roku. Podpis dziekana – „Skowroński” daje się odczytać bez trudu, jednak podpis rektora jest niestety nieczytelny. Przed słowami „Dziekan” i „Rektor” niezrozumiałe dla mnie skróty „t. cz.”. Okrągła pieczęć z orłem i napisem: UNIwersytet i Politechnika we Wrocławiu.



Mam nadzieję, że ten krótki wstęp uzmysłowi czytelnikom, iż moje wspomnienia dotyczą nieomal poprzedniej epoki, czasów, w których studentów było kilkadziesiąt razy mniej, a postawienie samochodu przed uczelnią nie stanowiło żadnego problemu. Życie toczyło się głównie w budynku przy Wybrzeżu Wyspiańskiego, korytarze sprawiały wrażenie przepastnych, na nich też, przy ścianach, znajdowały się szeregiem zabudowane szafki, w których chowaliśmy deski kreślarskie.

Zbiorowisko studenckie było nieprawdopodobnie zróżnicowane. Najstarszy urodził się w 1918 roku, najmłodszy w 1930. Pamięć o przeszłości musiała być tak silna, a nieufność do aktualnych rozwiązań na tyle obecna, że nikt nie opowiadał o swoich przeżyciach z nieodległych czasów wojny. Dzisiaj swoista obojętność na niektóre objawy codziennego życia studenckiego jest dla mnie niezrozumiała. Nie wyobrażam sobie, jak można by było zapomnieć o występach kolegi, Michała Bebczuka, który przychodził nieco wcześniej przed wykładami matematyki i na dużych przesuwanych tablicach pisał wiersze w języku hebrajskim. Nie wiem, czy było jeszcze kilku studentów,

którzy potrafili pismo to odczytać i zrozumieć. Michał pisał, reszta patrzyła – albo nie, nikt temu się ani nie dziwił, ani nie protestował. Dopiero mniej więcej po pięćdziesięciu latach na zjeździe koleżeńskim, zgadałem się z nim, że urodził się niedaleko od mojego domu rodzinnego, że mieszkał w mieście dość dobrze zapamiętanym przeze mnie z dzieciństwa (mieszkała tam moja ciotka z rodziną) i że jak go Sowietci aresztowali, to przewozili koło naszego domu rodzinnego\*.

Na tak zwanych „prądach słabych”, o ile dobrze pamiętam, tylko profesor Tadeusz Tomankiewicz był posiadaczem syreny. Działo się to w czasach, gdy ocen niedostatecznych nie wpisywano do indeksu. Do indeksu wpisywano wyłącznie oceny pozytywne. Jeżeli ktoś czegoś nie zaliczył lub nie zdał – to przychodził ponownie, aż do skutku.

Z tej ogólnej reguły wyłamywał się profesor Kazimierz Idaszewski. W moim przypadku było to tak:

Po trzecim semestrze mieliśmy egzamin z miernictwa elektrycznego. Wykłady były i ciekawe, i zrozumiałe, materiał łatwy do opanowania, przed egzaminem więc przerzuciłem tylko notatki i do profesora. W moim przekonaniu odpowiadałem nienajgorzej i już wyobrażałem sobie, że mam przedmiot „z głowy”, a tymczasem – ku pełnemu zaskoczeniu (pamiętam to więcej niż pół wieku) usłyszałem: „Pan to jest zdolny, może pan nauczyć się lepiej niż na trzy z plusem, więc niech pan idzie do domu, naucz się lepiej i przyjdzie za tydzień”. Przyszedłem za tydzień. Szło lepiej, ale na koniec usłyszałem „No, teraz to już jest na cztery z minusem, pan jest zdolny – i tak dalej, jak poprzednio. Niech pan przyjdzie za tydzień” (przed pożegnaniem profesor odnotowywał coś w zeszycie). Po kolejnych siedmiu dniach – to samo, ale z zaznaczeniem, że umiem już na pełne cztery. I problemu by nie było, gdyby nie zarządzenie, że egzamin wolno zdawać tylko trzy razy, a na kolejną próbę wymagana jest już zgoda dziekana. Z dzisiejszej perspektywy sytuacja wygląda śmiesznie – przecież dziekanat nie wiedział, ile było tych podejść. Ale czasy były inne, autorytet i profesorów, i dziekana był, jak mi się zdaje, nieporównanie większy niż obecnie, większa też była samodyscyplina studentów. Do tego jeszcze ja zaliczałem się do grupy nieśmiałych. Zacząłem więc prosić profesora Idaszewskiego, żeby tę czwórkę wpisał mi już do indeksu, ale wcale nie zamierzał ustąpić. Usłyszałem: „pan szybko się uczy i może nauczyć się więcej”. Przyciśnięty do muru powiedziałem o zarządzeniu i o tym, że pójście w tej sprawie do dziekana jest dla mnie bardzo stresujące. I wtedy usłyszałem: „a kto wydał takie zarządzenie?”. Podałem nazwi-

---

\* Życiorysy studentów zostały opublikowane w wydawnictwie Politechniki Wrocławskiej *Absolwenci. Losy Absolwentów Politechniki Wrocławskiej, którzy rozpoczęli studia na Wydziale Elektrycznym w roku 1949.*



sko ówczesnego dziekana, a może prodziekana – już dziś dobrze nie pamiętam... A profesor Idaszewski: „Kto? Ten Genio wariat?” (to przezwisko studenci znali, ale używali go tylko w rozmowach między sobą). „Czekaj pan”. W wymowie profesora Idaszewskiego to „czekaj” brzmiało prawie jak „czykaj”. Profesor poderwał się z miejsca, podszedł do szafy, wyciągnął wymięty zeszyt, przekartkował go i zawyrokował: „Niech pan idzie do dziekana i powie jemu, że on u mnie we Lwowie to zdawał – i tu zaczął liczyć – raz, dwa, trzy... szesnaście razy zdawał. Niech pan idzie i powie”. Idę. W głowie mi się kłębi. Przecież tego nie powtórzę. Dostaję się przed oblicze dziekana i wybąkuję prośbę o pozwolenie na zdawanie czwarty raz. „A u kogo?” – pyta dziekan. Odpowiadam: „u profesora Idaszewskiego”. A ten, machnąwszy ręką: „a, u profesora Idaszewskiego to może pan zdawać, ile razy pan chce”... Po czwartym podejściu usłyszałem podsumowanie: „no, to pan się nauczył”. W indeksie figuruje wpis „dobry + (plus)” i obok podpisu, „25/5,5”. Co te cyfry znaczą, nie wiem do dzisiaj. Ale były jakimś szyfrem, bo po czwartym semestrze nota z laboratorium miernictwa elektrycznego została wpisana dokładnie tak samo.

Jestem przekonany, że szczególnie studia techniczne radykalnie różniły się od klimatu, jaki panuje obecnie. Istotne było dla mnie zawodowe przygotowanie wykładowców. Dysponowali oni nie tylko doskonałą wiedzą teoretyczną, ale również i umiejętnościami praktycznymi. Technologię metali wykładał profesor Egon Dworzak. Przedwojenny ekspert polskich koncernów stalowych, który nie tylko wbijał nam do głowy klasyczny dla mechaników układ żelazo/węgiel, ale urozmaicał wykłady przykładami z praktyki. Między innymi takim, jak to Niemcy w swoich koloniach chcieli wprowadzić zamiast pieniędzy w srebrze monety aluminiowe, które w tamtych warunkach – pod wpływem zmiennych temperatur – tak się utwardzały, że pękały przy rzucaniu na stół, co kładło zamysł oszukiwnia miejscowych. Opowieść o starzeniu stali była tak frapująca, że została w głowie na zawsze.

Polskie huty czy koncern stalowy wygrały konkurs na dostawę szyn kolejowych do Afryki. Po zrealizowaniu kontraktu, konkurenci pobrali próbki, zbadali je i stwierdzili, że twardość szyn przekracza ustalone warunki, rozpętując nagonkę na dostawców. Profesor Dworzak opowiadał, jak to pojechał do Afryki w charakterze eksperta, jak został tam zaskoczony różnicami temperatur dnia i nocy, i jak opracował plan obrony. Najpierw przez długi czas nie zgadzano się na wybór ekspertów, którzy mieli zbadać szyny. (Profesor mówił tak: „a słońeczko w dzień grzało, a nocą stal była ziębiona”). Po odpowiednio długim czasie wyrażono zgodę na ekspertów ze Szwajcarii, którzy szyny zbadali i stwierdzili, że ich parametry są zgodne z wymaganiami. A na zakończenie usłyszeliśmy jeszcze szokujące w tamtych czasach wyznanie profesora: „a ja dostałem za ekspertyzę takie honorarium, że wybudowałem w Bielsku dom, w którym mieszkam do dzisiaj”...

Profesor Dworzak nie był jedynym wykładowcą z imponującą praktyką inżynierską. Takimi byli również inni: profesor Wilhelm Rotkiewicz, pierwszy w moim życiu szef – profesor Tadeusz Tomankiewicz, docent Wiesław Barwicz i jeszcze wielu innych. I drobna uwaga, niezwiązana z podstawowym tematem, a odnosząca się do problemów aktualnych. Jeżeli czytam utyskiwania współczesnej kadry wykładowców uczelni technicznych na brak kontaktów z przemysłem, to zastanawiam się, czy narzekający wiedzą tak naprawdę, co to jest zakład produkcyjny i jakie problemy są w nim pierwszoplanowe?

Stosunkowo duży udział przedmiotów charakterystycznych dla wydziałów mechanicznych był pozostałością historycznego rozwoju, to jest poprzedniej formy organizacyjnej, czyli wydziału mechaniczno-elektrycznego. W moim przypadku był to swoisty szczęśliwy los – w późniejszej pracy zawodowej, bądź to w przemyśle elektronicznym, bądź też w zapleczu badawczym tegoż przemysłu, problemy dotyczące mechaniki były chlebem powszednim. Wspominam o tym niejako na marginesie niekoniecznie etycznego, ale nas wtedy bawiącego „procederu”.

Otóż kilka wykładów było wspólnych dla dwóch wydziałów: elektrycznego i mechanicznego. Z tego co pamiętam, była to matematyka i fizyka. Z fizyki mieliśmy zaliczenia lub cząstkowe egzaminy w formie pisemnej. Po pierwszym sprawdzianie zorientowaliśmy się, że tematy dla obu kierunków są te same. Przy następnym więc któryś z „elektryków” przyniósł szpulkę nici, wręczył zaprzyjaźnionemu koledze z mechaniki, a ten, siedząc w sali na drugim piętrze od strony Wybrzeża Wyspiańskiego, spuścił kartkę z tematami. Na dole odbyła się prawie dwugodzinna sesja wyjaśniająco-szkoleniowa (z naciskiem na szkolenie słabszych kolegów) i – na górę. Mały dreszczyk emocji: czy tematy będą te same? Tak, to dobrze.

Co nas bawiło? Wcale nie to, że kogoś nabraliśmy, wiedzieliśmy bowiem, że nie jest to fair play. Ponieważ patent ten wykorzystaliśmy kilkakrotnie, powszechną radość wzbudzała ocena wydziału, wygłaszana po tygodniu od egzaminu: studenci dwóch wydziałów z kamienną twarzą wysłuchiwali opinii wygłaszanej przez egzaminujących na temat znacznie lepszego przygotowania i lepszych wyników uzyskanych przez studentów Wydziału Elektrycznego. Tymczasem z Mechanicznego nie znalazł się nikt, kto by zwrócił się do profesora Nikliborca z prośbą o zmianę kolejności zdawania, chociażby pod pretekstem, że rano ludzie są jeszcze trochę śpiący, co może rzutować na uzyskiwane wyniki.

Na drugim semestrze matematykę wykladał profesor Jan Mikusiński. Robił to tak ciekawie, że – mimo spóźnienia – każdy chciał wejść na salę. Ale profesor spóźniał się nie tolerował. Drzwi do dużej sali wykładowej znajdowały się przy tablicach i były doskonale widoczne. Jeżeli ktoś usiłował

przemknąć po czasie, profesor Mikusiński przerywał wykład, odwracał się w stronę spóźnialskiego, delikatnie uśmiechał, i wykonując drobne ruchy ręką, wypraszał każdego takiego delikwenta za drzwi.

Wykład matematyki związany był z dużym zużyciem kredy. Stosunkowo często tej kredy brakowało i profesor prosił kogoś z nas, żeby wyskoczył na portiernię i uzupełnił jej zapas. A to zaowocowało zabawnym zdarzeniem, przy czym po latach ma ono dwie wersje: jedni twierdzą, że był to zakład, inni, że błyskotliwy pomysł kolegi (chyba Wojciecha Prugara), stosunkowo często zjawiającego się po czasie.

Któregoś dnia, kilkanaście minut po rozpoczęciu wykładu, otworzyły się drzwi, wszedł spóźniony student trzymający na lewym ramieniu kurtkę czy płaszcz, a w prawej ręce parę kawałków kredy, zrobił kilka kroków w stronę patrzącego mu w oczy profesora i położył ją na półeczce pod tablicą. Po tym – jak gdyby nigdy nic – uklonił się oniemiałemu profesorowi, odwrócił się i usiadł w ławce. Zaskoczony, ale zarazem nieznacznie uśmiechnięty profesor Mikusiński został jeszcze chwileczkę bez słowa, by po chwili najspokojniej w świecie powrócić do przerwanej wykładu.

Profesor Wilhelm Rotkiewicz, o którym wiedzieliśmy, że był najważniejszą postacią w Zakładach Radiowych DIORA w Dzierżoniowie i który chętnie wspominał swoje perypetie w jugosłowiańskiej armii Józefa Tito, był posiadaczem kieszonkowego suwaka produkcji japońskiej – marzenia wszystkich studentów z naszej grupy (uwaga dla młodzieży: suwak logarytmiczny to nieoceniony w tamtych czasach przyrząd do uproszczonego mnożenia; o czymś takim jak kalkulator wtedy jeszcze nikt nie myślał). Większość miała niezbyt dokładne suwaki produkcji radzieckiej, nieliczni szczęśliwcy – produkcji NRD. I na ćwiczeniach lub przykładach konkretnych rozwiązań elementów układów radiowych dochodziło do dyskusji, jaka jest końcówka wartości obliczanego elementu.

Profesor Rotkiewicz często urozmaicał swoje wykłady przykładami obliczeń. W trakcie jednego z nich doszedł prawie do końca dłuższych obliczeń i na tablicy pojawił się zapis  $2 \times 2$ . Liczący cały czas na suwaku profesor ustawił linijkę przyrządu w prawidłowym miejscu i odczytał wynik: 3,9. Ktoś z sali powiedział: 4. Na to profesor, znający nasze kłopoty z lichymi suwakami, spojrzął na swój i powiedział: no, może być 3,95! Z sali ponownie: 4. Profesor oderwał wzrok od suwaka, spojrzął na tablicę i się roześmiał.

## Początki pracy

**A** teraz jeszcze słów kilka o niektórych specyficznych korzyściach z mojej pierwszej pracy zawodowej.

Profesor Andrzej Jellonek był (nie jestem pewien czy formalnie) kierownikiem zespołu katedr radiotechnicznych. Ponieważ młodych kandydatów na pracowników naukowych była już spora grupa, to kierujący tym całym zespołem profesor Jellonek wprowadził swoisty nadzór nad wykładami młodych asystentów. Nie pamiętam, czy wizytacje były zapowiadane, czy też nie. Parokrotnie miałem takowe – pamiętam profesora Mariana Suskiego i dwóch adiunktów, którzy byli na prowadzonych przeze mnie zajęciach. A później, w sympatycznej i ciepłej atmosferze, omówienie wykładu. Czy prowadzony był w sposób zrozumiały i ciekawy? Czy nie było dłużyzn? Czy zasadnicze kwestie zostały wyjaśnione? Do końca życia zawodowego (a poczynając od 1 grudnia 1952 roku, pracowałem zawodowo pięćdziesiąt siedem lat) ta szkoła była niesłychanie przydatna.

## Narastająca presja polityczna

Teraz kilka słów o atmosferze politycznej tamtych czasów. Już podczas rozmowy kwalifikacyjnej przed przyjęciem na studia przypomniano mi delikatnie, w jakich czasach żyjemy (pytano mnie między innymi o stosunki narodowościowe na Wołyniu, gdzie się urodziłem i gdzie mieszkaliśmy do repatriacji). Niektóre wykłady również naszpikowane były bezsensowną propagandą. Nie wymieniając nazwiska wykładowcy, bo nie o to tu chodzi, przypomnę tylko taką genialną myśl: „to, że elektron krąży wokół jądra, to ma głęboki wydźwięk klasowy”... I jeszcze inne zabawne, ale też wymowne zdarzenie: w ciągle kiepskiej sytuacji gospodarczej władza wpadła na pomysł, jak odebrać ludziom jeszcze trochę pieniędzy. Ogłoszono narodową pożyczkę (raczej powinno to się nazwać zrzutką) sił polski (nie ręczę za dokładną nazwę i rok – chyba 1950). W każdym razie pamiętam, że zrobiono spęd w dużej sali wykładowej, na którym zjawiał się pewno cały wydział elektryczny i mechaniczny. Jacyś młodzieźowi aktywiści tłumaczyli przy tablicy, dlaczego każdy z nas z radością powinien wpłacić dziesięć złotych. Później zachęcali „kolegów” do zabrania głosu. Długa cisza. Ponowne zachęty. Wreszcie podniesiona ręka w tylnych rzędach (chyba kolegi Rąbalskiego). Radosne „proszę kolego, proszę” od prowadzących. I wypowiedziane głośno, wyraźnie: „a czy to można odsiedzieć?” Śmiech na sali słyszę do dzisiaj, a także gorączkowe pytania z prezydium: kto to powiedział? Kto? Donosiciel się nie znalazł, a było nas więcej niż dwieście osób.

Kiedy już byłem asystentem, na zebraniu zespołu katedr radiotechnicznych profesor Jellonek przedstawił taki problem: zdający u profesora Suskiego sekretarz chyba wydziałowej organizacji partyjnej najpierw wykazał się głęboką niewiedzą czy wręcz głupotą, a później, kiedy usłyszał, że nie zdał egzaminu, powiedział profesorowi, że jest sekretarzem partii, która zmusi go do postawie-

nia noty pozytywnej. Profesor Jellonek opowiedział o tym zdarzeniu, potwierdził, że naciski mogą być takie, że profesor Suski będzie musiał postawić ocenę pozytywną i zakończył mniej więcej tak: „Rozumiecie panowie, że profesorowi Suskiemu trudno będzie się bronić. Ale gdyby tak okazało się, że pan P. ma dużo niezaliczonych i niezdaných przedmiotów, to chyba nikt nie będzie w takiej sytuacji interweniował. Od następnego dnia pan P. niczego już nie zaliczył, żadnego egzaminu nie zdał i pokornie rok powtórzył. Zawsze myślę o tym zdarzeniu, mając wątpliwości, czy była to usprawiedliwiona solidarność. Z drugiej jednak strony – należało się jakoś bronić...

## Wyposażenie

Pamiętam, że spora ilość różnego rodzaju urządzeń pomiarowych na Politechnice miała niejasny status – była mowa, że dostarczyło je wojsko. Jeszcze jako student (w ramach akademickiego koła naukowego) ciągle prze-siadujący w katedrze urządzeń radioodbiornych, gdzie adiunktem był Jan Hołownia, spotykałem paradującego w wojskowym mundurze bodajże kapitana Macieja Stolarskiego, późniejszego profesora Wojskowej Akademii Technicznej. I przypominam sobie dzień, kiedy pojawili się na uczelni przedstawiciele wojska z dokładnymi wykazami zakupionej za ich pieniądze aparatury i wszystko to zabrali na potrzeby tworzonej Wojskowej Akademii Technicznej. W znakomity więc sposób wykorzystali i wiedzę, i pracę kadry pracowników Politechniki. A z profesorem Stolarskim spotykałem się później wielokrotnie – pomagał nam w Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów w przyswajaniu wiedzy informatycznej.

## Otoczenie

Jeżeli myślę o Politechnice – to zawsze kojarzy mi się ona z... przystanią żeglarską. Jest oczywiste, że sekcja żeglarska AZS miała w swoich szeregach studentów zarówno z Politechniki, jak i wszystkich innych uczelni. Bliższe związki z Politechniką wynikały z lokalizacji przystani oraz z faktu, że szkolenia teoretyczne odbywały się w naszych pomieszczeniach. W sezonie, idąc na zajęcia od strony placu Grunwaldzkiego, patrzyłem, a to w lewo – na budynek Politechniki, a to w prawo – na zabudowania przystani i na stojące w zatoce żaglówki. Nie zawsze decyzja, w którą stronę skręcić, była taka, jaka cechować powinna przykładowego studenta...

Przystań wspominam dobrze z kilku powodów. Po pierwsze – była to dobra szkoła życia. W pierwszym roku adept żeglarstwa mógł szkolić się

z wiedzy teoretycznej, sprzątać pomieszczenia przystani, szlifować papierem ściernym kadłub żaglówki i na przedwiośniu – malować. W pierwszych pływalniach sprawdzano, czy buty są odpowiednie (dzisiaj kupno tenisówek nie jest żadnym problemem) i jeżeli adept na żeglarza uzyskiwał akceptację starszego kolegi – to mógł dostać do ręki szoty. Nabierało się więc szacunku i do sprzętu, i do samego żeglarstwa.

Powód drugi – to fakt, że z tej przystani wystartowało kilka, a może kilkanaście znanych osób. Myślę, że pierwsze miejsca należą do dwóch, to jest absolutnego oryginała, Ludomira Mączki zwanego „Ludojadem”, o którym można by napisać niejedną książkę, i do powszechnie znanego Krzysztofa Baranowskiego. Ale rezultaty sportowe Teresy Dudzic czy Karmeny Stańkowskiej też są godne podkreślenia.

Powód trzeci: wyjaśniając, dlaczego żaglówka porusza się do przodu (czyli wykładając teorię żeglowania) poznałem moją przyszłą żonę.

## Obecnie to nic dziwnego

**J**eżeli tak się zdarzy, że wspomnienia te będą czytać ludzie młodzi, to muszę napisać jeszcze coś dla nich zupełnie niewiarygodnego. W roku 1959 wyjazd młodego inżyniera zagranicę graniczył praktycznie z cudem. Po prostu wyjazdów nie było, a paszportów praktycznie nie wydawano. Był to również czas, w którym propaganda komunistyczna straszyla jak tylko mogła Niemcami. Ci z DDR-u czyli Deutsche Demokratische Republik byli może trochę lepsi, ale nikt się nie spieszył z jakimś brataniem. Kiedy już pracowałem w Elwro, zorganizowany został wyjazd na Targi Lipskie. Pojechało nas sześciu albo ośmiu – już dokładnie nie pamiętam. Trafiłem tam na ciekawe stoisko firmy niemieckiej z branży elektrotechnicznej. W trakcie prowadzonej w języku niemieckim rozmowy, obsługujący stoisko pyta, czy jestem inżynierem. Tak. A jaką uczelnię ukończyłem? Odpowiadam: Technische Hochschule Breslau. Na to mój rozmówca odwraca się i woła w kierunku zaplecza: Hans, chodź, przyjechał kolega z naszej uczelni. Chwilę później gorączkowe pytania: a w laboratorium maszyn elektrycznych stoją jeszcze te maszyny z napisem „Siemens Halske 1905”? A w laboratorium pomiarów elektrycznych rezystancja linii wychodzi nadal ujemna? Tak? To co robicie ze sprawozdaniami? Kiedy odpowiadam, że przepisujemy z waszych, to rozmówcy dochodzą do wniosku, że szkoda czasu na siedzenie na targach, zamykają stoisko i idziemy na bardzo długie piwo.

Zdarzenie to przypomniało mi się, kiedy przeczytałem na stronie Politechniki Wrocławskiej, że będzie obchodzona setna rocznica powstania Technische Hochschule Breslau. I pomyślałem, że może szkoda, iż tak późno, ale i tak dobrze, że dożyłem normalnych czasów.

Edward Włodzimierz Mielcarzewicz

## Jak związałem swój los z Politechniką Wrocławską

### Wyjazd z Krakowa w nieznane

Politechnika – to dla większości uczelnia techniczna, kształcąca inżynierów różnych specjalności, prowadząca badania naukowe, współpracująca z przemysłem. To kompleks budynków, sal wykładowych, laboratoriów, a także studenci, pracownicy, egzaminy, zaliczenia, projekty i ćwiczenia. Ot, normalna szkoła wyższa. Dla mnie Politechnika Wrocławska to prawie całe moje życie, moja praca, moje osiągnięcia. Leczyłem jej wojenne rany, byłem świadkiem przemian i rozwoju. Jej poświęciłem swoje najlepsze lata. Dziś jestem dumny, że było to moim udziałem.



Do Wrocławia przyjechałem 10 maja 1945 r. z pierwszą grupą pionierów. Miałem wtedy dwadzieścia lat. I od tego czasu związałem swoje życie z Politechniką Wrocławską, która dziś obchodzi jubileusz 65-lecia swojej działalności, a zarazem 100-lecie powstania swojej wrocławskiej poprzedniczki – Technische Hochschule Breslau.

Przed drugą wojną światową mieszkalem w Grudziądzu, który jest pięknym miastem, pełnym zieleni i zabytków, pochodzących jeszcze z czasów krzyżackich. Wyjechałem stamtąd w 1939 r. na wakacje do Starego Sącza, miasta, w którym przyszedłem na świat. I tam zastała mnie wojna. Po powrocie z ucieczki na wschód – do Hrebenowa, a ostatecznie do Lwowa – oraz po wielu dramatycznych przeżyciach w marcu 1940 r. osiadłem w Krakowie, gdzie przeżyłem ponad pięć długich wojennych lat. Tam uczyłem się, pracowałem, służyłem w Związku Walki Zbrojnej, a później w Armii Krajowej, tam też poznałem moją przyszłą żonę.

W styczniu 1945 roku do Krakowa wkroczyła Armia Czerwona, a w ślad za nią – Ludowe Wojsko Polskie. Udało mi się szczęśliwie uniknąć wcielenia w jego szeregi, ale jako „zapluty karzeł reakcji” czułem się zagrożony przez Służbę Bezpieczeństwa, zajadłe tępiącą żołnierzy AK. Wtedy dowiedziałem się, że były rektor Politechniki Lwowskiej, prof. Stanisław Kulczyński, organizuje Grupę Naukowo-Kulturalną, która zamierza wyruszyć do Wrocławia, by uruchomić tam polskie szkolnictwo wyższe, jako że po zakończeniu wojny miasto to miało wrócić do Polski. Z niecierpliwością oczekiwałem na ten wyjazd. Nareszcie 6 maja skapitulowała twierdza Wrocław (Festung Breslau) i trzy dni później, koło południa, wyruszyliśmy dwoma autobusami w drogę. Było nas około dwięćdziesięciu osób. Większą część stanowili przyszli urzędnicy administracyjni miasta, z prezydentem, dr. Bolesławem Drobnerem na czele. Nasza Grupa Naukowo-Kulturalna liczyła wraz z członkami przyszłej Straży Akademickiej około dwudziestu osób. Straż stanowili głównie kandydaci na studentów Politechniki i Uniwersytetu, mający zabezpieczać obiekty wrocławskich uczelni. Szefem pierwszej sześciuosobowej Straży Akademickiej był śp. Roman Jaworski (z Wydziału Mechanicznego). Po dwóch dniach podróży, z noclegiem w Katowicach, dotarliśmy do przedmieść płonącego jeszcze miasta.

## Wrocław w ruinach

**B**yla pełnia wiosny – 10 maja 1945 r., godzina 11.00. Ciepło. Prawie upalnie. Słońce na bezchmurnym niebie paliło jak w lecie. Mimo to nie widać było żadnej zieleni – jakby udręczona ziemia nie chciała już rodzić.

Autobus z trudem przeciskał się pośród gruzów i powalonych przydrożnych drzew, wreszcie utknął na ul. Hubskiej, przed barykadą wzniesioną pośpiesznie w czasie tak niedawno trwających tu walk. Panowała przerażająca cisza, ani śladu wiatru. Za barykadą rozpościerało się wymarłe miasto, czy raczej coś, co kiedyś nim było, stanowiąc teraz wstrząsający obraz okopconych szkieletów budynków mieszkalnych pograżonych w bezmiarze gruzów. Wszystkiemu towarzyszył okropny swąd spalenizny, pomieszany ze słodkawym zapachem rozkładających się resztek żywności, a może ludzkich ciał. Na barykadzie porzucona otwarta parasolka. Aż dziw, że ocalała.

Kilku naszych poszło na zwiad, aby nawiązać kontakt z sowiecką komendanturą wojskową i naszą grupą kwatermistrzowską, która przyjechała dzień wcześniej. Reszta została i czekała w przygnębieniu, nie mogąc oprzeć się wrażeniu grozy. Ciężkie, beznadziejne i bezsensowne boje obróciły miasto w gruzy. Czego tak zaciekle broniono, skoro dawno już było wiadomo, że wojna jest przegrana? Żądza władzy za wszelką cenę, czy też strach pozbawił rozsądku obrońców miasta i ich wodzów? A może, tracąc grunt pod



nogami, chcieli nam zostawić zgliszcza i ruiny, aby wraz z ich upadkiem miasto przestało istnieć? Nie doceniali jednak pogwałconych i wyniszczonych, lecz pełnych zapału, gotowych na najgorsze polskich patriotów.

Przyjechała nas garstka, zaledwie dwa autobusy, a zadania postawiono przed nami na miarę gigantów. Mieliśmy podnieść z gruzów to miasto i tchnąć w nie życie – nowe polskie życie.

Staliśmy przed zda się niewykonalnym zadaniem uruchomienia wyższych uczelni, życia naukowego i kulturalnego, tu, w tym mieście ruin, zgliszczy, pełnym min, trupów i rozmaitych zasadzek.

Zwiad długo nie wracał, wyszliśmy mu więc naprzeciw. Wśród przeraźliwej ciszy, w rozpalonym słońcem kanionie ul. Hubskiej, niesamowicie zabrzmiał odgłos roweru na kołach bez gum, na którym telepał się gdzieś samotny żołnierz Armii Czerwonej. Przeciął w oddali ulicę i przepadł w morzu gruzów. Posuwaliśmy się ostrożnie naprzód, omijając wraki aut, motocykli, sterty gruzów. Baliśmy się, aby nie wejść na minę albo nie natknąć się na jakichś uzbrojonych esesmanów, którzy mogli być przecież przyczajeni gdzieś w tych ruinach. Wreszcie wyłoniły się przed nami wiaty Dworca Głównego. Wiadukt kolejowy nad ul. Pułaskiego, zabezpieczony zaporami przeciwczołgowymi, nie nadawał się do sforsowania przez autobus. Poszliśmy dalej. Jak okiem sięgnąć, wszędzie gruzy i sterczące wśród nich samotne, pozbawione dachów i okien, puste, lecz ocalałe domy. Wiadukty nad Stawową i Borowską też zamurowane. Wszędzie pusto i cicho, bezwietrznie...

Naszyc zwiadowców wciąż nie widać. Wracamy do autobusu. Wreszcie, po kilku długich godzinach, są, a wraz z nimi – nadzieja. W centrum miasta nie jest tak źle. Ocalało trochę domów, są ludzie. Okazało się, że trafiliśmy do najbardziej zniszczonej części miasta. Zwiadowcy odnaleźli naszą grupę kwatermistrzowską, są przygotowane kwatery, z których uprzednio wyprowadzono Niemców, w dwóch budynkach przy ul. Poniatowskiego, na wprost obecnego Skweru Pionierów Wrocławia. Znaleźli też drogę. Jedziemy.

Przejazd ulicami miasta, pośród niekończących się ruin i zwałów gruzów był koszmarem. Wprost nie mieściło się w głowie, że tak ogromne miasto prawie nie istnieje! Niektórych ogarnęło zwątpienie, czy starczy życia, aby na tych zgliszczeniach wznieść domy? Wielu uciekło; jedni po kilku dniach, inni po kilku miesiącach. Część jednak wytrzymała, a niektórzy z nas doczekali dzisiejszych dni.

Pierwsza noc we Wrocławiu minęła niezwykle szybko. Siedzieliśmy do późna pod wygwieżdżonym niebem, które trwało niezmiennie i wyglądało tak samo jak tam, skąd przybyliśmy. Rozmowom nie było końca. Potem trudno było zasnąć. Tyle wrażeń, tyle myśli. Nieznana przyszłość. Łuny pożarów i Niemcy. Niemcy inni, nieznanymi, przestraszeni, uprzejmi, uczynni – wręcz służalczy. Biedni, bezdomni, gnieźdzący się po piwnicach, zupełnie inni niż ci, których znaliśmy. To był prawdziwy szok. Trudno było w to uwierzyć po

sześciu latach doznanych od nich udręk i prześladowań. To była jednak ich klęska – klęska totalna. Oni to czuli i wiedzieli, że nic już nie odwróci biegu historii, że oni, mimo że byli tu od tak dawna, teraz są zdani na nas, całkowicie i bez reszty. Te myśli nie pozwalały zasnąć.

Po co właściwie tu przyjechałem, rzucając ocalały Kraków, gdzie przeżyłem pięć długich wojennych i niebezpiecznych lat, i gdzie zostawiłem dziewczynę. Dzisiaj, po 65 latach, łatwo powiedzieć, że dobrze się stało, ale wtedy?... Wtedy nikt nie wiedział, jak skończy się ta wyprawa.

Ci, którzy pozostali w Krakowie prorokowali, że wnet wrócimy, bo na pewno oddadzą Wrocław Niemcom, a granica będzie co najwyżej na Odrze. Mimo to pojechałem. Najważniejsza była chyba zapowiedź wielkiej przygody (miałem wówczas dwadzieścia lat), chęć znalezienia się w gnieździe os, tam, skąd przyszedli do nas najeźdźcy, gdzie było Psie Pole, Legnica, gdzie żyły resztki zgnębionych Polaków i skąd podstępem, intrygą czy siłą, wyparci zostali nasi przodkowie, gdzie trzeba było przywrócić polskość i scalić te odzyskane ziemie z macierzą. Ktoś powie, że to patos. Tak, to był patos, ale czasy naprawdę były takie, że trafiał on na podatny grunt, porywał i zapalał do czynu, na szczęście – już nie do walki zbrojnej. Nie bez znaczenia była też chęć uniknięcia kontaktów z krakowską bezpieką...

Zresztą z Krakowem, poza ukochaną dziewczyną, nic mnie nie wiązało. Znalazłem się tam przypadkowo, na skutek wojny. Po prostu, w 1939 r., po podboju naszego kraju i włączeniu zachodniej Polski do III Rzeszy, nie mogłem wrócić z wakacji do Grudziądza, gdzie stał mój dom. Zawsze też marzyłem o skończeniu politechniki, a szanse powołania jej po wojnie w Krakowie nie były pewne. Było natomiast wiadomo, że we Wrocławiu politechnika była, a rektor Kulczyński zapewniał nas, że jak ją odbudujemy, to znowu będzie. Nie było co się zastanawiać. Czułem się zresztą zaszczycony, że mnie, młodego chłopaka, zechciano zabrać do Wrocławia, abym pomagał moim przyszłym profesorom w odbudowie i uruchomieniu uczelni.

Resztki snu tej pierwszej nocy splukaliśmy o świcie strumieniami wody z pobliskiej studni. Z nowym dniem wstąpił w nas nowy duch. Pogoda była nadal cudna. U rektora narada: co robić? Najpilniejsze było zabezpieczenie Biblioteki Uniwersyteckiej przy ul. Szajnochy i urządzenie tam kwatery głównej naszej grupy, a także zaopatrzenie stołówki w żywność z magazynów niemieckich. Energicznie zabraliśmy się do dzieła.

## Początki w Straży Akademickiej

**B**iblioteka pilnowana była dzień i noc, aby nie podpałiła jej jakaś wroga ręka, jak to się stało w przededniu naszego przyjazdu z budynkiem

Wydziału Fizyki i Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego. Potem przyszła kolej na inne, ocalałe z pożogi wojennej budynki uniwersyteckie. Na przykład Muzeum Zoologiczne i Ogród Botaniczny przy ul. Sienkiewicza. Budynek w zasadzie ocalał, z wyjątkiem jednego zbombardowanego skrzydła. Na parterze znajdowały się poniemieckie zapasy cukru, pilnowane przez wartowników sowieckich, a na piętrach eksponaty muzealne – wypchane zwierzęta, ptaki itp.

Na nasze zmartwienie muzeum było masowo odwiedzane przez różnych maruderów z Armii Czerwonej. Największe i chyba jedyne zainteresowanie budził spirytus, w którym zakonserwowane były liczne okazy gadów, płazów i ryb. Nie wzbudzały one obrzydzenia – po prostu były wyrzucane przez nieoszlone okna, a spirytus częściowo konsumowany na miejscu, a częściowo zabierany na potem... Kłopoty skończyły się dopiero wtedy, gdy zliśmy wszystkie słoje ze spirytusem i eksponatami do jednej wielkiej beczki, którą schowaliśmy w małej komórce na półpiętrze, a drzwi do niej zastawiliśmy olbrzymią, całkowicie „rozbebeszoną” kasą pancerną.

Było nas mało. Wnet jednak przybyła następna grupa z Krakowa. Pojawił się także wynędzniali niedawni więźniowie hitlerowskich obozów pracy we Wrocławiu, Jelczu i innych, późniejsi profesorowie, a nawet rektorzy Uniwersytetu i Politechniki, jak np. prof. Edward Zubik, dr Edward Marczewski, dr Józef Zwierzycki, inż. Dionizy Smoleński, inż. Wiktor Mamak i inni.

Gmachy Politechniki, jakkolwiek poturbowane, ocalały. Wciąż jednak były niedostępne, gdyż zabezpieczała je grupa żołnierzy radzieckich broniących nam wstępu. Dopiero 2 lipca 1945 r. przychylny nam dowódca tej grupy, kapitan Orłow, przekazał Politechnikę polskim władzom. Duże zasługi w tej sprawie miał późniejszy rektor, prof. Dionizy Smoleński. Trafiłem do niego – jako szefa odbudowy Politechniki – w kilka dni po przejęciu Uczelni – 10 lipca 1945 r., skierowany przez rektora Kulczyńskiego.

## Politechnika Wrocławska w odbudowie

**I**nżynier Smoleński rezydował wówczas w obecnym budynku Sanepidu (wtedy PZH), a także – już na Politechnice – w budynku Starej Chemii. Zapytał mnie, co umiem robić. Odpowiedziałem, że właściwie niewiele, ale podczas wojny skończyłem w Krakowie technikum budowlane i mam o budownictwie jako takie pojęcie. Odpowiedział mi na to: „To bardzo dobrze, będziesz odbudowywał Politechnikę”. Dumny z nominacji zastanawiałem się, jak się do tego zabrać, nie mając ludzi, materiałów i transportu.

Gmach Główny (A-1) nie był specjalnie zniszczony. Jedyne w stropie sali 329 była olbrzymia wyrwa (ok. 30 m<sup>2</sup>), a w całym budynku kilkanaście uszko-

dzeń stropów, ścian i gzymsów. Nie było natomiast ani jednej szyby i większości dachówek. Z kotłownią sprawa wyglądała znacznie gorzej: cała ściana frontowa rozdarta, a strop zasobnika na węgiel leżał w gruzach.

Ludzie znaleźli się szybko. Zaświadczenie o pracy było wówczas nie lada przynętą dla pozostałych w mieście Niemców, którzy chętnie zgłaszali się, przyprowadzając z sobą znajomych. Po kilku dniach moja grupa remontowa liczyła już prawie trzydzieści osób. Gmachem Hutniczym (B-1) przy ul. Smoluchowskiego zajmowali się w tym czasie dwaj Jugosłowianie – Bożić i Spożić, którzy wcześniej byli studentami Technische Hochschule Breslau.

Remont Gmachu Głównego rozpoczęliśmy od uprzątnięcia i wywiezienia gruzów z parteru oraz przygotowania dziesiątek okien do oszklenia. Każde trzeba było oczyścić z resztek szyb i kitu. Jednocześnie inne grupy zajęły się zwózką materiałów budowlanych. Pod tym względem nieoceniony był inż. Smoleński, który miał zawsze rozeznanie, gdzie znaleźć szkło czy blachę na krycie dachów. Monetą obiegową był alkohol. Za litr wódki dostawało się samochód szkła. Szkło, przeważnie surowe, zwoziliśmy z dalekiego Grabiszynka, korzystając z wspólnego z Uniwersytetem taboru samochodowego. Szefem transportu naszej grupy był wówczas prof. Edward Zubik (biolog).

Podczas tych prac, w lipcu 1945 r., powstała Straż Akademicka Politechniki, złożona z jej przysłych studentów, jak koledzy: Antoni Dziama, Zbigniew Mroczkowski, Jędrzej Kuczyński, Ludwik Piskozub, Eugeniusz Młotkowski, Janusz Pluciński, Zdzisław Samsonowicz, Stanisław Wróbel i wielu innych. Byli oni skoszarowani na terenie Gmachu Głównego i mieli broń. Szefem Straży został były kapitan wojska polskiego – Franciszek Pałka. Zaprowadził w niej rygor i obyczaje wojskowe. Podkomendni ze straży nie tylko z bronią w ręku chronili Politechnikę przed intruzami, ale także ubezpieczali transporty materiałów budowlanych, węgla itp., jak również pomagali nam, pierwszym pracownikom uczelni, w jej odbudowie. Kolega Samsonowicz np. uruchomił jakiś przedpotopowy (chyba muzealny) samochód na żelaznych obręczach z przyczepą. Gdy jechał ulicą, zdawało się, że to dywizjon czołgów w natarciu. Był to zresztą pierwszy własny (Politechniki) środek transportu. Bardzo się przydał. Dzięki niemu ściągaliśmy szkło, cement, wapno, piasek, a nawet grys marmurowy, który z braku żwiru został użyty do naprawy stropu w sali 329. Pracowało się od świtu do zmroku; cieszył nas każdy najdrobniejszy sukces. Wszyscy zżyliśmy się w jedną rodzinę, uważając Politechnikę za swój dom.

Ale były też i chwile grozy. Pewnego sierpniowego dnia dotarliśmy do piwnic Gmachu Głównego i tam odkryliśmy olbrzymi magazyn prochu strzelniczego i innych materiałów wybuchowych. O mało nie doszło do paniki. Przecież na dachach Politechniki namalowane były czerwone krzy-

że – znak, że jest tu szpital, a prawda była taka, że na parterze znajdowała się wytwórnia amunicji i działek przeciwlotniczych i – jakby tego było mało – w piwnicach magazyn prochu. Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, przez kilka tygodni dosłownie chodziliśmy po beczce z prochem. Przy pomocy Niemców przez kilka dni opróżnialiśmy te magazyny, wywożąc ręcznymi wózkami z wielką ostrożnością proch na składowisko w schronach (ziemiankach) wykopanych podczas oblężenia miasta na terenie Ogrodu Botanicznego.

W sierpniu liczniej zaczęli się pojawiać byli profesorowie i asystenci z Politechnik – Lwowskiej i Warszawskiej, aby zorientować się, na co można liczyć we Wrocławiu i czy warto zostać, czy też nie. Niestety, pomieszczenia poszczególnych katedr świeciły przeważnie pustkami, wszystko, co wartościowsze, Niemcy ewakuowali. Laboratoria fizyki, materiałów budowlanych i inne zostały zdewastowane. Mimo to niektórzy z tych zwiastunów przyszłej normalnej pracy dydaktycznej i naukowej uczelni pozostali. Jednymi z pierwszych byli: prof. Ślebodziński, słynny matematyk, prof. Mamak, prof. Zachara, prof. Plamitzer – który jednak po pewnym czasie wrócił do Krakowa.

## Politechnika ruszyła

Polskie szkolnictwo akademickie we Wrocławiu zostało zapoczątkowane przez powiązane unią personalną Uniwersytet i Politechnikę, kreowane dekretem Ministra Oświaty z 14 sierpnia 1945 r. na Państwowe Szkoły Akademickie. Bezprecedensowa w Polsce unia była w owym czasie konieczna ze względu na dotkliwe braki kadrowe Politechniki i duże braki materialne (budynki, laboratoria) Uniwersytetu. Na rektora tej zjednoczonej uczelni powołany został prof. dr Stanisław Kulczyński, były rektor Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, natomiast prorektorem ds. Politechniki – prof. dr Edward Sucharda, były rektor Politechniki Lwowskiej. Prof. Sucharda odwiedzał Politechnikę Wrocławską latem 1945 r. i zapewniał nas, pracujących przy jej odbudowie, że z chwilą gdy zostaniemy studentami, będziemy mogli nadal pracować na uczelni.

Kiedy kadra profesorska została w części skompletowana, ogłoszono (w listopadzie) zapisy na pierwszy rok studiów. Uruchomiono cztery wydziały: Budownictwa, Chemii Technicznej, Hutnictwa i Mechaniczno-Elektrotechniczny.

Z całej Polski zjechało mnóstwo chetnych do nauki. Ich liczba przeszła wszelkie oczekiwania. W niemieckich czasach studiowało tu na wszystkich wydziałach i latach kilkuset studentów, a teraz na pierwszy rok studiów

zgłosiło się 499 osób, w tym 150 na Wydział Budownictwa. Największym zmartwieniem było – czy będą egzaminy wstępne, czy nie. Wielu kolegów przyjechało prosto z wojska, inni byli po kilka lat w lesie, kolejni zdawali maturę przed wojną lub przed kilku laty na tajnych kompletach. Każdy bał się, że nie zda, a jednak marzył o studiach.

Na Wydział Budownictwa zapisy prowadził inż. Wiktor Mamak, który przed wojną był asystentem u prof. Matakiewicza na Politechnice Lwowskiej, a potem naszym profesorem i dziekanem. Egzaminów wstępnych nie było. Wszyscy chętni zostali przyjęci. Jakże słuszna i owocna okazała się ta decyzja: ponad 75 proc. przyjętych ukończyło studia, wielu z nich jest dzisiaj zasłużonymi profesorami nie tylko naszej uczelni, wielu zrobiło karierę zawodową, są wybitnymi i znanymi specjalistami.

Pierwszy historyczny wykład na Politechnice Wrocławskiej odbył się 15 listopada 1945 r. na Wydziale Mechaniczno-Elektrotechnicznym. Prowadził go prof. Kazimierz Idaszewski. Był to wykład dla studentów czwartego roku, którzy całą grupą przenieśli się do nas z Politechniki Gliwickiej. Na Wydziale Budownictwa, gdzie studiowałem, pierwszy wykład z przedmiotu materiały budowlane wygłosił 20 listopada prof. Zachara.

\* \* \*

Naukę rozpocząłem, nie przestając pracować. W dalszym ciągu nadzorowałem i kierowałem pracą ekipy budowlanej remontującej Gmach Główny, a także kotłownię, która w zimie miała ogrzewać budynki.

Studiowanie nie było łatwe. Brakowało wszystkiego: zeszytów, tuszu, podręczników, skryptów; wymagania wykładowców zaś wcale nie były ulgowe. Mimo to trzeba było sobie radzić. Pamiętam, że – będąc członkiem Zarządu Koła Studentów Inżynierii – wraz z kolegą Stasiem Mazurem, który chodził na wykłady w mundurze wojskowym ze stopniem plutonowego podchorążego, skutecznie szturmowaliśmy dyrekcję Urzędu Likwidacyjnego ds. Likwidacji Mienia Poniemieckiego, aby z remanentów dostać dla kolegów naszego roku brystol, kalkę techniczną, tusz itp. Skrypty pisaliśmy i wydawaliśmy sami na powielaczu. Po prostu, na podstawie kilku dobrze prowadzonych notatek zespół studentów pisał skrypt, profesor go przeglądał, poprawiał, autoryzował, a potem przepisywało się go na odpowiedniej matrycy i powieślało. Do niektórych przedmiotów przygotowywaliśmy się z książek niemieckich (np. z teorii mostów).

Sale wykładowe w ciągu pierwszej zimy były niedogrzone, pojedyncze szyby niewiele pomagały. Na wykładach siedziało się w płaszczach, kurtkach czy kożuchach. Co kto miał. W przerwach między wykładami pędziłem do grupy „moich” Niemców, którzy w dalszym ciągu doprowadzali budynek do stanu używalności i remontowali kotłownię.

## Nasi profesorowie w anegdotach

Kadra profesorska, zwłaszcza na Politechnice, była w pierwszych latach bardzo nieliczna. Niezmiernie trudne warunki życia we Wrocławiu spowodowały, że przybyło tu i zostało zaledwie kilkunastu sławnych już przed wojną profesorów, głównie ze Lwowa. O niektórych z nich krążyły różne legendy, a nasze z nimi przeżycia i kontakty stały się źródłem nowych anegdot.

Niecodzienną osobowością był prof. Hugo Steinhaus, światowej sławy matematyk. Zajęcia z nim wymagały wielkiej uwagi i skupienia. Miał bowiem zwyczaj spacerowania podczas wykładu wzdłuż olbrzymich tablic w sali 329 i w chwili, gdy uważał za konieczne, pisał coś na tablicy w miejscu, gdzie się akurat zatrzymał. Dalszy ciąg wywodu zapisany był oczywiście już w zupełnie innym miejscu. Jeśli ktoś nie notował na bieżąco, to szybko się gubił i zdany był już tylko na notatki kolegów. Egzaminu u profesora też nie były konwencjonalne; badał bardziej ogólną orientację, błyskotliwość umysłu i inteligencję, niż zasób wiedzy z analizy matematycznej. Krążyła taka np. anegdota, że jednemu z kolegów profesor polecił, aby w ramach egzaminu określił minimum kapelusza wiszącego na wieszaku. Kolega, nie zastanawiając się długo, powiedział: Panie profesorze, proszę o podanie mi równania tego kapelusza, to jego minimum określe bez trudności. Profesor ucieszony błyskotliwą odpowiedzią studenta wpisał mu do indeksu piątkę.

Odmienną postacią na Wydziale Budownictwa był prof. Franciszek Przewirski, specjalista od budowy dróg i ulic, pełniący wtedy funkcję naczelnika Wydziału Dróg i Mostów w Urzędzie Wojewódzkim. Egzaminował zazwyczaj bardzo szczegółowo z całego wyłożonego materiału. Na egzamin z „dróg” wybraliśmy się we trzech do jego biura mieszczącego się przy ul. Świerczewskiego (obecnie Piłsudskiego). Profesora jeszcze nie było, ale jego sekretarz (wtedy nie było jeszcze sekretarek) poradził nam, aby poczekać. Nagle usłyszeliśmy jakiś podniesiony głos na schodach – to nasz egzaminator rugał kogoś ze swych podwładnych. Dusze w nas zamarły, najchętniej ucieklibyśmy, bojąc się spotkania z rozeźlonym prof. Przewirskim. Nie było jednak odwrotu. Zauważył nas i kazał wejść do gabinetu. Ten był ogromny, a w jego narożniku znajdowało się wielkie biurko. Profesor wskazał stojący obok stół przykryty sukniem, za którym stała klubowa, przepastna kanapa, a przed nim jedno krzesło i polecił nam zająć miejsce. Przystępując z nogi na nogę, nie wiedzieliśmy, jak w trójkę usiąść na jednym krześle. Profesor, widząc nasze niezdecydowanie, ryknął: „No, siadajcie”, a my „Na czym?”, „Jak to na czym, na kanapie!”. Usiedliśmy i zapadliśmy się w nią tak, że głowy ledwo wystawały nam nad stołem. Równo naprzeciw profesora usiadł Józio Borowski, a my dwaj – po jego obu bokach. Profesor wyciągnął swoje notatki do wykładów, a Józio swoje. Nasz egzaminator obracał kolejne kartki i z każdej

strony formułował pytania. Józio robił to samo, trzymając na kolanach swoje zapiski. Dzięki temu wszystkie nasze odpowiedzi były bardzo dobre. Profesor udobruchał się i wpisał nam do indeksów piątki. Mimo upału poszliśmy oblać ten egzamin do pobliskiej „Polonii”.

Ciekawą postacią był prof. Marian Janusz wykładający wytrzymałość materiałów. Mówił bardzo powoli i wyraźnie, można powiedzieć, że dyktował nam notatki, zapewniając równocześnie o wysokim poziomie akademickim swoich wykładów. Jednocześnie prowadził zajęcia na Politechnice Gliwickiej. Jego asystentami zostali, będąc jeszcze studentami, koledzy Otton Dąbrowski i Tadeusz Kolendowicz.

Inną legendarną postacią, budzącą strach i grozę, był na Wydziale Budownictwa prof. Jan Bogucki, wykładający statykę budowli i konstrukcje stalowe. Jego asystenci, a przede wszystkim woźny z lwowskiej katedry profesora – niejaki Mićko, jak i nasi starsi koledzy, którzy przed wojną otarli się o Politechnikę Lwowską, opowiadali o nim przerażające historie, podkreślając szczególnie bezwzględny stosunek do studentów. Na zajęcia przychodził z asystentem, który wycierał mu tablicę. Na łysiejącej głowie zawsze nosił czarną czapeczkę. Wykładał dobrze i jasno, ale na ćwiczeniach projektowych, które sam konsultował, był niezmiernie wymagający i złośliwy. Po konsultacji, przy każdym nazwisku wpisywał w swoim notesie spostrzeżenia i uwagi na temat danego studenta. Najczęściej było to: „osioł”, „dureń” albo „zero”. Rysunki robione na brystolu poprawiał miękkim, nie dającym się wymazać czarnym ołówkiem, co zmuszało do przerysowywania od nowa całego arkusza. Jednemu z kolegów, gdy chciał oddać rysunek, pognieciony wskutek tłoku w tramwaju, powiedział: „Panie, niech pan idzie na teologię, a nie na Politechnikę, jak pan nie umie oddać porządnego projektu”. Biedny, repetował przez to na trzecim roku.

Bez wątpienia niezwykłą osobowością był prof. Michał Mazur ze Lwowa. Wykładał budownictwo wodne (żeglugę śródlądową, budowę jazów i zapór, wodociągi i kanalizację). Był niezwykle życzliwy dla wszystkich, również studentów. Nasz kolega – Heniu Mańczak – mawiał: „Mazur to spotkanemu psu schodzi z drogi, żeby pies nie musiał schodzić jemu”. Na egzamin do profesora wszyscy przychodzili bardzo dobrze przygotowani, nikt po prostu nie śmiał zawieść jego zaufania i dobroci. Toteż nie było gorszych not od czwórki. Dopiero gdy byłem już asystentem u prof. Mazura, zdarzyło się, że na egzamin stawił się student kompletnie nieprzygotowany. Profesor tak się zdenerwował, że zasłabł. Od tego czasu kolega Mieciu Mysiak i ja, jako asystenci, wstępnie testowaliśmy każdego, zanim dopuściliśmy go przed oblicze profesora. Egzamin u nas był bardzo szczegółowy, kto przeszedł przez nasze „sito”, ten u profesora zdawał co najmniej na cztery.



Do bardzo lubianych należał prof. Józef Kozuchowski, ze względu na niski wzrost i krótki sterczący wąsik pieszczotliwie nazywany „Żuczkiem”. Wykładał nam miernictwo (geodezję) i rachunek wyrównawczy. Miał śmieszne poniemieckie autko, kabriolet na wąskich kołach ze szprychami. Pewnego dnia jacyś dowcipnisie wnieśli ten samochodzik na podest pod arkadami, przy głównym wejściu do Gmachu Głównego. Gdy profesor wyszedł z gmachu, stanął jak wryty. Nie wiedział, co zrobić. Autko co prawda było leciutkie, ale jak sobie samemu z nim poradzić. I wtedy „znaleźli” się studenci, którzy znieśli je na ulicę. „Żuczek” był im bardzo wdzięczny i serdecznie dziękował. A oni mieli nieprzeciętną uciechę. Historia ta była długo opowiadana, ale nie wiadomo, ile w niej prawdy.

Niecodzienną postacią był dojeżdżający z Warszawy prof. Ludomir Suwalski, prowadzący przedmioty: budownictwo żelbetowe, technologia betonu, mechanika gruntów i fundamentowanie. Nazywaliśmy go „El-sinus”, ze względu na kształt jego podpisu w indeksach. Był bardzo bezpośredni. Zdarzyło się, że podczas jego wykładu (ostatniego w tym dniu), ktoś z sali głośno zaproponował wcześniejsze zakończenie, co wywołało aplauz kolegów. Profesor bez sprzeciwu skończył wykład i powiedział: „no to koniec na dziś, a teraz idziemy do domu”. Innym razem opowiadał o swoich studiach w Berlinie, podczas których na jeden semestr pojechał do Paryża. Po powrocie wypytywano go, jak sobie radził z „językiem”. Przyznał, że początkowo się brzydził, ale w końcu przywykł i uznał, że nie było to złe, a nawet fajne.

Koledzy, którzy wybrali specjalizację z budownictwa wodnego, mieli do zaliczenia kilka wykładów prowadzonych w Wyższej Szkole Rolniczej (popularnie zwanej „Wysrolem”). Było to m.in. rolnictwo i botanika rolnicza. Wykładał je bardzo miły prof. Zygmunt Golonka. Już na pierwszych zajęciach zaskarbił sobie naszą sympatię i uznanie, kiedy na samym wstępie powiedział: „pamiętajcie panowie, że ziemia na wiosnę jest jak kobieta – wilgotna i żądna zapłodnienia”. Oczywiście wszyscy zapamiętaliśmy tę myśl.

## Lwowska organizacja studiów i dyplomów

Organizacja studiów była w tym okresie wzorowana na przedwojennej. Nauka trwały cztery lata (osiem semestrów), a na zakończenie był klauzurowy sześciodniowy pisemny egzamin dyplomowy. Po kilku dniach – jeszcze egzamin ustny. Sprawdzian pisemny obejmował projekt koncepcyjny zadanego obiektu (ja miałem jaz stały i ruchomy oraz elektrownię wodną). Pierwszego dnia opracowywało się szkic koncepcji i określało podstawowe parametry wymiarowe obiektu. Etap ten był konsultowany i zatwierdzany przez profesora, a następnie dyżurni asystenci zamalowywali rysunki farbą

wodną, aby nie można było nic w nich zmienić czy poprawić. Przez pozostałe pięć dni rozpracowywało się projekt; osiem, dziesięć godzin dziennie na sali pilnowanej przez asystentów. W domu można było studiować literaturę czy robić szczegółowe obliczenia. Po sześciu dniach (sobota) prace zbierano. W ciągu tygodnia były oceniane przez odpowiednich profesorów (zależnie od tematu), następnie Rada Wydziału ustalała dla każdego zdającego liczbę i rodzaj przedmiotów, jakie miał zdawać ustnie. Im lepsze oceny miał student w indeksie i z pisemnej pracy dyplomowej, tym mniej przedmiotów zdawał ustnie: najmniej jeden, a maksimum pięć.

Egzamin dyplomowy zdałem i zakończyłem studia w 1950 roku.

W ciągu kilku lat naszych studiów Politechnika znacznie się zmieniła. Zatarły zostały ślady wojny i oblężenia, powstało nowe życie, rozpoczęła się intensywna praca dydaktyczna i naukowa. Przeczuwając, że po zakończeniu czterech lat wspólnych znojęw rozejdziemy się i być może nigdy nie zbierzemy ponownie w pełnym składzie, zorganizowaliśmy komers, który odbył się w ówczesnym hotelu przy ul. Kopernika. Postanowiliśmy wtedy, że co pięć lat będziemy spotykać się na zjazdach koleżeńskich pierwszych absolwentów Wydziału Inżynierii. I tak w istocie dzieje się do dziś dnia.

## Początek pracy dydaktycznej i naukowej

**W** 1950 roku, kiedy kończyłem studia, utworzony został na Politechnice Wydział Inżynierii Sanitarnej. Wówczas absolwentów Politechniki obowiązywał przymus pracy w instytucji państwowej przez okres trzech lat. Przydział wydawała komisja wydziałowa kierowana przez prof. Józefa Kożuchowskiego, który na prośbę profesora Mazura wyreklamował mnie jako przyszłego asystenta. Pracę rozpocząłem w lutym 1951 r., początkowo u prof. Aleksandra Szniolisa w Katedrze Techniki Sanitarnej na Wydziale Budownictwa, a od października już na etacie w nowo utworzonej na Wydziale Inżynierii Sanitarnej Katedrze Wodociągów i Kanalizacji, kierowanej przez prof. Michała Mazura.

Profesor Mazur był moim mistrzem nie tylko w Katedrze Wodociągów i Kanalizacji. Pracowałem pod jego kierunkiem już wcześniej, najpierw w Biurze Projektów Spółdzielni Inżynierskiej, a potem we Wrocławskim Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego, gdzie był naszym konsultantem. Nauczył mnie rzetelnego wypełniania obowiązków i tolerancji dla innych.

Początkowo Wydział Inżynierii Sanitarnej mieścił się w Gmachu Hutniczym (B-1), a w roku 1954 został przeniesiony do nowego budynku przy

pl. Grunwaldzkim (obecnie D-2), wzniesionego dla zlikwidowanego w międzyczasie Wydziału Lotniczego. Jego budowę rozpoczęto w 1952 r. tzw. szybkościową metodą trójkową (jak w filmie Wajdy *Człowiek z marmuru*). Metoda ta zawiodła, gdy mury osiągnęły poziom okien, ponieważ wykonanie otworów okiennych wymagało pracy dokładnej i fachowej.

\* \* \*

Jako asystent w 1951 r. uczestniczyłem w rekrutacji pierwszych kandydatów na nowy wydział. Byli wśród nich późniejsi wybitni specjaliści, jak np. Apolinary Leszek Kowal, Edward Kempa, Stanisław Ołpiński, Jerzy Tymoszczuk i inni. Duża część ubiegających się wtedy o indeks była przekonana, że inżynieria sanitarna to coś bliskiego medycynie. Tak naprawdę to nikt, z wyjątkiem prof. Szniolisa, nie wiedział dokładnie, co to właściwie jest. Czegoś takiego nie było dotąd ani w Polsce, ani w Europie. W roku 1950 powołano jednocześnie dwa takie wydziały: we Wrocławiu i w Warszawie. Tworzone były pierwsze programy nauczania, charakteryzujące się szerokim wachlarzem przedmiotów niespotykanych na innych wydziałach, począwszy od biologii i chemii, poprzez budownictwo, wytrzymałość materiałów, do urządzeń mechanicznych. Jest to autentycznie bardzo trudny wydział.

\* \* \*

W październiku 1952 r. zmarł nagle na serce, podczas urzędowania w Katedrze, nasz nieodżałowany szef – prof. Michał Mazur. Przez okres krótkiej współpracy zdążył zachęcić mnie do zajęcia się hydrauliką sieci wodociągowych i ujęć wód podziemnych. Tym właśnie zagadnieniom poświęciłem większość mojego naukowego życia. Następcą prof. Mazura został zastępca profesora – mgr inż. Tadeusz Gabryszewski.

Ta przedwczesna śmierć pozbawiła mnie mistrza. Byłem zdany na własne siły. Dlatego długo borykałem się z wymyśleniem sobie tematu dysertacji doktorskiej. Panował wówczas pogląd, że temat to już połowa doktoratu. Tylko nieliczni z nas mieli szefów z doktoratami, mogących pomóc przynajmniej w wyborze tematu pracy naukowej prowadzącej do doktoratu. Nasi młodzi koledzy nie doceniają wagi promotora w tej właśnie sprawie.

Na początku lat sześćdziesiątych Wydział przeżywał kryzys kadrowy. Pracowało tu wtedy zaledwie dwóch profesorów tytularnych i jeden docent, a poza nimi jedynie wykładowcy i zastępcy profesorów. Groziła nam zapowiadana przez Ministerstwo likwidacja. Że do tego nie doszło, było w dużej mierze zasługą ówczesnego dziekana, prof. Gabryszewskiego, który wyjednał zgodę Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego na dalszą działalność

Wydziału, zapewniając, że w ciągu trzech lat liczebność nominowanej kadry naukowej istotnie wzrośnie. W roku 1964 było już trzech profesorów tytularnych i czterech docentów, a w roku akademickim 1967/1968 liczba profesorów tytularnych wzrosła do czterech, a docentów habilitowanych nawet do siedmiu! Dla upamiętnienia roli prof. Gabryszewskiego w tym niezwykle ważnym dla Wydziału wydarzeniu, w 2007 roku gmach D-2, na mój wniosek, został nazwany Jego imieniem, co uwidacznia tablica pamiątkowa wmurowana na frontowej ścianie.

## Reorganizacja Uczelni i Wydziału Inżynierii Sanitarnej

Z dniem 1 września 1968 roku nastąpiła zasadnicza zmiana struktury organizacyjnej Politechniki Wrocławskiej, wprowadzona przez ówczesne władze uczelni i uczelniany Komitet PZPR. W rezultacie z końcem sierpnia tego roku zlikwidowano katedry, a powołano do życia instytuty, w skład których weszły dawne katedry w postaci zakładów. Po tej reformie jednostki organizacyjne niedawno ustabilizowanego Wydziału znalazły się w kilku instytutach i na różnych wydziałach. Katedra Wodociągów i Kanalizacji weszła w skład Instytutu Inżynierii Sanitarnej i Wodnej. Wobec tego, iż prof. Gabryszewski przeniósł się w tym czasie na Politechnikę Krakowską, na stanowisko kierownika (początkowo Katedry, a potem Zakładu Wodociągów i Kanalizacji) zostałem powołany ja. Okazało się jednak, że reforma struktury naszego wydziału z 1968 r. była dla władz Uczelni jeszcze niewystarczająca, toteż w roku 1972 doszło do kolejnej reorganizacji. Ówczesne władze uczelni (prof. Tadeusza Porębski – rektor i prof. Waclaw Kasprzak – prorektor) zamierzały powołać na Wydział, w miejsce Instytutu Inżynierii Sanitarnej i Wodnej – Instytut Ochrony Środowiska (I-15) ze zmniejszoną liczbą zakładów, tj. Biologii i Higieny (BH), Ochrony Atmosfery (OA), Technologii Wody i Ścieków (TWS) i Mechanicznych Urządzeń Sanitarnych (MUS). Zakłady Budownictwa Wodnego (BW) oraz Zakład Wodociągów i Kanalizacji, przemianowany na Zakład Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków (WK), miały być przeniesione na Wydział Budownictwa Lądowego, a Zakład Instalacji Sanitarnych (IS) do Instytutu Inżynierii Chemicznej (I-13).

Wobec categorycznych protestów liderów Zakładu TWS – prof. Edwarda Kempy i Apolinarego Kowala, dyrektora I-15 i jednocześnie kierownika Zakładu MUS – prof. Fryderyka Jankowskiego, a także mojego jako kierownika Zakładu WK, propozycja rektorów upadła. Ostatecznie powołano Instytut Inżynierii Ochrony Środowiska I-15 z Zakładami BH, OA, MUS i WK, a zakłady BW i IS przeniesiono zgodnie z propozycją kierownictwa Uczelni.

W roku 1990 natomiast na mój wniosek, uchwałą Rady Wydziału, została zmieniona nazwa naszego Wydziału na Wydział Inżynierii Środowiska.

## Zakład Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków

Zakład Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków w 1972 r. liczył dziesięciu nauczycieli akademickich i trzech pracowników inżynieryjno-technicznych. Liczby te nie ulegały później istotnym zmianom, gdyż na miejsce osób odchodzących z Zakładu przyjmowano nowych, młodszych. Większość pracowników, którzy przewinęli się lub pozostali w Zakładzie, zrobiło pod moim kierunkiem rozprawy doktorskie (niektórzy z wyróżnieniem), trzy osoby rozprawy habilitacyjne, z tego dwie uzyskały tytuły profesora.

W ten sposób powstała i rozwijała się Wrocławska Szkoła Naukowa Wodociągów i Kanalizacji, której działalność obejmowała i obejmuje podstawy optymalnego projektowania i eksploatacji systemów wodociagowych i kanalizacyjnych w aglomeracjach miejsko-przemysłowych.

Prace badawcze i studialne Szkoły były prezentowane w postaci licznych monografii (23 doktoraty i 3 habilitacje), kilkuset publikacji krajowych i zagranicznych oraz w materiałach z krajowych i międzynarodowych kongresów naukowych, a także w podręcznikach i skryptach.

Wykonywane prace badawcze były finansowane po części ze środków centralnych i własnych Politechniki, ale znakomita większość realizowana była w ramach tzw. współpracy z przemysłem i gospodarką komunalną.

Począwszy od lat sześćdziesiątych, kierowany przeze mnie Zakład rozwinął współpracę z odpowiednimi katedrami bądź instytutami uczelni technicznych w Brnie (Czechy), Dreźnie i Lipsku (Niemcy), po części w Tbilisi (Gruzja), Moskwie i Petersburgu (Rosja) oraz w Mosalu (Irak). Współpraca sprowadzała się do wymiany obszernych informacji na temat prowadzonych badań i otrzymywanych wyników, wymiany publikacji, a także wizyt pracowników oraz wzajemnego uczestnictwa w organizowanych konferencjach naukowych.

\* \* \*

W roku 1995, po 45 latach pracy naukowo-dydaktycznej na Politechnice, odszedłem na zasłużoną emeryturę. Kierownikiem Zakładu został mój uczeń, prof. Zbigniew Siwoń, obecnie też już emeryt. Teraz zespołem kierują prof. Andrzej Kotowski i dr hab. Halina Hotłoś z kolejnego pokolenia moich studentów. W dalszym ciągu staram się, w miarę potrzeby, pomagać byłym współpracownikom, służąc im radą i pomocą w rozwiązywaniu coraz to no-

wych problemów. Zresztą z ogromnym sentymentem odwiedzam miejsca, gdzie spędziłem tyle lat, gdzie byłem świadkiem wielu sukcesów naukowych własnych i młodszych ode mnie kolegów.

## Jubileuszowe zjazdy pierwszych absolwentów Politechniki Wrocławskiej

Zgodnie z postanowieniem podjętym w 1950 r. na komersie z okazji zakończenia studiów co pięć lat organizujemy zjazdy koleżeńskie. Dawniej brali w nich udział również nasi profesorowie, adiunkci i asystenci, a do pewnego czasu bywał również i rektor Smoleński. Szczególnie uroczysty był zjazd w 1970 roku, w 25. rocznicę powstania Politechniki, połączony ze zjazdem wszystkich pierwszych absolwentów tej Uczelni. Z tej okazji wydana została *Księga XXV-lecia Politechniki Wrocławskiej*.

W roku 1985, z okazji 40-lecia Politechniki Wrocławskiej, odbył się ponowny jubileuszowy zjazd pierwszych słuchaczy wszystkich wydziałów Politechniki, rozpoczynających studia w 1945 r. Ten zjazd miał dla nas szczególną wymowę, gdyż patronował mu rektor naszej uczelni, zarazem nasz kolega – jeden z pierwszych absolwentów Wydziału Budownictwa, prof. Jan Kmita. Od tego czasu co pięć lat organizowane są zjazdy wszystkich pierwszych słuchaczy Politechniki.

Bardzo uroczyste było spotkanie dziesięć lat później, w 1995 roku, z okazji 50-lecia Uczelni. Wzięli w nim udział liczni goście z polskich i zagranicznych ośrodków akademickich. Wydano wówczas *Księgę Jubileuszową 50-lecia Politechniki Wrocławskiej 1945–1995*, a JM Rektor prof. Andrzej Wiszniewski podkreślił w swoim inauguracyjnym zjazdowym wystąpieniu, że nasza Uczelnia powstała z materialnej spuścizny Technische Hochschule Breslau (THB) istniejącej od 1910 r., dzięki determinacji profesorów wypędzonych ze Lwowa, którzy odważyli się zamieszkać tu, wśród morza gruzów.

W 2005 roku spotkaliśmy się po raz kolejny, tym razem na jubileuszu 60-lecia Politechniki Wrocławskiej. Jest nas coraz mniej – żyjących pierwszych absolwentów i słuchaczy, z tym większą radością spotykamy się więc na tego rodzaju uroczystościach. Teraz czekają nas obchody 100-lecia THB – poprzedniczki naszej Politechniki. W ramach tego jubileuszu odbył się również kolejny (może już ostatni) zjazd wszystkich żyjących pierwszych słuchaczy polskiej – od 65 lat już – Politechniki Wrocławskiej. Część z nas, niestety, nie doczekała tego podniosłego święta. Mam nadzieję, że pamięć o pionierach i twórcach polskiej nauki we Wrocławiu nie zaginie i pielęgnować ją będą nasi uczniowie i następcy.

# Ferdynand Niškiewicz

## Wrocław 1954–1959

### Wstęp

**N**a początku września 2009 roku uczestniczyłem w zjeździe koleżeńskim naszego roku, który odbył się w 50. rocznicę ukończenia studiów na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Kiedy rankiem 5 września maszerowaliśmy – w gronie kilku koleżanek i kolegów – na nasze pierwsze spotkanie, zastąpiła nam drogę bardzo młoda dziewczyna (w wieku licealnym) z mikrofonem w ręku i poprosiła o kilka słów na temat: „Jak oceniamy przygotowanie Wrocławia do rozpoczynającego się roku szkolnego.” Chodziło jej głównie o zagadnienia bezpieczeństwa dzieci w drodze do szkoły. Byliśmy kompletnie zaskoczeni...



Myśli nasze krążyły wokół Wrocławia sprzed pół wieku, a tu nagle takie „przyziemne” pytanie. Wyjaśniliśmy, co spowodowało nas dziś w to miejsce i czym aktualnie zaprzątnięte są nasze myśli oraz że nie mamy kompletnie pojęcia, czy i na ile bezpieczne są drogi do szkoły. Była naszym oświadczeniem wyraźnie zdziwiona, podobnie zresztą jak my, zaskoczeni, że „posądzała” nas o dzieci w wieku szkolnym... Powiedzieliśmy następnie, że o Wrocławiu nie usłyszy od nas żadnego złego słowa.

„Wrocław jest cool”. Pamiętaliśmy bowiem dobrze to miasto sprzed pół wieku...

\* \* \*

Przystępując do pisania niniejszych wspomnień, zastanawiałem się, jaką im nadać formę. Organizatorzy konkursu pt. „Politechnika Wrocławska w mojej pamięci” zostawili tu wszakże pełną swobodę, ale dla ułatwienia sobie pracy, lepiej od początku przyjąć jakąś konwencję.

Kiedy otworzyłem mój indeks i przejrzałem jego zawartość, doszedłem do wniosku, że najwygodniej będzie pisać w oparciu o „historyczną” kolejność zdarzeń. Uznałem też za celowe przybliżenie sylwetki autora wspomnień, gdyż wiele zachowań bierze się – czasem całkiem podświadomie – z naszych postaw ukształtowanych w odległej przeszłości. Dlatego też pozwoliłem sobie na powrót do czasów szkoły średniej, kiedy przyszło mi dokonywać pierwszych świadomych wyborów.

Wspominając poszczególne postacie, używałem niekiedy tylko inicjałów imienia i nazwiska. Nigdy nie wiadomo, czy zainteresowana osoba zechciałaby być w pełni rozpoznana. Moje Koleżanki i Kolegów z roku przedstawiam w „pełnej krasie”.

Przecież to opowieść o nas z tamtych lat...

## Wrocław 1954 roku – a właściwie trochę przed...

W jedenastej klasie zdecydowałem się, że moją dalszą edukację będę kontynuował na Politechnice, na Wydziale Chemicznym. O wyborze uczelni zdecydował fakt, że mój najstarszy brat od czterech już lat studiował na Uniwersytecie Wrocławskim i wynajmował pokój przy ulicy Braci Giermskich, nie byłem więc skazany na ubieganie się o akademik.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że wcale nie miałem pewności, że dostanę się na studia. Tenże mój brat starał się przez kolejne dwa lata, zanim – jak to mówił – „nauczył się pisać życiorys”. Mieliśmy „niedobre” pochodzenie. Ojciec (przed 1939 rokiem) był kupcem i to „kładło na łopatki” wszelkie nasze starania, mimo że wyniki w nauce nie były najgorsze. W jedenastej klasie, w ramach kompletowania dokumentów na studia, polecono nam (między innymi) przynieść oryginał metryki urodzenia. Na moje nieszczęście w domu był taki dokument, na którym widniał zawód ojca: kupiec. Zaniośłem go do sekretariatu szkoły. Po pewnym czasie poproszono mnie, abym przyniósł metrykę urodzenia, gdyż tego dokumentu w mojej teczce wciąż brakuje. Zdziwiony oświadczyłem, że nie mam więcej oryginałów metryki. – „To przynieś odpis!” – brzmiała odpowiedź.

Pojechałem do odpowiedniego Urzędu Stanu Cywilnego i przywiozłem odpis, w którym nie było już ani słowa o charakterze pracy mojego ojca... Do dzisiaj jestem wdzięczny nieznannej mi osobie z administracji szkoły w Kwidzynie, która „pozbawiła” mnie oryginału metryki, umożliwiając tym samym rozpoczęcie studiów...

Dzisiaj nie każdy o tym wie, że w owych czasach od pochodzenia zależało bardzo wiele. Najwyżej punktowane było – rzecz jasna – robotniczo-chłopskie. Inteligencja pracująca to była druga kategoria. Po wojnie wszyscy mie-



li już „odpowiednie” pochodzenie, gdyż władza ludowa wykończyła w latach pięćdziesiątych prywatny handel, w którym mój ojciec – po pięciu latach spędzonych w niemieckim obozie jenieckim dla oficerów – usiłował rozpocząć swoją działalność zawodową. Otrzymał kilka „domiarów” z Urzędu Skarbowego uznał, że dalsza tego typu działalność nie ma sensu i podjął pracę w spółdzielni o pięknej nazwie „Samopomoc Chłopska”. Od tego momentu stał się pracownikiem umysłowym.

Ale „władza” chciała wiedzieć, kim był przed wojną... Wpisanie, że kupcem, *a priori* skazywało go na dyskwalifikację. Na czym polegało „odkrycie” mojego najstarszego brata? Otóż „przekwalifikował” on ojca do inteligencji pracującej, gdyż przez pewien czas – zanim podjął działalność „na własny rachunek”, w wyuczonym kupieckim zawodzie – zatrudniony był w Straży Celnej, w randze... przodownika. „Przodownik Straży Celnej” – taki był więc w ankietach personalnych zawód naszego ojca przed wojną. A to był już pracownik umysłowy, a nie „wraży” drobnomieszczanin...

Straż Celna – w odróżnieniu od Korpusu Ochrony Pogranicza – występowała na pewno na granicy Polski z Prusami Wschodnimi, w owym osławionym „korytarzu”. Mieszkaliśmy wówczas w Gniewie (moim rodzinnym mieście), a za Wisłą, na wschodzie, były już Prusy Wschodnie z Marienwerder, czyli Kwidzynem, moim drugim rodzinnym miastem. Tam zdałem maturę i „pozbawiony zostałem” oryginału metryki urodzenia. Zawód kupca został raz na zawsze wyeliminowany z naszych ankiet personalnych...

Miałem też inny słaby punkt w ankiecie: nie należałem do ZMP. W 1950 roku, kiedy trwała intensywna kampania na rzecz naboru do tej organizacji, byłem „obrażony” na władzę, gdyż zlikwidowała ZHP, w którym aktywnie działałem, a powołała Organizację Harcerską Związku Młodzieży Polskiej (OHZMP). Zabrano nam stare symbole, czego nie mogliśmy tolerować. W ramach „małego sabotażu” usuwaliśmy z harcerskiej tablicy ogłoszeń symbol Organizacji Harcerskiej ZMP, którym zaklejano „naszą” lilijkę. Mieliśmy „radochę”, kiedy przed porannym apelem (tak, tak – było coś takiego w każdej szkole), woźny zrywał resztki papierowej kartki, na której wymalowany był znak „nowego harcerstwa”.

Mimo licznych „podchodów”, aby zwerbować mnie do ZMP, do końca dziewiętej klasy udało mi się tego uniknąć. Od 1952 roku przeniosłem się do „ogólniaka” w Kwidzynie, gdzie panowała zupełnie inna atmosfera – pełny luz i żadnych politycznych nacisków, aby wstąpić w szeregi „jedynie słusznej organizacji młodzieżowej”.

Pragmatycznie rzecz biorąc, nie było to postępowanie rozumne. Ryzykować niedostanie się na studia przez nieprzynależność do organizacji młodzieżowej – to nie było mądre. Tak oceniam to dzisiaj...

## Egzamin wstępny

Przyjazd na egzamin wstępny nie był moim pierwszym zetknięciem z Wrocławiem. Byłem tu już bowiem przejazdem, latem 1948 roku, kiedy to wracaliśmy z obozu harcerskiego w Białej Wodzie – pięknej miejscowości w Kotlinie Kłodzkiej. Cała Chorągiew Gdańska ZHP, w skład której wchodził Hufiec Pelplin i nasza drużyna z Gniewu, zrobiła sobie postój we Wrocławiu, aby zwiedzić Wystawę Ziem Odzyskanych.

Podróżowaliśmy pociągiem towarowym, który odstawiono gdzieś na bocznicę, podczas gdy my przyszliśmy pod Halę Ludową i Iglicę pieszo, w zwartym harcerskim szyku. Z samej wystawy pamiętam niewiele. Przed wejściem do Hali Ludowej stała okrągła „wieża”, zbudowana z ocynkowanych wiader. Była też maszyna, która z drutu robiła gwoździe...

Tak się dziwnie składa, że sześć lat później, kiedy przyjechałem do Wrocławia na egzamin wstępny, znowu była tu wystawa, tym razem Krajowa Wystawa Wynalazczości i Postępu Technicznego. Obejmowała tereny wokół Hali, ale także po drugiej stronie ulicy Wróblewskiego, tam gdzie dzisiaj są nowe tereny ZOO.

Można było obejrzeć po raz pierwszy nowy polski motocykl Junak, tłumnie oblegany przez miłośników motoryzacji, oraz wielkie akwarium, w którym nurek spawał i ciął elementy metalowe. Junak miał tyle chromu, że sprawiał niesłychane wrażenie, porównywalne do tego, jakie dzisiaj wywołują harleye. Późniejsze, seryjne junaki już się tak wytwornie nie prezentowały.

Można też było podpatrzeć nurka ubierającego się w strój do przebywania pod wodą. Aby wejść do akwarium, które miało wysokość około trzech metrów, musiał się biedny wspinać w pełnym rynsztunku po drabinie, do górnej krawędzi akwarium, by potem zanurzyć się w wodzie. Następnie podawano mu palnik acetylenowy i rozpoczynała się demonstracja. Wrażenie było duże...

Po pewnym czasie akwarium opustoszało: nurek przypadkowo zbił ciężkim butem jedną szklaną ściankę i cała woda błyskawicznie wyciekła ze zbiornika...

Tyle z pierwszych wrażeń z Wrocławia, z 1954 roku. Z samego egzaminu nie zapamiętałem niczego z głównych przedmiotów, natomiast utkwiło mi w pamięci zupełnie coś innego.

Na egzaminie wstępnym na Politechnikę, oprócz matematyki i fizyki (o dziwo, na chemię nie pytano z chemii, najprawdopodobniej dlatego, że chemię kończyło się w dziesiątej klasie) był egzamin z... nauki o konstytucji. Mnie egzaminował bardzo młody człowiek. Był na pewno jeszcze studentem i „chałturzył” w Katedrze Marksizmu i Leninizmu, dorabiając sobie do stypendium. Wylosowałem pytanie, które brzmiało: „Historyczne warunki powstania państw demokracji ludowych”. W szkole średniej mie-

liśmy starego profesora, który wykladał – oprócz historii – także naukę o konstytucji. Przekazywał on nam tzw. „szlagworty”, które pozwalały zapamiętać istotę tak nieokreślonych „prawd”, jakich uczono w przedmiotach ideologicznych. Kiedy usłyszałem pytania, natychmiast przyszedł mi do głowy jeden ze „szlagwortów” i zacząłem odpowiadać w następujący sposób:

– „Kiedy w 1945 roku Polska i inne kraje demokracji ludowej, dzięki zwycięstwu Armii Czerwonej, odzyskały niepodległość...”

– „Dziękuję” – usłyszałem z ust egzaminatora.

To był najkrótszy egzamin w moim życiu.

Jak widać, można było, nie będąc członkiem organizacji młodzieżowej, sprawiać wrażenie „wyrobionego politycznie” i bez trudu zdawało się nawet ideologiczne egzaminy.

\* \* \*

Po powrocie do domu pozostało tylko czekanie na informację z Wrocławia. Muszę przyznać, że nauczony doświadczeniem brata, nie miałem zbyt wielkich nadziei, że zostanę przyjęty na studia. Mój kolega ze szkolnej ławy, który zdawał na leśnictwo do Poznania, dostał już zawiadomienie o przyjęciu, a u mnie – ciągle nic. Wreszcie, pod koniec sierpnia, przyszedł druczek z Politechniki Wrocławskiej podpisany przez dziekana, prof. Edwina Płażka, z zawiadomieniem, że zostałem przyjęty na pierwszy rok Wydziału Chemii i że przyznano mi także stypendium!

To przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania. Byłem w pełni usatysfakcjonowany.

## Jestem studentem

A by ułatwić sobie wspomnienia, wydobylem z domowego archiwum indeks, którego stronę tytułową przedstawiam na zdjęciu.

Na stronie tytułowej widnieją podpisy: rektora – prof. Dionizego Smoleńskiego oraz dziekana prof. Zdzisława Tomasika. Nie mogłem wówczas zdawać sobie sprawy, że za kilka lat u prof. Tomasika będę wykonywał dyplom i pisał pracę magisterską, a także z tego, że cała moja późniejsza działalność zawodowa będzie związana z technologią przerobu ropy naftowej.

Przeglądając kolejne strony indeksu, nazwiska wykładowców, uzyskiwane stopnie na egzaminach, stają mi przed oczami bardziej lub mniej zatarte wspomnienia z przeszłości.

Jedno jest pewne i trzeba się do tego samokrytycznie przyznać – nie należałem do studentów, którzy lubili się pracować. Nie byłem też zwol-



Strona z indeksu

nikiem psucia sobie wakacji przez to, że nie zaliczyłem w terminie jakiegoś egzaminu – chociaż nie zawsze mi się to udawało.

Na jedenastej stronie mojego indeksu, w rubryce ocena z przedmiotu chemia nieorganiczna, mam ocenę niedostateczną, przekreśloną, a poniżej, z tą samą datą – 14 czerwca 1955 – wpisaną ocenę dostateczną. Tego przekreślenia dokonał osobiście prof. Włodzimierz Trzebiatowski! Jak do tego doszło? Otóż wykłady z chemii nieorganicznej prowadziła wówczas prof. Bogusława Trzebiatowska – małżonka prof. Trzebiatowskiego, ale egzaminowali głównie asystenci. Ja zdawałem egzamin u mgr. Barana. Zdałem na dostateczny, jakie więc było moje zdziwienie, kiedy przyszedłem odebrać indeks do sekretariatu w gmachu Starej Chemii i zobaczyłem, że wstawiono mi ocenę niedostateczną. W tym samym momencie wszedł do sekretariatu prof. Trzebiatowski. Widząc moje emocje, zapytał w czym rzecz. Wyjaśniłem, że zaszła pomyłka z wpisem mojej oceny z chemii.

– „Niech pan zatem pozostawi indeks w sekretariacie i pomyłka zostanie naprawiona” – powiedział.

– „Nie mogę, panie profesorze, gdyż jutro mam egzamin z marksizmu.”

Na to on, śmiejąc się pod sumiastym wąsem:

18		POLITECHNIKA WROCLAWSKA WE WROCLAWIU		11			
Nazwisko i imię <i>Wiskiewicz Ferdynand</i>		Rok studiów <i>1-224</i>		Rok szk. 195 <i>4.155</i>			
Semestr <i>II-gi (letni)</i>							
Nazwisko wykładowcego	Rodzaj zajęcia i nazwa przedmiotu	Egzamin					Zaliczenie wnoszone – podpis dyktando – procent
		ocena	Data	Podpis			
<i>Wł. Gaj</i>	<i>Fizyka (wykłady)</i>	<i>4</i>	<i>25.11.55</i>	<i>JG</i>			<i>Prof. dr. B. Trzebiatowski</i>
<i>Wł. Gaj</i>	<i>Fizyka (wiczenia rachunkowe)</i>	<i>4</i>	<i>25.11.55</i>	<i>JG</i>			
<i>Wł. Gaj</i>	<i>Fizyka (laboratorium)</i>	<i>4</i>	<i>25.11.55</i>	<i>JG</i>			
<i>Prof. dr. B. Trzebiatowski</i>	<i>Chemia nieorganiczna (wykłady)</i>	<i>3</i>	<i>17.06.55</i>	<i>BT</i>			
<i>Prof. dr. B. Trzebiatowski</i>	<i>Chemia nieorganiczna (wiczenia rachunkowe)</i>	<i>3</i>	<i>17.06.55</i>	<i>BT</i>			
<i>Prof. dr. B. Trzebiatowski</i>	<i>Chemia nieorganiczna (laboratorium)</i>	<i>3</i>	<i>17.06.55</i>	<i>BT</i>			

Strona z indeksu

– „W takim razie – proszę pana – przekreślę ten stopień, aby nie wpłynęło to na ocenę z marksizmu. Ha, ha, ha...!”

Jak powiedział, tak zrobił.

Przekreślenie wykonał, prowadząc wieczne pióro od prawej strony ku lewej, zaczynając od nazwiska swojej małżonki.

Zabrałem indeks i 17 czerwca 1955 roku zaliczyłem egzamin z marksizmu. Pisząc te słowa w 2009 roku, postanowiłem sprawdzić, w jakich dniach tygodnia „rozgrywały się” opisywane tu zdarzenia.

Dzięki internetowi ustaliłem, co następuje:

Dzień 14 czerwca w 1955 roku przypadał w poniedziałek, natomiast 17 czerwca, kiedy zdawałem egzamin z marksizmu – czwartek. Mogłem zatem odbierać indeks z błędnie wpisaną oceną z chemii najprawdopodobniej we wtorek albo nawet w środę. Mając egzamin z marksizmu wyznaczony na czwartek, nie mogłem ryzykować pozostawienia indeksu w sekretariacie. Wykonując swoją własną ręką jedyną w moim indeksie kreskę, prof. Trzebiatowski „zapewnił” mi zdanie marksizmu z oceną dostateczną w dniu 17 czerwca.

– Dzięki, Panie Profesorze!

Popatrzmy na kolejne strony indeksu. Na pierwszym roku marksizm wykladał mgr J., u którego zaliczyłem w czerwcu ów „sławetny” egzamin. Mieliśmy także ćwiczenia z tego przedmiotu, polegające przede wszystkim na przygotowywaniu sążnistych konspektów z wyznaczonych dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Robiło się to w czytelni „marksistowskiej”, która mieściła się w którymś z nowych gmachów Politechniki, przy placu Grunwaldzkim. O ile mieliśmy prywatne książki z chemii, fizyki itp., o tyle nie znam nikogo, u kogo widziałbym pięknie oprawione w sztywne okładki (i bardzo tanie) dzieła klasyków filozofii marksistowskiej...

Na drugim roku wykładowcą marksizmu był obdarzony obfitą czupryną i sumiastym wąsem prof. Tadeusz P. Kiedy chciał podkreślić, że nie zgadza się z jakimś poglądem, używał ulubionego zwrotu: „Jest to naukowo niesłuszne, a politycznie wrogie”...

W burzliwym okresie po październiku 1956 roku organizowano – jak wiadomo – wiele wieców. Na jednym z nich, odbywającym się na Wybrzeżu Wypiańskiego, zobaczyłem wśród członków „prezydium”, ulokowanego na tarasie budynku AZS, pana profesora P. Nie pamiętam, czy przemawiał, ale sam fakt, że tam był oznaczał, że umiał się znaleźć „w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu”...

Popatrzmy na dalsze nazwiska z indeksu, te, z którymi wiążą się jakieś „szczególne” wspomnienia. Na drugim roku pojawia się ppłk A. Gawdzik i prowadzone przez niego studium wojskowe. O tym przedmiocie – zwłaszcza mężczyźni – mogą rozmawiać godzinami.

Co dwa tygodnie mieliśmy całodzienne zajęcia wojskowe, przebrani w zielone wypłowiałe kombinezony i wojskowe buty, które każdorazowo należało dopasować do własnego rozmiaru. Wielce przydatne okazały się onuce. Dzięki nim można było dobierać buty o jeden lub dwa numery większe, bo „luzy” wypełniały właśnie one i zapobiegały bolesnym otarciom. Należało też nauczyć się poprawnie je zakładać, gdyż na obozach wojskowych, kiedy paradowaliśmy w okazałych „saperkach”, onuce były jedyną ochroną obolałych stóp.

Mieliśmy całą galerię wykładowców od poszczególnych specjalistycznych przedmiotów wojskowych. Wydział Chemiczny kształcił przyszłych „wojskowych chemików”, podczas gdy reszta Politechniki to byli „zwyczajni saperzy”...

Na naszych zajęciach saperskich, wykładowca – kapitan, wypowiedział taką oto definicję łopatki saperskiej: „Łopatką saperską składa się z: *członka*, *konchy* i *pierścienia wzmacniającego*.” I zamiast zwyczajnie mówić „piasek”, mówił „pijasek”: „Pijasek studenci...” – i tu następował dalszy ciąg informacji, w której „pijasek” odgrywał kluczową rolę.

No a wakacyjne obozy wojskowe to już prawdziwa kopalnia tematów... Obawiam się, że gdybyśmy zaczęli o tym pisać, nie starczyłoby miejsca na nic

innego. Może przy okazji prezentacji zdjęć z tamtego okresu, uda się coś więcej opowiedzieć na temat ludzi i zdarzeń.

## Wrocław\_54

Sposób, w jaki napisałem Wrocław\_54, świadomie nawiązuje do formy, zaprezentowanej po raz pierwszy przy okazji światowej wystawy w Brukseli, w 1958 roku. Pisano wtedy – EXPO\_58. Prosto i nowatorsko, a słynne *atomium* znał każdy, kto czytał gazety. À propos – prasa. We Wrocławiu w tamtych czasach wychodziły dwie podstawowe gazety lokalne: „Słowo Polskie” i „Gazeta Robotnicza”. W kiosku zawsze pytano najpierw o „Słowo”, a jeśli go już nie było, z konieczności kupowano „Robotniczą”. „Słowo Polskie” było redagowane lekko i przyjemnie. Z okazji *prima aprilis* na przykład, zamieszczało niezwykle ogłoszenia w rodzaju: „Kto 1-go kwietnia przyjdzie na plac Grunwaldzki zaopatrzone w kubek – temu do tego kubka wleje się (za darmo) francuski koniak.”

Lubiłem czytać „wstępniaki” redaktora naczelnego „Słowa” – Mieczysława Markowskiego. Recenzje teatralne i muzyczne w tej gazecie pisał wykładowca Technikum Młynarskiego we Wrocławiu, inż. Wojciech Dzieduszycki. „Gazeta Robotnicza”, jako organ wiadomej organizacji, była ciężkostrawna i redagowana w stylu „wicie, rozumiecie”.

\* \* \*

Najpiękniejszym zakątkiem Wrocławia był dla mnie Biskupin. Zielona, spokojna dzielnica willowa, z dobrze utrzymanymi ogródkami. Wielki Wrocław kończył się na pętli tramwajowej, która w owym czasie zlokalizowana była mniej więcej na wysokości ulic Wyczółkowskiego i Ślewińskiego.

Od końcowego przystanku do mojego pokoiku w domu przy ulicy Braci Gierymskich 87 spacerowałem najczęściej ulicą Ślewińskiego. Kiedyś, gdy wczesnym rankiem wracałem z „imprezy”, piekielnie przestraszył mnie puszczek, który siedział na rynnie willi i „zachichotał” niezwykle głośno, tuż nad moją głową. Czy dzisiaj można tam jeszcze spotkać puszczka?

Na Biskupin dojeżdżały wtedy trzy linie tramwajowe: „dwunastka” z Rynku, „jedyńska” z Karłowic i „czwórka” z Oporowa. Nie było więc żadnych trudności, aby nawet w godzinach szczytu dostać się punktualnie na wykłady i ćwiczenia. Odbywały się one głównie w kompleksie budynków Politechniki, chociaż pamiętam, że mieliśmy też jakieś zajęcia np. w budynku NOT przy ulicy Świerczewskiego. Używam ówczesnych nazw ulic i mój komputer Świerczewskiego podkreśla na czerwono...

Dwie ulice – Kotsisa i Stanisławskiego – zajęte były przez akademiki różnych uczelni, mieszczące się w poniemieckich „szeregowcach”, łukowato cią-

gnących się wzdłuż ulic. Mieszkania były identyczne i dlatego niekiedy dochodziło do takich sytuacji, że „delikwent” będący w „stanie wskazującym” mylił się i usiłował zająć „swoje” łóżko, tyle że na sąsiedniej ulicy...

Dużym wydarzeniem towarzyskim był „bal gałganiarzy” z oryginalnymi i aktualnymi napisami i dekoracjami, zaimprovizowany latem 1956 roku na jednej z tych ulic. Znalazła się tam na przykład kukła milicjanta, która wystawała z kubła na śmieci, trzymając w ręku pałę i odpowiedni tekst informujący o tym, że z milicją żartów nie ma. W owym czasie Milicja Obywatelska została wyposażona w skręcane pałki, które funkcjonariusze nosili w kieszeniach, bo przecież – według oficjalnej propagandy – tylko policja na Zachodzie miała pały do rozpędzania robotniczych manifestacji. We Wrocławiu doszło w tym czasie do incydentu, że kogoś milicja tymi nowymi pałami pobiła. Opinia studencka zareagowała na to błyskawicznie...

Pamiętam też inny fajny napis: „*Piersi w tańcu, piersi w nauce!*” – nawiązujący do bardzo modnego w owym czasie hasła, aby być wszędzie pierwszym...

Biskupin miał jeszcze jedną (czy aby tylko jedną) zaletę. Na południe od ul. Braci Gierymskich, za ogrodami, rozciągały się nadodrzańskie łąki. Świetne miejsce do wypoczynku i uprawiania sportów wszelakich. W pogodne dni sphywało się Odrą aż do jazu przy ZOO. Woda nie była klarowna, ale kto by zwracał uwagę na takie drobiazgi. Zachowało się kilka „stosownych” zdjęć na „tę okoliczność”.



Nad Odrą z przyjacielem





Autor z naszym koreańskim kolegą z roku, Czoj-Man-Dżonem.  
W tle – statek „białej floty”. Jednym słowem – sielanka i gotowy projekt  
na plakat przyjaźni polsko-koreańskiej



Kazio, „hrabia” Międzybrodzki, który też lubił naukę nad Odrą



Autor za chwilę popłynie Odrą, aby „wylądować” w okolicach ZOO

Często spotykaliśmy się tam również po to, aby się pouczyć. W moim podręczniku *Chemii Organicznej* prof. Edwina Płażka znajdują się dwie mocno pożółkłe strony. Widać, że bardzo długo wystawione były na palące słońce, podczas gdy właściciel pewnie w tym czasie poszedł popływać...

Wszystkie te fotografie zostały wykonane w czerwcu 1958 roku.

\* \* \*

Chciałbym na moment powrócić do wrocławskich tramwajów, o których tak pięknie śpiewała Maria Koterbska w znanym szlagierze o niebieskich tramwajach, co to „mkną przez wrocławskich ulic sto”. Naszego kolegę z roku zainspirowało co innego. Najlepiej, kiedy przytoczę (z pamięci) jego dzieło i wszystko będzie jasne:

*Hej, jedzie tramwaj jedzie,  
Widać lasy nóg i rąk.  
Ludzie gniją się jak śledzie,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie, pstrąg!*

*W środku wagonu właśnie ona,  
Naraża wszystkich na sto mąk,*

*Wymęczona, wygnieciona,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie, pstrąg!*

*Za dziećmi po pomostach gania,  
Słysząc ochrypy głos jej z wsząd  
„Płacić za przejazd – bez gadania!”  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie, pstrąg!*

*Każdy z rozkoszą ją omija,  
Ucieka mały, zwiewa drag.  
O Cecylia, Cecylia,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie,  
Skumbria w tomacie, pstrąg!*

Autor – dzisiaj szanowany profesor Politechniki Wrocławskiej, wielbiciel mistrza Ildefonsa, zapożyczył od niego tylko refren. Reszta była jego własnym dziełem, a całość dedykowana pewnej konduktorce, niesłuchanej służbistce, o pięknym imieniu Cecylia...

\* \* \*

Wśród studentów bardzo popularne były karnety na dziesięć przejazdów, w których konduktor dziurkował kolejne wolne pola. Zdarzało się, że próbując „zasklepić” powstały otworek po to, aby zrealizować jeszcze jeden przejazd na już skasowanym polu. Dla przypomnienia. Dziesięć przejazdów ulgowych kosztowało wówczas półtora złotego, a na przykład obiad w stołówce studenckiej – trzy złote.

Technologia „zasklepiania” otworu w karnecie polegała na wielokrotnym „gładzeniu” biletu w tym miejscu, najlepiej paznokciem. Jeśli „ubytek materiału” nie był zbyt duży, czasami udawało się przywrócić prawie „pierwotny” wygląd biletu i konduktor jeszcze raz dziurkował go w starym miejscu. Powodzenie uzależnione było od stanu wzroku konduktora, ale jeszcze bardziej chyba od... jego dobrej woli. Z panią Cecylią takie numery nie przechodziły.

\* \* \*

Letnia sesja egzaminacyjna 1958 – zakończona. Czekaliśmy w sierpniu jeszcze jedna „atrakcja”, a mianowicie obóz wojskowy w Miliczu. Już w czerwcu, w ramach studium wojskowego, ćwiczyliśmy wsiadanie do „eszelonu”. Gdzieś na bocznicę Dworca Głównego stało kilka towarowych wagonów, a do

jednego z nich przystawiono kładkę, po której na komendę: „Do eszelonu!” – wbiegaliśmy do środka.

Zajmowanie miejsc przypominało opowieści Szwejka z ulubionej przez wielu powieści Jarosława Haszka: „Acht Pferde oder vierundzwanzig Mann”. „Osiem koni albo dwudziestu czterech żołnierzy” – tyle regulaminowo mieściło się w jednym wagonie towarowym. Ostatecznie do Milicza pojechaliśmy pociągiem osobowym.

Mam kilka zdjęć z tego obozu. Mieszkaliśmy w dużych namiotach, z których w ciągu dnia wielokrotnie wyganiano nas na zbiórki. Na ogół nie kończyło się to na jednym wyjściu, próbowaliśmy więc „zracjonalizować” nasze postępowanie i nie zawsze wszyscy opuszczaliśmy namiot, kiedy padała komenda: „Kompania! Przed namiotami, w dwuszeregu, ZBIÓRKA!”. Najczęściej bowiem rozlegała się następną: „Do namiotów, rozejść się!”. Powtarzało się to wielokrotnie i cała sztuka polegała na tym, aby wyjść z namiotu dopiero wtedy, gdy istniało duże prawdopodobieństwo, że kapral uzna, iż tym razem zbiórka przebiegła we właściwym tempie.



Od lewej siedzą: Jerzy Zbyryt, Adam Medyński (ze spuszczoną głową), Waldemar Oganowski, Mieczysław Borzych, Kazimierz Międzybrodzki, Józef Łoś, Witold Tęcza, a z „pepeszą” – Józef Kargul. Klęczą, od prawej: Eugeniusz Wójcik, Ryszard Ostrowski i Antoni Czyżak. Stoją, od lewej: Ferdynand Niškiewicz, Franciszek Piwowarski, N.N., Andrzej Słuszkiewicz, Izaak Hendel, Mieczysław Szustakowski, Bogusław Nowicki, kapral ze służby czynnej, Stanisław Biernat, Waldemar Olszewski i Edward Kotuła. Na odwrocie tej fotografii widnieje napis: „41-sza marszkompania przed swoją letnią rezydencją”

Czasami jednak, kiedy nabierał podejrzeń, że w namiocie jakieś „wojsko” jeszcze pozostało, robił kontrolę, a delikwentów przeganiał po łące pokrytej rosą, każąc czołgać się w trawie. Przemoczone do ostatniej nitki mundury chłodziły niemilosierdzie. Pytaliśmy wtedy, czy możemy zmienić ubranie na suche.

– „A macie drugi mundur?” – pytał kapral.

– „Mamy, wyjściowy” – odpowiedział któryś z nas.

– „Ja wam dam wyjściowy...” – odrzekł kapral. I znowu znajdowaliśmy się na mokrej łące...

Ale żołnierz musi sobie radzić w każdych warunkach. Prześcieradło wzięte z pryczy, złożone na pas o szerokości „od ramion, w dół” i owinięte na ciele, doskonale izolowało od kompletnie mokrej kurtki.

Może jeszcze jedno zdjęcie z „wypoczywającym wojskiem”.

Jakość jest może nienajlepsza, ale na szczęście pamięć pozwala uzupełnić luki.

Patrząc dzisiaj na te fotografie, pozostaje żałować, że dysponowano wówczas jedynie aparatami typu „Zorka”, a o obiektywach ze zmienną ogniskową nikt nawet nie marzył...

Na obu zdjęciach widzimy naszego kolegę – Izaaka Hendla. W 1956 roku rozpoczęły się wyjazdy kolegów do Izraela. Daniel Braun i Aleksander Apel-



Od lewej do prawej: Andrzej Słuszkiewicz, Izaak Hendel, Alfons Stachyra, Jacek Młochowski, Ryszard Sereda, Adam Medyński, Wojciech Binda, Mieczysław Szustakowski i Ferdynand Niškiewicz

blat, którzy uczestniczyli w zajęciach ze studium wojskowego, na obóz do Milicza już nie pojechali. Icek Hendel, który był bardzo lubianym kolegą, „zaliczył” jeszcze z nami te zajęcia.

\* \* \*

Dopiero w październiku 1956 roku rozpoczęła się gomułkowska „odwilż”, ale już latem, na obozie, czuło się pewne „ideologiczne” poruszenie. Warto przypomnieć, że w lutym 1956 roku odbył się słynny XX Zjazd KPZR, z równie słynnym referatem Chruszczowa, wygłoszonym na zamkniętym (bez udziału gości) posiedzeniu zjazdu. Referatu w całości nie publikowano, zadowolając się „dozowaniem” nam prawdy o „kulcie jednostki”.

Były jednak instytucje jak Wolna Europa, które wysyłały na teren „demoludów” balony transportujące ulotki z całym referatem Nikity. Jeden z nich opadł w okolicach naszego obozu.

Maszerując pewnego dnia na zajęcia w polu, zauważyliśmy na skraju lasu coś, co wyglądało z daleka jak resztką śniegu, który w cieniu drzew nie zdążył stopnieć. Ale śnieg w sierpniu? Wojsko złamało szyk marszowy i mimo wrzasków kaprali, pognało do znaleziska. Była to duża powłoka z folii polietylenowej (balon nośny, już bez gazu) i urządzenie do rozrywania paczek z ulotkami. Kaprale zameldowali o znalezisku, a oficer polityczny, kapitan K., wygłosił odpowiednią pogadankę o „wrażej” Wolnej Europie. Wtedy też po raz pierwszy usłyszeliśmy o gen. Witaszewskim, który – podobno – zalecał „lanie” inteligencji „gazrurkami”...

Destalinizacja – to było dla ówczesnej władzy bardzo trudne zadanie. Jak to delikatnie przedstawić, aby społeczeństwo się nie „rozbuchało”...

Z kpt. K., wiąże się jeszcze jedno zdarzenie.

„Pomoc kuchenna” w składzie (na zdjęciu od lewej): Ferdynand Niśkiewicz, Andrzej Słuszkiewicz, Mieczysław Szustakowski i Waldemar Olszewski wynosiła z kuchni niespożytą przez wojsko zupę. Wylewano ją w widocznym w tle zagajniku, ku radości leśnej zwierzyny. Między kuchnią a zagajnikiem przebiegała piaszczysta droga, prowadząca do Milicza. Pełna wanna z zupą była cholernie ciężka, a cienkie uchwyty wpijały się bezlitośnie w dłonie. Postanowiliśmy skrócić nasze „męki”, skracając drogę transportu zupy, wskutek czego kilka jej wanien „wylądowało” na drodze. Wiedzieliśmy, co to jest maskowanie, dlatego wylana zawartość została przez nas przysypana cienką warstwą piasku.

Maskowanie okazało się na tyle skuteczne, że nasz „politruk”, kapitan K., jadąc rowerem do obozu, niczego nie zauważył i dopiero kiedy stracił równowagę, ładując w jarzynowej brei, wyszła na jaw nasza „wroga robota”. Utyłłany niemilosiernie, wyglądał naprawdę żałośnie. Zrobił się wokół tego szum, ale ostatecznie nam się upiekło...



„Pomoc kuchenna” i *corpus delicti*

Miało tam miejsce jeszcze jedno wydarzenie, które utkwilo mi w pamięci.

Otóż pewnego dnia zarządzono zbiórkę „całego stanu osobowego” obozu, a przebywali tam – oprócz studentów i „starych” rezerwistów – także żołnierze służby czynnej. Uformowano z nas czworobok i po chwili, w towarzystwie wartowników, doprowadzono dwóch żołnierzy służby czynnej. Ustawieni zostali w środku, tak aby wszyscy mogli ich dobrze widzieć.

Biedacy wyglądali na mocno „skacowanych” i byli bez pasów...

Najważniejsze nastąpiło po chwili, kiedy na środek wystąpił dowódca naszego zgrupowania, major S., i „zaciągając” z wileńska, odezwał się w te słowa:

– „*Żołnierze! Przyszła dziś rano do nas do jednostki babina, która mówi tak:*

– „*Coż to si stało panie dowódco! Miała ja w chlewiku dwie swinki, aż tu dzisiaj rano patrzę – są cztery! Toż to niemożliwe!*”

– „*Oczywiście, że to niemożliwe, bo te dwie dodatkowe swinki to ci dwaj, którzy tu przed wami stoją. Nachlali się i zamiast do koszar, trafili do chlewika tej kobieciny... Już oni za swoje dostaną. Ile mam, tyle dam.*”

Odnosiło się to do ilości dni aresztu, które mógł „udzielić” dowódca jednostki.

Ale najważniejszą sentencję, którą pamiętam do dzisiaj, wygłosił pan major na zakończenie swojego wystąpienia: „*Żołnierze! Kto nie umie wypić, niech odda koledze!*” Należało się domyślić, że takiemu koledze, co to wypić umie...

## Wrocławski październik\_56

Przemiany październikowe nie mogły ominąć środowiska studenckiego. Co prawda towarzystwo dopiero się zjeżdżało z wakacji, ale szybko zaczęto „konspirować”. Zaczęto też bodajże używać nazwy: „komitety rewolucyjne”. Nie miało to jednak form organizacyjnych. Działania były raczej spontaniczne.

Pamiętam przygotowania do wielkiej manifestacji, która przeszła ulicami Wrocławia, na którą należało przygotować stosowne transparenty. W akademiku znajdowało się centrum „dowodzenia”. Nie pamiętam treści napisów, a jedynie pokłute igłą palce. Należało przyszyć do płótna litery hasła wykonane z grubego brystolu. Tak się dziwnie składało, że igła, przebijając brystol, zawsze trafiała mnie w palec...

Wielotysięczny pochód odbywał się wieczorem. Po przejściu mostu Grunwaldzkiego i zbliżeniu się do Poczty Głównej, na której znajdowały się anteny służące do zagłuszania „wrogich stacji” – demonstranci skandowali:

– „Nie zagłuszać!!!”

Były też żądania:

– „Wypuścić Wyszyńskiego!!!”

oraz

– „Kołchoźnicy – precz z Legnicy.”

Milicja nie interweniowała.

Kiedy wybuchły wydarzenia na Węgrzech, „Słowo Polskie” zaprosiło studentów, aby przeprowadzili kwestę uliczną wśród mieszkańców Wrocławia na pomoc dla Bratanków. Zbieraliśmy datki do puszek, a darczyńcom przypinaliśmy do kłapy trójkolorowe skrawki materiału z barwami flagi węgierskiej.

Do niedawna dysponowałem wycinkami fotoreportażu ze „Słowa”, gdzie przedstawiono nasze „trójki studenckie” podczas kwestowania. Miałem też jedną pamiątkową, trójkolorową „plakietkę”. Tuż przed 50. rocznicą wydarzeń węgierskich przeczytałem w prasie apel tamtejszego historyka, przygotowującego materiały na okolicznościową wystawę, jaką zamierzał zorganizować w Warszawie, a mówiącą o pomocy Polaków dla Węgrów w 1956 roku, w której prosił o przysłanie pamiątkowych materiałów. Wtedy przekazałem mu moje pamiątki.

Otrzymałem później podziękowanie i zaproszenie na wernisaż, ale niestety, z jakichś powodów nie mogłem się tam znaleźć...

Interwencja radziecka na Węgrzech i wydarzenia w Polsce przebiegały równolegle. Istniało duże prawdopodobieństwo, że i nam zechce „pomóc” towarzysz Nikita Siergiejewicz Chruszczow. Na szczęście Władysław Gomułka – w owym czasie nasz bohater narodowy – umiejętnie lawirował i do nieśczęścia na wzór węgierski w Polsce nie doszło.



Aby uspokajać „gorące głowy”, władze Politechniki przeprowadziły wiele spotkań ze studentami. Miejszem ich była m.in. świetlica w Akademiku T-4 przy pl. Grunwaldzkim. Pamiętam przemówienia rektora – prof. Dionizego Smoleńskiego, bardzo spokojne i wyważone, i – co najważniejsze – skuteczne.

Po zdławieniu powstania na Węgrzech nastroje w naszym społeczeństwie powoli się uspokajały. We Wrocławiu mieliśmy jeszcze demonstrację studencką spowodowaną zamknięciem niezwykle zasłużonej dla „odwilży” gazety „Po prostu”.

Zaczęły wówczas krążyć dowcipy w rodzaju:

Pytanie:

– „Co zmieniło się w Polsce po październiku?”

Odpowiedź:

– „Gomułka się zmienił.”

W styczniu 1957 roku odbywały się wybory do Sejmu. Na liście kandydatów z Wrocławia znalazł się prof. Wincenty Styś z Wyższej Szkoły Ekonomicznej, o którym krążyła wieść, że przed 1956 rokiem pracował jako księgowy w podrzędnej firmie, gdyż jako „nieprawomyślny” ekonomista nie mógł być profesorem na uczelni. Niestety, znalazł się w końcowej części listy wyborczej, a Gomułka rozesał telegramy rozlepiane na murach, aby: „Głosować bez skreśleń”.

Studenci natomiast rozpowszechniali hasło:

„Czyś dziewczyna, chłopak czyś,  
Głosuj tak, by przeszedł Styś!!!”

Znając technologię „czarów nad urną”, jaką dysponowali towarzysze – prof. Wincenty Styś nie wszedł do Sejmu. Powrócił jednak do pracy naukowej i dydaktycznej na WSE. Był także jej rektorem.

\* \* \*

Ze studenckiego punktu widzenia, niewątpliwą zdobyczą „październikową”, było zminimalizowanie znaczenia przedmiotów „ideologicznych”. Na trzecim roku nie mieliśmy już co prawda Marksizmu, ale była Ekonomia Polityczna. Pamiętam, że zaliczenie ćwiczeń z tego przedmiotu automatycznie oznaczało zaliczenie egzaminu. Taka była nasza bezpośrednia korzyść z październikowych przemian...

Przepraszam. Zapomniałem o jeszcze jednym pożytku, odniesionym przez co aktywniejszych uczestników październikowych wydarzeń. Otóż, zaproponowano nam możliwość korzystania ze stołówki w budynku KW PZPR, gdzie wydawano bardzo smaczne obiady. Można było też obejrzeć tzw. „zeroekrano-

we” filmy, za bardzo przystępną cenę. Filmy zeroekranowe to były filmy, które dopiero po pewnym czasie wchodziły na ekrany normalnych kin.

Dzisiaj myślę, że „władza” chciała mieć na nas „oko” i dlatego czyniła takie gesty. Nie trwało to długo, ale cośmy się dodatkowo najedli i naoglądali filmów – tego nam nikt nie odbierze...

## Jak to na wycieczkach ładnie...

Jednym z ulubionych przez nas „zajęć” były wycieczki turystyczne i obozy. Wrocław, z racji swojego położenia, stwarzał po temu niezwykłą okazję. Góry Stołowe, Góry Bialskie, Rudawy Janowickie oraz powszechnie znane miejscowości uzdrowiskowe – wszystko to penetrowała brać studencka przy każdej nadarzającej się okazji.

Jadąc pociągiem do miejsca przeznaczenia, często śpiewaliśmy piosenki. Oprócz „klasycznych”, harcerskich i turystycznych, dużą popularnością wśród przygodnych pasażerów cieszyły się piosenki o zabarwieniu „politycznym”.



Autor na wycieczce  
w Górach Bialskich

Po locie Łajki w kosmos, popularna była piosenka:

*Pies Łajka już nie żyje,  
Zabili go Sowieci,  
I teraz satelita,  
Z psim ścierwem dalej leci.*

Refren:

*Ej satelita,  
Ej satelita,  
Ej satelita  
Satelita i Nikita Uuu!*

*A kiedy do kosmosu,  
Rakieta ruszy nowa,  
Nie może w niej zabraknąć,  
Tawariszcza Chruszczowa!*

Refren: ...



Góry Stołowe, październik 1958 r. Grupa śpiewa. Od lewej: Mieciu Szustakowski, Waldek Olszewski, Bernard Schmidt, Maciek Ratajczak, Heniu Krzanowski i autor



Jesteśmy w towarzystwie dwóch koleżanek (na pewno nie z naszego roku),  
ale za to, dodatkowo, pojawił się nasz kolega – Jasiu Porycki



A tu niech bohaterowie sami się rozpoznają...

Albo na melodię *Cały Paryż marzy o miłości* – taki utwór:

*Chciałbym ujrzeć akt Chruszczowa,  
Jego kolosalny brzuch,  
Kopnąć w d... Mołotowa,  
Odczuć pulchność jego ud.*

Szkoda, że nie było wtedy małych, przenośnych magnetofonów. Mielibyśmy dzisiaj niezłą kolekcję piosenek „zaangażowanych” z tamtych czasów...

I jeszcze zdjęcie na rynku w Łądku Zdroju.

Proszę zwrócić uwagę na solidny bruk, jaki pokrywał rynek, oraz kamienice z podcieniami na drugim planie. Budynek w środku to pewnie Ratusz. Byłem niedawno w Łądku Zdroju, ale bez tego zdjęcia, i nie mogę skojarzyć dzisiejszego wyglądu tego miejsca. Pewnie jest o wiele bardziej kolorowe i „współczesne”. Dla nas jednak – ludzi z tamtych czasów – ten widok jest bardziej bliski...



Warto by wiedzieć, z czego Waldek Olszewski tak się cieszył?!

## Praktyki wakacyjne

Jako przyszli inżynierowie mieliśmy zapoznać się z warunkami panującymi na instalacjach przemysłowych w branży chemicznej. Dla wielu z nas miały to przecież być miejsca przyszłej pracy.

Po pierwszym roku studiów, latem 1955 roku, wraz z kilkoma kolegami odbywaliśmy praktykę w „Zakładach Chemicznych Oświęcim w Budowie”, w Dworach koło Oświęcimia. Była to fabryka wybudowana przez Niemców rękoma więźniów, podczas drugiej wojny światowej, znana jako Buna Werke, koncernu IG Farben.

Ślady pobytu więźniów widoczne były jeszcze dziesięć lat po zakończeniu wojny, pozostały baraki dawnego podoboju KZ Lager Auschwitz, w których byliśmy teraz zakwaterowani. Drewniane baraki, koloru brązowego. Barwa pochodziła od impregnatu, jakim zabezpieczano deski przed butwieniem, w taki sam sposób, w jaki zabezpiecza się drewniane podkłady kolejowe.

Duże pomieszczenia (trudno było to nazwać pokojami), w których mieściło się sporo osób. Pamiętam, że chyba cała nasza wrocławska grupa zajmowała jedno z nich.

Podczas praktyki wielokrotnie odwiedzałem obóz w Oświęcimiu i godzinami studiowałem zgromadzone tam eksponaty. Robiły niesamowite wrażenie. O obozie koncentracyjnym wiedziało chyba każde polskie dziecko, ale obejrzenie tego w „naturze” robiło przygnębiające wrażenie, które nie ustępowało po powrocie do miejsca zakwaterowania...

Same Zakłady też robiły wrażenie. Pierwszy raz spotkałem się z instalacjami przemysłowymi w ich naturalnych rozmiarach. Teren był tak duży, że do odległych instalacji dojeżdżało się spod bramy wejściowej parową „ciuchcią”.

Bardzo ciekawa była instalacja Syntyny, oddział syntezy Fischera-Tropscha, produkujący mieszaninę węglowodorów z gazu syntezowego, czyli mieszaniny wodoru i tlenku węgla. Był to proces katalityczny, a wytwórnia katalizatora znajdowała się również na terenie fabryki. Jednym z produktów uzyskiwanym z rozdzielania produktów reakcji była benzyna, tak potrzebna Niemcom do prowadzenia wojny. Gaz syntezowy uzyskiwano z miazgi węglowej w generatorach Winklera.

Mieliśmy ostatnią okazję, aby obejrzeć tę instalację w ruchu. Wkrótce została zatrzymana jako nierentowna ekonomicznie i nigdy nie powróciła do eksploatacji. Współcześnie na świecie proces Fischera-Tropscha stosuje się do produkcji węglowodorów jedynie w firmie SASOL w Południowej Afryce, gdzie dysponuje się tanim węglem, wydobywanym w kopalniach odkrywkowych.

No ale nie tylko Zakłady i miejsce zakwaterowania były dla nas ważne. Przy pięknej pogodzie mogliśmy zażywać kąpieli w pobliskim stawie, w wyrobisku po kopalni żwiru i piasku.

I jeszcze jedna ciekawostka. Opiekunem studentów–praktykantów był mgr Włodzimierz Marek. On podpisywał nam Dziennik Praktyki, na podstawie którego zaliczano ją na uczelni. Spotkałem go po latach, gdy pracowałem w Płocku i Gdańsku. Był wówczas dyrektorem technicznym Zjednoczenia „Petrochemia”, które zarządzało (między innymi) branżą rafineryjną w Polsce. Wcześniej kierował Zakładami Chemicznymi Oświęcim. Należałoby teraz dodać: „I kto by pomyślał...”

Ze stażu w Oświęcimiu nie mam żadnych zdjęć. Muszę natomiast wymienić kolegę Kazia Międzybrodzkiego, który tam ze mną „praktykował”... Był dla mnie wyrocznią techniczną, gdyż jako absolwent technikum chemicznego, pracujący bodajże już przed studiami w przemyśle, miał wówczas o sprawach technicznych o wiele większe pojęcie niż ja. Chodziliśmy też często na piwo. Wtedy Kazio zwykł mawiać: „Piwo to płynny chleb”.

Po trzecim roku studiów odbywaliśmy praktykę wakacyjną w Zakładach Azotowych im. Feliksa Dzierżyńskiego w Tarnowie-Świerczkowie. Taką nazwę nosiły wówczas dzisiejsze Zakłady Azotowe im. Ignacego Mościckiego, mieszczące się – tak jak przed wojną – w Mościcach koło Tarnowa.

Postać Feliksa Edmundowicza tak nam się spodobała, że skonstruowaliśmy dość dużego pajaca, na którym umieściliśmy napis: „Pajac im. Feliksa Dzierżyńskiego”. Kiedy pociągało się za sznurek, pajac ruszał rękoma i nogami. Ale to nie była jego jedyna umiejętność. Otóż, pajac ów – w zależności od potrzeb – trzymał w ręku karteczkę z treścią: „Prosimy o zupeł!!!”, a po jej zjedzeniu machał niestrudzenie: „Prosimy o drugie danie.”

Łatwo odgadnąć, gdzie odbywały się „występy” pajaca. Oczywiście! W fabrycznej stołówce. Nie muszę chyba dodawać, że kelnerki reagowały na niego błyskawicznie, byliśmy więc szybko i sprawnie obsługiwani, a o to przecież chodziło.

Inni użytkownicy stołówki przypatrywali się nam bądź z sympatią lub patrzyli na nasze występy ponurym wzrokiem. Ci ostatni to pewnie byli po-



Na praktyce wakacyjnej.

Od lewej: Jurek Matysiak, Geniu Wójcik, Heniu Krzanowski, Stasiu Biernat, autor,  
Waldek Oganowski i Rysiu Sereda



Bohaterowie ci sami, jedynie zamiast Ryśka Seredy pojawił się Jacek Młochowski

ność uroczych koleżanek z Politechniki Gliwickiej, które również odbywały praktykę w Tarnowie. Pozostaje tylko żałować, że nie dysponuję żadnym zdjęciem owych sympatycznych „dziółch”. Wiem natomiast, że jedna znajomość zakończyła się po latach ślubem. Panem młodym był mój kolega z roku.

Trudno byłoby w tym miejscu nie wymienić koleżanki, Węgierki, Takács Margit (pisane po węgiersku – najpierw nazwisko, a potem imię), zwanej w skrócie Gittą. Mieliśmy świeżo w pamięci niedawne wydarzenia w tym kraju i teraz można było „z pierwszej ręki” dowiedzieć się czegoś więcej... Jednak Gitta – co dzisiaj jest w pełni zrozumiałe – była w swoich wypowiedziach bardzo powściągliwa. Zresztą polityka odchodziła na dalszy plan wobec „spływów Dunajcem” i innych wakacyjnych atrakcji...

Z Gittą i jej mężem Gaborem spotykałem się jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy zakłady pracy wymieniały się swoimi ośrodkami wypoczynkowymi. Ja z rodziną jeździłem nad Balaton, a oni w nasze Beskidy... Gitta została wierna branży azotowej i pracowała po studiach w zakładach azotowych w Pétfürdő. Przyjeżdżała też służbowo do naszych zakładów azotowych we Włocławku, w ramach tzw. „wymiany doświadczeń”.

\* \* \*

litycznie zaangażowani obywatele, którym takie „pajacowanie” z udziałem patrona Zakładów nie przypadło do gustu.

Na zdjęciach widać, kto to był wtedy na praktyce w Tarnowie.

Wydaje mi się, że zdjęcia były robione aparatem ZORKA 3, którego szczęśliwym posiadaczem był Rysiek Sereda.

W pogodne dni wolny czas spędzaliśmy nad Dunajcem. Bardzo popularne było spływanie pod mostem kolejowym, gdzie następowało zwężenie nurtu i jednocześnie duże przyspieszenie płynącej wody. Parali się tym tylko dobrzy pływacy... Po przepłynięciu pod mostem należało włożyć trochę wysiłku, aby wydostać się z szybko rwącej wody i wylądować na piaszczystym brzegu rzeki.

Dopingiem dla naszych „wyczyńców” pływackich była na pewno obecność



Latem 1957 roku miało miejsce jeszcze jedno przyjemne dla mnie wydarzenie. Uczestniczyłem po raz pierwszy w studenckim obozie wędrownym w Bieszczadach. W tamtym czasie, a było to przecież nieco ponad dziesięć lat od zakończenia wojny i słynnej akcji „Wisła”, Bieszczady były naprawdę terenem wyludnionym. Cały prowiant trzeba było „targać” z sobą, gdyż poza niektórymi wsiami, w których znajdował się sklep GS, nie było żadnej innej możliwości uzupełnienia zapasów. Połoniny: Wetlińska, Caryńska, góra Kremenaros (Krzemieniec)... Zupełne pustki.

Bodajże tam z jakiegoś słupa granicznego odkręciliśmy metalowy, solidny, wykonany z grubej błyszczącej blachy herb ZSRR. Był wytłoczony, więc ktoś uznał, że świetnie nada się na popielniczkę...

Na dowód tego, że musieliśmy wszystko nieść z sobą, niech posłuży poniższe zdjęcie.

Widać na nim kolegę, nazwiska już nie pamiętam, niosącego garnek, w którym gotowaliśmy posiłki. Na końcu grupy widać (w ciemnych okularach) kolegę Jacka M.



Nasza grupa podczas przeprawy przez potok.  
Zbyszek Sz. maszeruje jako trzeci za dwiema koleżankami

Szefem wyprawy był kolega z Politechniki Warszawskiej – Zbyszek Sz. Widać go na zdjęciu przed wagonem typu tovos. Stoi pierwszy z prawej, z odwróconą głową. Zbyszek był studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki.

Jakież było moje zdumienie, kiedy w 1962 albo 1963 roku spotkałem go w Płocku, na budowie instalacji Reforming I. Kierował tą budową z ramienia Mostostalu Warszawa. Ja w tym czasie pracowałem w służbach inwestorskich Petrochemii Płock, a Reforming I był moją pierwszą instalacją, na której rozpocząłem działalność zawodową w Płocku.

Łatwo sobie wyobrazić, jak uczuliśmy nasze spotkanie „po latach”...

Najwyżej, pośrodku drzwi, widać Zdzicha K., który „wystąpi” jeszcze na kolejnym zdjęciu. Poza dwoma dżentelmenami po prawej stronie, moimi kolegami z roku: Waldkiem O. i Jackiem M., widać po lewej słusznej postury studenta ornitologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Nie pamiętam niestety nawet jego inicjałów... Pamiętam natomiast, że rozpoznawał po śpiewie



Już w wagonie. Odszukanie mojej głowy mogłoby być zadaniem w quizie na spostrzegawczość. Znajduje się ona bezpośrednio nad głową Zbyszka Sz., który stoi przed wagonem z rękami w kieszeniach krótkich spodni



Wodą z kubka jest częstowany Zdzichu K. – student Wydziału Mechanicznego naszej Politechniki

każdego ptaka i potrafił wiele opowiadać o jego obyczajach i sposobie życia. Podczas wędrowki starałem się trzymać blisko niego, aby niczego „nie uroić” z tych opowiadań...

Mam cichą nadzieję, że po opublikowaniu moich wspomnień znajdzie się kilku nierozpoznanych bohaterów z zamieszczonych zdjęć.

## Wrocławski dzień powszedni...

Jaki był ten nasz Wrocław z lat pięćdziesiątych? Zupełnie niepodobny do dzisiejszego. Trzeba pamiętać, że zaledwie dziesięć lat minęło od zakończenia wojny, a Wrocław, jako *Festung Breslau*, ucierpiał w sposób znaczny.

Mniej więcej w połowie lat pięćdziesiątych rozpoczęto usuwanie gruzów z placu Kościuszki i rozpoczęła się budowa Kościuszkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (KDM, nazwa zapożyczona od warszawskiej MDM). Cała Grabi-

szyńska leżała w gruzach. Tramwaj nr „cztery”, poruszał się w wąwozie, którego ściany tworzyły gruzy piętrzące się po obu stronach ulicy.

Poruszanie się wieczorami po nieoświetlonych zakątkach miasta nie należało do bezpiecznych. „Kup pan cegłę” – mogła zabrzmieć oferta „nie do odrzucenia”... Byłem świadkiem kręcenia scen do filmu *Ewa chce spać*, w której Roman Kłosowski wyskakiwał zza słupa na moście Zwierzynieckim i przypadkowemu filmowemu przechodniowi proponował zakup cegły za stówę.

Działo się to w nocy, most był zamknięty dla ruchu i nie mogłem wrócić do domu na Biskupinie. W związku z tym, dopóki filmowcy nie zakończyli kręcenia scen, byłem unieruchomiony, za to mogłem się z bliska przypatrywać ich pracy. Byłem zdziwiony liczbą powtarzanych ujęć tej samej sceny... Kłosowski wyskakiwał kilkakrotnie zza tego słupa, co z czasem zaczynało już wszystkich nudzić, ale później zmontowane w filmie wyglądało naturalnie i dowcipnie...

Warto wspomnieć, że tamten Wrocław, ze swoją Wytwórnią Filmów Fabularnych, był prężnym ośrodkiem filmowym. Kręcono tu szereg filmów, a jeśli miało się odrobinę szczęścia, można było zobaczyć opalającą się w przerwach zdjęciowych Sonię Ziemann – bohaterkę *Ósmego dnia tygodnia*, według Marka Hłaski.

A propos Hłaski... Był to nasz idol, a jego utwory cieszyły się wielką popularnością. Nie był ulubieńcem władzy, gdyż w swoich powieściach i opowiadaniach pokazywał autentycznych ludzi oraz otaczający ich świat – bez upiększeń. Żadnych ideologicznych zachwyty nad socjalistyczną rzeczywistością...

O ile z publikacją jego utworów nie było chyba trudności, drukowało je „Po prostu” oraz bodajże „Twórczość”, a także sporadycznie inne czasopiśma, o tyle np. film *Ósmy dzień tygodnia* przeleżał na półce kilka dobrych lat. Od razu stał się „półkownikiem”.

Film był najbardziej pilnowanym przez władzę „środkiem przekazu”. Polskie obrazy to albo wojenna martyrologia, albo „produkcyjniaki”. Pamiętam film pt. *Uczta Baltazara*, w którym agent z Zachodu usiłował zakłócić „pokojową pracę” w jakiejś spółdzielni produkcyjnej. Niemiłosierny „gniot”. I wtedy, chyba w „Szpilkach”, ukazała się taka oto krótka recenzja tego filmu: „Nie Uczta Baltazara – filmować się uczta!”

W tamtych latach niesłychanie cenione były filmy włoskiego neorealizmu: *Dzieci ulicy*, *Złodzieje rowerów*, *Cud w Mediolanie* itp. Z późniejszych – *La Strada*, *Generał de la Rovere*... Tacy twórcy jak De Sica, Rossellini, Visconti, byli bardzo popularni, gdyż ich filmy pokazywały współczesne, trudne warunki życia i losy ludzi po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”.

Do tego dochodziły filmy sensacyjne, zawsze pokazujące ciemne strony ustroju niesprawiedliwości społecznej: *Proces przeciwko miastu o mafii*

sycylijskiej i supersensacyjny: *Cena strachu* z Yvesem Montandem w roli głównej.

Na dobre filmy było zawsze bardzo dużo chętnych. My stosowaliśmy technikę zakupów zbiorowych. Brało się odpowiednie zaświadczenie z ZSP, zbierało chętnych i pieniądze, i – najczęściej w kinie „Śląsk” – kupowaliśmy bilety na tzw. nocny seans. Z takim zaświadczeniem szło się bezpośrednio do biura kina, omijając obłożone kasy.

Pod kinami funkcjonowała „instytucja” koników. Jeśli nie udało się kupić biletu w kasie, można go było nabyć u konika, płacąc odpowiednio drożej. Uwzględniając studencką kieszeń, było to możliwe tylko wtedy, kiedy nie chodziło o jakiś szlagier. Ot, zwykły film, tylko człowiek pojawił się pod kasą zbyt późno...

Przy sprzedaży biletów na dobre filmy pod okienkami działały się niekiedy „dantejskie sceny”. Wtedy to po raz pierwszy we Wrocławiu Milicja Obywatelska uruchomiła tzw. „brygady omłotowe”, które przy pomocy pałek zaprowadzały porządek. Milicjanci przyjeżdżali gazikami, na głowach mieli stalowe wojskowe hełmy (plastikowych jeszcze nie wynaleziono) i uzbrojeni w długie pały, okładali nimi tłum pod kasą. Starczało, ale na niezbyt długo. Po odjeździe milicji koniki znowu robiły sztuczny tłok pod kasą, aby móc szybko zaopatrzyć się w nowy zapas biletów.

We Wrocławiu funkcjonowały w owym czasie świetne teatry: Teatr Młodego Widza, Teatr Żydowski... Ten ostatni wystawiał wówczas *Tewjego Mleczarza*. Kto mógł przypuszczać, że po latach będzie z tego znany musical – *Skrzypek na dachu*...

Pierwszą sztuką, jaką obejrzałem we Wrocławiu w Teatrze Polskim była *I koń się potknie* Aleksandra Ostrowskiego, ze świetną główną rolą młodego Igora Przegrodzkiego. Andrzej Polkowski, Adolf Chronicki, Stanisław Igar – to inni popularni wówczas wrocławscy aktorzy teatralni i filmowi.

Należy też wspomnieć o Operze. Byliśmy tam częstymi gośćmi, co prawda niemal zawsze na IV balkonie (koszty!) i nie na premierach, ale w ciągu roku udawało się „zaliczyć” prawie wszystkie nowe spektakle.

Filharmonia Wrocławska grała w auli Politechniki. W tamtym czasie nie miała własnej siedziby. Lubiłem koncerty, zwłaszcza z udziałem solistów. Halina Czerny-Stefańska, Władysław Kędra i inni zawsze zapełniali aulę publicznością do ostatniego miejsca. Pamiętam występ młodej Sławy Przybylskiej, która również koncertowała w naszej auli.

Oj, rozpiśałem się o atrakcjach kulturalnych Wrocławia lat pięćdziesiątych. A jeśli dodać do tego takie miejsca, jak Wojewódzki Dom Kultury, gdzie wystawiały gościnnie swoje sztuki teatry z innych miast? A sala w budynku Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przy ulicy Teatralnej, gdzie Zbigniew Kurtycz śpiewał przebój *Płynął strumyk przez zielony las*...



Autor przed słupem ogłoszeniowym  
z aktualnymi afiszami imprez

listką – Wandą Warszawską... Były też „seryjne” imprezy rozrywkowe pt.: „Hala bawi”. Istniała tam wtedy restauracja, której nazwy już nie pamiętam, słynąca wszakże ze zwyczajnych rozrób z udziałem pijanych gości. Dla tego rodzaju działalności „rozrywkowej” powstało więc określenie: „Hala bije”...

Na prezentowanym zdjęciu niestety część słupa jest „prześwietlona”, ale na pozostałej widoczna jest zapowiedź X Festiwalu Moniuszkowskiego i HALABAWI oraz jakiegoś meczu Cracovii z Pafawagiem...

Hala Ludowa najlepiej sprawdzała się jako gigantyczne kino „Gigant”. Tam zawsze można było kupić bilety, ale był taki serial niemiecki: *08/15*, bodajże trzy części, na który – na początku jego wyświetlania – o bilety było bardzo trudno. Film był ekranizacją powieści Hansa Hellmuta Kirsta o przygodach starszego szeregowego o nazwisku Asch. Aż się prosiło, aby wstawić do jego nazwiska jedną literkę „r”... Najlepsza była pierwsza część trylogii, mówiąca o życiu w koszarach. Była tam scena o „poszukiwaniu” w koszarach szeregowca Vierbeina (cztery nogi). Jego koledzy, otrzymawszy rozkaz odnalezienia żołnierza, łazili bez ładu i składu po korytarzach, wrzeszcząc: Vierbein!, Vierbein!, co oczywiście nie przynosiło żadnego skutku, gdyż Vierbein nie chciał „wyleźć” ze swojego ukrycia, ale rozkaz przełożonych był wykonywany. Wojsko jest wszędzie takie samo...

Jeszcze jedno miejsce muszę koniecznie wymienić: Halę Ludową. Nie wiem dlaczego powrócono do niemieckiej nazwy – Hala Stulecia? Nie jestem germanofobem i nie razi mnie używanie starych niemieckich nazw, tam gdzie wynika to z naturalnej sytuacji. Nie trzeba wymagać od Niemców, aby męczyci się, wymawiając trudne dla nich słowo: Wrocław, zwłaszcza to „ł”. Mogą mówić swobodnie Breslau, tak jak my mówimy Lwów a nie Lwiw, ale *Jahrhundert-halle*? Dla mnie będzie to zawsze Hala Ludowa.

Otóż w Hali Ludowej odbywały się różne imprezy, np.: turnieje jazzowe, w których uczestniczyły młode orkiestry i grały non stop tak ulubiony, a kiedyś zakazany jazz. Bywała orkiestra Andrzeja Kurylewicz z so-

Pamiętam, że jeszcze przez pewien czas okrzyk „Vierbein”, można było usłyszeć na korytarzach Studium Wojskowego przy placu Grunwaldzkim. Ot! Potęga kina...

## Ile, co kosztowało...

Jakimś trafem zachował się w moim archiwum domowym niepozorny zeszytik, dumnie zatytułowany: „Księgowość”, w którym notowałem w latach 1954–1956, swoje domowe wydatki. Niestety, wiele pozycji traktowanych było łącznie, np.:

30 IX 1954    Węgiel + drewno – 36,90 zł  
 Za wózek (wypożyczenie) – 5 zł  
 7 X 1954     Cukier, kasza, masło, płatki – 40,55 zł

Są na szczęście zapisy, które pozwalają się zorientować w cenach jednostkowych, i tak:

29 X 1954    1 kg masła – 25 zł  
 12 XI 1954   1 kg smalcu – 20 zł  
 5 XI 1954    wino – 7 zł (nie zapisałem rodzaju wina, ale było to zapewne „wino marki wino”).  
 21 XI 1955   1 kg kiełbasy – 9 zł  
 30 XI 1955   2 m<sup>3</sup> (?) węgla – 49 zł  
 Litr mleka z dostawą do domu – 3,80 zł

Skąd w wydatkach takie pozycje jak drewno i węgiel? Otóż, mimo że w willi, w której wynajmowaliśmy pokój, była instalacja centralnego ogrzewania, to jednak była ona „niesprawna”, poszczególni lokatorzy używali więc piecyków najróżniejszego rodzaju. W naszym pokoju stał mały żeliwny piecyk, tzw. koza. Dopóki się paliło, temperatura była znośna, ale w ciągu nocy woda pozostawiona w garnku na piecyku (dla zapewnienia odpowiedniej wilgotności powietrza w pokoju) zwyczajnie rano pokryta była warstwą lodu.

Zupełnie przypadkowo zdarzyła mi się historia, która mogła stanowić potwierdzenie biblijnej Księgi Jozuego o zburzeniu murów Jerycha przy pomocy odpowiednio wysokiego natężenia dźwięku. Otóż pewnego dnia, kiedy wyczywałem na łóżku i przygrywałem sobie na organkach, zdarzyła się rzecz następująca: ni stąd, ni zowąd spadły wszystkie proste odcinki rur od piecyka, a na swoim miejscu pozostało tylko jedno kolanko przymocowane drutem do sufitu. Podłogę pokoju pokryła równo warstwa sadzy. Piec w dalszym ciągu funkcjonował, należało więc błyskawicznie „odbudować” rurociąg

odprowadzający spaliny do komina, w przeciwnym bowiem razie mogliśmy doświadczyć poważnych konsekwencji tego zdarzenia. Jako przyszły chemik, dobrze znałem skutki działania tlenku węgla...

Za pomocą starego rękownika, wcześniej zwilżonego wodą, udało mi się ponownie „zmontować” cały system rur i piec mógł pracować dalej już bez zakłóceń.

Siła dźwięku wydawanego przez moje organki wystarczyła do destrukcji systemu odprowadzania spalin z naszej wysłużonej „kozy”.

Powróćmy znów do prozy życia. Koszt wynajmu pokoju wynosił 50 zł od osoby. Później, kiedy mieszkałem sam, płaciłem 60 zł miesięcznie.

Stypendium na pierwszym roku wynosiło 300 zł miesięcznie, na drugim – 340 zł. Oprócz tego, mogłem liczyć na systematyczne wsparcie finansowe ze strony mojego ojca chrzestnego (brata mojego taty, który przez cały czas prowadził prywatny biznes w Łodzi). Otrzymywałem od niego 200 zł miesięcznie, przez cały okres studiów. Dzięki Stryjku za Twą wspaniałomyślność!!!

Na pieniądze z domu nie mogłem liczyć, gdyż rodzicom się nie „przelewało”. Otrzymywałem za to paczki żywnościowe, które nadchodziły systematycznie i zawierały prawdziwe delikatesy, np. kotlety mielone „zatopione” w smalcu z cebulką. Powoli zużywałem smalec do smarowania chleba, by w końcu „dokopać się” do warstwy kotletów. Pycha!!!

Obiady jadłem w stołówce przy ulicy Olszewskiego (3 zł), śniadania i kolacje robiłem sobie sam.

Były też inne wydatki:

bilet do Teatru Satyryków – 9,50 zł

bilet na koncert symfoniczny – 10 zł

bilet do teatru (ulgowy) – 4,60 zł

fryzjer – 5 zł

Racjonalnie gospodarując, można było przeżyć. Ulgowy bilet do kina kosztował 3,60 zł (I miejsca). Byłem „fanem” tego rodzaju rozrywki, dlatego chodziłem tam często, nawet dwa razy w tygodniu.

Telewizja dopiero raczkowała, ale w akademiku T-4 był w świetlicy „od zawsze” telewizor. Sala była zawsze pełna, a publiczność – w czasie częstych „przerw technicznych”, liczyła szprychy w kole maszyny wyciągowej na wizytówce TV Katowice. W 1958 roku zaczynał swoją działalność „Kabaret Starszych Panów”. Ich przedstawienia cieszyły się od początku niesłychanym powodzeniem.

Pamiętam również pierwszą inicjatywę społeczną w sprawie wybudowania na Ślęży przekaźnika w celu poprawienia jakości odbioru telewizyjnego we Wrocławiu. Od momentu jego uruchomienia jakość obrazu radykalnie się poprawiła...



## Specjalizacja

Przenieśmy się teraz do 1958 roku, czwartego moich studiów. Krążył na Wydziale taki pogląd, że jeśli skończy się trzeci rok – na którym zdawaliśmy chemię fizyczną u prof. Krzysztofa Pigoń – to dyplom ma się już „w kieszeni”. To była chyba prawda, prof. Pigoń należał bowiem do ludzi bardzo skrupulatnych i wymagających.

Na czwartym roku wybierało się specjalizację i studiowanie nie było już tak stresujące. Ja zdecydowałem się na technologię ropy i paliw płynnych u prof. Zdzisława Tomasika. Wybór ten okazał się na tyle dojrzały, że determinował moją dalszą działalność zawodową. „Nafcie” pozostałem wierny aż do emerytury...

W katedrze prof. Tomasika prowadzono między innymi prace doświadczalne nad procesami hydrotorafinacji frakcji węglowodorowych, reformowania benzyn, a nawet hydrokrakingu ciężkich pozostałości ropnych. Wymieniam te procesy, z którymi przyszło mi zetknąć się w moim późniejszym życiu zawodowym, na instalacjach przemysłowych. W tym miejscu warto chyba przypomnieć, że pierwszym polskim katalizatorem odsiarczającym, zastosowanym z powodzeniem na instalacjach przemysłowych w Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych, był katalizator G-1, opracowany w zespole prof. Grzechowiaka. Zastąpił on importowane katalizatory, a jego kolejne odmiany (G-2) pracowały przez następne lata zarówno w Płocku, jak i w Rafinerii Gdańskiej. Chciałbym w tym miejscu dodać, że bardzo wysoko cenię specjalistów z Instytutu Technologii Nafty, z którymi miałem przyjemność współpracować w czasie mojej działalności zawodowej. Rozwiązali oni szereg problemów technologicznych, występujących na instalacjach przemysłowych w naszym przemyśle rafineryjnym.

Ale wróćmy do wspomnień...

Hala doświadczalna przy ul. Bujwida była wypełniona instalacjami pracującymi z wodorem pod ciśnieniem i w wysokich temperaturach. Wszystko to wykonywano metodami chałupniczymi w warsztacie, w którym „królowali” panowie Jędrzejewski i Góral. Nasze „złote rączki”...

O ile dobrze pamiętam, dopiero w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia można było zakupić tzw. aparaturę węgierską, która służyła do przeprowadzania doświadczeń z udziałem katalizatorów, a więc pracującą na zbliżonych parametrach do tej, wykonywanej dwadzieścia lat wcześniej w warsztacie na Bujwida.

Prof. Tomasik życzliwie opiekował się swoimi „dyplomantami” i często „odpytywał” nas z postępu prac.

Tematem mojej pracy dyplomowej było „Rafinujące działanie ziem odbarwiających”. Używałem kilku gatunków dolnośląskich ziem mineralnych, które

po poddaniu procesowi aktywacji służyły do testowania zdolności odbarwiania olejów smarowych.

Zdarzenie, które zamierzam opisać, miało miejsce w upalny letni dzień. Pracowaliśmy wszyscy na dole, w pokoju na końcu tzw. hali, kiedy w naszym pokoju zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem charakterystyczny głos profesora i pytanie:

– „I co pan teraz działa panie *kulego*?”.

Zrelacjonowałem zwięźle to, czym się w danym momencie zajmowałem. Profesor wysłuchał mojej relacji, po czym zaprosił mnie do siebie, do gabinetu.

Kiedy się tam po chwili zjawiłem, przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, w którym mieściło się „podręczne” laboratorium profesora. Na stole, w statywie, stało dużo probówek napełnionych niebieską cieczą. Jak się potem okazało, były to wodne roztwory jakiegoś barwnika.

Profesor wyjaśnił mi, jaki jest cel mojej obecności. Otóż miałem wspólnie z nim dodawać do kolejnych probówek różne rodzaje ziem odbarwiających, wytrząsać je i obserwować, czy nastąpi odbarwienie zawartości.

W tym miejscu muszę opisać strój profesora, który służył z niezwyklej elegancji. Otóż miał na sobie jasną, prawie białą marynarkę z bardzo cienkiego lnu. Kiedy tak wytrząsaliśmy pracowicie kolejne probówki z niebieską zawartością, dodając coraz to innych rodzajów ziem – nie udało się nam ani razu zaobserwować oczekiwanej reakcji. Trwało to już chyba dobrze ponad godzinę i zaczynałem się powoli nudzić, kiedy nagle zauważyłem, że zawartość probówki, którą trzymał w prawej ręce profesor – zaczyna zmieniać kolor...

Stałem w tym momencie po prawej stronie i przejęty tym, co się stało, wrzasnąłem: „O, odbarwiło się!” – wykonując zarazem gwałtowny ruch ręką. Efekt tego był taki, że zawartość mojej probówki „chlusnęła” na rękaw marynarki profesora.

Zesztywniałem z przerażenia. Na moje szczęście profesor utkwiał w tym czasie wzrok w swojej próbce, w pierwszej chwili niczego więc nie zauważył. Mnie z kolei nie pozostało nic innego, jak szybko pozbyć się „kompromitującego materiału” i udać, że nic się nie stało.

Natychmiast wstawiłem moją probówkę z resztką niebieskiej cieczy do statywu i szybko stanąłem po lewej stronie profesora, jak najdalej od pobrudzonego rękawa marynarki, z ożywieniem komentując fakt odbarwienia się preparatu.

Profesor jeszcze przez chwilę obserwował zawartość swojej probówki, trzymając uniesioną prawą rękę, aż wreszcie zauważył plamę i zapytał ze swoim charakterystycznym lwowskim „zaśpiewem”:

– „To pan mnie tak *pulewa*, panie *kulego*?”

Stojąc w tym czasie z dala od fatalnego rękawa, zrobiłem najniewinniejszą minę pod słońcem i zapytałem zdziwiony: „Ja?”

On tymczasem sięgnął do kieszonki, w której tkwiła elegancko złożona biała chusteczka i położył ją na resztki niebieskiej cieczy.

Dalsze eksperymenty zostały natychmiast przerwane. Mnie natomiast do dzisiaj nurtuje pytanie, czy profesor uwierzył wtedy, że to nie ja go *pulałem*?

\* \* \*

Żeby zamknąć rok 1958, należy wspomnieć o drugim obozie wojskowym, jaki odbyliśmy w Zgorzelcu. Był on o tyle ważny, że kończyliśmy na nim naszą edukację i po zdaniu egzaminów końcowych otrzymywaliśmy stopnie: kaprała podchorążego, plutonowego podchorążego lub sierżanta podchorążego. Sierżantem został na naszym roku jeden jedyny niezawodny student – Mieciu B., ksywa „Cherubin”.

Obóz nie przypominał tego pierwszego, w Miliczu, gdzie przechodziliśmy okres rekrucki. Był większy luz, bo zajęcia prowadzili nasi wykładowcy ze Studium Wojskowego – kapitan K. oraz kapitan B.

Na zdjęciu studenci usiłują uruchomić motopompę, podstawowe narzędzie chemików wojskowych w operacjach „dezaktywacji” sprzętu i ludzi.



Obóz wojskowy w Zgorzelcu



Obóz wojskowy w Zgorzelcu. Na porannej „zaprawie” stoją w karnym szeregu: N.N., Jurek Matysiak, Albin Czernichowski, Rysiek Sereďa, Kaziu Czekała, Rysiu Ostrowski, Mieciu Szustakowski, Włodek Kaźmierowski, kolega Pordes (nie z naszego roku) i na końcu autor (mocno wygięty). Panowie: Borek i Pordes byli absolwentami radzieckich uczelni i z nami zaliczali tylko wojsko. Źartobliwie nazywaliśmy ich obu „Porgy and Bess”

Można rozpoznać: Ryśka Ostrowskiego, Piotra Freundlicha, kapitana K. Franek Piwowarski trzyma rękę na dźwigni rozrusznika, a w pelerynie – chyba kolega Borek (nie z naszego roku). Ta cholerna pompa nie chciała „odpalić”, ponieważ ktoś złośliwie zamienił miejscami przewody zapłonowe do świec. Zanim to „odkryliśmy”, naszarpaliśmy się „zdrowo”. Potem była już tylko zabawa: polewanie się wzajemne z węży strażackich...

W Zgorzelcu panowała na tyle luźna dyscyplina, że pewnej soboty pozwoliliśmy sobie z Albinem Czernichowskim na nielegalny wypad do Wrocławia. Będąc na miejscu, „zaopatrzyliśmy” się w cywilne ciuchy i w nich wracaliśmy do Zgorzelca. Mundur i buty wieźliśmy w paczce pod pachą. Pociąg miał dłuższy postój w Węglińcu, co zostało przez nas wykorzystane na ponowne „przybranie” wojskowych postaci.

Współpasażerowie w wagonie byli bardzo zdziwieni, że do toalety wchodzi kolejno dwaj cywile, a wychodzą żołnierze... Po pierwsze: korzystanie z toalety podczas postoju pociągu było zakazane, a po drugie, tacy „przebierańcy” to mogli być np. agenci z Zachodu. Znajdowaliśmy się przecież w strefie przygranicznej...



„Bawię się” tu w wykładowcę. Wojsko jest wyraźnie rozbawione. Na pierwszym planie: Waldek Olszewski, Jacek Młochowski, Geniu Wójcik. Edziu Kotuła usadowił się nieco dalej, obserwowany przez Bogusia Nowickiego



Z Franiem Piwowarskim w niezbyt wytwornych pozach...



Nawet „wiszenie” na drążku miało swój urok... Heniu Mosiek i „ten drugi” mają zadowolone miny. Z tyłu Mieciu Szustakowski, „połowa” Jasia Doryckiego i autor



Przy instalacji odkażającej ARS. Jakież „zainteresowanie” autora wykładem!

Na szczęście oprócz zdziwienia towarzysze podróży nie wykazali się dostateczną czujnością i aktywnością. Nie nękanii przez nikogo, wróciliśmy cało i zdrowo do koszar.

\* \* \*

Pewnie jakiś surowy recenzent mógłby mieć zastrzeżenia, co do wyboru i jakości prezentowanych zdjęć. Jakość – to sprawa ówczesnego sprzętu, a wybór? No cóż. Chciałoby się zamieścić ich jak najwięcej. Tacy byliśmy w owych czasach.

## Finiszujemy

Oficjalnie piąty rok studiów kończył się w czerwcu 1959 roku. Mnie i kilku innym kolegom i koleżankom wypadło uporać się z pracą dyplomową jesienią 1959 roku, a do obrony przystąpić jeszcze w grudniu. Trzeba było zatem wziąć tzw. stypendium zwrotne, aby mieć za co funkcjonować we Wrocławiu. Przyznam, że był to dla mnie okres bardzo wytężonej pracy. Musiałem do końca roku zdać dyplom, gdyż zobowiązałem się od 2 stycznia 1960 roku podjąć pracę w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Kwidzynie (mieście, gdzie nadal mieszkali moi rodzice). W tym czasie zaczęto wprowadzać tzw. wstępny staż pracy, na którym można było uzyskać wynagrodzenie w wysokości 1200 zł miesięcznie. Natomiast moje wynagrodzenie w Stacji miało wynosić 1760 zł, plus dodatek kierowniczy i zakaźny. Otrzymywałem – jako kierownik Laboratorium Higieny Komunalnej – około 1700 zł netto.

Była to zdecydowanie wyższa kwota od tej, jaką zapewniał „wstępny staż pracy”. Do tego dochodził luksus mieszkania i żywienia się w domu rodzicielskim, za co oczywiście płaciłem rodzicom ustaloną stawkę ryczałtową.

Grudniowi dyplomanci, wraz z koleżankami i kolegami, którzy w tym czasie przebywali we Wrocławiu, korzystając z uprzejmości naszej koleżanki Basi Szulc, dysponującej odpowiednim lokalem (w domu rodzicielskim), zorganizowali pożegnalne spotkanie.

Najpierw zdjęcie grupowe. Znow ta fatalna jakość, ale pierwszy rząd jest bardzo dobrze rozpoznawalny. Jasiu Czernysz nawoływał najprawdopodobniej do zachowania większej ciszy... Jurek Matysiak, w rozpiętej białej koszuli – jak zawsze uwodzicielski... I jeszcze (rozpoznawalni): Bogusia Stastna, Witek Tęcza, Wandzia Czerniawska, Waldek Olszewski, Lodia Falaszewska... Za nimi autor usiłuje do czegoś przekonać Tereskę Lepich.



Na pożegnalnym spotkaniu...



Na tym zdjęciu kontynuuję dyskusję z Tereską





Zabawa była świetna, o czym świadczą rozbawione twarze naszych koleżanek.  
Lodzia Falaszewska i Wandzia Czerniawska są w swoim żywiole...



A tu „dobry duch” – Marysia Tuszyńska. To dzięki jej talentom organizatorskim  
odbywamy nasze kolejne spotkania rocznicowe



Fredzia Molenda „rozrywana” przez Jasia Poryckiego i autora.  
To się nazywało mieć powodzenie...



To musiała być aria operowa lub jakiś ówczesny „evergreen”. Wszyscy są zaszuchani...

Pośród obecnych na zdjęciu przeważają Ci, którzy jeszcze muszą trochę popracować. Widzę tylko Witka Tęczę, Teresę Lepich i siebie – „prawdziwych” magistrów inżynierów. Reszta to jeszcze studenci...

Warto przypomnieć, że Wandzia Czerniawska na naszym spotkaniu „Po pięćdziesięciu latach”, we wrześniu 2009 roku, wręczyła nam swoją wspomnieniową książkę, pt. *My was wyzwolili*. Opisała w niej przeżycia typowej rodziny polskiej na Wschodzie pod okupacją sowiecką. Chemicy to utalentowani ludzie...

Na tym kończy się moja fototeka, zawierająca zdjęcia z naszego historycznego, podyplomowego spotkania. Jeszcze po pięćdziesięciu latach, gdy na nie spoglądam, wszystko staje „jako żywe” przed oczami.

## Zakończenie

**I** to będzie najtrudniejsze. Właściwie wszystko, co wydawało mi się istotne dla tego rodzaju wspomnień, zostało opisane. Jeszcze raz przejrzałem mój indeks...

Na piątym roku, a dokładnie w marcu 1959 r., zdawałem egzamin z przedmiotu ekonomika, organizacja i planowanie w przedsiębiorstwach przemysłowych u prof. Bronisława Pilawskiego, który próbował uzmysłowić nam, na jakich zasadach powinno funkcjonować zdrowe ekonomicznie przedsiębiorstwo. Przedsiębiorstwa, o których można było wówczas mówić, to były zakłady i fabryki państwowe. One „zdrowe ekonomicznie” na pewno nie były, profesor często więc uciekał się do przykładów przedsiębiorstw kapitalistycznych.

Do dzisiaj zapamiętałem jego stwierdzenie, że na Zachodzie, aby założyć interes (słowa biznes nie używano), nie potrzeba wcale mieć pieniędzy. Pieniądze są w bankach, a przyszły przedsiębiorca musi mieć zaufanie. Zaufanie wystarczy, aby bank udzielił kredytu. To były rewelacje, których nie można było usłyszeć na „oficjalnych” wykładach z ekonomii politycznej...

Z dzisiejszego punktu widzenia racjonalne funkcjonowanie w tamtych czasach wymagało umiejętnego „rozdwojenia jaźni”. Myśmy funkcjonowali w dwóch „rzeczywistościach”. Jedna oficjalna, nazwijmy ją umownie: „wicie, rozumiecie”, i druga wyniesiona z domu, zdroworozsądkowa...

To „rozdwojenie jaźni” przychodziło mojemu pokoleniu stosunkowo łatwo. Nasze dzieciństwo szkolne przypadło na okres okupacji. Dorośli słuchali nielegalnie radia, o czym nie wolno było pod żadnym pozorem nikomu opowiadać. W domu rozmawiano po polsku, czym również nie można było się chwalić. Zaraz po zakończeniu wojny nie można było mówić o „ekscesach” naszych radzieckich wyzwolicieli i rozwodzić się nad ich poziomem kultury.

Dopiero ucząc się w szkole rosyjskiego, poznałem słowo „wielosipied” oznaczające rower. Radzieccy mówili na rower „maszynka”, ponieważ najprawdopodobniej nie znali poprawnej nazwy tego urządzenia.

To nasze „rozdwojenie jaźni” pozwalało w miarę bezpiecznie funkcjonować w czasach, kiedy co innego mówiono, a co innego robiono... Wbrew temu, co dzisiaj niekiedy twierdzi pokolenie „styropianowe”, moje pokolenie musiało stosować swoistą mimikrę, w przeciwnym wypadku trzeba by zrobić kolejne powstanie.

Nauczyliśmy się być skuteczni, a to jest zawsze najważniejsze. Okazało się to niesłychanie przydatne w późniejszej działalności zawodowej. Myślę, że inżynierom przychodziło to łatwiej niż innym zawodom. Nie ma bowiem „termodynamiki socjalistycznej” lub „kapitalistycznej”, a ekonomia polityczna takie rzeczy rozróżniała.

Skończyliśmy wspaniałą uczelnię w tak pięknym (dzisiaj) Wrocławiu. Mamy nadal dość liczne jeszcze grono koleżanek i kolegów, z którymi się okresowo spotykamy.

Oby to trwało wiecznie...

## Zenon Prętczyński

### Pamięć i wdzięczność za edukację

Znaczenie i wartość uczelni tworzą żywi ludzie, jej profesorowie. Ich wiedza, zdolność przekazywania, pasja, osobowość oraz bardzo często charyzma, gwarantują wysoki poziom nauczania. Jestem przykładem studenta, który miał niebawale szczęście zdobywać wiedzę architektoniczną od znakomitych profesorów, obdarzonych tymi właśnie cechami. Byli to wykładowcy wywodzący się głównie z Wydziału Architektury przedwojennej Politechniki Lwowskiej – znakomici architekci, urbaniści, malarze i rzeźbiarze z olbrzymim bagażem doświadczeń projektowych, realizacyjnych oraz dydaktycznych.



W następstwie nieprzychylnych dla Polski przemian historycznych po drugiej wojnie światowej, zmuszeni do opuszczenia rodzinnego Lwowa – wybrali miasto Wrocław, jako miejsce zamieszkania i pracy twórczej. W ten sposób Politechnika Wrocławska stała się rzeczywistą filią Politechniki Lwowskiej!

To dzięki ich pasji, wiedzy oraz inspiracji była możliwa tak szybka odbudowa materialna i naukowa nowej polskiej uczelni we Wrocławiu po zniszczeniach wojennych w 1945 roku. Profesor Jerzy Hawrot oraz profesor Tadeusz Kozaczewski (absolwent mojego Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Kaliszu) – byli pełnomocnikami Ministra Oświaty do przygotowania gmachów uczelnianych i klinik uniwersyteckich we Wrocławiu do rozpoczęcia roku naukowego 1945/1946. Niewykonalne zadanie wykonano.

Edward Polanowski w książce z 1979 roku pt. *W dawnym Kaliszu* pisał: „Mekką dla kaliszczan bywał przez wiele lat nie Poznań, nie Warszawa, ale właśnie Wrocław i to on dawał dawał większości pojęcie o wielko-miejskości”.

Nie przypadkiem główna ulica na południe to Wrocławska!



Na schodach Gmachu Głównego Politechniki Wrocławskiej (1948 rok). Od dołu, od lewej I rząd: Jacek Udziela;  
 II rząd: Jerzy Dawnis, Zenon Prętczyński, Jerzy Szmidt, Olgierd Czerner, Eugeniusz Ciurla, Krystyna Postawka, Janusz Jabłkiewicz;  
 III rząd: Tadeusz Frątczak, Henryk Majewski, Ryta Stachowicz, Marian Barski, Janina Chmielówna, Bogna Jakuszeko,  
 Kazimierz Klimczewski, Wojciech Kozłowski; IV rząd: N.N., Edward Seifried, Ryszard Natusiewicz, Gerard Alexewicz, N.N.,  
 Stanisław Nyka, N.N., Jan Tyrata, Tadeusz Kościuk, Zbigniew Rewerski, Wiesława Majchrowska. Fot. Eugeniusz Janowski

Latem 1947 roku – z bagażem przedwojennej edukacji w najstarszym w Polsce Gimnazjum i Liceum im. Adama Asnyka w Kaliszu, z doświadczeniem pięcioletniej okupacji niemieckiej w rodzinnym Kamieniu (Steinhofen) małoletniego robotnika rolnego, drwala leśnego, stolarza, budowniczego dwóch mostów oraz powojennego głównego projektanta w Fabryce Haftów i Koronek, maturzysty Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki – przybyłem koleją żelazną do Wrocławia z rodzinnego 1800-letniego, „Ptolomeuszowego” Kalisza nad Prosną położonego. Po drodze zastanawiałem się, czy Wrocław będzie dla mnie tą mekką – jak to drzewiej dla kaliszczan bywało? Ale moje tutaj we Wrocławiu 63 lata... tezę tę potwierdzają...

Przejście *per pedes* przez zniszczone, niegdyś piękne miasto, hałdy gruzów, widok na Ostrów Tumski, Katedrę, most Grunwaldzki, Wybrzeże Stanisława Wyspiańskiego... i wysniony Gmach Politechniki Wrocławskiej.

Pokonanie wielu stopni schodów do głównego wejścia miało dla mnie wymiar wielkiego życiowego symbolu. Było to przejście do nowego etapu, do przeze mnie wymarzonej, architektury!

Potwierdzeniem mojego słusznego wyboru była prezentowana w Auli piękna i niezapomniana wystawa prac studentów architektury. To było olśnienie i fascynacja tym, co miało stanowić treść mojego dalszego spełnionego życia.

Na schodach zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie – niestety, utrwalona młodzież postarzała się już nieco, a większość mych przyjaciół już na drugiej stronie...

Przez cztery lata studiów (1947–1951) Politechnika, jej sale wykładowe, Aula, były dla mnie drugim domem. Tutaj dorastaliśmy intelektualnie, czerpiąc wiedzę przez mistrzów nam przekazywaną, która wzbogacała naszą świadomość architektoniczną.

W lipcu 1951 roku, po czwartym roku (przed dyplomem), uczestniczyłem w wycieczce krajoznawczo-architektonicznej – od Krakowa po Jarosław, Sandomierz, Zamość, Kazimierz nad Wisłą. W historycznym Bieczu, gdzie była szkoła katowska, postanowiliśmy w młodzieńczym zapale reaktywować „zdobycze przeszłości” i tak powstała Polska Akademia Katowska... Nasi profesorowie: Dobrosław Czajka, Andrzej Frydecki, Bogdan Guerguin oraz Bronisław Wiktor byli znakomitymi komentatorami oglądanych nieznanymi nam miast i zabytkowych obiektów. Zostali honorowymi członkami Akademii – wyróżnienie to zostało przyjęte przez naszych mistrzów z aprobatą.





Rzeszów (1951 r.). Od lewej: Bohdan Boberski, Krystyna Postawka, Radosława Lombarska, Marcin Buczyło, prof. Dobrosław Czajka, Janina Chmielówna, Jerzy Szmidt, N.N., Tadeusz Guzik, N.N., Zenon Prętczyński, N.N., N.N., asystent arch. Tadeusz Biesiekierski, prof. Bronisław Wiktor, prof. Andrzej Frydecki, Ryta Stachowicz, Janusz Jabłkiewicz, Anna Rożnowska, Olgierd Czerner, Zenaida Leszczyn, Henryk Sufryd, Ryszard Natusiewicz. Fot. Eugeniusz Janowski



Sesja wyjazdowa Polskiej Akademii Katowskiej (PAK) z siedzibą w Bieczu, Beskid (lipiec 1951 r.). Władze PAK, od prawej stoją: Rektor JM prof. dr h.c. Jerzy Szmidt, Prorektor JM mgr Zenon Prętczyński. Senat PAK, od prawej siedzą profesorowie: Bohdan Boberski, Henryk Sufryd, Waldemar Hinc, Ryszard Natusiewicz. Fot. Eugeniusz Janowski



W tych wspomnieniach przywracam pamięć o moich profesorach, ich dokonaniach nie tylko we Wrocławiu, bowiem to właśnie oni byli Politechniką Wrocławską tamtych lat. A oto i oni.

### **Profesor Tadeusz Broniewski**

„Na tablicy czerni, białą kredy wyrastały przepiękne katedry, zamki i powały, a na nich pomniki i kłujące w niebo zwieńczenie attyki”. To było dzieło znakomitego rysownika i człowieka niezwyklej szlachetności, ilustrującego przepiękną polszczyzną swoje wykłady o architekturze średniowiecznej i nowożytnej. Jego godna postawa sprawdziła się w okresie stalinowskich represji. Miał wówczas odwagę, będąc sam wysokiej rangi oficerem Armii Krajowej na wschodnich okręgach.

Był autorem przedwojennych realizacji na Kresach Wschodnich, natomiast we Wrocławiu: Gmachu Chemii Politechniki Wrocławskiej przy Wybrzeżu Wyspiańskiego, odbudowy kościoła św. Marii Magdaleny i Biblioteki Uniwersyteckiej.

Laureat Nagrody Miasta Wrocławia (1958), autor wielotomowego dzieła *Architektura dla wszystkich*. Przez nas niezwykle lubiany i szanowany.

### **Profesor Tadeusz Brzoza**

Góral z Zakopanego, zwany przez nas „Bacą”. Był twórcą ambitnym, wymagającym od siebie w pokonywaniu poprzeczki wysoko postawionej dla swojej działalności architektonicznej. Również na sali projektowej był wymagającym od nas – jego studentów. „Zaliczyć Brzozę” to był kamień milowy na drodze do ukończenia studiów. To właśnie on, dla nas, studentów, otworzył okno na świat architektury, w ścianie, która oddziela od czegoś wielkiego, niezwykłego. Autor wielu kościołów na Podhalu, także Domu Turysty w Zakopanem, i wielu projektów konkursowych w okresie przedwojennym. We Wrocławiu brał udział w odbudowie Uniwersytetu, rozbudowie Politechniki – m.in. współautor projektu gmachów przy placu Grunwaldzkim. W latach 1955–1958 pełnił funkcję dziekana Wydziału Architektury. Był utalentowanym twórcą niepowtarzalnych dzieł architektonicznych.

### **Profesor Marcin Bukowski**

Napisałem fraszkę, która odwierciedla jego wrocławskie dzieła.

*Architektury Polskiej zawsze byłeś Panem, Koneserem form twórczych Szambelanem. Dzięki tobie – katedra na Tumskim Ostrowie jest w pięknej szacie – co się Twórczą zowie oraz chlubną koronę ratusza w Rynku – stoją kamienice zabytkowe, jak ulani Fredry we wspaniałym ordynku.*

Ten utalentowany szlachetny człowiek, erudyta, znakomity znawca architektury europejskiej, związał swoje twórcze życie z Wrocławiem – mia-

stem zniszczonym w 1945 roku. Dokonania jego, dzięki energii i pasji działania, są niezwykle. Jak Feniks z popiołów, z gruzów odradzały się całe piękne zespoły zabytkowe, świadczące o uroku naszego Wrocławia.

Autor wielu wspaniałych projektów i realizacji w przedwojennym Krakowie: Biblioteki Jagiellońskiej, stadionu sportowego, pomnika przy Barbakanie; we Wrocławiu: kościołów św. Krzyża, św. Wincentego, Bożego Ciała oraz Arsenalu Wrocławskiego. Napisał piętnaście prac naukowych i publicystycznych. Był człowiekiem przyjaznym i serdecznym.

Zasłużył na myśl Horacego „Wzniosłem pomnik twardszy od spizu”.

### **Adiunkt Ewa Kazimirowska-Cieszyńska**

Zieleń parków Wrocławia, zamku w Książu oraz Ślązańskiego Parku Krajobrazowego była przedmiotem jej wielkiego osobistego kultu. Przekazywała studentom swoje doświadczenia w sposób klarowny. Była znakomitym architektem i urbanistą, laureatką konkursu na Centrum Miasta Opola (Ewa Cieszyńska, Roman Tunikowski, Zenon Prętczyński). Autorka budynku mieszkalno-usługowego przy placu Legionów we Wrocławiu.

Rok 1968 był sprawdzianem jej stosunku do prawdy. Strajkując razem ze studentami, straciła nie tylko pracę na Politechnice, ale również możliwość ukończenia rozpoczętego przewodu habilitacyjnego, zyskując na zawsze uznanie i szacunek społeczności architektonicznej nie tylko Wrocławia. Człowiek wielkiego serca.

### **Profesor Adam Cybulski**

Sympatyczny i życzliwy, na zawsze pozostał symbolem długowieczności i witalności. Przez sto lat swego życia był nie tylko świadkiem, ale uczestnikiem najważniejszych wydarzeń historycznych naszej ojczyzny. „W 1917 roku – jak pisał we wspomnieniach porucznik carskiej armii – Adam Cybulski – ze wzruszeniem zmieniałem oficerski carski bączek – na polskiego orzelka”.

To był początek niepodległej Polski – po 123 latach niewoli! Uczestnik zwycięskiej bitwy pod Rarańczą w II Brygadzie generała Józefa Hallera. Bronił niepodległości w 1920 roku przed najazdem bolszewików w II Pułku Ułanów Grochowskich w Bitwie pod Warszawą.

Natomiast w 1944 roku uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Przed drugą wojną światową pracował w Katedrze Mechaniki Teoretycznej we Wrocławiu, został profesorem, prowadząc Katedrę Statyki Budowli.

Z „matmy” u profesora Andrzeja Wilkońskiego miałem nędzną trójkę, ale u profesora Adama Cybulskiego statyką z przyjaznym Culmanem i Cremoną byłem zafascynowany. Na egzaminie profesor uśmiechnął się: Proszę indeks! Z satysfakcją wpisuję panu pięć...

Na siedemdziesięciolecie niepodległości, mając dziewięćdziesiąt dwa lata, profesor wygłosił na Politechnice traktat moralny *Sen o niepodległości*.

„Jako przedstawiciel odchodzącego pokolenia, życzę młodszym pokoleniom i tym następnym, by ideę niepodległości postawili sobie jako nadrzędny cel życia, ponad troski i problemy dnia codziennego. Ideę, dla której warto żyć, o którą warto i należy walczyć”.

Jest to najpiękniejszy apel do następnych pokoleń Polaków, jaki w swoim życiu czytałem! Profesor Adam Cybulski był dla nas, studentów, symbolem niezwykłej szlachetności i postawy moralnej.

### **Profesor Dobrosław Czajka**

Barwną paletą akwarel i wspaniałych rysunków wkroczył w nasze życie, uczniów, których usterki „techniczne” korygował skinieniem głowy lub też usuwał swą znakomitą kreską.

Był niepowtarzalnym mistrzem jakości barwy i kompozycji. Przetwarzał piękno architektury, otaczającego świata, w interesujące, inspirujące dzieła malarskie. Jego obrazy, w których wyrażał swój bogaty świat wyobraźni, są cenniejsze od zaszczytu i piękniejsze od zachwyty. Autor wspaniałych akwarel przedwojennego rodzinnego Lwowa, zabytkowych miast Dolnego Śląska, Włoch, Jugosławii. Wszystkie one mają wspólną cechę – są piękne. Tworzył architekturę we Lwowie (wnętrza Teatru Skarbka), we Wrocławiu: wnętrza gmachu NOT oraz auli Politechniki. Przebudował filary mostu Grunwaldzkiego, odbudował kościół św. Anny i zrealizował (w 1948 roku) Pawilon Izby Rzemieślniczo-Handlowej na Wystawie Ziem Zachodnich. Profesor Dobrosław Czajka był człowiekiem niezwykle skromnym, oszczędnym w słowie, twórczym w czynie.

### **Profesor Konrad Dyba**

Rozbudził w nas rzecz w przyszłym zawodzie niezwykle ważną i wprost niezbędną – świadomość przestrzennego widzenia otoczenia i tworzenia przez nas nowego świata architektury. W pracy architekta: „Nie wystarczy bowiem patrzeć, trzeba widzieć”. Uczył nas profesor perspektywy wykreślnej w sposób Bartłowski, a więc – dociekliwy. Choć nasze skronie pokryła siwizna, pamiętamy, co to jest prosta, punkt oraz płaszczyzna. To była wspaniała i niezapomniana edukacja przestrzenna. Opublikował dziewięć prac naukowych, dziesięć prac zespołowych oraz trzy uczelniane skrypty. Na egzaminie z geometrii wykreślnej, którą „kapowałem”, ponieważ uczyłem się ze Staszkiem Chronowskim (po dyplomie był asystentem profesora), otrzymałem notę „3”. Twierdził, że uczeń umie tylko na „3”, on sam na „4”, a na „5” tylko profesor Kazimierz Bartel. We Wrocławiu brał udział, wspólnie z profesorem Kazimierzem Ciechanowskim, w konkursie na projekt architekto-

niczno-urbanistyczny budynku Uniwersytetu Wrocławskiego między mostami: Grunwaldzkim i Pokoju oraz placu Młodzieżowego przy ulicy Świdnickiej.

Był znakomitym pedagogiem i godnym człowiekiem.

### **Profesor Andrzej Frydecki**

*Wśród porządków klasycznych oraz kolumn, „pendulował” uroczy przestrzeni wolumen. W tej przestrzeni klasycznej był po prostu niedoścignionym „mistrzem”.*

Był człowiekiem o stoickim spokoju i manierach prawdziwego arystokraty, znawcą architektury monumentalnej całego świata; autorem odbudowy Teatru Polskiego oraz Opery Wrocławskiej.

Nam, studiującym, wpajał, że we Wrocławiu, mieście, gdzie działali światowej klasy architekci: Berg, Mendelson, Scharoun, na architektach i urbanistach polskich ciąży wielka odpowiedzialność za kształt plastyczny odbudowywanego i budującego się Wrocławia.

Dziś, po sześćdziesięciu latach, gdy patrzę na architekturę „szklarstwa budowlanego” oraz na wyczyny „urbanistyczne” – jak np. pl. Dominikański, który stał się jedynie przystankiem dla tramwajów – to niestety myślę, że nasz „Fryc” miał rację.

W okresie lwowskim (do 1939 roku) prof. Frydecki był autorem dwudziestu znakomych realizacji oraz otrzymał piętnaście nagród w konkursach. Jako wielki miłośnik muzyki oraz teatru przekazał nam wiedzę praktyczną oraz teoretyczną. We Wrocławiu zaprojektował gmach Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej przy ulicy Łukasiewicza. Wziął udział w konkursach na projekt: nowego budynku Akademii Medycznej oraz placu Kościuszki. Autor książki pt. *Projektowanie budynków widowiskowych dla teatru, muzyki i filmu*. Pozostawił po sobie trwałe ślad. Był... mistrzem!

### **Profesor Zbigniew Kupiec**

Już samo jego wejście na salę miało swą wymowę, profesor bowiem wkroczył pierwszy, a za nim dalsi współpracownicy według rangi stanowisk w Katedrze Architektury II. Charakterystyczna sylwetka i szybkie zdecydowane ruchy informowały, że jest to ktoś. Jego korekty były robione z pasją, a przy szkicach, które uznał za udane, zwykł pisać... „Klasa” z pięknym czytelnym podpisem. Do takiej szybkiej oceny miał prawo, w latach 1932–1939, bezpośrednio po dyplomie „lwowskim”, zaprojektował bowiem i zrealizował szesnaście pięknych kamienic w centrum Gdyni. Są to dzieła architektury modernistycznej – klasy europejskiej. Współautor gmachu Politechniki Wrocławskiej przy placu Grunwaldzkim oraz Domu Turysty w Zakopanem, a także autor wielu opracowań konkursowych. U profesora Zbigniewa Kupca (dziekana Wydziału Architektury) wykonałem pracę dyplomową „Wojewódzkie Centrum Pożarnictwa we Wrocławiu”.

22 grudnia 1951 roku (w dzień moich imienin), po obronie dyplomu, profesor wydał werdykt „5” oraz obdarował mnie wieloletnią przyjaźnią. List Zbyszka spod Wawelu zachowałem w trwałej pamięci...

### **Profesor Oskar Mucha**

Bohaterski obrońca Lwowa w szeregach Orląt Lwowskich 1918 r. Do Wrocławia przybył w 1945 r., obejmując Katedrę Konstrukcji Budowlanych na Wydziale Architektury. Był jedynym zwracającym się do nas po ojcowsku: „Powiedz mi, kochasiu...” z życzliwym błyskiem oczu. Autor wielu realizacji budowlanych.

### **Profesor Stanisław Pękalski**

Na Wydziale prowadził rysunek aktu. Traktował akt jako sztukę widzenia piękna ciała kobiety, budzącego ciekawość od początku świata. Znakomity malarz i autor witraży w Katedrze Wrocławskiej oraz wielu kościołach w Polsce.

W 1917 roku był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej oraz brał udział w Bitwie Warszawskiej w 1920 roku.

### **Profesor Marian Rehorowski**

Uczył nas przedmiotu niezwykle ważnego dla architekta, mianowicie architektury wnętrz. Wnętrze użytkowe właściwie i klarownie rozwiązane wywołuje pozytywne emocje oraz inspiruje twórczo. Od kardynała Karola Wojtyły otrzymał wyróżnienie specjalne za studia nad sztuką sakralną w Polsce

Odwiedzałem profesora w pięknych wnętrzach Jasia i Małgosi we Wrocławiu, słuchając barwnych opowieści o miastach i zabytkowych budowlach, rozświetlonych śródziemnomorskim słońcem. Oprócz sympatii obdarzył mnie „celującym” w indeksie.

### **Profesor Bronisław Wiktor**

Rozpoczął działalność w 1922 roku, otrzymując I nagrodę za pawilon wystawowy na Targi Wschodnie we Lwowie. Jego dorobek w dziedzinie architektury, rzeźby, malarstwa, grafiki oraz plakatu jest imponujący. Autor pięciu nagrobków na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Mam jego podpis na akwareli Uniwersytetu.

Brał udział w indywidualnych wystawach malarstwa i grafiki we Lwowie, Wrocławiu, Krakowie, Poznaniu oraz Kijowie, Leningradzie i Moskwie. Życzliwy, uczynny, inspirujący pedagog i człowiek.

### **Profesor Tadeusz Wróbel**

Poznaliśmy go jako urbanistę i architekta z wielkim doświadczeniem prac projektowych, realizacyjnych oraz konkursowych okresu przedwojennego

w rodzinnym Lwowie. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej, studiował również w Paryżu. Uczestniczył w Międzynarodowym Kongresie Urbanistycznym w Berlinie i w Sztokholmie. Na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej prowadził Katedrę Budowy Miast i Osiedli, przekazując nam tradycje urbanistyki lwowskiej oraz światowe doświadczenia w tej materii.

Jest autorem znakomitej książki pt. *Zarys historii budowy miast*. Jest to opowieść plastyczna o miastach i ludziach, którzy w twórczym trudzie je budowali. Wiele bowiem z tych miast własnymi krokami przemierzył i zobaczył, niczym współczesną kamerą telewizyjną. Mimo upływu czterdziestu ponad lat, nikt lepszej książki o urbanistyce dotąd nie napisał.

Dwa miasta darzył miłością: rodzinny Lwów – miasto młodości oraz Wrocław, gdzie po 1945 roku zamieszkał, nauczał i tworzył, jako doświadczony pedagog. Do jego realizacji lwowskich należą: Miejski Zakład Energetyczny, Dom Lekarski, osiedle mieszkaniowe „Za Żelazną Bramą” i inne. We Wrocławiu natomiast uczestniczył w odbudowie: Domu Towarowego PDT oraz „Ossolineum”.

Prof. Tadeuszowi Wróblowi zawdzięczam edukację urbanistyczną.

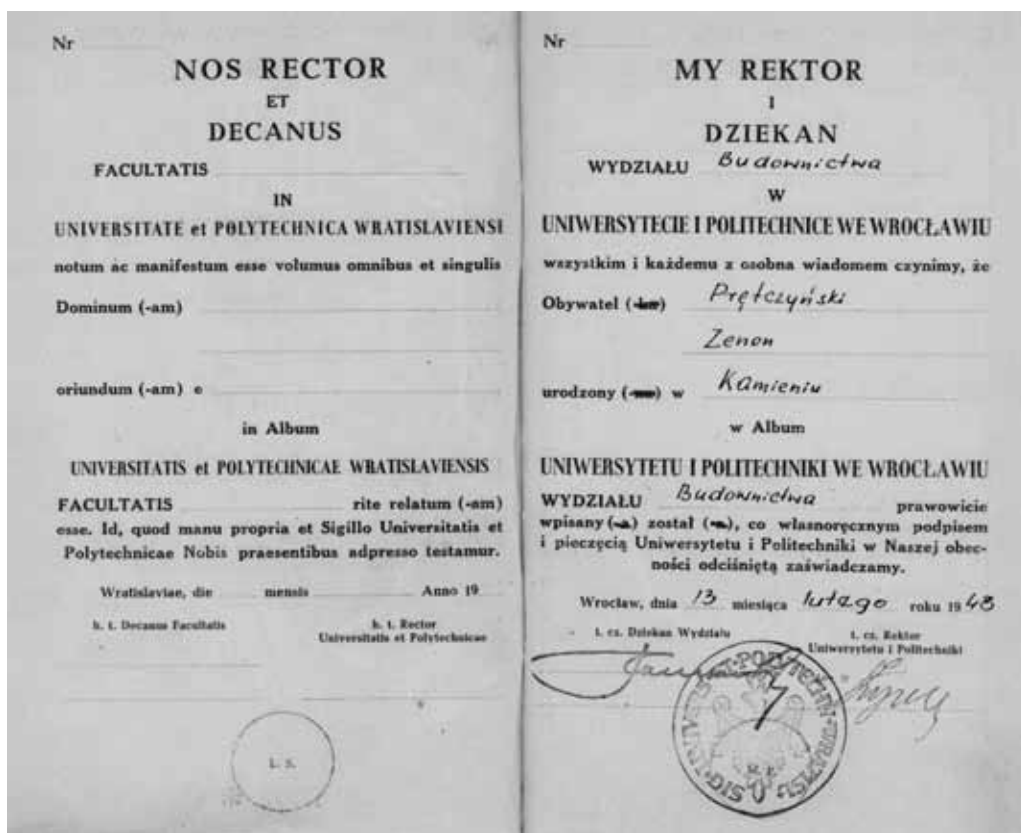
\* \* \*

Po dyplomie moje kontakty z profesorami miały nadal charakter... edukacyjny. Prof. Broniewski był konsultantem moich prac w Wiejskim Biurze Projektów we Wrocławiu, natomiast prof. Frydecki w „Miastoprojekcie-Wrocław” współuczestniczył w realizacji naszego projektu Domu Towarowego w Opolu przy ul. 1 Maja.

Również w „Miastoprojekcie-Wrocław”, w moim zespole architektonicznym, prof. Dobrosław Czajka wykonał interesujący projekt jedenastoizbowej szkoły w Rusinowej koło Wałbrzycha, a prof. Tadeusz Brzoza, we współpracy z arch. Wiktorem Jackiewiczem, opracował projekt Hotelu Turystycznego przy Podwalu we Wrocławiu. Z profesorem Tadeuszem Wróblem przez wiele lat brałem udział w pracach Wojewódzkiej Komisji Urbanistyczno-Archiitektonicznej we Wrocławiu. Te spotkania ubogacały moje życie.

Kiedykolwiek, a zdarza się to bardzo często, przy okazji spotkań, zjazdów, rocznic, odwiedzin na uczelni, która przez cztery lata była moim domem, znajdując się w holu głównym Politechniki Wrocławskiej w gmachu przy Wybrzeżu Stanisława Wyspiańskiego, ze wruszeniem i szacunkiem spoglądam na tablicę pamiątkową, „Za wybitne zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej”, na której umieszczone są nazwiska moich profesorów z lat studiów 1947–1951: Tadeusza Broniewskiego, Adama Cybulskiego Konrada Dyby i Tadeusza Wróbla.

\* \* \*



Strona z indeksu Zenona Prętczyńskiego

W kulturze śródziemnomorskiej, której jesteśmy ważnym ogniwem, istnieje ciągle aktualne pojęcie *genius loci*. Aulę Politechniki Wrocławskiej zaliczam do takich właśnie magicznych miejsc. W tej Auli 13 lutego 1948 roku odbyło się wydarzenie nadzwyczajne w moim życiu: immatrykulacja – wręczenie indeksów.

25 sierpnia 1948 roku, również w Auli, odbyło się historyczne otwarcie Światowego Kongresu Intelktualistów.

Jako student drugiego roku miałem szczęście przyjrzeć się z bliska jego uczestnikom, a byli pośród nich: Pablo Picasso, Irena Joliot-Curie, Paul Robeson, Ilja Erenburg, Maria Dąbrowska i inni.

W Auli odbywały się także niezapomniane bale architektury, w których niejednokrotnie brałem udział.

26 czerwca 1995 roku odbyło się w naszej Auli sympozjum naukowe pt. „Politechnika Lwowska – Macierz Polskich Politechnik – 100-lecie”. Wśród



Przed Gmachem Głównym Politechniki Wrocławskiej.  
Absolwenci zebrani na obchodach 60-lecia Wydziału Architektury w dniu 23 czerwca 2005 roku.  
W środku pierwszego rzędu – prof. Ernest Kubica, prorektor Politechniki Wrocławskiej





Aula Politechniki Wrocławskiej

uczestników miałem szczęście spotkać arch. Romana Alsera, który w szeregach „Orląt Lwowskich” bronił Lwowa w 1918 roku.

Znakomity urbanista i architekt lwowski – uczestnik tego spotkania – profesor Tadeusz Teodorowicz-Todorowski napisał piękny wiersz pt. „Modlitwa”, którego fragmentem pragnę zakończyć moje wspomnienia...

*Panie mój, który stworzyłeś kosmos  
słońce, ziemię, życie i ludzki ród  
przed złem wszelakim – chroń mocą boską  
nas, zacnych bliźnich i nasz twórczy trud.*



Jan Pytel

## Moje studia na Politechnice Wrocławskiej

### Pierwszy rok studiów inżynierskich

W czerwcu 1949 roku uzyskałem świadectwo dojrzałości w liceum imienia Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Była to szkoła ze starymi, przedwojennymi tradycjami.

Z nauką w szkole średniej nie miałem trudności. Problem pojawił się przy wyborze kierunku studiów. Choć ukończyłem liceum o profilu matematyczno-fizycznym, to chyba jednak lepszy byłem w przedmiotach humanistycznych. Namawiano mnie zatem na studia o takim profilu, nawet na szkołę aktorską.

Studia techniczne, politechnika, to były jednak sprawy, którymi w tamtych czasach wypadało się interesować. Prawdę mówiąc, o studiach tego rodzaju nie miałem zielonego pojęcia. Wyobrażałem sobie, że jest to taka trochę bardziej na technikę nastawiona fizyka. W liceum mieliśmy dobrą nauczycielkę tego przedmiotu, która potrafiła nas nie tylko wiele nauczyć, ale również zainteresować tą dziedziną wiedzy. Trzeba pamiętać, że od wybuchu bomby atomowej upłynęło wtedy zaledwie kilka lat. Fizyka była tematem gorącym, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Jeden z moich szkolnych kolegów miał ojca – inżyniera mechanika, który był jeszcze wtedy właścicielem sporych zakładów mechanicznych w Częstochowie, lecz w tym akurat czasie siedział w więzieniu za przynależność do WIN-u. Nie miałem zatem okazji nawet z nim rozmawiać. Na pytanie, co konkretnie robił jego tata, mój kolega nie potrafił nic konkretnego powiedzieć. Wiedział jedynie, że zajmował się zarządzaniem swoją fabryką i podobno kiedyś skonstruował jakąś maszynę. Taka więc była i moja wiedza na temat charakteru pracy inżyniera.



Mimo wszystko – postanowiłem podjąć studia techniczne. Motywy wybrania elektrotechniki jako kierunku studiów miały charakter ideowy. Wierzyłem, że podniesienie kraju na wyższy poziom cywilizacyjny wymaga rozbudowy przemysłu oraz powszechnej elektryfikacji.

Wybór Wrocławia spowodowany był fascynacją ziemią zachodnimi, zwanymi wtedy ziemią odzyskanymi. Niemały wpływ na podjęcie takiej decyzji miało też radio Wrocław, dobrze słyszalne w Częstochowie, którego często słuchałem. Przypominam sobie, że zespół wrocławskiej rozgłośni skutecznie propagował wtedy walory Dolnego Śląska i jego stolicy.

We Wrocławiu byłem po raz pierwszy w 1946 roku, w ramach szkolnej wycieczki. Miasto było wtedy morzem gruzów. Kiedy trzy lata później przyjechałem tutaj, aby ubiegać się o przyjęcie na studia, obraz, który pozostał mi w pamięci, nie uległ istotnej zmianie. Wprawdzie ulicami można się było poruszać w miarę swobodnie, ale nadal wszędzie było mnóstwo gruzów i wypalonych domów, sprawiających przygnębiające wrażenie, ale – jak sobie przypominam – nie zwracałem na to większej uwagi.

Moją uwagę zaprzętał bowiem jeden cel – dostać się na studia. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest to proste, nie tylko zresztą we Wrocławiu. O każde miejsce ubiegało się kilku kandydatów. Zapisałem się więc na wakacyjny kurs przygotowawczy, który trwał miesiąc i obejmował przedmioty egzaminacyjne: matematykę, fizykę i naukę o Polsce i świecie współczesnym.

Egzaminy odbywały się we wrześniu. Matematyka i fizyka poszły mi nieźle. Natomiast w ramach sprawdzianu z nauki o Polsce i świecie współczesnym należało napisać pracę na temat – dlaczego chcę studiować elektrotechnikę. Podobno napisałem ją najlepiej z wszystkich zdających wtedy na Wydział Elektryczny, o czym poinformował mnie członek komisji egzaminacyjnej – Józef Popkiewicz, późniejszy profesor ekonomii politycznej na Politechnice, następnie na Uniwersytecie, w końcu – rektor wrocławskiej Akademii Ekonomicznej. Pamiętał mnie z kursu przygotowawczego, na którym prowadził zajęcia ideologiczne. Tym sposobem 1 października 1949 roku stałem się studentem Politechniki Wrocławskiej. Nie przypuszczałem wtedy, że wiąże się z tą instytucją na całe życie.

Kiedy przed wakacjami rozpoczynałem starania o przyjęcie mnie na uczelnię, składałem podanie w dziekanacie Wydziału Mechaniczno-Elektrycznego, z prośbą o przyjęcie mnie na kierunek elektryczny. Jednak po wakacjach otrzymałem indeks Wydziału Elektrycznego, który wydzielony został w międzyczasie z Wydziału Mechaniczno-Elektrycznego jako samodzielna jednostka organizacyjna. Mój rocznik zainaugurował więc samodzielne istnienie tego wydziału. Formalnie dzielił się on na kierunek prądów silnych i prądów słabych. Na pierwszym roku studiów nie istniał praktycznie żaden podział na kierunki, realizowany był jeden wspólny program dla całego roku.

Na zawartość programu nauczania zasadniczy wpływ miał fakt, że od roku akademickiego 1948/1949 studia wyższe w Polsce realizowane były w systemie dwustopniowym. Na uczelniach technicznych dzieliły się na inżynierskie i magisterskie. Trzy lata nauki i półroczna praktyka zawodowa dawała stopień inżyniera. Po dalszych dwóch latach można było uzyskać stopień magistra inżyniera. Przed wojną studia trwały formalnie cztery lata, ale praktycznie znacznie dłużej. Opowiadano, że zdarzył się taki jeden student, który zaliczył je w regulaminowym terminie, ale niebawem umarł na gruźlicę...

Wydaje mi się, że program naszego kursu inżynierskiego obejmował wszystko – no, może prawie wszystko – co było wykładane na politechnikach przed wojną w trybie czteroletnim. Ponadto u nas dochodziło jeszcze szkolenie wojskowe oraz przedmioty ideologiczne. Tygodniowo mieliśmy ponad czterdzieści godzin zajęć. Siedzieliśmy na wykładach od rana do późnego wieczora. Obecność na zajęciach była obowiązkowa. Wprowadzono bowiem tak zwaną socjalistyczną dyscyplinę studiów.

Najważniejszym przedmiotem na pierwszym roku była matematyka, którą wykładali: sędziwy profesor Ślebodziński i znacznie młodszy profesor Mikusiński. Wykłady odbywały się wspólnie dla kilku wydziałów – w wielkim audytorium na drugim piętrze gmachu głównego – i cieszyły się wielkim powodzeniem; sala była zawsze wypełniona po brzegi. Spóźnialscy musieli siedzieć na schodach. Obydwaj profesorowie wykładali w sposób prosty i komunikatywny. Profesor Mikusiński od czasu do czasu okraszał swoje wykłady zabawnymi rysunkami. Na przykład stromość nachylenia jakiejś krzywej podkreślał, rysując za pomocą kilku kresek postać zjeżdżającą po tej krzywej na sankach.

Profesor Ślebodziński zapisał się szczególnie w mojej pamięci z innego powodu. Kilkanaście lat później broniłem pracę doktorską w tym samym dniu i przed tą samą radą wydziału, co mój starszy kolega – Józef Chulanicki. Zwyczajowe przyjęcie po obronie pracy urządzaliśmy wspólnie. Józek zaprosił na tę imprezę swego obozowego współwłaściciela – właśnie profesora Ślebodzińskiego. Byli osadzeni w Oświęcimiu w pierwszym okresie funkcjonowania tego obozu, mieli więc dość czasu, aby się dobrze poznać. Profesor, wznosząc toast na cześć Józka, powiedział, że ma w stosunku do niego dług wdzięczności, gdyż to on właśnie uratował mu życie. Chulanicki zaprotestował i stwierdził, że nie przypomina sobie takiej sytuacji. Na co profesor odpowiedział: „Ależ, panie Józefie, nigdy bym nie przeżył Oświęcimia, gdybym nie miał tam kogo uczyć matematyki”...

Wykłady z fizyki prowadził profesor Nikliborc. Oceniam je zgoła inaczej niż wykłady z matematyki. Profesor poświęcał wiele uwagi prostym prawom fizyki, które ilustrował prezentowanymi na żywo eksperymentami.

Rzecz w tym, że wszystko to było nam dobrze znane ze szkoły średniej, dlatego zajęcia z prof. Nikliborcem uważaliśmy za zwykłą stratę czasu. Prawdę powiedziawszy, materiał nie objął nawet połowy tego, czego nauczyła mnie w liceum nasza nauczycielka fizyki.

Na pierwszym roku mieliśmy kilka przedmiotów czysto mechanicznych. Wykłady z mechaniki, obejmujące podstawy obliczeń konstrukcji mechanicznych, prowadził profesor Bodaszewski. Zajęcia były jasne i zajmujące, wreszcie zaczynałem rozumieć, na czym polega praca inżyniera konstruktora. Również interesujące były dla mnie wykłady na temat technologii metali. Wcześniej nie zdawałem sobie nawet sprawy, że w świadomy i zamierzony sposób można wpływać na właściwości i parametry stopów i metalowych kompozycji.

GORZEJ zapisały się w mojej pamięci wykłady na temat obróbki metali, prowadzone przez Władysława Chowańca – wtedy adiunkta – połączone z zajęciami noszącymi nazwę „obróbka metali”, które miały formę ćwiczeń. Wykład jak wykład, jednak same ćwiczenia prowadzone były w sposób mało ciekawy, ale absorbujący. Polegały na oglądaniu jakichś obrabiarek, co nie było specjalnie uciążliwe, ale w sprawozdaniu trzeba było rysować te maszyny z drobnymi szczegółami. Zajmowało mi to niesłychanie dużo czasu.

Pamiętam pierwsze zaliczenie z przedmiotu „maszynoznawstwo ogólne”, który obejmował bardzo proste opisy działania różnych maszyn i mechanizmów. Wykładał go – wtedy jeszcze całkiem młody – adiunkt Andrzej Kordecki. Byłem przekonany, że chodzi o zrozumienie sposobu działania i budowy tych maszyn i w takim sensie byłem przygotowany dobrze. Egzamin miał formę pisemną, a właściwie rysunkową. Siedziało nas kilku przy dużym stole. Egzaminator obchodził nas wkoło i przyglądał się kolejno naszym pracom. Wreszcie usłyszałem głębokie westchnienia za moimi plecami i byłem przekonany, że za chwilę pan adiunkt wyrazi swój entuzjazm, uważałem bowiem, że mój rysunek był bezbłędny. Nietrudno wyobrazić sobie moją minę, gdy usłyszałem: „namalował pan to dość podle”.

W semestrze letnim pierwszego roku pojawił się wykład na temat podstaw elektrotechniki, prowadzony przez profesora Wacława Güntera. Wykład był mocno sformalizowany i skąpo objaśniany słownie, natomiast jego matematyczny zapis był na tyle konsekwentny, że po przejrzaniu notatek stawało się jasne, o co w tych wywodach chodzi.

W sumie materiału do przyswojenia było tak dużo, że nie wyobrażałem sobie, abym mógł wszystko to przyzwoicie opanować. Z tego powodu myślałem już nawet o rzuceniu studiów. Przyzwyczajony byłem do tego, że powinienem umieć wszystko, co objęte było programem nauczania. Na szczęście okazało się, że moje przeświadczenie w tym zakresie było mocno przesadzone.

Nie zmienia to faktu, że kuliśmy jak obłąkani. Większość przedmiotów zdałem lub zaliczyłem jeszcze przed rozpoczęciem się letniej sesji egzaminacyjnej. Doszedłem jednak do wniosku, że przed wakacjami nie dam rady przygotować się do egzaminu zarówno z matematyki, jak i z fizyki. Przełożyłem zatem fizykę na wrzesień i tłukłem matematykę. Dwa dni przed planowanym terminem wywieszona została lista osób zwolnionych z egzaminu na podstawie wyników kolokwiów. Moje nazwisko widniało – a jakże! – na tej liście. Plułem sobie w brodę, że na termin wrześniowy nie przełożyłem matematyki, miałbym wtedy wszystko zaliczone przed wakacjami. Fizyki się nie obawiałem i mogłem ją spokojnie zdawać w czerwcu. Nikt jednak nie powiedział nam o zaliczeniach matematyki na podstawie wcześniejszych kolokwiów.

Podczas pierwszego roku studiów mieszkałem w wynajmowanym pokoju, przy ulicy Pasteura, a więc bardzo blisko budynków politechniki. Niestety, była to jedyna zaleta tego mieszkania. Pokój był dość duży, ale miał pojedyncze i w dodatku nieszczelne okna, a do tego dymiący kaflowy piec. Znajdował się ponadto na czwartym, ostatnim piętrze, co zapewniało mu bardzo skuteczne chłodzenie. W efekcie całą zimę spałem w nausznikach, lecz mimo to jeszcze długo po studiach cierpiałem na zapalenie zatok czołowych.

Pokój dzieliłem ze znacznie starszym ode mnie studentem medycyny, o rzadko u nas spotykanym imieniu Gwidon. Formalnie był na trzecim roku, miał jednak zaległy poważny egzamin z chemii organicznej u profesora Barańskiego, zwanego przez niego „Baranem”. Słowo „baran”, opatrzone szeregiem epitetów, słyszałem wielokrotnie, mój towarzysz bowiem przez cały czas walczył z tą chemią. Padł dopiero w letnim semestrze. Zgubił go klucz do ściąg.

Gwidon był przystojnym facetem, nienagannie ubranym – zazwyczaj w trzyczęściowy garnitur. Dzięki temu miał mnóstwo różnych kieszeni i kieszonek, w których umieścił starannie przygotowane i poskładane w harmonijkę ściagi. W każdej miał ściągę poświęconą innemu działowi tej cholernej chemii organicznej. Przy takiej mnogości kieszeni niezbędny był klucz, informujący o tym, co się w której kieszeni znajduje. Ten właśnie klucz zaginął mu w krytycznym momencie pisemnego egzaminu. Z tak błahej przyczyny musieliśmy się rozstać, Gwidon został bowiem z uczelni wylany.

Nim to jednak nastąpiło, mieszkało nam się całkiem przyjemnie. W tamtych czasach nikt nikogo nie pytał o pochodzenie, miejsce urodzenia i temu podobne szczegóły jego biografii. Wiedziałem, że pochodził z Górnego Śląska, od czasu do czasu odwiedzali go bowiem koledzy Ślązacy. Kiedyś, zupełnie przypadkowo, okazało się, że z matką korespondował w języku niemieckim.

Rzadko bywał w domu. Miał sporo forsy. Był właścicielem czy współwłaścicielem jakiejś firmy transportowej, nigdy jednak nie rozmawialiśmy na

ten temat. Od czasu do czasu nieznanymi mi ludźmi podrzucali mi sporo gotówki. Wtedy mój współlokator ruszał w miasto. Wracał różnie, czasami nazajutrz, czasem jednak nie było go dłużej. Bywało, że przywoziły go jakieś pannie. Wtedy zwracałem im pieniądze za taksówkę, choć chyba raczej za drożkę, czasem regulowałem jakieś dodatkowe należności i pożyczałem memu współlokatorowi trochę forsy do następnego przypływu pieniędzy. Trzeba przyznać, że długi zwracał skrupulatnie. W okresie „posuchy” żyliśmy skromnie. Gwidon nauczył mnie przyrządzać potrawę zwaną przez niego „syberyjską”. Przepis na nią jest niesłychanie prosty: na dużej patelni smaży się cebulę, najlepiej na smalcu, wskazane by był ze skwarkami, następnie dodaje kiszoną kapustę i całość lekko się podsmaża. Danie może niewykwintne i niezbyt kaloryczne, ale za to proste i obfitujące w witaminy.

Raz, a może dwa razy, w rewanżu za udzielane pożyczki, Gwidon zaprosił mnie na kolację. Zaczynaliśmy w restauracji hotelu Polonia. Oczywiście, zawsze brakowało tam miejsc, Wrocław się bawił. To był 1949 rok. Handel, rzemiosło, a na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych również szaber – funkcjonowały znakomicie. Towarzysz Minc nie wygrał jeszcze swej bitwy. Wielu spryciarzy dysponowało znaczną gotówką. Czasy były niepewne, konflikt koreański nie napawał optymizmem. A co użyjem – to dla nas, i lokale gastronomiczne pękały w szwach.

Gwidon czuł się tam jak u siebie w domu. Wchodził niespiesznie i rozglądał się po sali. Po chwili zjawiał się kelner, wylewnie witał „pana doktora” i zapewniał, że stoliczek już na niego czeka. Istotnie, po chwili siedzieliśmy wygodnie i obskakiwało nas ze trzech kelnerów. Nie trwało długo, a zjawiali się znajomi „pana doktora”, którzy tylko czekali na taką okazję. Gwidon był w swoim żywiole. Zaczynała się balanga. Orkiestra różnęła stare szlagiery z obowiązkowym „tajoj tajušku, ta nie bądź taki, ta w twoich oczach widzę Lwów”, cała sala śpiewała na stojąco. I – jak w wierszyku z „Przekroju”:

*Wtem ktoś szepnął coś orkiestrze  
i już inne dźwięki płyną,  
jakieś maki pod Cassino,  
coś w plecaku, coś, że wierzby  
i to tańczyć, ale gdzieżby.*

Taniec na chwilę zamierał, wszyscy się rozrzewniali i topili melancholię w wódce. Po jakimś czasie zmienialiśmy lokal, zahaczając po drodze o „piekielko”, czyli salę w piwnicy tego hotelu.

Ruszaliśmy w Polskę. Wszędzie było pełno ludzi. Gwidon w każdej knajpie spotykał przyjaciół, nawet ja natknąłem się na znajomą dziewczynę. Została później żoną znanego wrocławskiego adwokata. Nie potrafię odtworzyć trasy naszych nocnych peregrynacji. Pamiętam, że na dłużej zatrzymaliśmy się



w knajpie, w której później mieścił się Klub Lekarza. Bładym świtem znaleźliśmy się na Ostrowie Tumskim. Gwidon zatrzymał się na zielonym mostku przetrzuconym nad młynówką, doprowadzającą wodę do młyna Maria. Nie jestem pewien, czy mostek już wtedy miał kolor zielony. Trzeba przyznać, że miejsce było, i jest, wyjątkowo malownicze. Wtedy nawet jeszcze bardziej, otaczało je bowiem morze gruzów, co stwarzało niesamowitą scenerię. Gwidon miał duszę artysty, znakomicie czuł atmosferę tego miejsca. Aby wyrazić, co mu w duszy gra, stojąc na tym mostku rozpiął płaszcz, wyciągnął rękę w patetycznym geście i zaczął recytować, na początku Goethego po niemiecku, następnie Byrona po angielsku. Mimo wszystko, w końcu jakoś dotarliśmy do domu.

Gwidon przed wyjazdem z Wrocławia poinformował wszystkich, że będzie kontynuował studia w Szwajcarii. Po jakimś czasie istotnie przysłał naszej gospodyni kartkę pocztową ze szwajcarskim stemplem pocztowym. Nie mam pojęcia, jak to zrobił. Wtedy nie wyjeżdżało się łatwo za granicę. O kartce Gwidona opowiedziałem jego kolegom – Ślązakom, pokładali się ze śmiechu i zapewniali mnie, że powtarza on drugi rok medycyny w Rokitnicy. Naszą gospodynię utrzymywał jednak konsekwentnie w przeświadczeniu, że studiuje zagranicą. Kiedy spotkałem ją wiele lat później, opowiadała mi z zachwytem: „Wie pan, odwiedził mnie Gwidon, niech pan sobie wyobrazi, skończył w Szwajcarii medycynę, wrócił do Polski, jest teraz lekarzem przy wojsku. Był w eleganckim mundurze, co za przystojny mężczyzna”.

Miejsce Gwidona na stacji zajął mój kolega z roku – Władek Sikorski. Mieszkał wcześniej w bursie dla inwalidów wojennych i często uczyliśmy się wspólnie. Mieszkało nam się razem znakomicie. Losy Władka to temat na scenariusz filmowy.

Zgodnie ze swoim poczuciem społecznego obowiązku postanowiłem zająć się jakąś działalnością społeczną. Zaraz na początku roku akademickiego zapisałem się do „Bratniaka”. Z miejsca przydzielono mi robotę, polegającą na kontrolowaniu stołówek studenckich – trudne i niewdzięczne zadanie. Nie byłem w stanie wykryć różnych kradzieży i nadużyć, popełnianych przez personel. Mam jednak nadzieję, że te kontrole miały jakiś pozytywny skutek, choćby w zakresie czystości i higieny.

Wreszcie nadeszły wakacje. Pierwszy miesiąc spędziłem na praktyce w Nowej Hucie, a dokładnie mówiąc w miejscu, gdzie miała powstać ta inwestycja. Moja praktyka polegała na wykonywaniu instalacji elektrycznych w pierwszych blokach na terenie wsi Mogiła, przeznaczonych dla przyszłych budowniczych tego gigantycznego przedsięwzięcia. Panował tam totalny bałagan, nawet po niewielkim deszczu cały teren budowy tonał w potworzym błocie.

Natomiast w sierpniu pojechałem z moją dziewczyną Hanką na studencki obóz nad morze do Dziwnowa. Hanka studiowała we Wrocławiu prawo, do

dzisiaj jest moją żoną. Była świetna pogoda, sympatyczne towarzystwo i całkiem sensowne kierownictwo. Założenie było takie, by łączyć pracę z wypoczynkiem. Mieliśmy pomagać przy żniwach w pobliskim pegeerze. Problemy logistyczne przekraczały jednak możliwości organizacyjne kierownictwa tej instytucji. W efekcie pracowaliśmy zaledwie kilka dni. Nie narzekaliśmy jednak na nudę. Była dobra pogoda i dużo młodych, sympatycznych ludzi.

Zacząły już obowiązywać rygory okresu stalinowskiego. Plaża była każdego wieczoru bronowana, po to, aby uwidocznic ślady osób, potencjalnych uciekinierów, którzy mieliby pomysł, aby wpław popłynąć do Szwecji. Na piasku ustawione były kosze, które świetnie chroniły od wiatru i stanowiły znakomite schronienie, wykorzystywane przez wczasowiczów do obserwacji zachodów słońca. Dowódca miejscowej jednostki WOP skarżył się kierownictwu obozu, że żołnierze nie mogą sobie poradzić ze studenckimi parami, które z uporem przesiadywały wieczorami w tych koszach, zacierając następnie ślady ewentualnych przestępców...

W Dziwnowie przeżyliśmy niebezpieczną przygodę. Pogoda była piękna, a woda w morzu wyjątkowo ciepła. Do woli zażywaliśmy zatem morskich kąpiei. Szczególnie przyjemna była kąpiel przy dużej fali. Pewnego dnia pływalismy w pobliżu falochronu, przeznaczonego do ochrony brzegu morskiego. Te falochrony zbudowane były w formie podwójnej palisady, usytuowanej prostopadle do linii brzegowej, a wykonane z potężnych drewnianych pali wbitych w dno morza. Wewnątrz palisady znajdowały się potężne bloki skalne. Okazało się, że po stronie zachodniej takiego falochronu wypłukiwany był głęboki dół. Baraszkując na wysokich falach, straciliśmy w pewnej chwili grunt pod nogami. Nie zrobiło to na nas większego wrażenia, ponieważ obydwójce pływalismy bardzo dobrze. Po chwili okazało się jednak, że mimo wszystko, oddaliśmy się od brzegu. Na szczęście udało mi się jedną ręką uchwycić ostatni pał tej konstrukcji, a drugą podać Hance. Kolejna potężna fala przerzuciła nas na drugą stronę tego umocnienia. Przeszorowaliśmy gołymi ciałami po granitowych głazach, ocierając w kilku miejscach naskórek. Na szczęście po drugiej stronie woda była już całkiem spokojna i sięgała nam do pasa. Dopiero wieczorem dowiedzieliśmy się, że w Dziwnowie występują bardzo niebezpieczne prądy odpływające.

Na początku września przyjechałem do Wrocławia, aby przygotować się do egzaminu z fizyki. W tym czasie pojawili się na uczelni studenci, którzy mieli jakieś zaległości egzaminacyjne. Spotkałem między innymi kolegę, który miał niezaliczony lektorat z języka rosyjskiego. Był to weteran wojenny, czołgista z armii Berlinga. Jego czołg został trafiony i zapalił się. Udało mu się wyskoczyć z tej płonącej pułapki, jednak po tej przygodzie zaczął się trochę jękać. Był mocno wzburzony nieudanym podejściem do zaliczenia. Relacjonował mi to później mniej więcej tak. „Wyobraź sobie, idę na pewniaka, bo

przecież znam rosyjski. Myślałem, że sobie z nim pogadam, a on wyciąga rosyjską książkę i każe mi czytać. No to ja zbaraniałem i mu mówię, panie profesorze z przyjemnością bym poczytał, ale nie znam rosyjskiego alfabetu. No to on mi kazał przyjść, jak się tego alfabetu nauczę”. Nie wiem, czy w końcu zaliczył ten lektorat, na drugim roku bowiem już się nie pokazał.

Egzamin z fizyki zdałem 13 września. Dobrze zapamiętałem tę datę, ponieważ był to nie tylko „trzynasty”, ale w dodatku piątek. Po egzaminie zaszedłem do biura Bratniaka, które znajdowało się na parterze kamienicy położonej na rogu ulicy Skłodowskiej-Curie i Norwida. Było pusto, urzędował tylko prezes, starszy o kilka lat chemik, Pilecki. Ucieszył się na mój widok, gdyż musiał wysłać kogoś na obóz szkoleniowy, zorganizowany w Rybieniu nad Bugiem. Jak się niebawem okazało, chodziło o likwidację niezależnych organizacji studenckich, takich jak „Bratniak”, i zastąpienie ich Zrzeszeniem Studentów Polskich.

Warunki na tym obozie były znakomite, zakwaterowani zostaliśmy w pensjonatach Orbisu, które w tamtych czasach były szczytem luksusu. Uczestnikami imprezy byli przedstawiciele wszystkich uczelni w kraju, również szkół artystycznych. Obowiązkowe zajęcia polegały na wysłuchaniu jednego referatu dziennie. Wygłaszali je różni dygnitarze, przywożeni limuzynami z Warszawy. Po kolacji odbywały się występy artystyczne, organizowane – a często improwizowane – przez kolegów ze szkół teatralnych lub muzycznych. Wykorzystując doświadczenia ze szkoły średniej, załapałem się również na jakieś recytacje. Mówiąc szczerze, nie zdawałem sobie wtedy sprawy z faktu, że utworzenie ZSP było krokiem do podporządkowania młodzieży studenckiej jedynej słusznej wtedy przewodniczce narodu. Nie przypominam sobie procesu tworzenia uczelnianych struktur ZSP, przypuszczam natomiast, że tworzone były według jakiegoś klucza. W każdym razie w następnym roku akademickim nie znalazłem się w tych strukturach.

## Drugi rok studiów

**N**a początku roku akademickiego 1950/1951 od Wydziału Elektrycznego oddzielony został kierunek prądów słabych i przekształcony w samodzielny Wydział Łączności.

Programy nauczania na drugim roku studiów obydwu wydziałów zaczęły się mocno różnić. W przeciwieństwie do pierwszego roku, tylko niektóre zajęcia mieliśmy wspólne z kolegami studiującymi na Wydziale Łączności, między innymi miernictwo elektryczne.

Ja pozostałem na Wydziale Elektrycznym. W semestrze zimowym drugiego roku studiów nie było już matematyki, a pojawił się przedmiot pod

nazwą metody liczenia, w wymiarze – jedna godzina wykładu i jedna ćwiczeń. Zarówno wykład, jak i ćwiczenia, prowadził doktor Mieczysław Warmus. Poza metodą posługiwania się suwakiem logarytmicznym, liczydłem oraz mechanicznym kalkulatorem, pokazał nam różne sposoby przeprowadzania uproszczonych obliczeń arytmetycznych. Często wprawiał nas w zdumienie swymi umiejętnościami w tym zakresie. Dr Warmus niebawem został profesorem i podobnie jak profesor Mikusiński przeniósł się do Warszawy. Muszę uczciwie przyznać, że w swoich, często żmudnych i uciążliwych obliczeniach, przez wiele lat posługiwałem się wyłącznie suwakiem logarytmicznym.

W tym semestrze mieliśmy jeszcze dwa wykłady mechaniczne profesora Bodaszewskiego na temat wytrzymałości materiałów w wymiarze dwóch godzin tygodniowo plus jedna godzina ćwiczeń oraz wykład i projektowanie części maszyn, prowadzone przez profesora Lewickiego, w wymiarze dwóch godzin wykładu i trzech godzin projektowania. Zupełnie nie przypominam sobie tego wykładu, pamiętam natomiast, że projektowałem jakiś podnośnik.

Profesor Günter wykładał podstawy elektrotechniki I oraz podstawy elektrotechniki II, po trzy godziny w tygodniu, do tego dochodziło po dwie godziny ćwiczeń. Jak widać – dawka podstaw elektrotechniki była w tym semestrze wręcz toksyczna.

Najbardziej utkwił mi w pamięci pewien wykład profesora Güntera na temat linii długich, przedstawianych w postaci łańcucha czwórników. Chodziło zdaje się o dobranie takich parametrów długiej linii telefonicznej, które zapewniałyby dobre przenoszenie sygnałów. Profesor zapisał już cztery tablice jakimiś skomplikowanymi równaniami różniczkowymi i chyba wszyscy słuchacze zgubili się w tych wywodach, gdy któryś z kolegów zwrócił się do profesora z prośbą o wyjaśnienie fizycznego sensu tych matematycznych wyprowadzeń. Profesor odsunął się od tablicy i mruknął: „ha, sens fizyczny” i popatrzył na równania. Chwilę pomilczał i powiedział: „sens fizyczny, no to rozwiążmy sobie jeszcze tę całkę”. Sala ryknęła gromkim śmiechem. Dopiero kiedy przygotowywałem się do egzaminu z tego przedmiotu i skrupulatnie prześledziłem notatki, zrozumiałem, że rozwiązanie tej całki istotnie pozwalało zinterpretować analizowane zjawiska.

W tym semestrze całoroczny wykład na temat miernictwa elektrycznego, w wymiarze czterech godzin w tygodniu rozpoczął profesor Kazimierz Idaszewski. Do tego należy doliczyć jeszcze trzy godziny w tygodniu ćwiczeń w laboratorium miernictwa elektrycznego.

Profesor Idaszewski wykładał w tej samej sali, w której 15 listopada 1945 roku wygłosił pierwszy we Wrocławiu wykład w języku polskim. Obejmował on opis podstawowych przyrządów i układów pomiarowych, był prosty

i interesujący. Gdzieś w połowie maja profesor podczas wykładu zaczął urządzać tak zwane repetytoria. Polegały one na wywoływaniu kolejnych studentów i zadawaniu im serii kłopotliwych pytań, szczególnie, że delikwenci zaskoczeni sytuacją zapominali języka w gębie i coś tam z trudem dukali. Kiedy tak we dwóch – profesor i jego ofiara – męczyli się przy tablicy, koledzy siedzący w pierwszych rzędach, chyłkiem przenosili się na wolne miejsca w końcu sali. Profesor wzywał konsekwentnie siedzących w pierwszym rzędzie. W pewnym momencie zauważył jednak ten exodus, zaśmiał się w kulak i powiedział: „Jo wim, panowie są kumbinatory, a jo ino tylko teraz bende pytał od końca”. I zaczynała się migracja w przeciwnym kierunku. Mimo że do Wrocławia profesor przybył z Politechniki Lwowskiej, to w jego języku bardziej słychać było gwara poznańską niż lwowską. Pochodził z Wielkopolski i chyba nigdy nie uczył się w szkole z polskim językiem wykładowym.

Egzamin z pomiarów elektrycznych składał się z dwóch części, pisemnej i ustnej. Część pisemna odbywała się w tak zwanej „dużej sali elektrycznej”, można więc było nas rozsadzić w sporej odległości od siebie, aby uniemożliwić korzystanie z sąsiedzkiej pomocy. Kiedy zostaliśmy odpowiednio rozmieszczeni, otwarły się drzwi, w których ukazał się profesor, a za nim – w odpowiedniej kolejności – adiunkci i asystenci. Profesor odczytał zadania, a któryś z adiunktów zapisał je na tablicy. Następnie zapytał, czy wszystko jest jasne i powiedział: „Jo teraz sobie ide, ale panowie asystenci majom pilnować, aby panowie nie posługiwali się niedozwolonymi metodami. Na pracy tych, co się bendom takimi metodami posługiwac, majom napisać literkę K. Jo już bende wiedzioł, co to znaczy: kumbinator”.

W zimowym semestrze mieliśmy jeszcze wykład z techniki wysokich napięć profesora Skowrońskiego, w wymiarze dwóch godzin tygodniowo, który uzupełniony był dodatkową godziną ćwiczeń. Te zajęcia kontynuowane były w semestrze letnim. Profesor Skowroński w semestrze zimowym drugiego roku studiów miał wykład na temat materiałoznawstwa elektrycznego w wymiarze dwóch godzin w tygodniu.

Z przedmiotów technicznych słuchaliśmy jeszcze dwugodzinnego wykładu pod tytułem encyklopedia budownictwa. Do tego dochodziły cztery godziny zajęć studium wojskowego, po dwie godziny lektoratów języka rosyjskiego i języka niemieckiego oraz dwie godziny wykładu z podstaw marksizmu.

Łącznie musieliśmy w tym semestrze wysłuchać tygodniowo dwadzieścia jeden godzin wykładów, uczestniczyć przez siedem godzin w tygodniu w ćwiczeniach audytoryjnych, pracować trzy godziny w laboratorium i przez trzy godziny w tygodniu projektować. Ponadto cztery godziny w tygodniu uczyć się obcych języków i podczas czterech kolejnych – uczestniczyć w zajęciach studium wojskowego. Mój stosunek do wojska różnił się diametralnie od tego, który cechował mnie wtedy, gdy miałem piętnaście lat i z zapałem studiowa-

łem podręczniki wojskowe. Zajęcia na Studium Wojskowym były po prostu śmiertelnie nudne.

W sumie nasze obowiązkowe obciążenie wynosiło czterdzieści dwie godziny w tygodniu. Do tego należy dodać sporządzanie sprawozdań z ćwiczeń laboratoryjnych, wykonywanie rysunków projektowanych części maszyn oraz przygotowywanie się do ćwiczeń audytoryjnych. No, a gdzie przy takim obciążeniu czas na sport, rekreację, ruch na świeżym powietrzu, gdzie czas na kulturę, teatr, kino, gdzie wreszcie czas na życie towarzyskie, spotkania, na dziewczyny? Byliśmy wszak młodzi, mieliśmy po dwadzieścia kilka lat.

W semestrze letnim drugiego roku studiów pojawił się dwugodzinny wykład, z jedną godziną ćwiczeń, prowadzony przez profesora Wiśniewskiego, poświęcony teorii maszyn cieplnych. Ta – w gruncie rzeczy ciekawa i ważna – problematyka, wykładana była w sposób wyjątkowo mało komunikatywny. Profesor polemizował na wykładzie z różnymi teoriami z zakresu termodynamiki, jakby brał udział w naukowym sympozjum na ten temat.

W tym czasie rozpoczął się również dwusemestralny wykład, w wymiarze czterech godzin wykładu i dwóch godzin ćwiczeń tygodniowo, profesora Pawła Nowackiego. Wykłady te cechowało coś, co można by określić słowem elegancja, a może nawet – wytworność. Profesor posługiwał się nie-naganną polszczyzną, nie korzystał z żadnych notatek, mówił ze swadą i konsekwentnie wyprowadzał logicznie różne związki i zależności. Wiedzieliśmy, że podczas wojny pracował w Anglii nad radarami lub innymi urządzeniami elektronicznymi, przeznaczonymi dla wojska. Mówiono, że miał stopień pułkownika armii Wielkiej Brytanii. Podobno przed wykładem strzelał sobie szklaneczkę czegoś mocniejszego. Niestety, nie zabawił we Wrocławiu zbyt długo. Zdaje mi się, że w następnym roku przeniósł się do Warszawy.

W semestrze letnim doszły jeszcze dwa przedmioty z zakresu elektrotechniki: sieci elektryczne i urządzenia elektryczne. Sieci elektryczne, w wymiarze: trzy godziny wykładu plus jedna godzina ćwiczeń, prowadzone były przez profesora Jana Kozuchowskiego. Jego wykłady były ciekawe, choć często dość chaotyczne. Zdarzało się, że z powodu licznych obowiązków profesora, wykład w jego zastępstwie prowadził jeden z adiunktów. Wydaje mi się, że szerokie zainteresowania profesora Kozuchowskiego oraz jego temperament, nie pozwalały mu skoncentrować się na tak prozaicznym zajęciu jak dydaktyka. Potrafił jednak nie tylko zainteresować, ale wręcz zafascynować słuchaczy swoją wizją rozwoju techniki, a zwłaszcza energetyki.

Zupełnie odmienną osobowość prezentował wykładający urządzenia elektryczne zastępca profesora – Roman Kurdziel. Robił to jasno i komunikatywnie.

## Nowa kwatery

Bardzo duże obciążenie zajęciami dydaktycznymi łagodziły nowe warunki mieszkaniowe. Na początku drugiego roku studiów udało mi się znaleźć pokój w willi na Zalesiu. Zamieszkaliśmy tam razem z Władkiem Sikorskim. W porównaniu nie tylko z naszą poprzednią kwatery, ale z wielkością ówczesnych mieszkań i domów, to był prawdziwy luksus. Nasi gospodarze, państwo Szumilakowie, mieli tak zwany nadmetraż i musieli się „zagęścić”. Willa średniej wielkości, była jednak świetnie zaprojektowana i znakomicie wykończona. Na parterze znajdował się obszerny hol z wejściami do kuchni, olbrzymiego salonu oraz do naszego pokoju. Z salonu było wyjście na taras. Dom otoczony był sporym ogrodem. Na górze znajdowało się kilka sypialni oraz łazienka wielkości dość dużego pokoju. Po sufit wykładana była ciemnymi szklanymi płytami. Nasz pokój był połączony rozsuwanymi drzwiami z salonem, w zamyśle stanowił coś w rodzaju gabinetu lub biblioteki. Na jego wschodniej ścianie znajdowało się normalnej wielkości okno, natomiast ściana północna była cała zabudowana szafami bibliotecznymi. Jakby we wnęce tej zabudowy umieszczone było dodatkowo jeszcze jedno niewielkie okno. Część szaf udostępniono nam do użytkowania, w pozostałych było jeszcze wiele książek w języku niemieckim.

Szerokie rozsuwane drzwi, łączące nasz pokój z salonem, były na stałe zamknięte. Miedzy framugami zamocowana była metalowa rurka, na której wieszaliśmy ubrania, tak jak w szafie. Całość zakrywała płócienna zasłona. Willa miała centralne ogrzewanie, z kokсовым piecem w piwnicy. Nasz gospodarz był dyrektorem któregoś z wrocławskich banków. Willę odziedziczył po swoim niemieckim poprzedniku. Niestety, kiedy zainstalowaliśmy się tam, nasz gospodarz był już po amputacji nogi z powodu choroby Bürgera.

Władzę w domu dzierżyła pani Szumilakowa. Korzystaliśmy ze wspólnej kuchni, co zawsze stwarza pole do konfliktów. Na szczęście gotowaliśmy zazwyczaj tylko kawę zbożową, nie paliliśmy papierosów, nie grywaliśmy w karty, a jeśli przyjmowaliśmy gości, to zachowywali się oni – a mówiąc dokładniej – one, raczej cicho. Nasze stosunki z panią gospodynią układały się więc całkiem poprawnie. Piszę o tym dlatego, że pokój ten był jeszcze przez kilka lat eksploatowany przez naszych kolegów, którzy bardzo źle wspominali panią Szumilakową. Tak się złożyło, że Władek Sikorski pod koniec trzeciego roku studiów został poddany poważnej operacji załatania sporej dziury w czaszce, której nabawił się, forsując Wał Pomorski. Musiał niestety powtarzać trzeci rok studiów. Ja w tym czasie opuściłem kwatery i podjąłem pracę zawodową. Władzio został w tym luksusowym apartamencie sam i znalazł sobie do towarzystwa naszego kolegę – Jurka Czekańskiego, który kontynuował studia na kursie magisterskim. Sytuacja się wyraźnie pogor-

szyla, Jurek bowiem, z zapalem godnym lepszej sprawy, palil papierosy i nalezal do grupy zapalonych brydzystow. Sytuacja przyjeta calkiem zly obrót, kiedy Wladek po roku opuscil te kwatere, a Jurek dokooptowal sobie z kolei Zbyszka Waltera. On wlasnie wiele lat pozniej, po jakiejś suto zakrapianej kolacji, opowiadal mi o tej strasznej Szumilakowej, po czym z rozbrajajaca szczeroscia wyznal, ze byl czas, kiedy mnie szczerze nienawidzil. Nie moglem bowiem wytrzymac narzekan tej cholernej Szumilakowej, ktora na okraglo, nieomal ze lza w oku, wspominala, kiedy tu mieszkal pan Pytel z panem Sikorskim.

Nasza nowa kwatery byla nieco bardziej oddalona od politechniki. Mielsmy jednak dobre polaczenie tramwajowe. Najblizszy przystanek znajdowal sie na skraju Parku Szczytnickiego i oddalony byl od naszego lokum o niespejna kilometr.

Pewnego dnia wysiadla z nami dziewczyna z plikiem ksiazek pod pachą. Po kilku krokach ksiazki wysunely sie jej z rak i wyladowaly na ziemi. Podbiegłem, zeby pomoc. Okazalo sie, ze idziemy w tym samym kierunku. Z rozmowy wynikało, ze jest nauczycielka, wynajmuje pokój w willi w poblizu naszej kwatery i chętnie przyjelaby jakas wspollokatorke, aby obnizyc koszty czynszu. Po kilku dniach od tego spotkania Hanka przeniosla sie na Zalesie. Stalismy sie bliskimi sasiadami.

Z zaliczeniem roku nie bylo wiekszych problemow. Za to wakacje mialem juz z gory zaplanowane, w lipcu obóz wojskowy, w sierpniu – praktyka.

## Pierwszy obóz wojskowy

**S**tudium wojskowe zostalo wprowadzone na wyzszych uczelniach, kiedy bylem na drugim roku studiow. Byla to wielka improwizacja. Do prowadzenia zajec ze studentami wojsko oddelegowalo jakichs wybrakowanych oficerow, ktorzy nie bardzo wiedzieli, jak szkolic zolnierzy w tak nietypowych dla wojska warunkach. Wiekszosc czasu zajmowaly wyklady, w znacznej czesci poswiecone historii Ludowego Wojska Polskiego i tym podobnym sprawom. Trzeba bylo jednak siedziec na tych zajeciach i bez sensu tracic czas.

Prawdziwa zabawa zaczela sie dopiero na obozie wojskowym. Otrzymalismy polecenie stawienia sie pierwszego lipca o szostej rano na dworcu Wroclaw Glowny Towarowy. Po kilku godzinach oczekiwania podstawione zostaly bydlęce wagony z olbrzymimi przesuwanymi drzwiami posrodku, tak zwane lory. Wnętrze podzielone bylo grubymi deskami na dwa poziomy. Na tych deskach trudno bylo siedziec, za to mozna bylo lezeć. Jednak lezenie na tym twardym podlozu stawalo sie po chwili istna tortura.



Kiedyśmy się już załadowali, zostaliśmy przeciągnięci na górkę rozrządową, aby włączyć nasz wagon do formowanego pociągu. Przez jakiś czas krążyliśmy jeszcze po rozlicznych torowiskach olbrzymiego wrocławskiego węzła kolejowego. Późnym wieczorem znaleźliśmy się na bocznym torze dworca kolejowego w Gorzowie Wielkopolskim. Spodziewaliśmy się, że noc spędzimy w koszarach. Niestety, przyszło nam spędzić ją na gołych deskach w tych bydłęcych wagonach. Zaczęliśmy buszować po stojących na sąsiednich torach zestawach pociągów pasażerskich i szukać miękkich siedzeń w wagonach pierwszej klasy. Byliśmy jednak przepędzani przez strażników kolejowych.

Błądym świtem zostaliśmy poderwani na nogi i zwartym szykiem pomaszzerowaliśmy do koszar. Tam wydano nam wojskowy ekwipunek. Trudno było zdobyć mundur na swoją miarę, a jeszcze trudniej – odpowiednie buty. Dla mnie stały się one sprawą kluczową, ściślej mówiąc, nie tyle może buty, co onuce. Nie potrafiłem owinać jej w taki sposób, aby nie gniotła i się nie rozwijała.

Po wyekwipowaniu, ruszyliśmy do letniego obozu gorzowskiego pułku saperów, usytuowanego w odległych o kilkanaście kilometrów Borkach. Obóz zorganizowany był nad Wartą, w dużym kompleksie leśnym. Istniały tam stałe zabudowania, takie jak stołówka, izba chorych i temu podobne obiekty, oraz duże namioty wyposażone w prycze. Każdy namiot mógł pomieścić około trzydziestu osób. Dla tych, którzy umieli zawijać onuce, pokonanie tych kilkunastu kilometrów nie stanowiło większego problemu, ale ja, i kilku podobnych nieszczęśników, miałem bąble na nogach zdarte do żywego.

Na miejscu zostaliśmy ustawieni według wzrostu i podzieleni na cztery plutony. Wielu kolegów uzyskało zwolnienie ze szkolenia wojskowego i było nas, zdolnych do noszenia broni, za mało, aby utworzyć pełną kompanię. Ten brak uzupełniony został przez kolegów z Wydziału Mechanicznego. Naszym dowódcą został miejscowy oficer, kapitan Siekierzycki. Kilka lat później, po dojściu Gomułki do władzy i przegonieniu z Wojska Polskiego sowieckich oficerów, Siekierzycki został dowódcą gorzowskiego pułku. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, o permanentnie ponurej twarzy. Na głowie nosił wysłużoną polówkę z tak wygiętym, a może nawet złamanym daszkiem, że zasłaniał mu jedno oko i co najmniej pół twarzy. W efekcie robił wrażenie, jakby patrzył na świat spode łba.

Dowódcami trzech plutonów mianowano naszych kolegów, którzy po maturze zostali powołani do wojska i po ukończeniu rocznej szkoły oficerskiej, uzyskali stopień chorążego. Dowódcą czwartego plutonu został chorąży Łaciak, który był etatowym pracownikiem Studium Wojskowego na Politechnice Poznańskiej. Szefem kompanii był miejscowy podoficer, sierżant Przybyła.

Zajęcia rozpoczynały się o godzinie piątej. Po pobudce należało się zerwać na nogi, ubrać spodnie oraz buty i bez koszuli udać się biegiem na plac sportowy, gdzie w takt melodii, granej przez wojskową orkiestrę, cały pułk wykonywał proste ćwiczenia fizyczne, polegające na określonych ruchach rękami i skłonach tułowia. Te ruchy nie musiały być ani głębokie, ani energiczne, wystarczało tylko zachować ich sekwencję i rytm. Nikt nas o tym nie uprzedził i na pierwszych ćwiczeniach machaliśmy rękami w sposób zupełnie przypadkowy. Nie wiedzieliśmy, że obserwuje nas dowódca pułku, pułkownik Wasil Ganczarow, który następnie odprawił orkiestrę i sam – z ojcowską troską – zaczął nas uczyć „gimnastyki na szesnaste temp”, odliczając od jednego do szesnastu. Do dziesięciu szło mu jako tako, ale później odliczał już w swoim ojczystym języku: „adinacat, dwanacat” itd.

Następnie było mycie nad blaszanym korytem, ślanie prycz, wyposażonych w napełnione słomą sienniki, i wreszcie – biegiem do stołówki na śniadanie. Zresztą wszędzie, nie wiedzieć dlaczego, udawaliśmy się biegiem.

Zajęcia były urozmaicone: w ciągu miesiąca usiłowano nas zapoznać z różnymi zadaniami wojsk inżynieryjno-technicznych. Były więc zajęcia: minerskie, polegające na ustawianiu oraz wyszukiwaniu min; pontonierskie, polegające na budowaniu mostów pontonowych, i ogólnowojskowe, polegające na ćwiczeniu musztry, nauce strzelania, posługiwania się granatami oraz doskonalące inne umiejętności wchodzące w skład żołnierskiego rzemiosła. Nasze namioty usytuowane były po jednej stronie placu apelowego, po drugiej zaś były namioty kadry oficerskiej, tak zwany namiot sztabowy, w którym urzędował kapitan Siekierzycki, oraz namioty pełniące funkcję magazynów.

Na placu apelowym ustawialiśmy się w dwuszeregu wielokrotnie w ciągu dnia. Na każde zajęcia oraz do stołówki, a często nawet do umywalni, udawaliśmy się plutonami w szyku marszowym, oczywiście biegiem. Plac apelowy pokryty był głęboką warstwą drobnego piasku. Poruszając się po nim, zwłaszcza biegiem, wznicaliśmy za każdym razem tumany kurzu.

Pierwsze dni zajęło mi leczenie stóp, które boleśnie poobcierałem podczas marszu z Gorzowa do Borek. Zdobyłem również umiejętność posługiwania się onucami. Jednak gwałtowna zmiana trybu życia – od siedzenia nad książkami do jednak dość dużego wysiłku fizycznego – spowodowała, że czułem się permanentnie zmęczony. Na szczęście nauczyłem się w mgnieniu oka zasypiać. W ramach szkolenia mieliśmy również wykłady. Dzięki mojej nowej umiejętności, zasypiałem snem sprawiedliwego w chwili zajęcia pozycji siedzącej, a wcale nierzadko pograżałem się we śnie nawet na stojąco. Wszystkie więc wykłady sumiennie przespałem. Nie uniknąłem jednak pewnego uszczerbku na zdrowiu. Ten drobny pył, który towarzyszył nam na każdym kroku, i przemęczenie, spowodowały uporczywy krwotok

z nosa. Znalazłem się w izbie chorych, gdzie dostałem się pod „troskliwą” opiekę felczera w randze chorążego oraz sanitariusza w randze kaprała, o dźwięcznym nazwisku Fałek. Zapamiętałem to nazwisko, przełożony wzywał go bowiem donośnym głosem: Fałek, podaj to, za chwilę – Fałek – podaj tamto. Dopuszczenie do służby wartowniczej wymagało stwierdzenia, że stan zdrowia żołnierzy pozwala im na pełnienie tego odpowiedzialnego zadania. Badanie było przeprowadzane na placyku przed izbą chorych. Kiedy grupka przyszłych wartowników została ustawiona w szeregu, wtedy wychodził pan felczer i padała komenda: opuścić spodnie i gacie, wyciągnąć ręce do przodu. Pan felczer oglądał ręce i obnażoną część ciała. Następnie padała komenda – w tył zwrot, nachylić się i rozciągnąć póldupki. W przypadku stwierdzenia zbyt długich paznokci rozlegało się wezwanie: Fałek, topora, że niby ten topór miał służyć do obcinania paznokci. Przy wykryciu brudnej części ciała, dało się słyszeć: Fałek, szczotka ryżowa. Na koniec padało stwierdzenie: „zdolni do służby wartowniczej, odmaszerować”.

Wracam jednak do mojego nosa. Felczer dał mi jakąś pastylkę, a kiedy okazało się, że krew nadal się sączy, założył mi potężny tampon i zostawił w izbie chorych. Tam odszukał mnie kuzyn – Heniek Pożoga, który w Gorzowie odbywał służbę wojskową. Służył już drugi rok i cieszył się, że jesienią pójdzie do cywila. Niestety, był to okres zimnej wojny i przedłużono im służbę o pół roku. Miał i tak szczęście, jego ojciec bowiem służył w armii carskiej jedenaście lat.

Krwotok ustąpił dopiero po dożylnym zastrzyku z wapna, a przestał się powtarzać po przypaleniu w nosie naczynia krwionośnego. Ten zabieg został przeprowadzony w szpitalu wojskowym w Poznaniu, dokąd pojechałem po ciągiem pod eskortą jakiegoś kaprała.

W końcu mój nos się uspokoił, onuce trzymały się nogi i mogłem normalnie funkcjonować. Jednak bezduszny dryl wojskowy budził we mnie permanentnie uczucie buntu. Pamiętam taką sytuację. Nauka strzelania odbywała się na oddalonej o kilka kilometrów strzelnicy, do której prowadziła polna droga, z wielkimi kałużami. Przy pierwszej napotkanej kałuży czwórkowa kolumna rozdzieliła się na dwie kolumny dwójkowe, które suchą nogą ominęły wodę. Kiedy ten manewr spostrzegł prowadzący nas szef kompanii, sierżant Przybyła, wpadł dosłownie w szał. Nauragał nam od najgorszych, a przed kolejną kałużą krzyknął „kompania!”. Taka komenda wydana w marszu oznacza przejście do kroku defiladowego, czyli walenie nogami w ziemię bez uginania ich w kolanach. W efekcie mieliśmy nie tylko zabłocone buty, ale ochlapani byliśmy błotem od stóp do głów.

Sierżant Przybyła był facetem potężnej postury i wyjątkowo małej inteligencji, był przy tym wyjątkowo złośliwy i często robił wrażenie, że jest

w stanie „wskazującym na spożycie”. Dał się dobrze poznać podczas ćwiczeń pontonierskich.

Do ćwiczeń tych służył sowiecki „derewiennyj lekkij park” zwany DLP. Lekki był tylko z nazwy. Wprawdzie wszystkie elementy były rzeczywiście drewniane, ale pontony te były swego rodzaju weteranami wojennymi, o czym świadczyły liczne, zazwyczaj blaszane łaty, co wydatnie zwiększało ich regulaminowy ciężar. Taki ponton ważył ponad pół tony, co odgrywało istotną rolę, biorąc pod uwagę fakt, że przenosiło się je z magazynu nad brzeg rzeki na barkach. Odbywało się to w następujący sposób: padała komenda „obstaw”, wtedy do leżącego do góry dnem pontonu podchodziło czterech saperów z każdej strony. Następnie padała komenda „podnieś”, wtedy trzeba było podnieść ponton do góry i oprzeć go na ramieniu. Bardzo ważną sprawą było dobranie załogi o takim samym wzroście, ze względu na równomierne rozkładanie się ciężaru.

Tworzyliśmy kompanię, która była podzielona na cztery plutony, utworzone według wzrostu. W pierwszym byli najwyżsi, ja, przy swoich 172 cm wzrostu, znalazłem się na początku plutonu drugiego. W plutonach trzecim i czwartym byli koledzy znacznie niżsi, a co gorsze, w większości jeszcze dość mizernej postury. Już dla mnie taki ponton był cholernie ciężki, a co dopiero dla nich... W dodatku teren nie miał równej powierzchni. Zdarzały się sytuacje, że kiedy jeden z kolegów znajdował się w lekkim obniżeniu, ponton przestawał się opierać na jego ramieniu, a przypadające na niego obciążenie rozkładało się na pozostałych członków załogi. Wtedy ciężar stawał się tak wielki, że wydawało się, iż za chwile pękną jakieś kości.

W najgorszej sytuacji byli koledzy z plutonu trzeciego, a zwłaszcza czwartego. Normalnie do saperów wybiera się poborowych o lepszych warunkach fizycznych. W naszym przypadku sito selekcyjne stanowił egzamin wstępny na politechnikę, który nie uwzględniał przydatności do noszenia pontonów. Po złożeniu przyniesionego przez nas pontonu, padliśmy na ziemię, z trudem łapiąc powietrze, jak po długim nurkowaniu. W pewnym momencie spostrzeżliśmy, że ślaniając się na nogach, krokiem pontonierskim, zbliża się kolejna załoga. Krok pontonierski – to jest właściwie bieg, wykonywany bardzo małymi kroczkami. Przy tak dużym obciążeniu człowiek wykonuje szybko małe kroczki, aby jak najkrócej obciążać kolejną nogę. Już z daleka było widać, że się ślaniają i poruszają ostatkiem sił. Odruchowo zerwało się kilku z nas i rzuciliśmy się biegiem w ich stronę. Chcieliśmy pomóc i uchronić ich od upadku. Spadający ponton mógłby połamać im nogi. Kiedy dostrzegł to stojący obok sierżant Przybyła, ryknął do nas: „stać, ani kroku dalej!”. Oczywiście nie zareagowaliśmy na to polecenie, chyba nawet w pierwszej chwili w ogóle ono do nas nie dotarło. Wtedy Przybyła ponowił swoje „stać” i sięgnął ręką do kabury. Mimo to pobiegliśmy do tej z trudem poruszającej się załogi.

Okazało się, że byli to koledzy z czwartego plutonu, chłop w chłopa 155 cm wzrostu i zaledwie 55 kg żywej wagi. Pomogliśmy im zdjąć z ramion ten przerastający ich możliwości ciężar. Kompletnie wyczerpani, upadli na ziemię, a kilku dostało torsji. To trochę przstraszyło Przybyłę i nie wrócił do naszej niesubordynacji.

Podczas kolejnych ćwiczeń trenowaliśmy pływanie pontonami. Na tym spręcie wiosłuje się w pozycji stojącej. W tej sytuacji narażone na przeciążenie są w pierwszym rzędzie stopy, a właściwie – palce u nóg. Przy silnym ciągnięciu za wiosło, stopy wiosłującego dociskane są do wnętrza buta. Po zaokrętowaniu dostaliśmy rozkaz płynięcia z prądem rzeki. Przy niewielkim wysiłku posuwaliśmy się szybko do przodu. Nie wiadomo kiedy przepłynęliśmy kilka kilometrów. Niestety, czekała nas droga powrotna. Nurt Warty nie jest zbyt szybki, jednak pokonywanie go pontonem pod prąd wymagało wielkiego wysiłku. Nacisk palców u nóg na wnętrze saperkiego buta stwarzał po pewnym czasie ból trudny do zniesienia. Poprzesuwane onuce dosłownie kroili stopy, zwłaszcza czubki palców. Jakimś cudem dotarliśmy jednak do naszej bazy pontonowej.

Podczas całego pobytu w Borkach miałem drobne utarczki z szefem kompanii, wspomnianym już sierżantem Przybyłą, które kończyły się zwykle jakąś dodatkową pracą poza kolejnością. Największa przygoda przytrafiła mi się po pokazowym procesie przed sądem wojskowym dwóch saperów miejscowej jednostki. Zespół sędziowski urzędował w muszli koncertowej, widownię wypełniał cały stan pułku. Jeden z tej dwójki oskarżony był o to, że samowolnie przedłużył sobie urlop, co więcej – czas ten wykorzystał na wyciąganie od chłopów pieniędzy za obietnicę zakupu od nich siana dla potrzeb wojska. Drugi natomiast opuścił posterunek wartowniczy z bronią w rękę. O ile pamiętam, ten drugi był w dodatku tak zwanym autochtonem, co dodatkowo pogarszało jego sytuację. Sam proces stanowił istną parodię sądu. Cały skład, a więc sędzia, prokuratorzy i obrońcy z urzędu, z zapalem pełnili swoje role. Mowa obrońcy niewiele różniła się od mowy prokuratora. Sprawa została podbudowana marksistowską ideologią, a oskarżeni zostali przedstawieni jako wrogowie ludu. Wyroki były wysokie – 10 i 8 lat pozbawienia wolności.

Niepomny tego przykładu, popełniłem groźne przewinienie, wyrażając się niezbyt pochlebnie, ale za to dosadnie o jednym z naszych oficerów. Denerwowało mnie szczególnie złośliwe dawanie nam w kość. Celował w tym dowódca czwartego plutonu, chorąży Łaciak. Któregoś dnia, krótko po owym procesie, nazwałem go „pajacem na kaczych nogach”. Jakimś sposobem to określenie dotarło do dowódcy kompanii. Pod wieczór przyszedł do mnie dowódca naszego plutonu, zresztą bardzo przyzwoity kolega, chorąży Józek Żebrowski, i zakomunikował mi, że o dwudziestej mam się zgłosić do rapor-

tu karnego w namiocie kapitana Siekierzyckiego. Wyczyściłem buty, oporządziłem umundurowanie i dokładnie z wybiciem godziny zastukałem obcasami przed stołem, za którym zasiadał dowódca kompanii w towarzystwie czterech dowódców plutonów, z chorążym Łaciakiem łącznie.

Po złożeniu meldunku, Siekierzycki zapytał mnie, czy wiem, z jakiego powodu stoję do raportu. Odpowiedziałem – „tak jest, obywatelu kapitanie”. Wtedy zaczął z grubej rury: „wy żarty sobie stroicie, obniżacie morale armii, ja was mogę za to postawić przed »prekuratorem«, wy widzieli jak wygląda sąd wojskowy”. Chciał jednak nawiązać do meritum sprawy i drwiącym głosem zapytał „wy myślicie, że macie dużo lepsze nogi niż chorąży Łaciak” i próbował dalej w tym stylu kontynuować swoje wystąpienie. Zorientował się jednak, że stąpa po cienkim lodzie, Łaciak bowiem zrobił się czerwony jak burak, a pozostali oficerowie z trudem wstrzymywali się od śmiechu. Chcąc wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji, podjął szybką decyzję: „zameldujecie się u sierżanta Przybyły, trzy razy dodatkowa praca poza kolejnością”.

Krótko po tym incydencie dostaliśmy rozkaz wyjazdu i bilety kolejowe do miejsca zamieszkania.

## Praktyka po drugim roku studiów

**B**ezpośrednio po obozie wojskowym rozpocząłem praktykę w Zakładzie Energetycznym w Częstochowie. Miejsce to wybrałem z tego powodu, że mogłem mieszkać w domu rodzinnym w Gnaszynie, który był wtedy wsią położoną tuż za rogatkami Częstochowy (obecnie stanowi dzielnicę tego miasta). Kierownictwo zakładu nie bardzo wiedziało, co ze mną zrobić. Posadzili mnie przy wolnym biurku i dali do oglądania jakieś schematy. Po dwóch dniach miałem tego dosyć i poprosiłem o przydzielenie mnie do ekipy remontowej. Z taką brygadą wyjeżdżałem codziennie w teren, gdzie dokonywano przeglądów stacji transformatorowych. Czasami celem wyjazdu była wymiana jakiejś części wyposażenia stacji, a nawet całego transformatora. Włączałem się do tych prac i z zainteresowaniem obserwowałem członków brygady. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden z niewykwalifikowanych pracowników, który zwierzał się, że do wybuchu wojny nie pobrudził sobie rąk pracą zawodową, a mimo to żył całkiem dostatnio. Opowiadał przy tym o częstochowskich złodziejach kieszonkowych, którzy okradali jasnogórskich pielgrzymów. Nie twierdził, że sam parał się tym procederem, jednak relacjonował to z takim zapałem i taką znajomością rzeczy, że można było przypuszczać, iż fach ten znał z autopsji.

Opowiadał, że wiele pielgrzymek docierało do Częstochowy ulicą Warszawską. Na jej początku była przydrożna kapliczka, przy której ojcowie Paulini witali

pątników i ostrzegali ich przed kieszonkowcami, ci zaś uczestniczyli w tych powitaniach bacznie obserwując, jak i gdzie przestraszeni ludzie chowali swoje pieniądze. Upatrzonemu delikwenta nie spuszczała już z oka, dopóki nie opróżniła zawartości jego kieszeni. Wobec takiego cwaniactwa częstochowska policja zdawała się być bezsilna. W końcu do świętego miejsca przyjechał sam główny szef tajnej policji i zapowiedział, że wyłapie częstochowskich kieszonkowców. Ci jednak, zaraz na wstępie, ukradli mu portfel...

Mogłem więc zapoznać się nie tylko z budową i eksploatacją stacji elektrycznych średniego napięcia, ale bliżej poznać zainteresowania i pasje ludzi obsługujących te urządzenia.

## Trzeci rok studiów

**N**a trzecim roku nastąpił podział na specjalizacje. Zapisalem się na kierunek sieci elektryczne, zachęcony przez opiekuna tej specjalizacji, profesora Jana Kożuchowskiego. Profesor krótko przed wojną ukończył Politechnikę Warszawską. Równolegle studiował ekonomię. Po klęsce wrześniowej znalazł się w oddziałach polskich we Francji i w efekcie, jak wielu Polaków, został internowany w Szwajcarii. Tam zrobił doktorat z zakresu ekonomicznej pracy elektrowni. Jego drugie studia z pewnością były przydatne przy przygotowywaniu tego doktoratu. Tytuł, jak również doświadczenia zdobyte podczas pobytu w Szwajcarii oraz znajomość języków obcych pozwalały mu śledzić trendy i kierunki rozwoju przemysłu i energetyki na świecie. Był niewątpliwie zafascynowany tymi problemami i umiał zainteresować nimi młodych ludzi.

Przy katedrach istniały wtedy tak zwane gospodarstwa pomocnicze, które pozwalały wykonywać różne prace zamawiane na uczelniach przez przemysł. Przy chudych pensjach nauczycieli akademickich, gospodarstwa pomocnicze stanowiły dodatkowe źródło dochodów. W większości przypadków katedry zatrudniały do realizacji tych zleceń swoich etatowych pracowników naukowo-dydaktycznych. Jedynie sporadycznie zatrudniano nielicznych pracowników na etatach gospodarstw pomocniczych. Profesor Kożuchowski rozbudował gospodarstwo pomocnicze do niespotykanych rozmiarów, zatrudniając w nim kilkudziesięciu, a w końcowej fazie około dwustu etatowych pracowników. Był to już spory instytut badawczy, składający się z grona zapaleńców realizujących wizje profesora. Prace prowadzone były dość szerokim frontem, poczynając od automatyki procesów cieplnych w elektrowniach parowych, przez regulacje napięcia, kontrolę pracy systemu i badanie zjawisk systemowych, do analitycznych metod obliczania prądów zwarcio-  
wych i warunków stabilności systemu.

Organizacja takiego przedsięwzięcia wymagała nie tylko wiedzy i umiejętności technicznych, ale również niemałych umiejętności menadżerskich. Całość nie była finansowana z budżetu, lecz utrzymywała się ze zleceń udzielanych przez przemysł.

Podjmując pracę na Politechnice Wrocławskiej, profesor Kozuchowski mieszkał nadal w Warszawie i do Wrocławia przylatywał na dwa lub trzy dni w tygodniu. Oprócz tego zatrudniony był jako doradca w Ministerstwie Energetyki.

Na wybranym przeze mnie kierunku w semestrze zimowym trzeciego roku studiów jego opiekun, tenże profesor Kozuchowski, miał dwa wykłady: sieci elektryczne i miernictwo elektroenergetyczne. Ponadto swoje wykłady kontynuowali: profesor Nowacki (z maszyn elektrycznych) i profesor Kurdziel (z przyrządów rozdzielczych niskiego i wysokiego napięcia). Ten drugi prowadził również dość pracochłonne projektowanie instalacji elektrycznych. Doszły jeszcze wykłady z ekonomii politycznej oraz ekonomiki i organizacji pracy, no i oczywiście zajęcia ze studium wojskowego.

W semestrze tym dominowały jednak laboratoria. Pracowaliśmy w laboratoriach: miernictwa elektrycznego, techniki wysokich napięć, maszyn elektrycznych oraz sieci elektrycznych. Biorąc pod uwagę fakt, że z badań laboratoryjnych trzeba było sporządzać obszernie sprawozdania, zajęcia te stanowiły poważne obciążenie w tygodniowym bilansie godzin. Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że czas mieliśmy wypełniony po brzegi.

Semestr letni trzeciego roku studiów był ostatnim semestrem kursu inżynierskiego. Jego program obejmował obszerny pakiet zajęć prowadzonych przez profesora Kozuchowskiego: wykład oraz ćwiczenia z systemów elektroenergetycznych, wykład na temat automatyki systemów elektroenergetycznych oraz projektowanie systemów elektroenergetycznych. Tematykę związaną ze specjalizacją uzupełniał wykład i ćwiczenia z budowy sieci elektrycznych prowadzony przez pracownika Wydziału Budownictwa, prof. Mromlińskiego. Profesor Kurdziel miał wykład na temat techniki zabezpieczeń, a także zajęcia z projektowania rozdzielni i transformatorni.

Do prowadzenia specjalistycznych wykładów profesor Kozuchowski zaangażował fachowców związanych bezpośrednio z przemysłem, uznawanych za najlepszych w kraju specjalistów z danej branży.

Aparaty radio- i telekomunikacyjne w energetyce wykładał elektronik, inżynier Kopaczek, właściciel zakładu wytwarzającego aparaturę elektroniczną dla potrzeb między innymi energetyki. Jego dziełem był analizator sieciowy prądu zmiennego, zbudowany dla katedry profesora Kozuchowskiego. W owym czasie było to urządzenie na światowym poziomie.

Technikę zabezpieczeń urządzeń przesyłowych wykładał inżynier Lidwin, pracownik Zakładów Energetycznych Okręgu Południowego, zaś technikę



zabezpieczeń urządzeń wytwórczych – inżynier Trojak, który był kierownikiem służby zabezpieczeń w tym okręgu. Encyklopedię elektrowni wykładał inżynier Ney. Wydaje mi się, że był doradcą lub ekspertem w Zjednoczeniu Energetyki w Warszawie. Laboratorium elektroenergetyczne prowadził inżynier Tyndiuk, który później zmienił nazwisko na Tynowski. Był głównym konstruktorem w fabryce przekładników REFA w Świebodzicach.

Nie wszyscy mieli talent dydaktyczny i łatwość przekazywania informacji. Wnosili jednak do programu świeże spojrzenie na problemy techniczne.

Po zaliczeniu trzeciego roku studiów czekał nas jeszcze miesięczny obóz wojskowy i półroczna praktyka dyplomowa. Po jej odbyciu należało zdać egzamin dyplomowy, który wieńczył studia inżynierskie.

26 czerwca 1952 roku wzięliśmy z Hanką ślub.

## Drugi obóz wojskowy

Niecały miesiąc później zaliczałem drugi obóz wojskowy w brygadzie wojsk inżynieryjnych w Kazuniu. Dowódcą był – jak na brygadę przystało – generał. Nie mieliśmy przyjemności poznać go osobiście, jak to miało miejsce na pierwszych ćwiczeniach w Borkach, przebywał bowiem właśnie na urlopie w swojej ojczyźnie – Związku Radzieckim.

Kazuń położony jest na lewym brzegu Wisły, naprzeciw twierdzy Modlin, której mury są stamtąd dobrze widoczne. Tym razem podróżowaliśmy komfortowo, w wagonach osobowych. Zakwaterowani zostaliśmy w namiotach, podobnie jak przed rokiem w Borkach. Namioty ustawione były w narożniku solidnych wałów ziemnych, otaczających budynki twierdzy Kazuń. Architektura budowli wskazywała, że twierdza ta przeżywała swój okres świetności w czasach miłościwie nam panujących carów rosyjskiego imperium. W pobliżu naszego obozu stała ceglana cerkiew, która w okresie międzywojennym przerobiona została na kościół, a po wojnie stała opuszczona, choć trzeba przyznać, nie była zdewastowana. Miała świetną akustykę i jeden z naszych kolegów architektów grywał tam czasami na skrzypcach. Po zewnętrznej stronie wałów znajdowała się dość szeroka fosa wypełniona wodą. Budynki miały potężne ceglane mury. Stołówka, w której jadaliśmy posiłki, znajdowała się na parterze jednej z tych budowli, jej mury miały ponad półtora metra grubości. W każdym razie na okiennym parapecie można się było swobodnie położyć prostopadle do okna.

Na trzecim roku studiów nasz rocznik podzielony został na elektryków i łącznościowców. Dotyczyło to również szkolenia wojskowego. Łącznościowcy szkolili się w obsłudze wojskowych urządzeń łączności. Nasza kompania uzupełniona została przez studentów architektury.

Ćwiczenia wojskowe w Kazuniu wspominam znacznie lepiej niż ćwiczenia w Borkach. Wynikało to z faktu, że brygada saperów w Kazuniu była wyposażona w ciężki park pontonowy. Tu pontony były metalowe i nie nadawały się do transportu na ludzkich ramionach, były wożone samochodami ciężarowymi. Nie znaczy to jednak, że nie znalazło się nic ciężkiego do dźwignia. Pontonowy most wymaga użycia wielu elementów łączących poszczególne człony tej konstrukcji, które nie należą niestety do najlżejszych.

Ważniejsze jednak było to, że dowódcą kompanii był młody porucznik, z wykształcenia technik budowlany. Odnosił się do nas, bądź co bądź studentów po trzecim roku politechniki – prawie inżynierów, bardziej życzliwie. Tłumaczył nam kiedyś, że na szefa naszej kompanii wybrano kaprała Woźniaka, najlepszego podoficera w całej brygadzie, i na nim spoczywał obowiązek zrobienia z nas żołnierzy. Kapral Woźniak robił co mógł i dawał nam czasami mocno w kość. Przejawiało się to m.in. robieniem nam na złość, np. powtarzaniem zbiórek na placu apelowym. W ramach takich złośliwości kapral Woźniak polecił kiedyś naszemu koledze, Andrzejowi Kostowskiemu, polanie wodą placu apelowego, tak aby się nie kurzyło i zameldowanie mu wykonanie rozkazu. Miał tego dokonać podczas godzinnej przerwy przeznaczonej na odpoczynek po obiedzie. Plac apelowy pokrywała gruba warstwa mazowieckiego piachu, który różnił się od piachu w Borkach tym, że miał nieco grubszą fakturę i był nieco bardziej żółty. Wodę trzeba było nosić z fosy. W tym celu należało pokonać co najmniej 200 metrów w poziomie, następnie kilka metrów do góry, pomiędzy placem apelowym i koroną wału oraz kilka metrów w dół, od korony wału do lustra wody w fosie. Biedny Andrzej, który nigdy nie należał do siłaczy, nie miał najmniejszych szans wykonania tego polecenia. Kiedy usłyszeliśmy głośnie chrapanie śpiącego w namiocie kaprała Woźniaka, utworzyliśmy łańcuch ludzki sięgający fosy i podawaliśmy sobie z rąk do rąk różne naczynia napełnione wodą. W ten sposób w ciągu kilkunastu minut zalaliśmy bardzo dokładnie cały plac apelowy. Następnie pokładliśmy się grzecznie na swoich posłaniach, a Andrzej obudził kaprała i zameldował mu wykonanie rozkazu. Woźniaka kompletnie zatkało i zupełnie nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Innym razem nasz szef kompanii został kompletnie zбитy z pantałyku, podczas apelu mundurowego. Kolega Bogdan Synal nie mógł się doliczyć chusteczek do nosa. Okazało się, że Boguś wykorzystywał je jako onuce. Te „chusteczki” to były spore kawałki dość grubego płótna, które świetnie nadawały się właśnie na onuce. Sytuację pogarszał fakt, że Synal wyfasował właśnie nowe saperki. Ich skóra, pod wpływem potu, zabarwiła onuce na kolor czerwono-fioletowy. Gdy wreszcie, po długich poszukiwaniach, okazało się, że wojskowe chusteczki do nosa nie zostały zgubione, a tylko zmieniły swoje przeznaczenie, nasz szef kompanii o mało nie dostał apopleksji. Mnie

natomiast ten incydent przypomniał starą żołnierską piosenkę, która brzmi jakoś tak:

*Tę chusteczkę coś mi dała,  
za onucem sobie wziął,  
zebyś sobie dziewczce nie myślała,  
zem cię dziewczce w syrcu miał.*

Kapral Woźniak w kłopotliwych sytuacjach lubił powtarzać sentencję: „No, co jest, Wojsko Polskie wam się nie podobuje albo ta konstytucyjka, co ma wyńść!” Istotnie, był lipiec 1952 roku, a 22 lipca Sejm miał uchwalić nową konstytucję, która sankcjonowała podporządkowanie Polski Związkowi Sowieckiemu i utrzymywała PRL-owskie stosunki. Z tej okazji kółko dramatyczne działające przy brygadzie saperów w Kazuniu przygotowywało akademię. Zwrócono się do naszej kompanii o pomoc. Nie ma podobno nic lepszego w wojsku, jak załapać się na taką chałturę. Wykorzystałem swoje umiejętności recytatorskie i kilka uciążliwych ćwiczeń zamieniłem na leniwą działalność artystyczną. Okazało się, że z tymi występami pojechaliśmy w przeddzień lipcowego święta do papierni w Jeziornej. Zupełnie nie pamiętam naszych występów na tej akademii, utkwily mi natomiast w pamięci przejazdu przez Warszawę, a szczególnie przez MDM, czyli Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową. Kiedy rano, 21 lipca, przejeżdżaliśmy przez Warszawę, plac Konstytucji wyglądał jak normalny plac budowy. W wielu miejscach stały jeszcze rusztowania, widać było betoniarki oraz inny sprzęt budowlany i kręciło się mnóstwo robotników. Wydawało mi się, że jest niemożliwe, aby następnego dnia mogła się na tym placu odbyć wielka feta. W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy tędy późnym wieczorem. Nie było nawet śladu po rusztowaniach i maszynach budowlanych. Świeciły się wszystkie latarnie, z wielkimi kandelabrami łącznie. Usterki i niechlujstwo budowlane ujawniły się nieco później.

Z architektami, którzy byli z nami w Kazuniu, nie mieliśmy wcześniej żadnych kontaktów. Oni urzędowali w gmachu przy ulicy Prusa i nie mieliśmy wspólnych zajęć. Wiele lat później opowiadał mi Zbyszek Walter o swojej przygodzie z naszymi nowymi kolegami. Przygoda przytrafiła mu się przy okazji ćwiczeń minerskich, polegających na ustawianiu min przeciwczołgowych. Atrapy zastępujące prawdziwe miny stanowiły drewniane skrzynki o dość sporych wymiarach. Jedna grupa zakopywała te skrzynki na poligonie, druga wyszukiwała je za pomocą szpikulca osadzonego na drewnianym drążku. Te skrzynki trzeba było pobrać z magazynu i przewieźć na poligon. Zbyszek został przydzielony do ich transportu. Ogarnęło go zdziwienie, kiedy zauważył, że ten sam saper wydawał mu te atrapy w magazynie i następnie odbierał je od niego na poligonie. Zaczął podejrzewać, że jest jakaś krótsza

droga, którą ten magazynier zdążył przyjechać na poligon. Za drugim razem pilnie obserwował drogę i doszedł do wniosku, że żadna inna nie istnieje. Całe nieporozumienie spowodowali bracia Przyłęccy, którzy byli jednojajowymi bliźniakami, podobnymi do siebie jak dwie krople wody. W mundurach wszyscy wydają się do siebie podobni, ale ci dwaj byli nie do rozróżnienia. Jeden był w pewnym okresie głównym architektem Wrocławia. Któregoś z nich spotkałem kiedyś w Klubie Związków Twórczych. Wprawdzie przywitaliśmy się bardzo serdecznie i nawet przy bufecie wypiliśmy jakąś wódkę, ale nie byłem w stanie stwierdzić, z którym z braci miałem to spotkanie.

Ja znowu zarobiłem dodatkową pracę poza kolejnością, tym razem było to obieranie ziemniaków, które odbywało się w nocy, w piwnicy pod kuchnią. Pracowało około dziesięciu żołnierzy pod nadzorem jakiegoś kucharza. Zaczęliśmy opowiadać kawały. Mój repertuar do tego stopnia przypadł do gustu towarzyszom niedoli, że posadzili mnie na worku z ziemniakami i powiedzieli, możesz nic nie robić, tylko opowiadaj. Na koniec obdarowali mnie pęczkiem wspaniałych cebul i kilkoma śledziami. Stanowiło to znakomitą zakąskę do przemyconej następnego dnia półlitrowki.

Sprawy związane z kuchnią przypomniały mi jednego z kolegów zwanego „Maniś Kitajec”. Maniś był raczej niskiego wzrostu, ale krępej budowy ciała. Darzyłem go od dawna sympatią, ale po jego wyczynach sportowych w Kazuniu dołączyłem do tego jeszcze podziw. Maniś miał znakomity apetyt. Korzystając z faktu, że zupa była bez ograniczeń, po pobraniu pierwszej miski nie siadał do stołu, lecz stawał na końcu kolejki i przesuwał się w kierunku kotła z zapalem przygotowywał miszkę do ponownego napełnienia. Bezpośrednio po obiedzie była chwila przeznaczona na tak zwaną zakurkę. Nie wszyscy wykorzystywali ten czas na wypalenie papierosa, ja na przykład siadałem pod ścianą stołówki i przyglądałem się wyczynom Maniusia.

Przed stołówką rosło kilkanaście, a może kilkadziesiąt potężnych drzew liściastych, pod którymi urządzone był tak zwany „małpi gaj”, czyli szereg przyrządów gimnastycznych. Maniś wykorzystywał poobiedni czas, przeznaczony na zakurkę, do ćwiczeń na drążku. Poprzeczka tego przyrządu była na takiej wysokości, że Maniś, aby się do niej dostać, musiał wspiać się po pionowej podporze. Jak tylko uchwycił poprzeczny drążek, to rozpoczynał szereg ćwiczeń zapierających dech w piersiach obserwatorów tego widowiska. Trzeba dodać, że był w mundurze i w saperskich butach. Niestety, dostały mu się buty używane i o kilka numerów za duże. W związku z tym wyściełał te buty obficie słomą. Informacje o butach są niezbędne do zrozumienia sztuczki związanej z zeskokiem z drążka. Po wykręceniu kilku końcowych kołowrotów, Maniś nie spadał bezpośrednio na ziemię, lecz kiedy podczas kolejnego obrotu był w najniższym położeniu, podciągał się gwał-

townie do góry i wtedy jego buty siłą bezwładności efektownie spadały na dół. Maniś wisił jeszcze przez chwilę i wtedy rozkręcały się jego onuce, odsłaniając nieprawdopodobnie brudne nogi kolegi.

Tak minął miesięczny obóz wojskowy.

## Pierwszy okres pracy zawodowej

### Praktyka dyplomowa

Po wakacjach wróciliśmy do Wrocławia i zaczęliśmy szukać mieszkania. W końcu wynajęliśmy dwa pokoje w willi na Grabiszynku z używalnością łazienki i kuchni. Pierwszego września rozpocząłem praktykę dyplomową, a Hanka aplikację sędziowską we wrocławskim sądzie. Na półroczną praktykę dyplomową zostałem skierowany do Zakładu Energoelektryki Politechniki Wrocławskiej (ZEPW).

Pierwszy września 1952 roku traktuję jako datę rozpoczęcia pracy zawodowej. Od samego początku byłem bowiem traktowany jak normalny pracownik, a następnie do tego Zakładu dostałem przydział pracy. ZEPW był w resorcie szkolnictwa wyższego nietypową instytucją, zatrudniał około 200 osób i był czymś w rodzaju instytutu naukowego. Po wielu latach i kilku metamorfozach został przejęty przez resort energetyki i przekształcony w Instytut Automatyzacji Systemów Energetycznych, znany powszechnie jako IASE.

ZEPW posiadał rewelacyjne, na owe czasy, urządzenie, w postaci analizatora prądu zmiennego. Przyrząd ten miał szerokie zastosowanie, głównie jednak wykorzystywany był do obliczania prądów zwarciovych i rozpliwów mocy dla potrzeb dydaktyki oraz do realizacji prac zleczanych przez resort energetyki. Zostałem przydzielony do pracowni, która zajmowała się eksploatacją analizatora. Posadzono mnie przy modelowaniu badanego aktualnie systemu energetycznego. Moja praca polegała na umieszczaniu w panelu, przypominającym szufladkę, rezystorów, indukcyjności i kondensatorów o wartościach, które odpowiadały parametrom określonego elementu badanego systemu. Następnie panel ten łączyłem z panelami odwzorowującymi inne elementy systemu. Połączenia były wykonywane elastycznymi przewodami w różnokolorowych igelitowych powłokach, tworzącymi barwną płataninę. Było to żmudne zajęcie. Rozwijający się krajowy system energetyczny wymagał wielu analiz i obliczeń, do których ten analizator znakomicie się nadawał i był jedynym tego typu urządzeniem w kraju. Roboty było w bród. Kierownictwo zakładu wykorzystywało każdą parę rąk. Często pracowałem po godzinach. Kiedy wieczorem zamykałem oczy, widziałem pod powiekami płataninę kolorowych przewodów.

Szefem ZEPW był profesor Kozuchowski, który mieszkał w Warszawie i przyjeżdżał, a ściślej przylatywał na dwa do trzech dni do Wrocławia. Na co dzień zakładem kierował inżynier Adam Dąbrowski. Był to starszy pan, ze starannie przystrzyżonym siwym wąsem, lekko utykający na nogę. Podobno przed wojną miał firmę budującą rozdzielnie energetyczne i podczas jakichś prób został porażony wysokim napięciem. W efekcie miał uszkodzoną nogę i chodził w ciężkich sznurowanych butach. Któregoś dnia zjawił się w pracowni analizatorowej i powiedział, że poszukuje człowieka, który w pilnej sprawie mógłby pojechać do Warszawy. Wybór padł na mnie. Zostałem poinformowany, że chodzi o zakup zachodniej aparatury pomiarowej, która została w kraju po Targach Poznańskich. Zostałem wyposażony w odpowiednie zamówienie, a o dalszych szczegółach transakcji miałem się dowiedzieć od profesora Kozuchowskiego już na miejscu. Bezpośrednio po przyjeździe do Warszawy zameldowałem się w mieszkaniu profesora, aby mógł przekazać mi niezbędne informacje przed wyjściem do pracy w Ministerstwie Energetyki, gdzie był zatrudniony w charakterze doradcy. Mieszkał wtedy bardzo blisko dworca Warszawa Zachodnia, zatem zjawiłem się u niego około godziny szóstej. Profesor był sam, żona z dziećmi przebywała jeszcze na lotnisku. Zostałem bardzo uprzejmie przyjęty i zaproszony na śniadanie. Gospodarz zaserwował między innymi jajka na twardo. Z pierwszym poradziłem sobie bez trudu, ale z drugim sprawa nieco się skomplikowała, jajeczko bowiem było częściowo nieświeże. W końcu gospodarz zorientował się w sytuacji i już bez przeszkód zakończyliśmy śniadanie. W międzyczasie zostałem poinformowany o dalszym przebiegu mojej misji.

Miałem się zameldować u dyrektora Elektrimu i poinformować profesora o załatwieniu sprawy. Elektrim był wtedy państwową firmą, która zajmowała się importem i eksportem urządzeń elektrycznych. Dyrektor był mocno zakłopotany i wyjaśniał mi, że profesor Kozuchowski źle zrozumiał jego informację na temat możliwości zakupu zachodniej aparatury. Dokonanie takiego zakupu wymagało uzyskania z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego odpowiedniej puli dewizowej. Z tą nienajlepszą informacją udałem się do profesora. Zaczął kombinować, jak rozwiązać ten problem. Powiedział wreszcie, że muszę się udać do określonego pokoju w ministerstwie, tam siedzą dwie panie, które z pewnością pomogą uzyskać niezbędną pulę dewizową. Mają bowiem wobec niego dług wdzięczności, gdyż zdobył dla nich przewód do kuchenki elektrycznej, na której gotują herbatę. Nie wiem jak ostatecznie została załatwiona sprawa zakupu tych dewizowych przyrządów, ale przypuszczam, że została uwieńczona sukcesem. Ja natomiast przeszedłem pierwszą lekcję załatwiania spraw na szczeblu ministerialnym.

Pod koniec października zaproponowano mi współpracę z inżynierem Trojakiem, który w poprzednim semestrze, wspólnie z inżynierem Lidwinem,

wykładał nam przedmiot pod nazwą technika zabezpieczeń przekaźnikowych. Po tym próbnym semestrze o dalsze prowadzenie wykładów został poproszony tylko inżynier Trojak. Całkiem słusznie zrezygnowano ze współpracy z inżynierem Lidwinem, który nie był najlepszym wykładowcą. Inżynier Trojak miał spore doświadczenie w technice zabezpieczeń, był bowiem kierownikiem laboratorium przekaźnikowego w Zakładach Energetycznych Okręgu Południowego z siedzibą w Katowicach i miał niewątpliwie talent dydaktyczny. W semestrze zimowym miał prowadzić wykład dla słuchaczy studium magisterskiego, którzy rozpoczęli studia rok wcześniej niż mój rocznik i byli pierwszym rocznikiem, który studiował w systemie dwustopniowym.

Powstał problem pomocy inżynierowi Trojakowi w organizowaniu laboratorium przekaźnikowego i prowadzenia w nim ćwiczeń. Przyjeżdżał na jeden dzień w tygodniu do Wrocławia i potrzebny był ktoś do pilnowania jego gospodarstwa na miejscu. W tej sytuacji wybór padł na mnie. Wprawdzie nie miałem jeszcze nawet dyplomu inżynierskiego, ale słuchałem wykładów Trojaka, które zaliczyłem z wynikiem bardzo dobrym i mogłem być przydatny, zwłaszcza w pracach związanych z organizowaniem laboratorium.

Ćwiczenia prowadzili asystenci profesora Kożuchowskiego, dla których przekaźniki i technika zabezpieczeń nie były głównym przedmiotem zainteresowań. Ja pełniłem funkcję laboranta. Pierwsze ćwiczenia były proste i nie sprawiały nikomu większych trudności. Trojak jednak pościagał z Katowic kilka nowoczesnych, jak na owe czasy, i bardziej złożonych przekaźników. Przygotowując stanowiska do ich badań, musiałem się dokładnie zapoznać z ich budową i zasadą działania. Powoli mój udział w prowadzeniu tych zajęć wzrastał.

Zajęcia dydaktyczne zajmowały mi tylko część czasu pracy podczas praktyki dyplomowej. W związku z podjęciem współpracy z Trojakiem zostałem przeniesiony do pracowni zabezpieczeniowej, której kierownikiem był starszy kolega, mgr inż. Andrzej Nodzyński. W pracowni zatrudniony był jeszcze mgr inż. Ryszard Jarmuła, technik oraz kreślarka. Po pewnym czasie został zatrudniony kolega Wójtowicz, który kończył studia w systemie czteroletnim i z opóźnieniem przygotowywał pracę dyplomową. W owym czasie kręciło się na uczelni wielu studentów, którzy studiowali w przedwojennym, czteroletnim systemie kształcenia politechnicznego. W tym systemie do zaliczenia roku wystarczyło zdanie kilku egzaminów z określonych przedmiotów, zwanych rygorami. Z tego powodu zaległe egzaminy z przedmiotów, które nie były rygorami, ciągnęły się za niektórymi jeszcze długo po zakończeniu czwartego roku studiów. Byli to przeważnie ludzie starsi, zazwyczaj podejmowali pracę zawodową, często poza Wrocławiem, pracując, zdawali zaległe egzaminy i przygotowywali pracę dyplomową. Takim maruderem był zatrud-

niony w pracowni zabezpieczeniowej bardzo sympatyczny kolega Wójtowicz. Po uzyskaniu dyplomu podjął pracę we wschodnim okręgu energetycznym, gdzie bardzo szybko awansował.

Ja formalnie nie byłem pracownikiem ZEPW, a jedynie odbywałem tam półroczną praktykę i w ramach tego otrzymywałem jakieś skromne stypendium. Zakład miał jednak dużo zleceń i każde ręce były na wagę złota. Zostałem zatem włączony do realizacji konkretnych prac i za tę pracę otrzymywałem wynagrodzenie na umowę-zlecenie.

Cały ZEPW mieścił się w wielkim gmachu przy ulicy Prusa, po byłej niemieckiej szkole budowlanej. W gmachu tym mieściły się jeszcze katedry należące do Wydziału Architektury. Pęczniejący z dnia na dzień zakład, który w swoich podstawowych zadaniach nie służył dydaktyce, nie miał tam szans rozwoju. W październiku, a może w listopadzie, wszystkie pracownie ZEPW, z wyjątkiem pracowni analizatorowej, zostały przeniesione do jednej z dwóch potężnych hal, usytuowanych w sąsiedztwie Hali Ludowej. Te hale, łącznie z Pawilonami Czterech Kopuł, stanowiły przed wojną tereny wystawowe. W 1948 roku stały się częścią Wystawy Ziemi Odzyskanych. Ówczesni ojcowie miasta ciepłą rączką przydzielili jedną z nich Wytwórni Filmów Fabularnych, a drugą – profesorowi Kozuchowskiemu.

W semestrze letnim studenci kursu magisterskiego przystępowali do przygotowania prac dyplomowych. Trojak napędził kilka zleceń na konkretne prace z zakresu techniki zabezpieczeniowej. W całości lub w znacznej części stały się one tematami kilku prac dyplomowych. To już nie były żarty, tylko konkretne opracowania za konkretne pieniądze. Za terminowe wykonanie zleceń odpowiadała nasza pracownia. Oczywiście gros pracy wykonywali studenci, a właściwie dyplomanci, którzy otrzymywali za to pieniądze w formie prac zleconych. Promotorem był oczywiście inż. Trojak i on, przyjeżdżając na jeden dzień do Wrocławia, udzielał konsultacji. Pozostawało jednak pięć dni tygodnia, kiedy Trojak pracował w Katowicach, a ściślej mówiąc – w Stalinogrodzie. Tu przypomina mi się opowiadany w tamtych czasach dowcip. *Pasażer jadący pociągiem z Wrocławia do Krakowa zasnął. W pewnej chwili przebudził się i pyta, czy to już Katowice. Nie, jeszcze Stalinogród – wyjaśnił jeden z współpasażerów.*

Po skończeniu praktyki, gdzieś w okolicy lutego i marca, zdawaliśmy egzamin dyplomowy. Wcześniej należało przedstawić sprawozdanie z praktyki. Samego egzaminu zupełnie nie pamiętam. Natomiast bardzo dobrze mam zachowane w pamięci oblewanie tego sukcesu. Zebrało się nas około dwudziestu i wylądowaliśmy w knajpie, usytuowanej na rogu ulic Piłsudskiego (wtedy Świerczewskiego) i Stawowej. Zajęliśmy część lokalu nieco oddzieloną od głównej sali konsumpcyjnej. Po kilku kolejkach zaczęliśmy śpiewać, naprzód piosenki wojskowe, a następnie ludowe, pochodzące z różnych oko-



lic naszej obecnej oraz przedwojennej ojczyzny. Zarówno piosenki wojskowe, jak i ludowe, zawierały sporą dozę rubasznego humoru. W efekcie cały żeński personel knajpy znalazł się w zajmowanej przez nas części lokalu, zaniedbując całkiem pozostałych konsumentów.

I tak zakończyłem pierwszy stopień studiów, zwany kursem inżynierskim.

## Etatowa praca w ZEPW

Absolwenci szkół wyższych byli zobowiązani do podjęcia pracy w przedsiębiorstwach i instytucjach państwowych. Mówiąc szczerze, inne praktycznie nie istniały, a jeśli jeszcze gdzieś się uchroniły przed upaństwowieniem, to praktycznie nie odgrywały większej roli. Uczelnia otrzymywała wykaz miejsc pracy i specjalna komisja rozdzielała tak zwane przydziały pracy. Bez większego trudu otrzymałem taki przydział do ZEPW, czyli do instytucji, w której odbywałem praktykę dyplomową i w rzeczywistości pracowałem jak normalny pracownik. Formalnie zostałem zatrudniony na etacie inżyniera z dniem 1 stycznia 1953 roku, czyli jeszcze przed uzyskaniem dyplomu.

Pracownia zabezpieczeniowa, do której zostałem włączony, jako jedna z pierwszych została przeniesiona na tereny wystawowe. Wykonywaliśmy różne specjalistyczne prace na zlecenie energetyki zawodowej i przemysłowej. Był to okres powstawania krajowego systemu energetycznego. Do niego przyłączane były mniejsze i większe elektrownie, które dotychczas zasilają lokalne odbiory. Połączenie takiej elektrowni z systemem energetycznym wymagało dostosowania układu zabezpieczeń do pracy w nowych warunkach. Dla tych elektrowni wykonywaliśmy projekty modernizacji zabezpieczeń, układów regulacji napięcia oraz projekty układów samoczynnego załączania rezerwowego zasilania itp. Często nadzorowaliśmy realizację naszych projektów i przeprowadzaliśmy prace rozruchowe.

Pracy mieliśmy w bród. Technika zabezpieczeń była ciągle traktowana jako wiedza w pewnym stopniu tajemna. Z relacji nieco starszych pracowników, którzy znali tę branżę sprzed wojny wynikało, że do nastawienia i sprawdzenia zabezpieczeń przyjeżdżali specjaliści zazwyczaj z firmy, która dostarczała specjalistyczną aparaturę. Najlepiej było nie ruszać tej aparatury, a już broń Boże niczym tam nie kręcić i nie zmieniać nastawień przekaźników. Trudno dziś – z perspektywy ponad pół wieku – odtworzyć dokładnie prace, które wykonywałem w pierwszych latach mojej działalności zawodowej. Przytoczę te, które bardziej zapisały się w mojej pamięci.

Jedną z moich pierwszych poważniejszych prac, którą wykonywałem samodzielnie, był projekt nastawień zabezpieczeń sieci 110 kV Zakładów Energetycznych Okręgu Wschodniego oraz koordynacja zabezpieczeń tego systemu z elementami systemów sąsiednich okręgów energetycznych. Okręg

wschodni obejmował znaczną część naszego kraju, rozciągał się mniej więcej od południowej granicy państwa na wysokości Rożnowa i Tarnowa po Warszawę, następnie od Warszawy do wschodniej granicy państwa. Mimo że obejmował tak duży teren, składał się dosłownie z kilku linii o napięciu 110 kV, tworzących czworoboczny pierścień z rozgałęzieniami. Wszystkie linie wyposażone były w szwajcarskie przełączniki odległościowe typu L3 firmy BBC. Należało tak dobrać charakterystyki tych przełączników, aby zapewnić wybiórczość działania, to znaczy, aby w przypadku zwarcia wyłączana była tylko linia dotknięta awarią. Z drugiej zaś strony należało zapewnić wzajemne rezerwowanie zabezpieczeń, czyli tak nastawić przełączniki, aby w przypadku nie wyłączenia linii dotkniętej zwarcie nastąpiło wyłączenie sąsiednich linii. Spełnienie tych zadań wymagało policzenia prądów zwarciovych. Tę usługę zapewniała nam pracownia analityczna.

Zebranie materiałów niezbędnych do realizacji tego opracowania wymagało kilku wizyt w siedzibie służby zabezpieczeń Okręgu Wschodniego w Radomiu. Szefem tej służby był wtedy wawelberczyk, inżynier Longin Sochalski. Ledwo skończyłem pierwsze opracowanie, posypały się dalsze zlecenia. System energetyczny przeżywał okres dynamicznego rozwoju, powstawały nowe elektrownie, nowe linie wysokiego napięcia oraz nowe rozdzielnie. W Okręgu Wschodnim powstała wielka rozdzielnia w Rożkach koło Radomia. Podczas kolejnej wizyty u inżyniera Sochalskiego zobaczyłem swoje pierwsze opracowanie. W tamtych czasach opracowania, zwane obecnie raportami, powielane były na tak zwanym ozalidzie, o charakterystycznym fioletowym kolorze, i oprawiane były w tekturowe okładki oklejane papierem marmurkowym. Z dużą satysfakcją skonstatowałem, że moje opracowanie było dokładnie „zacytane”. Na poszczególnych stronach widniały zapiski i uzupełnienia wynikające z rozbudowy systemu. To opracowanie stanowiło bazę wyjściową do dalszych analiz i obliczeń.

Dostawaliśmy zlecenia również z innych okręgów, zarówno z energetyki zawodowej i przemysłowej, między innymi z kopalń śląskich. Pamiętam zlecenie na sprawdzenie zabezpieczeń generatorów w elektrowni Kopalni Wujek. Generatory pracowały na napięciu 6 kV i wyposażone były w komplet zabezpieczeń. Pewien problem stwarzało badanie zabezpieczenia ziemnozwarciowego, próbę działania tego zabezpieczenia wykonywało się bowiem przy wzbudzonej generatorze, pracującym na biegu luzem. Należało wykonać połączenie z ziemią przewodu generatora pracującego pod pełnym napięciem, za pomocą drążka uziemiającego. Trojak uznał, że weźmie udział w tym badaniu i przy okazji pokaże nam, jak się przeprowadza takie pomiary. Do pomocy wziął absolwenta Politechniki Śląskiej – Juliusza Wróblewskiego, który pracował wtedy w służbie przełącznikowej Okręgu Południowego w Katowicach.

Jakiś czas po tym szkoleniu przeprowadzałem sam takie badanie w elektrowni przy Cementowni Groszowice. Muszę przyznać, że najadłem się wtedy sporo strachu. Dotknięciu przewodu generatora pod napięciem przewodem uziemiającym towarzyszy zawsze spora iskra. W Groszowicach zdarzył się dziwny przypadek. Kiedy dotknąłem uziemiaczem przewód generatora, zgodnie z przewidywaniem przeskoczyła spora iskra, ale zupełnie nieoczekiwanie w tym samym momencie zgasło światło. Przewody generatora wyprowadzane są od dołu, dlatego to badanie wykonywane jest w pomieszczeniu znajdującym się pod halą maszyn. W ciemności zamarłem ze strachu. Bałem się poruszyć tym drążkiem, żeby nie zrobić zwarcia międzyprzewodowego. Jakoś się wycofałem spod tego generatora i po omacku, prowadzony przez towarzyszącego mi miejscowego pracownika, dotarłem do oświetlonego pomieszczenia. Zacząłem analizować sytuację. Badany generator był wyłączony i nie miał żadnych powiązań z innymi urządzeniami elektrowni. Pozostałe generatory pracowały jak Pan Bóg przykazał. Po chwili dyżurny elektryk znalazł przyczynę awarii światła. Po prostu przepaliła się wkładka bezpiecznika w obwodzie oświetlającym tę część elektrowni. Nadal jednak trudno mi sobie wytłumaczyć koincydencję tych zdarzeń.

W Groszowicach natknąłem się na inną ciekawą historię, którą opowiedział mi dyżurny inżynier elektrowni. Bezpośrednio po wojnie nasi wyzwolicieli rabowali wszystko, co się dało zagrabić. Elektrownia przy Cementowni Groszowice była przygotowywana do transportu na wschód. Władzom polskim w ostatniej chwili udało się zatrzymać te przygotowania i pozostawić wszystko w pierwotnym stanie. Radziecki specjalista przywrócił obwody zabezpieczeń do stanu pierwotnego. Musiał być dobrym fachowcem, gdyż połączenia odbiegały znacznie od poniemieckich schematów, a mimo to wszystko działało prawidłowo. Na koniec pokazano mi rosyjski tekst pozostawiony przez tego montera na ścianie celki mieszczącej aparaturę zabezpieczeniową. Brzmiał on jakoś tak: „jesli chcesz poznakomitsja so mnoj, tak piszy na adries: Kijew” i coś tam jeszcze, czego już dziś nie pamiętam.

Tych elektrowni przemysłowych pracowało w owych czasach bardzo dużo. Ich moce były zróżnicowane, zależały od zapotrzebowania na energię elektryczną zakładu i zawierały się w granicach od kilku do kilkudziesięciu megawatów. Bardzo często były to formalnie elektrociepłownie, których podstawowym zadaniem było produkowanie ciepła dla potrzeb technologicznych zakładu, a energia elektryczna produkowana była niejako przy okazji. Nie było to jednak regułą, np. kopalnie potrzebowały znacznie mniej energii cieplnej niż elektrycznej. Praktycznie każda kopalnia miała własną elektrownię. Miały one bardzo małą sprawność i bardzo kiepskie spalanie, a ponadto nie posiadały żadnych filtrów oczyszczających spaliny. Z kominów tych elektrowni unosiły się kłęby czarnego dymu. W tamtych czasach był to powód do dumy.

Dymiące kominy były symbolem uprzemysłowienia i widniały dumnie na licznych zdjęciach i obrazach. Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia nie chodziło jednak o wyeliminowanie tych elektrowni, a jedynie o połączenie ich z powstającym systemem elektroenergetycznym, co zapewniało zwiększenie pewności zasilania i stwarzało możliwość przejścia w przyszłości na czerpanie energii elektrycznej wyłącznie z systemu elektroenergetycznego.

Te kopalniane elektrownie to było istne muzeum techniki. W hali maszyn takiej elektrowni było zazwyczaj kilka generatorów o mocno zróżnicowanych mocach. Najstarsze, i zarazem najmniejsze, pochodziły z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, jednak najczęściej nie były już eksploatowane. Największe i najmłodsze osiągały moce rzędu 35 MW. Często pracowały na nietypowym już wtedy napięciu 3 kV. Wyprowadzenie mocy tych generatorów było zazwyczaj bardzo różne i skomplikowane. Jakieś szynoprzewody prowadzone były na ścianie pomieszczeń pod halą maszyn lub stosowano połączenia kablowe, co utrudniało rozeznanie całego układu.

Pewnego razu, rozpoznając takie połączenia w kopalni Mysłowice, byliśmy o krok od wypadku. O ile pamiętam, chodziło tam o oszacowanie wytrzymałości termicznej i dynamicznej aparatury łączeniowej, przy zwiększonej mocy zwarciowej, jaka wystąpi po połączeniu tej elektrowni z systemem energetycznym. Było nas dwóch, ja i kolega Aleksander Kimmel, który po zrobieniu pracy dyplomowej u Trojaka został zatrudniony w ZEPW. Kimmel był Żydem i – jak to bywa u przedstawicieli tej nacji – był zdolny i pracowity. Kręciliśmy się po elektrowni, śledząc te dziwnie prowadzone szynoprzewody. W pewnym miejscu wydawało nam się, że jesteśmy naprzeciw przewodów generatora, który od dawna nie był eksploatowany. Olek grzbietem dłoni dotknął jednego z nich i odskoczył jak oparzony. Okazało się, że przewody były pod napięciem. Na szczęście było to napięcie 3 kV, ponadto staliśmy na grubym gumowym chodniku i w dodatku Olek był w butach, na tak zwanej słoninie, czyli grubej warstwie sztucznego tworzywa. W tym dniu już nie kontynuowaliśmy pracy.

Nietypową przygodę przeżyłem w elektrowni należącej do kopalni Niwka-Modrzejów. Kopalnia była trefna, pracowali w niej bowiem więźniowie. Chodzili w takich samych usmarowanych węglem ubraniach jak wszyscy górnicy, a rozpoznać ich można było po czerwonej opasce na lampie górniczej. Tym razem sprawdzaliśmy zabezpieczenia największego z trzech generatorów o mocy 35 MW. W elektrowni pracował jeszcze mniejszy generator o mocy 5 MW. Najmniejszy generator o mocy 1 MW nie był od wielu lat eksploatowany. Aparatura zabezpieczeniowa, którą sprawdzaliśmy, była zainstalowana na tylnej ścianie pomieszczenia nastawni. Było już późne popołudnie, ale nie przerywaliśmy pracy, chcieliśmy bowiem jeszcze tego dnia

skończyć nasze badania. Za drugą ścianą znajdowała się wewnętrzna rozdzielnia o napięciu 3 kV. W pewnym momencie usłyszeliśmy dochodzący z tej rozdzielni głośny stukot, towarzyszący otwarciu wyłącznika. Bezpośrednio po tym do naszych uszu doszło cykanie przekaźnika czasowego. Po kilku sekundach dał się słyszeć kolejny stukot wyłącznika i zgasły wszystkie światła, po czym zapaliły się nieliczne światła awaryjne.

Okazało się, że jako pierwszy został otwarty wyłącznik transformatora, co spowodowało przerwanie połączenia elektrowni z siecią zewnętrzną, a następnie wyłączony został pracujący generator, co całkowicie pozbawiło kopalnię zasilania w energię elektryczną. Personel dyżurny elektrowni przystąpił do przywrócenia zasilania. Tym razem pracowałem z kierownikiem pracowni zabezpieczeniowej, Andrzejem Nodzyńskim. Zostawiliśmy nasze pomiary i przeszliśmy do nastawni. Zaczęła się dyskusja nad tym, co mogło być przyczyną tych wyłączeń. My nie zabieraliśmy głosu i nie komentowaliśmy podejrzeń personelu elektrowni, że przyczyną wyłączenia transformatora musiało być jakieś zakłócenie w sieci zewnętrznej. Tym bardziej, że pojawili się jacyś smutni panowie, na widok których nastawczemu przy synchronizacji elektrowni z siecią wyraźnie drżały ręce.

Ponownie zapaliły się światła i wszystko zaczynało wracać do normy. My również przystąpiliśmy do swojej roboty. Po upływie około pół godziny historia dokładnie się powtórzyła. W elektrowni pojawiło się więcej smutnych panów oraz kierownik, którego ściągnięto z domu. Zaczęło nam być trochę głupio, byliśmy tam całkiem obcy i w dodatku grzebaliśmy się w obwodach zabezpieczeniowych. Kiedy po następnej pół godzinie wydarzyło się znów to samo, mieliśmy już pełne portki strachu i zabraliśmy się na serio do analizowania sytuacji. Nie było to zbyt łatwe, gdyż układ połączeń elektrowni był bardzo mało czytelny, a ponadto nie chcieliśmy robić dodatkowego zamieszania. Jednak dość szybko zorientowaliśmy się, że przyczyną wyłączeń było przeciążenie transformatora łączącego kopalnianą elektrownię z siecią. Podeszliśmy do kierownika elektrowni i dyskretnie zapytaliśmy go, czy aktualnie pracują dwa transformatory, czy jeden. Facet zbladł i szepnął: „panowie, nic nie wiecie” i po chwili został załączony drugi transformator.

Normalnie zapotrzebowanie na energię elektryczną pokrywał duży generator i jeden transformator. Natomiast znacznie mniejszy generator, współpracując z jednym transformatorem, był w stanie pokryć zapotrzebowanie na energię elektryczną w ciągu dnia. Po zapadnięciu zmroku i włączeniu wszelkich lamp i latarni, moc pobierana przez odbiory kopalniane przekraczała moc generowaną przez mały generator i dostarczaną z sieci przez jeden transformator. Strach, jaki ogarnął personel elektrowni był w pełni uzasadniony. Należy pamiętać, że były to wczesne lata pięćdziesiąte i każde tego typu zdarzenie można było zakwalifikować jako sabotaż. Po kolejnym

wyłączeniu zasilania zaczęto więźniów ewakuować po drabinach. Wspomniani smutni panowie byli członkami tak zwanego ROP-u, czyli referatu ochrony przemysłu. Byli to funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, rezydujący w oddanym pod ich opiekę zakładzie. Oni kontrolowali politykę personalną, organizowali sieć informatorów i podejmowali lub akceptowali najważniejsze decyzje.

Muszę w tym miejscu przytoczyć zdarzenie, które poznałem z relacji naocznego świadka wydarzeń. W elektrowni Łaziska wystąpiło zwarcie w rozdzielni potrzeb własnych. Zawiodło podstawowe zabezpieczenie i zasilanie zostało wyłączone przez zabezpieczenia rezerwowe po 7 sekundach od chwili powstania zwarcia. Z uwagi na to, że zwarcie wystąpiło nieomal na szynach zbiorczych elektrowni, prąd w miejscu zwarcia osiągnął bardzo dużą wartość, w dodatku płynął relatywnie długo. Zniszczenia w tej rozdzielni były kolosalne, zwarcie oczywiście miało charakter łukowy i towarzyszyła mu niezmiernie wysoka temperatura. Doprowadziło to w efekcie do stopienia cegieł w ścianie rozdzielni. Miejscowy urząd bezpieczeństwa uznał, że takie zniszczenia mogły być spowodowane jedynie przez bombę termiczną i całe kierownictwo elektrowni zostało aresztowane. Powoływano różne komisje, aż do komisji wysokiego szczebla z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Energetyki oraz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nie pomagały wyjaśnienia fachowców, którzy wykazywali, że energia wydzielona podczas zwarcia mogła doprowadzić do takich dużych zniszczeń. Sprawę dopiero przesądził doradca radziecki i to w dodatku doradca Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który – jak się okazało – był inżynierem elektrykiem i wyjaśnienia polskich fachowców przekonały go.

Wróćmy jednak do kopalni Niwka-Modrzejów. Prowadziliśmy dla nich dalsze prace, które wymagały naszych wizyt w tej elektrowni. Za którymś razem po różnych zakamarkach oprowadzał mnie jej kierownik. W końcu dotarliśmy do marmurowej tablicy znajdującej się na początku, czy – jak kto woli – na końcu hali maszyn. Na czołowej stronie tej tablicy widniały wielkie przyrządy pomiarowe, z tyłu zaś znajdowały się elementy łączeniowe, nad którymi przebiegały szyny zbiorcze, wykonane z okrągłych miedzianych przewodów o średnicy 8 do 10 mm, wsparte na śmiesznie małych izolatorach. Była to rozdzielnia owego małego generatora, pochodzącego z przełomu wieków, który już od bardzo dawna nie był eksploatowany. Ta archaiczna rozdzielna robiła wręcz groteskowe wrażenie w porównaniu ze znajdującą się za ścianą nową rozdzielnią z miedzianymi szynami zbiorczymi o prostokątnym przekroju i bokach około 150 na 15 mm. Dosłownie zbaraniałem, kiedy się dowiedziałem, że ta rozdzielnia jest pod napięciem. Wyrziliłem swoje zdziwienie i zapytałem kierownika, co go zmusiło do jej wykorzystywania. Wyjaśnił mi, że nie można było w inny sposób podłączyć kabla doprowadza-

jącego energię elektryczną do szybu wentylacyjnego. Wtedy zapytałem, czy zdaje sobie sprawę z tego, co się może wydarzyć w przypadku zwarcia w tym kablu lub w urządzeniach przez niego zasilanych. Zacząłem roztaczać apokaliptyczne sceny pogięcia szyn zbiorczych, połamania izolatorów wsporczych i tego rodzaju uszkodzeń. Na co on pobłażliwie zaczął mi wyjaśniać, że w ten sposób pracują od wojny, a kontrowersyjne połączenie zrobione zostało przez Niemców.

Po jakichś dwóch tygodniach znalazłem się ponownie w kopalni Niwka-Modrzejów. Kierownik elektrowni zachowywał się tak, jakby mnie nie dostrzegał. Kiedy wreszcie doszło do rozmowy, robił wrażenie obrażonego i wystąpił z taką filipiką. „Panie inżynierze, pracowaliśmy z tym kablem od końca wojny i nic się złego nie działo i dopiero pan musiał to wykrakać”. Co się mianowicie stało. W każdej hali maszyn jest suwnica, wykorzystywana podczas remontów generatorów lub turbin. Sterowanie taką suwnicą odbywa się z poziomu hali maszyn, poprzez zwisający z góry kabelek zakończony przyciskami sterującymi. Taka suwnica jest rzadko używana i w czasie postoju powinno być wyłączone zasilanie tego całego urządzenia. Niestety, najwidoczniej ktoś nie dopełnił obowiązku, ktoś inny, przechodząc obok tego zwisającego kabla, nacisnął jeden z przycisków sterujących i poszedł dalej. Tymczasem suwnica przesuwała się w kierunku owej zabytkowej marmurowej rozdzielni i swoim potężnym hakiem wjechała na owe mizerne szyny zbiorcze, powodując zwarcie i związane z nim spustoszenia. Naprawdę, nie czułem się winnym powstania tej awarii.

Otrzymaliśmy zlecenie na zbadanie zabezpieczeń w nowych obiektach częstochowskiego zagłębia rud żelaza. Historia tego zagłębia sięga XIII wieku. Po wojnie przystąpiono do jego rozbudowy i intensywnej eksploatacji. Powstawały nowe kopalnie i cała związana z tym infrastruktura. Rudy żelaza w tym okręgu są niskoprocentowe. W celu ich wzbogacenia poddawano je jakimś procesom termicznym. Nasze zlecenie opiewało na zbadanie zabezpieczeń i sterowania w rozdzielniach elektrycznych kopalni w Łojkach i w zakładzie wzbogacenia rud chyba we Dźbowie. Zaletą tego zlecenia było to, że badane przez nas obiekty znajdowały się w pobliżu Gnaszyna, gdzie mieszkali moi rodzice, i mogliśmy się u nich zakwaterować.

Wykonanie badanych przez nas rozdzielni było szczytem niekompetencji i niechłujstwa. Zapytaliśmy dyżurnego elektryka, czy były przeprowadzane badania odbiorcze tych obiektów. Oczywiście były, a podczas uroczystości z okazji oddania tych rozdzielni do eksploatacji kadra kierownicza otrzymała wysokie odznaczenia. Były to wczesne lata pięćdziesiąte, szczyt okresu stalinizmu i bezkarności nomenklatury.

Życie stawało się coraz bardziej uciążliwe. Pamiętam powrót pociągiem z pomiarów przeprowadzonych w kopalni Mysłowice. Pracowałem z kolegą

Synalem, który kończył studia magisterskie i dorabiał do stypendium pracami zlecanymi mu przez naszą pracownię. Pomiary zakończyliśmy nad ranem i z jakichś powodów musieliśmy od razu wracać pociągiem do Wrocławia. Na stacji Mysłowice znaleźliśmy się około godziny piątej nad ranem. Nasz pociąg miał odjechać o siódmej. Była zima z parszywą, rozkiszłą pogodą, siał drobny deszcz, a temperatura utrzymywała się w okolicach zera. Stacja była otwarta w dosłownym tego słowa znaczeniu i zupełnie pusta. Wiatr bez przeszkód hulał po jej pomieszczeniach. Po jakimś czasie pojawił się kolejarz, który otworzył kasę biletową, i zaczęli napływać robotnicy dojeżdżający pociągami do pracy. Odziani byli w jakieś brudne i mokre kufajki, które śmierdziały biedą i niedostatkiem. Byliśmy zmarznięci i niewyspani, a na dodatek głodni. Wreszcie pojawiła się bufetowa. Była zaspana i zdecydowanie w złym humorze. Chcieliśmy zamówić coś do jedzenia, ale przede wszystkim szklanek gorącej herbaty. Zakomunikowała nam, że woda musi się zagrzać, a jedzenia jeszcze nie dowieźli. Wreszcie wydała nam herbatę. Był to zaledwie ciepły płyn słomkowego koloru, który smakiem przypominał mydliny. Nie dało się tego przełknąć. Pocięła nas tylko świadomość, że towarzysz Minc wygrał niedawno bitwę o handel i niebawem zapanuje dostatek i powszechna szczęśliwość.

Na razie jednak stalinowski system coraz bardziej zaciskał nam pętlę na gardle. Kto tego nie doświadczył na własnej skórze, ten nie jest w stanie pojąć, że można tak zastraszyć społeczeństwo. Całe szczęście, że nie było wtedy telewizji. Ten brak skutecznie zastępowało radio, z którego godzinami sęczył się jad nienawiści do wroga klasowego, do kułaka, do spekulanta, do rewizjonisty, do reakcjonisty i Bóg wie jeszcze do kogo. Skutecznie robiono ludziom wodę z mózgu na tasiemcowych, ciągnących się godzinami zebraniach, na których dręczono wybraną ofiarę, zmuszając ją w końcu do złożenia samokrytyki i oskarżenia siebie o zazwyczaj urojone winy. Najgorsze było jednak to, że często ludzie w gruncie rzeczy przyzwoici dawali się wciągnąć w ten mechanizm nienawiści i stawali się narzędziem partyjnych klik. Pełnymi garściami wykorzystywane były w tej mierze doświadczenia naszego starszego brata.

Widowym przykładem narastania stalinowskiego terroru był na naszym podwórku los Michała Piotrkowskiego. Michał był moim kolegą ze studiów, który po uzyskaniu dyplomu inżynierskiego otrzymał przydział pracy do ZEPW. Nie zabawił jednak długo w tym zakładzie. Pewnego dnia po prostu zniknął. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że został aresztowany i siedzi w więzieniu. Jego winą było to, że nie zawiadomił UB o ucieczce swego brata za granicę.

W zakładzie obowiązywała socjalistyczna dyscyplina pracy. Lista obecności zabierana była z portierni dokładnie o godzinie siódmej. W przypadku



spóźnienia należało się zameldować w pokoju personalnego, który po wysłuchaniu usprawiedliwienia, mógł zezwolić na złożenie autografu, dokonując jednak odpowiedniej adnotacji. W pierwszym okresie mojej pracy funkcję personalnego pełnił jakiś niesłychanie prymitywny typ, który w dodatku po prostu śmierdział. Wyjście z zakładu pomiędzy godziną siódmą i piętnastą było możliwe po uzyskaniu przepustki, którą musiał akceptować ów „aromatyczny” personalny.

Zarówno w wojsku, jak i w innych resortach urzędowali radzieccy doradcy i konsultanci. Doradcą do spraw zabezpieczeń w resorcie energetyki był niejaki Cariow. Zapamiętałem to nazwisko, gdyż był on autorem dzieła pod tytułem: „rukowadiaszczyje ukazaniya po relejnoj zaszczitie”, czyli wytycznych do zabezpieczeń przekładnikowych. Trzeba przyznać, że te wytyczne nie były pozbawione sensu. Przede wszystkim uwzględniały realia gospodarki socjalistycznej. Żartowano, że w tych zaleceniach dominowały słowa „odpajka i otsieczka”. Odpajka, to było takie oszczędnościowe odgałęzienie linii wysokiego napięcia, zrealizowane bez udziału wyłącznika. Otsieczka natomiast była bardzo prostym zabezpieczeniem, które działało bezzwłocznie, a jego prąd rozruchu uzależniony był od wartości prądu płynącego podczas zwarcia na początku zabezpieczanej linii lub zwarcia pierwszych zwojów zabezpieczanego transformatora. Takie rozwiązanie miało swoje ograniczenia, lecz mimo to było w wielu przypadkach całkiem skuteczne.

Ponadto obficie korzystaliśmy z książek w języku rosyjskim oraz rosyjskiej prasy technicznej, która była powszechnie dostępna, w przeciwieństwie do czasopism zachodnich, których dostępność ograniczona była trudnościami dewizowymi. Znalazłem się w dość trudnej sytuacji, gdyż w szkole średniej nie uczono w owym czasie języka rosyjskiego, a na lektoracie języka rosyjskiego nie opanowałem nawet rosyjskiego alfabetu. Zaczynałem zatem od zera. Sylabizowanie pierwszej strony rosyjskiego tekstu zajęło mi cały dzień. Czytanie następnych stron trwało już coraz krócej. Po pewnym czasie czytałem całkiem biegle teksty techniczne. Wadą tego rodzaju nauki było to, że umiałem czytać tylko teksty drukowane. Pisania rosyjskich liter nigdy się nie nauczyłem

W międzyczasie Trojak umacniał swoją pozycję na Politechnice. Został powołany na stanowisko wykładowcy, które szybko zamienił na etat zastępcy profesora. Otrzymał również kilka pokoi na pierwszym piętrze oddawanego do eksploatacji nowego gmachu elektrycznego przy placu Grunwaldzkim, oznaczonego później symbolem D-1. Kiedy zajmowaliśmy te pomieszczenia, budowa nie była jeszcze zakończona. Do budynku wchodziło się przez powiększony otwór okienny i drewnianą pochylnię, prowadzącą na korytarz poziomu zerowego.

Do współpracy z Trojakiem zatrudnieni zostali jeszcze dwaj koledzy z mojego roku studiów – Bogdan Synal i Henryk Lemisiewicz, którzy ukończyli kurs magisterski. Wydaje mi się, że zostali zaangażowani na części etatu, gdyż pracowali również poza uczelnią, Synal w energetyce, a Lemisiewicz w Gazoprojekcie.

## Kurs magisterski

Czas mijał szybko. Pracowałem praktycznie na dwóch etatach, inżyniera w ZEPW i asystenta w ramach prac zleconych. Moje obciążenie obowiązkami dydaktycznymi stale wzrastało. Trojak prowadził wykłady na kursie inżynierskim i magisterskim. Rosła liczba prac dyplomowych z zakresu techniki zabezpieczeń i rozbudowywane były laboratoria przekąźnikowe. Otrzymanie etatu asystenta naukowo-dydaktycznego wymagało ukończenia kursu magisterskiego. Poszedłem do dziekanatu, aby zasięgnąć języka na temat możliwości robienia magisterium w jakimś trybie zaocznym, eksternistycznym lub innym, możliwym do realizowania przy kontynuowaniu pracy zawodowej. Dziekanem był profesor Kurdziel, który poinformował mnie, że żadna taka forma studiów nie istnieje. Powiedział przy tym: „miał pan dobre oceny z matematyki i z fizyki, i powinien pan dać radę studiować na normalnym kursie magisterskim”. Formalnie mnie zatkało. Nie byłem umówiony z nim na spotkanie, nie mógł zatem zajrzeć do moich akt i sprawdzić, jakie miałem stopnie z poszczególnych przedmiotów. Był wprawdzie znany z tego, że miał doskonałą pamięć, ale trudno uwierzyć, że pamiętał takie szczegóły. Zachęcony tą rozmową postanowiłem podjąć normalne studia magisterskie. Musiałem jednak zrezygnować z części etatu w ZEPW, abym mógł wychodzić w godzinach pracy na wykłady i ćwiczenia. Przeszedłem na trzy czwarte etatu. Nie mogłem sobie pozwolić na przejście na pół etatu, gdyż powiększyła nam się rodzina. Hanka musiała się zwolnić z aplikacji sądowej i zająć Wojtkiem. Z forszą było raczej krucho.

Moi nowi koledzy na kursie magisterskim różnili się diametralnie od moich przyjaciół, z którymi rozpoczynałem studia inżynierskie w 1949 roku. Dużym zaskoczeniem były dla mnie ich poglądy i postawy. Robili wrażenie, jakby nie dostrzegali otaczającej nas rzeczywistości i nie tylko autentycznie identyfikowali się z panującym systemem, ale wręcz byli jego entuzjastami. Sądzę, że nie wszyscy podzielali ten entuzjazm, ale ci siedzieli cicho. Wśród moich kolegów na kursie inżynierskim byli również zwolennicy istniejącego systemu, ale oni zbyt głośno nie manifestowali swoich poglądów. Tymi poglądami wręcz nie wypadało się chwalić.

Muszę jednak przyznać, że moi nowi koledzy bardzo solidnie podchodzili do nauki. Było wśród nich kilku bardzo zdolnych studentów. Moim zdaniem najlepszy był Adam Skopec, choć nie usiłował epatować ani swoją wiedzą, ani zdolnościami. Przypominam sobie sympatyczne zdarzenie, które miało miejsce podczas wykładu profesora Ślebodzińskiego na temat równań różniczkowych. Profesor wyprowadzał jakieś skomplikowane zależności, miał już szczerlnie zapisane dwie tablice, kiedy nagle przerwał swój wywód i zaczął się przyglądać widniejącym na tablicy zawiłym wzorom i równaniom. Po chwili odwrócił się w stronę słuchaczy i powiedział: „gdzieś się pomyliłem, może któryś z panów pomoże mi odnaleźć to miejsce”. Przez dłuższą chwilę nikt się nie zgłaszał, aż ktoś zauważył wyciągniętą rękę Adasia Skopca, który bardzo nieśmiało, jękając się, zaczął wyjaśniać, że wydaje mu się itd. Profesor zaprosił go do tablicy i Adaś pokazał, w którym miejscu nastąpiła pomyłka. Wtedy profesor poprosił go, aby dokończył wyprowadzenie tych zależności. Na koniec podziękował mu i powiedział: „musi się pan zgłosić pierwszego po część mojej pensji”.

Było jeszcze sporo bardzo dobrych kolegów oraz wielu co najmniej dobrych. Kilku z nich robiło dyplom z techniki zabezpieczeń pod kierunkiem Trojaka, który był już etatowym zastępcą profesora. Bardzo dobrym studentem, który robił dyplom u Trojaka był Antek Lisowski. Dał się później poznać jako wybitny specjalista z zakresu elektroenergetyki. Do grupy bardzo dobrych dyplomantów Trojaka należał autochton – Rudolf Gorgula. Jego ojciec był inżynierem i prawdopodobnie jako niezbędny fachowiec nie został przesiedlony do Niemiec. Rudolf posługiwał się nienaganną polszczyzną, praktycznie bez obcego akcentu. Podczas robienia dyplomu często zachodził do mojego pokoju i czasami korzystał z telefonu. Z „Mutti” rozmawiał po niemiecku. Po skończeniu studiów otrzymał przydział pracy do Fabryki Przekazników REFA w Świebodzicach. Po pewnym czasie wyjechał do Niemiec. Kilka lat później spotkałem go na stoisku firmy Siemens na Targach Poznańskich. Był elegancko ubrany, miał już lekko zarysowany *bierbauch* i okulary w złotej oprawie. Jednym słowem – wyglądał tak, jak powinien wyglądać ceniony Diplom Ingenieur w znanej i solidnej firmie.

Nie mogłem sobie pozwolić na uczestniczenie we wszystkich zajęciach. Starłem się chodzić systematycznie na matematykę i podstawy elektrotechniki, które prowadził profesor Kurdziel, moim zdaniem wykladał świetnie. Profesor Kurdziel przejął schedę po profesorze Günterze, który przeszedł na emeryturę. Widać było, że każdy wykład miał starannie przygotowany, choć nigdy nie korzystał z notatek. Przy jego fotograficznej pamięci mógł sobie na to pozwolić. Potrafił w prosty i komunikatywny sposób przedstawić również stosunkowo trudne i skomplikowane zagadnienia.

Różne michałki w rodzaju organizacja i planowanie, BHP i temu podobne zaliczałem bez problemu, mimo że wykładowcę widziałem na egzaminie po raz pierwszy. Większych trudności nie miałem również z zaliczeniem dużej porcji przedmiotów związanych z systemami energetycznymi, które prowadził profesor Kozuchowski. Pewien problem pojawił się przy egzaminie z fizyki. Wykład prowadził magister Cygan, który krótko po „październikowej odwilży” wyemigrował do Niemiec. Na każdych zajęciach puszczał w obieg kartkę, na której należało złożyć swój autograf. Mój nie widniał na żadnej z nich. Kiedy w dniu egzaminu znalazłem się z kilkoma kolegami przed jego gabinetem, na drzwiach znaleźliśmy informację, że egzaminator jest chory i będzie egzaminował w swoim mieszkaniu, gdzieś na Książu Małym, zwanym wtedy Ciężynem. Wszystko przebiegało całkiem gładko, jednak czułem, że egzaminator zdaje sobie sprawę z faktu, iż widzimy się po raz pierwszy. Nie miał jednak swoich kartek z autografami i nie poruszał sprawy uczęszczania na wykłady. Zdałem na czwórkę.

Trudności wystąpiły przy zaliczaniu przedmiotu pod nazwą elektrownie. Wykłady prowadził mgr inż. Wojciechowski, zaproszony jako specjalista z przemysłu przez profesora Kozuchowskiego. Wojciechowski miał gabinet na tym samym piętrze, na którym ja dzieliłem z kolegą pokój do pracy. Nie chodziłem na jego wykłady. W odpowiednim czasie zgłosiłem się z prośbą o wskazanie mi literatury, abym się mógł przygotować do egzaminu i wyjaśnieniem, dlaczego nie mogłem chodzić na jego wykłady. Wojciechowski nie tylko wskazał mi odpowiednie pozycje literatury, ale przygotował stos książek poświęconych tej problematyce. Kiedy to zobaczyłem, nogi ugięły się pod mną. Z trudem przeniósłem te książki do swego pokoju i zacząłem się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Na szczęście odwiedził mnie jego asystent, Jaś Szafran. Kiedy zobaczył ten stos makulatury, zaśmiał się i powiedział: „on sam tych książek nie przeczytał”. Poszperał i wyciągnął jedną, niezbyt grubą pozycję w języku rosyjskim. „On się posługuje tylko tą książką, zresztą niecałą” i pokazał mi, w którym miejscu mogę zakończyć studiowanie tego dzieła. Przyswojenie wiedzy zawartej w tej książce nie stworzyło mi większych trudności. Egzamin zdałem na trójkę.

Kolejny problem pojawił się z zaliczeniem przedmiotu pod tytułem materializm dialektyczny i historyczny. Co gorsze, w ramach tego przedmiotu był nie tylko wykład, ale również ćwiczenia. W dodatku zajęcia te ciągnęły się przez dwa semestry. Wykładowcą był magister Rypiński, sędzia Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu. Zaliczanie przypadło w semestrze letnim 1956 roku. Sędzia Rypiński nie kontrolował obecności na zajęciach, toteż nie uczestniczyłem ani w jego wykładach, ani w ćwiczeniach. Doszedłem jednak do wniosku, że powinienem zaprezentować wykładowcy swoje oblicze i gdzieś w maju wybrałem się na te ćwiczenia. Jak się później okazało, ten krok mógł mieć

dla mnie poważne konsekwencje. W trakcie dyskusji zabrałem głos i trochę się wychyliłem w stosunku do oficjalnie obowiązującej linii partyjnej. Wprawdzie czuć już było w polityce nieśmiałe podmuchy odwilży, ale władze i partyjna propaganda usiłowały robić wrażenie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Od pewnego czasu dały się jednak słyszeć głosy potępiające kult jednostki, ale słynne przemówienie Chruszczowa ujawniające zbrodnie Stalina było ciągle tajne i docierały do nas tylko fragmentaryczne informacje na ten temat. Pojawiały się pogłoski o sporach pomiędzy frakcjami Puławian i Natolińczyków, Gomułka zaś przestał być permanentnym obiektem krytyki.

Wyraźnie cieplejsze wiatry powiały w kulturze. Coraz więcej ludzi zaczynało mieć dość socjalistycznego realizmu w literaturze, plastyce, muzyce, a nawet w modzie. Odżegnywany od czci i wiary jazz zaczął wychodzić z podziemia. Na ulicach pojawiali się młodzi ludzie w trochę zbyt wąskich i przykrótkich spodniach i kolorowych skarpetach. Za to na głowie mieli długie fryzury, zwane plerezami, oni zaś sami nazywani byli pogardliwie biki-niarzami. Ich strój miał być protestem przeciw panującej powszechnie szaryźnie. Z wielkim zainteresowaniem spotkała się powieść Tyrmanda *Zły*. Rozchwytywany był tygodnik „Po prostu”, który zamiast nowomowy zaczął używać ludzkiego języka, pojawiły się kabarety w rodzaju Bim Bomu, Pine-ski itp. Czuć było wyraźnie odwilż.

Na owych ćwiczeniach z materializmu dialektycznego i historycznego, które uświetniłem swoją obecnością, trafiłem na frapujący temat pod tytułem „kierownicza rola partii”. Moi koledzy, do których te ożywcze wiatry nie docierały, z zapalem godnym lepszej sprawy przytaczali przykłady, ilustrujące korzyści wynikające z faktu, że każdą dziedziną naszego życia kieruje niezawodna ręka partii. W moich uszach natomiast coraz wyraźniej słyszałem refren kabaretowej piosenki: *Już wiosna jest w kulturze i stąd ten dziwny ton, bim bom, bim bom, bim bom*. W pewnej chwili nie wytrzymałem i zabrałem głos. Przyznałem, że doskonale rozumiem rolę partii w kierowaniu gospodarką, przemysłem, rolnictwem i tego rodzaju aspektami naszego życia społecznego, jednak wydaje mi się, że kierownicza rola partii w zakresie kultury nie jest absolutnie niezbędna. Zacząłem się jeszcze mądrzyć, że przecież trendy w kulturze wytyczają sami artyści lub krytycy sztuki, którzy się na tym lepiej znają niż działacze partyjni. Po tym wystąpieniu wszyscy, łącznie ze mną, oczekiwali gromu ze strony wykładowcy. Ku ogólnemu zdumieniu nie był to grom, lecz nieśmiały grzmocik wyjaśniający, że jednak udział partii również w kierowaniu kulturą powinien być zachowany. Odniosłem wrażenie, że sędzia Rypiński czuł nadchodzącą odwilż i towarzyszącą jej wiosnę nie tylko w kulturze. Nie zrugął mnie, lecz podjął ze mną spokojną dyskusję.

Moi koledzy pilnie się uczyli, jednak najwidoczniej nie mieli już czasu na śledzenie nastrojów panujących w naszym kraju oraz niektórych krajach bloku sowieckiego. Uderzyli w płaczliwy ton. „Jakże to tak, panie profesorze, kultura ma być pozbawiona kierowniczej roli partii, iść na żywioł, do czego to może doprowadzić” itp., itd. Dziś muszę przyznać, że mieli rację.

O reperkusjach mego wystąpienia na tych ćwiczeniach dowiedziałem się po wielu, wielu latach. Heniek Lemisiewicz, który był w owym czasie członkiem partii, zapytał mnie, czy wiem, że pracę na politechnice zawdzięczam Edkowi Kolisowi. Nie mogłem zrozumieć, co ma piernik do wiatraka. Sprawa była prosta, chodziło o przeniesienie mnie z etatu technicznego na etat naukowo-dydaktyczny. Taka decyzja musiała uzyskać akceptację komitetu uczelnianego PZPR. Jak się okazało, przeciw temu gorąco zaprotestowali moi koledzy z kursu magisterskiego, którzy byli jakimiś ważnymi członkami komitetu uczelnianego partii. Stali twardo na stanowisku, że taki reakcjonista jak ja nie może być nauczycielem akademickim. Okazało się, że w mojej obronie wystąpił członek egzekutywy partyjnej – Edward Kolis, asystent w Katedrze Pomiarów Elektrycznych. Jako student kursu magisterskiego odrabiał ćwiczenia w laboratorium przekąźnikowym, w którym byłem zatrudniony w ramach prac zleconych, do pomocy panom asystentom. Do tego laboratorium Trojak zdobył szereg nowoczesnych przekąźników, do których brak było opisów działania i instrukcji eksploatacji. W tej sytuacji musiałem podczas ćwiczeń uzupełniać te braki i objaśniać budowę oraz sposób działania urządzeń. Na spotkaniu Kolis zabrał głos i powiedział: „No, może ten Pytel jest rzeczywiście reakcjonistą, ale kto wam tak wyjaśni budowę przekąźników jak on”. Najwidoczniej liczono się z jego zdaniem, skoro otrzymałem ten etat. Podejrzewam jednak, że pomogła mi również coraz bardziej wyczuwana odwilż.

Studia studiami, ale moim podstawowym zajęciem była praca w ZEPW. Tam rozliczałem trzy czwarte etatu, czyli 150 godzin w miesiącu. Na brak pracy nie można było narzekać. Przeprowadzaliśmy badania zabezpieczeń w różnych mniejszych i większych zakładach przemysłowych, opracowywaliśmy projekty modernizacji zabezpieczeń, projekty nowych instalacji samoczynnego załączania rezerwowego zasilania i temu podobnych. Była to niewątpliwie świetna praktyka inżynierska, stwarzająca lepszą możliwość wzbogacenia doświadczeń, niż praca w jednym zakładzie. Miała jednak szereg niedogodności związanych z częstymi wyjazdami i mało komfortowymi warunkami podróży. Nikt nie miał własnego samochodu. Te wyjazdy kolidowały często z moimi zajęciami dydaktycznymi jako pomocniczego pracownika nauki i studenta normalnych studiów magisterskich.

Jakby tego wszystkiego było mało, zostałem zaproszony na posiedzenie zakładowej egzekutywy PZPR. Powodem tego zaproszenia był fakt opusz-

czenia przeze mnie szeregu zebrań zakładowego koła ZMP. Przewodniczącą koła była dziewczyna po technikum elektrycznym, która pracowała w zakładowej bibliotece. Musiała się śmiertelnie nudzić, bo było w niej niewiele książek i zaledwie kilka technicznych czasopism polskich i radzieckich. Zjawiłem się przed areopagiem, w którym zasiadała pani personalna, owa bibliotekarka i jakichś dwóch towarzyszy. Szefem tego gremium była towarzyszka personalna, dobrze odżywna niewiasta około czterdziestki, która naskoczyła na mnie, że lekceważę obowiązki organizacyjne, o czym świadczy moja nieobecność na kilku kolejnych zebraniach koła ZMP. Uprzejmie wyjaśniłem, że przyczyną tych nieobecności były wyjazdy służbowe i prowadzone przeze mnie zajęcia dydaktyczne. O własnych studiach nie wspominałem. Pani personalna tak odpowiedziała na moje wyjaśnienia: „Towarzyszu, taki inteligentny człowiek jak wy zawsze znajdzie jakieś usprawiedliwienie, ale nie o to chodzi, trzeba tak sobie ułożyć zajęcia, aby móc uczestniczyć w zebraniach organizacji młodzieżowej. A czy przypadkiem nie czas, abyście wstąpili do partii” i zaczęła mnie przekonywać, że partia potrzebuje młodych, zdolnych inżynierów. Podziękowałem za zaszczytną propozycję i powiedziałem, że muszę ją dokładnie przemyśleć. Namyślałem się długo i nie kwapiłem do ponownego spotkania z towarzyszką personalną. Niebawem tok wydarzeń politycznych zaabsorbował nas wszystkich w tak znacznym stopniu, że polityczne molestowanie przestało na mnie robić wrażenie.

Nie było mi jednak pisane zapomnieć o istnieniu pani personalnej. W jakiś czas po moim udziale w posiedzeniu egzekutywy partyjnej, po podniesieniu słuchawki telefonu usłyszałem dwa żeńskie głosy, jeden wydał mi się dziwnie znajomy. Gdybym był przywoitym facetem, to natychmiast położyłbym słuchawkę na widelkach aparatu. Ja jednak odłożyłem słuchawkę dopiero po chwili, dzięki temu mogłem przez jakiś czas posłuchać rozmowy dwóch pań, jedną z nich była nasza towarzyszka personalna, która usilnie zapraszała swoją rozmówczynię do odwiedzenia jej w biurze. „Kochana, wpadnij do mnie, zrobię dobrą kawkę, pogadamy sobie, nikt nam nie będzie przeszkadzał, mam tu swój pokój, tak się nudzę, no czasem tylko wpadnie na chwilę jakiś młody inżynier...”. Odłożyłem słuchawkę. Centralka telefoniczna była ręcznie obsługiwana i często zdarzały się takie sytuacje, że łączyły się równocześnie trzy rozmowy.

Życie w zakładzie toczyło się normalnym trybem. Na zewnątrz jednak coś się zaczęło dziać. Minęły trzy lata od śmierci Stalina. Powiew odwilży stawał się wyczuwalny nie tylko w Polsce, ale również w innych krajach bloku sowieckiego. Sytuacja gospodarcza w latach pięćdziesiątych wyraźnie się pogorszyła w porównaniu z sytuacją panującą w drugiej połowie lat czterdziestych. W tamtym okresie wiele dziedzin polskiej gospodarki funkcjonowało jeszcze na zasadach rynkowych. Rolnictwo, rzemiosło, handel, a nawet

drobny przemysł, pozostawały w rękach prywatnych i mimo wojennych zniszczeń działały całkiem nieźle. Pod koniec lat czterdziestych przystąpiono do likwidacji wszelkich przejawów prywatnej działalności. Indywidualnych rolników nękanych domiarami zmuszano do tworzenia spółdzielni produkcyjnych, które w polskich warunkach okazały się całkowitym niewypałem. W podobny sposób prywatni rzemieślnicy, kupcy i drobni przemysłowcy zmuszani byli do pozbywania się swoich warsztatów pracy. Ani skolektywizowane rolnictwo, ani przemysł, działający w warunkach gospodarki planowej, nie były w stanie zaspokoić potrzeb społecznych. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Narastało niezadowolenie związane z brakami na rynku i wzrostem cen.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z tej sytuacji, zwłaszcza że pracowałem z nieco starszymi od siebie ludźmi, którzy poznali mechanizmy działania komunistycznej władzy. Mimo to robiłem wszystko, aby sfinalizować moją edukację, zdawałem ostatnie egzaminy i kompletowałem pracę magisterską. Nie miałem z tym większych problemów. Jako pracę dyplomową przedstawiłem swoje opracowania wykonane w ramach obowiązków służbowych w ZEPW: projekt układu rezerwowego zasilania potrzeb własnych elektrowni Pruszków oraz analizę pracy zabezpieczeń węzła energetycznego Rożki. Były to konkretne opracowania, wykonane na zlecenie określonego klienta i wykorzystane w praktyce. Egzamin dyplomowy zdałem 27 czerwca 1956 roku. Moje studia magisterskie dobiegły końca.

Nie mogę jednak pominąć faktu, że następnego dnia, czyli 28 czerwca 1956 roku miały miejsce tak zwane wypadki poznańskie, czyli krwawo stłumiony protest robotników Zakładów Cegielskiego i mieszkańców Poznania.

Z dnia na dzień narastały antagonizmy wśród partyjnego kierownictwa, które niebawem doprowadziły do politycznego przełomu. W październiku do władzy wrócił Gomułka, którego witaliśmy jak zbawcę ojczyzny. Przynajmniej przed wszystkim uchronił nas od tragedii, jaką przeżyli w tym czasie Węgrzy. Ponadto wyprowadził z Wojska Polskiego radzieckich oficerów, a z polskiej gospodarki radzieckich doradców, no i zlikwidował rolnicze spółdzielnie produkcyjne. Te wydarzenia przeżywaliśmy bardzo intensywnie i wiązaliśmy z nimi wielkie nadzieje.

Niestety, nasze oczekiwania okazały się niebawem zupełnie nierealne. Nie doczekaliśmy się ani prawdziwej wiosny w kulturze, ani odwilży w życiu społecznym i gospodarczym. Po roku zlikwidowano „Po prostu” i stopniowo ograniczano wszelkie przejawy społecznej niezależności. Na prawdziwą wolność i niezależność przyszło nam czekać jeszcze parę dziesiątków lat.



Jeremi Sieczkowski

## Wspomnienia z minionych lat

### Po wojnie

Decydując się na napisanie wspomnień związanych z Politechniką Wrocławską, nawiązałem do czasów, które w sposób zasadniczy wpłynęły na moje życie, a dominując w zakamarkach pamięci, po dzień dzisiejszy mają wpływ na moje zachowania w różnych sytuacjach życiowych. Chodzi tu okres drugiej wojny światowej oraz czasy PRL, a szczególnie czasy powojenne, do 1956 r. Jest to zmora, która zagnieździła się chyba we wszystkich umysłach mojego pokolenia. Opisane sytuacje i wydarzenia, od 1945 r. do 1949 r., ukazują klimat czasów poprzedzających te, które związane są już z Politechniką Wrocławską.



Przed samą wojną zamieszkiwaliśmy z rodzicami w Sarnach na Wołyniu, gdzie mój ojciec był dowódcą III Batalionu detaszowanego 50 Pułku Piechoty im. Francesco Nullo, stacjonującego w Kowlu. W stopniu podpułkownika, zginął 2 września 1939 r., w walce z Niemcami pod Świekatowem, miejscowością położoną kilkadziesiąt kilometrów na północ od Bydgoszczy. Natomiast po zajęciu przez bolszewików wschodnich terenów Polski (17 września 1939 r.), mnie z mamą, 13 kwietnia 1940 r., wywieziono na Syberię ([www.ib.pwr.wroc./pracow/sieczkow/index.html.pl](http://www.ib.pwr.wroc./pracow/sieczkow/index.html.pl;);; „Wspomnienia”).

W ZSRR byliśmy długich sześć lat. Najpierw w Kazachstanie, a następnie w okolicy Dniepropietrowska. Powrót do Polski nastąpił w lutym 1946 r. Po przekroczeniu granicy sowiecko-polskiej pierwszym miastem, gdzie nasz „eselon”, składający się z bydłowych wagonów miał postój, był Przemyśl. Zatrzymano nas na boczniczy kolejowej. Grupami wywędrowaliśmy do miasta. Szczególnie dzieciaki i młodzież. Oczywiście był to inny świat: sklepy, w których można było kupić w dowolnej ilości chleb bez żadnego kłopotu (a nie „pajok”, czyli dzienny przydział 200 g chleba), sklepy z obuwiami, ubraniami, otwarty kościół, ludzie



Kamień ustawiony pod Świekatowem, w miejscu, gdzie 2 września 1939 r. zginął mój ojciec wraz z 250-cioma żołnierzami jego batalionu

rozmawiający normalnie itd., itd. Zabawne było zachowanie dzieci z naszego transportu, zbyt małych, by wiedzieć, jak to było przed sześciu laty. Stawały przed sklepem spożywczym z rozdziawionymi buziami i gapily się na to wszystko, co było za szybą. Jeden z malców zapytał mnie: „czy to są prawdziwe cukierki?”. Ja ze swojej osiemnastoletniej dorosłości odpowiedziałem twierdząco, dodając że „tylko” trzeba mieć pieniądze, by można je było kupić... A myśmy wówczas nie mieli nic, bo PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny) jeszcze nas nie objął swoją opieką.

Drugie takie „zestknięcie z Polską” miało miejsce gdzieś w polu, gdzie ni stąd, ni zowąd, eszelon zrobił kolejny postój pod jakąś wsią. W odległości kilkuset metrów widać było kościół i wiernych idących na mszę, bo była niedziela. Pobiegliśmy tam. W pewnej chwili zauważyliśmy dziwne zachowanie ludzi po naszym wejściu do kościoła: wszyscy po kolei zaczęli się od nas odsuwać. Dopiero po pewnym czasie zrozumieliśmy, o co im chodziło: po dwutygodniowej podróży w bydłących wagonach byliśmy brudni, zawszeni i na pewno wokół nas roznosił się niezbyt przyjemny zapach...

W takim stanie wożeni byliśmy po Polsce dość długo, bo ze dwa lub trzy tygodnie. Część naszej „rodzinki syberyjskiej” wysiadła w Krakowie, potem w Katowicach, a reszta – w tym ja z mamą – pojechała dalej. Byliśmy w Kędzierzynie, we Wrocławiu i jeszcze w kilku różnych miejscowościach. Prawdopodobnie nikt nie chciał nas przyjąć lub w ogóle nie było tam na razie jakiegokolwiek władzy, która mogła się zająć repatriantami. W końcu dowieziono nas do Chocianowa na Dolnym Śląsku i tam „wygruzono”. Zakwaterowani zostaliśmy w jakiejś polniemieckiej willi. Mieszkanie było czyste, schludne, niemal ciepłe jeszcze po poprzednich lokatorach. Pozostały sprzęty kuchenne, talerze, szklanki itd. Tam też dostaliśmy wsparcie z PUR, a więc angielskie ubrania, bieliznę, no i pomoc finansową. Dalszej pomocy udzielił nam mój kuzyn – Andrzej Markiewicz, dzięki któremu zamieszkaliśmy z mamą w Legnicy.

## W Legnicy

Legnica była miastem, które prawie nie ucierpiało od działań wojennych. Zostało w krótkim czasie zasiedlone głównie repatriantami ze Wschodu i Sybirakami. W związku z tym, że Wrocław był niemal całkowicie zburzony, zaraz po ustaniu działań wojennych to tutaj utworzono siedzibę urzędu wojewódzkiego. Dominującym jednak elementem miasta był stacjonujący w Legnicy garnizon wojsk sowieckich pod dowództwem gen. Konstantego Rokossowskiego. Wybrane przez Sowietów dzielnice były niedostępne, zagrodzone ordynarnymi drewnianymi płotami i drutem kolczastym, strzeżone przez patrole ichnich żołnierzy. Nie obeszło się bez handlu z Polakami, dochodziło także do dokonywanych przez tych żołnierzy burd, rabunków i rozbojów, szczególnie na Niemcach, którzy jeszcze nie opuścili Polski. Miały również miejsce ciekawe wydarzenia, świadczące o mentalności i pamięci wielu Polaków. Otóż, w 1946 r., w każdą niedzielę, zachowując przedwojenne zwyczaje, kompania żołnierzy ze stacjonującej w Legnicy jednostki KBW (Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego), maszerowała do kościoła na mszę. W kościele garnizonowym proboszczem był ksiądz potężnej postury, jowialny, o dużym poczuciu humoru. Nie pamiętam nazwiska. Był, jak przypuszczam, kapelanem. Jak mówiono, i jak spostrzegłem, był dobrym znajomym dowódcy jednostki KBW. Znajomość ta przydała się pewnego dnia – w Boże Ciało. Procesja szła od kościoła na dworzec kolejowy, potem parkiem, ul. Wrocławską i z powrotem – do kościoła. W pewnej chwili na drogę wjechały samochody sowieckie z „regulirowszczykami”, którzy zablokowali trasę. Była to widoczna prowokacja, mająca na celu ukazanie, kto w tym mieście rządzi. Proboszcz podszedł do nich, chcąc negocjować, ale niczego nie wskórał. Po chwili zobaczyliśmy, że gdzieś biegnie. Po upływie kilkunastu minut

minut, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu i zadziwieniu, na czoło procesji zajechało kilka aut z polskimi żołnierzami w pełnym rynsztunku bojowym i w hełmach, ze sztandarem jednostki. Młody oficer ustawił ich czwórkami i z wyciągniętą szablą poprowadził kolumnę wojska i procesję do następnych ołtarzy... Dostał gromkie brawa od zgromadzonych wokół ludzi. „Regulirowszczyki” musieli się usunąć. Nie wiem, jaki był dalszy los dowódcy jednostki KBW. O ile mnie pamięć nie myli, to w niedługim czasie ksiądz proboszcz zniknął z Legnicy. Nastroje panujące wtedy w mieście świetnie oddaje powstały w 2008 r. film pt. *Mała Moskwa*.

Pierwszym i zasadniczym celem moich poczynań w tym czasie było uzupełnienie sześcioletnich zaniedbań edukacyjnych, a głównie uzyskanie świadectwa maturalnego. Z pomocą kuzyna zabrałem się więc do uzupełniania wiadomości z zakresu od szóstej klasy szkoły powszechnej wzwyż, z zamiarem zdawania do którejś klasy gimnazjum, lub eksternistycznego egzaminu maturalnego. Skończyłem osiemnaście lat, ucząc się więc normalnym trybem, byłbym już po maturze. Ostatecznie ukończyłem Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych w Legnicy i w nim w roku 1949 uzyskałem świadectwo maturalne. Z uwagi na nieprawomyślne pochodzenie miałem poważne kłopoty z dostaniem się na studia. Ale nie tylko to. Odczuliśmy z mamą działania ośrodków panującej władzy, najpewniej dokonywane przez UB (osławiony wówczas Urząd Bezpieczeństwa Publicznego). Kilkakrotnie zauważyliśmy na przykład ślady przeszukiwania mieszkania podczas naszej nieobecności, bez oznak rabunku. Nie wiem, czego szukano, chociaż na pewno miało to związek z faktem, że byliśmy przedwojenną rodziną wojskową o czym UB na pewno wiedział. Miałem też trudności z uzyskaniem zaświadczeń i dokumentów potrzebnych do przedstawienia na Uczelni. Musiałem również odpowiednio spreparować życiorys, pomijając lub przeinaczając niektóre zdarzenia z przeszłości. Wymagano ode mnie członkostwa w istniejącej wówczas organizacji młodzieżowej ZMP (Związek Młodzieży Polskiej). Z przystąpieniem do tej organizacji wiąza się zresztą pewne nawet zabawne wydarzenia, opisane przeze mnie w tekście *Część legnickich wspomnień*, zamieszczonym w książce *Kamienni i inni. „My pierwsza dekada” 1945–1955*, wydanej nakładem Fundacji Solidarności, I Liceum Ogólnokształcącego im. T. Kościuszki i uczniów z lat 1945–1955 (Legnica 2007, s. 327–335).

## Studia wyższe

**N**a Wydział Mechaniczny Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej zdawałem w 1949 r. Podczas egzaminu pisemnego swoją elegancją, rzetelnością i umiejętnością rysowania na tablicy zaimponował mi prof. Marek

Zakrzewski. Był wówczas asystentem Wydziału Mechanicznego i brał udział w pracach Komisji Rekrutacyjnej. Nawiasem mówiąc, w późniejszych latach spotykałem się z nim na zebraniach PTMTS (Polskiego Towarzystwa Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej) i zaprzyjaźniłem...

Po kilku dniach zobaczyłem swoje nazwisko na liście wywieszanej na tablicy Dziekanatu Wydziału Mechanicznego z adnotacją: „zgłosić się w Dziekanacie”. Zdenerwowałem się i zatrwożyłem, spodziewając się jakiejś następnej politycznej przeszkody. Ku mojemu zaskoczeniu, sekretarz Komisji Rekrutacyjnej poinformował mnie, że egzamin zdałem, ale z uwagi na brak miejsc na Wydziale Mechanicznym zaproponował mi wybór studiów na Wydziale Budownictwa lub Architektury. Decyzję miałem podjąć natychmiast... Zdecydowałem się na Wydział Budownictwa, uważając, że moje umiejętności rysunkowe są na architekturę niewystarczające. Oznajmiłem to sekretarzowi, który dał mi moje dokumenty z poleceniem zaniesienia ich do dziekanatu Wydziału Budownictwa. Zadziwiony, wziąłem teczkę, wpadłem jednak na pomysł wykorzystania sytuacji i usunąłem z niej papier, który miał związek z moją opinią polityczną, a zapewne był inspirowany przez UB. Na szczęście braku tego dokumentu nikt nie zauważył i tym sposobem po opisanych tu w skrócie perypetiach, dostałem się na Wydział Budownictwa Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu (rektorem był wówczas prof. Stanisław Kulczyński).

W tym czasie wprowadzono studia dwustopniowe, tzn. trzypółletnie „inżynierskie” i dwuletnie „magisterskie”. Na studiach pierwszego stopnia, po ukończeniu zajęć dydaktycznych, zaliczeniu półrocznej praktyki na budowie i zdaniu egzaminu dyplomowego, otrzymywało się dyplom inżyniera. Po ukończeniu drugiego stopnia studiów otrzymywało się tytuł magistra inżyniera. Nasz Wydział uzyskał uprawnienia jedynie do prowadzenia studiów pierwszego stopnia z uwagi na niedostateczną kadrę wykładowców. Na pierwszym roku było nas przeszło sto osób, w tym jedynie cztery panie. Mieliśmy wykłady w dużych salach, takich jak 301 i 329 w Gmachu Głównym. Okres studiów wrocławskich nie był dla mnie przyjemny. Znalazszy się bowiem w nowym środowisku, odmiennym od tego, w którym przebywałem przez sześć lat, musiałem ukształtować swoje zachowania, a także sposób pojmowania nieznanego sobie otoczenia. Nie było to łatwe, ponadto wciąż obawiałem się, że komuś nie spodoba się moja przeszłość i pochodzenie, i będę relegowany ze studiów. Miałem zresztą ku temu podstawy: kilkuosobowa grupa osób należących do partii rządziła nie tylko naszym rokiem, ale też całym wydziałem. Ich działalność sprowadzała się do nadzorowania wprowadzonej wówczas dyscypliny studiów, polegającej na przestrzeganiu obecności na wszystkich zajęciach, jak i terminowego oddawania projektów. Zasadę te były rygorystycznie kontrolowane, a w razie uchybień groziły ka-

ry, do usunięcia ze studiów włącznie. Dyscypliną objęci byli też profesoria. Kontrolowano ich zachowania, wypowiedzi, punktualność i zgodność prowadzenia zajęć z przewidzianym przez ministerstwo programem. W ramach ZMP prowadzono zebrania szkolenia politycznego, na których usiłowano nam wpoić przekonanie o wielkich dokonaniach rewolucji październikowej, o wyższości ustroju panującego w ZSRR nad ustrojami świata kapitalistycznego, o geniuszu Stalina i temu podobne „prawdy”. Musiałem się więc pilnować, by nie palnąć jakiegoś niepotrzebnego zdania, no i przestrzegać narzucone rygory. Niejednokrotnie byłem prowokowany przez niektóre osoby z wymienionej grupy, ale udało mi się unikać niebezpiecznych skutków tych zaczepek. Profesorowie na naszym wydziale godnie znosili tę sytuację i z całego zespołu wykładowców, liczącego kilkanaście osób, do partii należało niewielu. Wymienię tu takich, którzy szczególnie wpłynęli na moją edukację i odegrali niemałą rolę w kształtowaniu mojej przyszłości.

Matematyka na pierwszym roku stanowiła barierę, której przekroczenie wymagało bardzo dużego wysiłku. Wykładana była przez prof. Władysława Ślebodzińskiego i prof. Jana Mikusińskiego w sali 329 dla trzech wydziałów: budownictwa, elektrycznego i mechanicznego. Profesor Ślebodziński prowadził wykłady z trygonometrii i elementów geometrii różniczkowej w sposób zwięzły i skąpy w szczegółowe wyjaśnienia; był surowy, groźny i nieprzystępny dla studentów. Natomiast prof. Mikusiński wykładał w sposób bardzo przejrzysty, każdy przykład omawiając szczegółowo, z doprowadzeniem go do końcowego rozwiązania. Posługiwał się przy tym suwakiem, podając wyniki z dużą dokładnością. Był bardzo ceniony i lubiany przez studentów.

Niezbyt z kolei przyjemne były ćwiczenia audytoryjne. Prowadzili je: Marceli Stark i Julian Perkal. Wymagali od nas bardzo dobrego przygotowania, w przeciwnym razie można było ułyszeć różne złośliwe uwagi i komentarze na temat własnej niewiedzy. Taki styl prowadzenia ćwiczeń z matematyki podobno przejęty został z przedwojennych uczelni... Naszym egzaminatorem był prof. Hugo Steinhaus. Osobiście bardzo przeżywałem te zajęcia i wiele czasu poświęcałem matematyce. Dużym zaskoczeniem było dla mnie zwolnienie z egzaminu na podstawie ocen, które uzyskałem z odpowiedzi na ćwiczeniach audytoryjnych. Mimo że nota była niska, bo zaledwie dostateczna, nie zdobyłem się na to, aby ją poprawić, poprzez przystąpienie do egzaminu ustnego. Radosny pojechałem na basen, by zmyć z siebie emocje i trudy ostatnich dni...

Pozostałe przedmioty nie sprawiały już tak poważnych kłopotów. Na szczególną uwagę zasługiwały wykłady prof. Mariana Janusza. Prowadził je perfekcyjnie, był zawsze doskonale przygotowany i nigdy nie korzystał z jakich-

kolwiek notatek. Omawiał przykłady precyzyjnie, posługując się piękną polszczyzną. Na wykłady do Wrocławia przyjeżdżał z Gliwic.

Na drugim roku było nas już mniej, bo bez tych, którzy nie pokonali pierwszej bariery. Kolejną trudnością była statyka budowli. Wykładał ją prof. Adam Cybulski. Był kierownikiem Katedry Statyki Budowli. Zostałem w tej katedrze wolontariuszem, już w tym czasie bowiem zaciekałem się badaniami modelowymi, które w przyszłości stały się wiodącym tematem moich zainteresowań naukowych. Co prawda były to wtedy prymitywne działania, polegające na przygotowywaniu dla profesora modeli demonstracyjnych, miałem jednak okazję do ciekawych rozmów z osobami zatrudnionymi w Katedrze. Szczególnie wiele czasu spędziłem z prof. Zdzisławem Grodeckim. Były to twórcze, ciekawe i niezapomniane spotkania. Wówczas zetknąłem się z Waldkiem Paszke i Józkiem Włodarczykiem, którzy także działali tu jako wolontariusze.

Pozostałe przedmioty nie były już tak absorbujące, a kontakty z profesorami ograniczały się do wykładów i egzaminów. Niemniej cechy i zachowania niektórych pozostały w mojej pamięci. Wspomnę tu kilku z nich.

- Prof. Ludomir Suwalski uczył nas żelbetu. Wykładał w sposób nonszalancki, swobodny, bez notatek, ale przystępnie, co pozwalało na łatwe przyswajanie podawanych informacji. Poważny tekst profesor przeplatał żartami, opowiadając niejednokrotnie o partactwie wykonywania konstrukcji żelbetowych. Zwykle jednak spóźniał się na zajęcia. Takie zachowanie było tępione przez partyjniaków. Doszło nawet do uwag na posiedzeniu Senatu...

- Prof. Igor Kisiel przekazywał nam informacje z zakresu prefabrykacji i betonu sprężonego. Były to wykłady nowatorskie, dziedziny te bowiem dopiero w budownictwie polskim rozpoznawano. Profesor wykładał zwięźle, ubarwiając swoje wypowiedzi dowcipnymi dygresjami, niejednokrotnie nawet... paląc podczas wykładu papierosa. Był niezwykłą osobowością i posiadał znaczący autorytet wśród pracowników Uczelni. Miał wiele zasług wobec Wydziału, a jedną z nich było na pewno utworzenie studiów drugiego stopnia, magisterskich. Potrafił tego dokonać wbrew przeszkodom, które stawiało Ministerstwo.

- Prof. Józef Kożuchowski wykładał wspaniale, przeprowadzając równolegle demonstracje sprzętu geodezyjnego. Miał złote serce, niecodzienny dowcip, a przy tym – znaczącą osobowość, nieczułą na polityczne ekscesy władzy. Zajęcia i miesięczna praktyka z geodezji były doskonale zorganizowane i przebiegały bardzo sprawnie. Ćwiczenia prowadzone były w grupach dobieranych między sobą przez samych studentów. Grupa, do której należałem, miała za zadanie wykonanie planu geodezyjnego okolicy jazu na Odrze, a w ramach miesięcznej praktyki wakacyjnej – planu ogrodu botanicznego.



Grupa geodezyjna Andrzeja Skorupy podczas pomiarów jazu na Odrze w 1950 r.  
Stoją: Jan Barski, Grzegorz Piasecki, Czesław Skrętkowicz, Jeremi Sieczkowski, Andrzej Skorupa.  
Siedzą: Jerzy Łukasiewicz, Edward Zieliński, Kazimierz Sawicki

Asystentami byli wówczas Ignacy Ubysz i Stefan Jasman. Doskonale radzili sobie z tak znaczną liczbą studentów. Pierwszego pamiętam szczególnie z dużego poczucia humoru. Podziwiałem go także jako świetnego gracza w siatkówkę. Spotykaliśmy się na wczasach w Ośrodku Wczasowym Politechniki w Ustce. Natomiast drugi, wiele lat później, w czasie stanu wojennego, będąc aktywistą partyjnym i działaczem PZITB (Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budowlanych) usiłował uczynić nasze koło członkiem Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON). Na ogólnym zebraniu większość zaprotestowała, choć nie pamiętam, jak to się ostatecznie skończyło. Chodziło o poparcie polityczne działalności PRON przez tzw. „członków zbiorowych” i było związane z akcją ogólnokrajową.

Studium wojskowe – przedmiot, który miał uczynić studentów żołnierzami WP. Wykłady prowadzone były przez zawodowych oficerów językiem zwięzłym, bez refleksji czy dowcipnych dodatków, a dotyczyły głównie regulaminów, musztry, no i zachowania się w obliczu wroga. Zajęcia praktyczne, dotyczące głównie musztry, odbywały się na Biskupinie, nad Odrą. Poza tym, po drugim i trzecim roku mieliśmy miesięczne obozy wojskowe w Gorzowie Wielkopolskim i w Brzegu Dolnym.





Zbiórka naszego plutonu przed zajęciami.  
Stoję czwarty od lewej

Z zajęciami ze studium wojskowego wiążą się dwa wydarzenia, które szczególnie utkwiły w mojej pamięci. Pierwsze z nich miało miejsce podczas zajęć praktycznych na Biskupinie. Otóż w trakcie przerwy kąpaliśmy się w Odrze. Była wówczas na tyle czysta, że takie kąpiele urządzaliśmy nawet w trakcie długiej przerwy między zajęciami, przy jazie, naprzeciw Gmachu Głównego. Któregoś dnia, podczas ćwiczeń studium wojskowego, kilku kolegów przepłynęło na drugi brzeg rzeki. Niestety, w powrotnej drodze jeden z nich się utopił. Nie pamiętam jego nazwiska. Zauważono to za późno i ratunek okazał się nieskuteczny. Był to dla nas wstrząs, bo ta śmierć była i niepotrzebna, i bezmyślna. Zajęcia wakacyjne po drugim roku miały miejsce w Gorzowie i przebiegały bez żadnych specjalnych zakłóceń.

Natomiast drugie wydarzenie miało dość skomplikowany przebieg. Zaczęło się podczas jazdy na obóz do Brzegu Dolnego, na trzecim roku studiów. Jechaliśmy w wagonach towarowych zaopatrzonych jedynie w kilka prostych, drewnianych ławek. W pewnej chwili dosiadł się do mnie kolega z roku, sekretarz partii na naszym wydziale, ze słowami: „Słuchaj Jarku, jesteś dobrym studentem, dobrym organizatorem i należysz do ZMP, nic nie stoi więc na przeszkodzie, żebyś wstąpił do partii. Co ty na to?”. Oczywiście była to „propozycja nie do odrzucenia”. Zaskoczony i zbulwersowany, nie wiedzia-

łem, co odpowiedzieć. Udało mi się jednak wykręcić sianem: stwierdziłem, że to nie miejsce i czas na podjęcie decyzji i że porozmawiamy o tym po powrocie do Wrocławia. Decyzja została więc odroczone. Rozpoczęły się zajęcia obozowe. Miałem pecha, pierwszego bowiem dnia ćwiczeń na torze przeskód zламаłem nogę. Złamanie okazało się skomplikowane, otwarte i bardzo bolesne. Byłem w „saperkach”. Trudno było zdjąć taki but z nogi bez bólu, a dowódca plutonu nie pozwolił rozcinać cholewki, szanując wojskowe dobro. Jakoś w końcu to przetrzymałem, unieruchomiono mi nogę i zawieziono do szpitala wojskowego we Wrocławiu. Zoperowano mi ją, łącząc śrubą dwa odcinki kości piszczelowej około 15 cm nad kostką. Po tym założono gips. Opieka była bardzo dobra, a współtowarzysze przyjemni. Po paru dniach, podczas poobiedniej sjeisty, otworzyły się drzwi i zobaczyłem w nich kolegę sekretarza z prawą ręką na temblaku. Podbiegł do mnie i zaczął się witać bardzo serdecznie, ściskając mnie i całując na zmianę. Byłem serdecznie zadziwiony i zaskoczony jego reakcją i obecnością w szpitalu. Dopiero po chwili wyjaśnił mi, że w planach ćwiczeń wojskowych był rzut ostrym granatem, który wybuchł kilkadziesiąt centymetrów od jego ręki. Prawdopodobnie za wcześnie puścił łyżkę blokującą zapalnik. Całe szczęście, że był to granat zaczepny i skończyło się tylko oberwaniem jednego palca i skałeczeniem odłamkami drugiego kolegi stojącego blisko. W każdym razie, najprawdopodobniej na skutek szoku wywołanego takim przeżyciem, zapomniał o poprzedniej rozmowie i w efekcie nie zostałem członkiem partii.

Po tym obozie, od września, obowiązywała nas półroczna praktyka. Odbierałem ją jako zastępca kierownika budowy mostu na dopływie Baryczy w Żmigrodzie. Sprawozdanie z tego doświadczenia było podstawowym elementem egzaminu dyplomowego. W trakcie pełnienia swoich obowiązków miałem poważne wydarzenie związane z budową. Otóż, któregoś dnia zauważyłem, że przy wbijanej ścianie szczelnej, niezbędnej do wykonania żelbetowego przyczółka mostu, występują zawirowania i intensywny ruch wody. Ścianka szczelna była drewniana i wbijano ją z użyciem kafara. Na pytanie, co się tu dzieje, robotnicy usiłowali mnie przekonać, że to efekt pojawienia się kurzawki. Zorientowałem się natychmiast, że po prostu uszkodzona została rura wodociągowa, której projektant nie wrysował na planie zabudowy, prawdopodobnie nie sprawdzając jej istnienia. Bezzwłocznie zatelefonowałem do Zakładów Wodociagowych i powiadomiłem o zaistniałej sytuacji. W efekcie przez kilka godzin Żmigród pozbawiony był wody, aż odpowiednia ekipa podłączyła przeniesiony o kilkanaście metrów od mostu przewód wodociagowy. Egzamin dyplomowy zdawałem przed komisją, którą stanowili profesorowie Karol Tworowski i Dobrosław Strożecki. Przeglądali moje sprawozdanie, zaakceptowali, zadali kilka pytań, na które odpowiedziałem zadowolająco i w końcu zapytali o techniki użytkowania ścianek szczelnych. Nie zdołałem

wiele na ten temat powiedzieć, bo w pewnej chwili obaj profesorowie podjęli zajadły spór na temat przydatności różnych rodzajów ścianek szczelnych. Siedziałem jak trusia, czekając, jak się to skończy. W końcu zorientowali się w sytuacji, postawili mi ocenę „bd” i zakończyli egzamin. Nie wiem, co było dalej, szczęśliwy wybiegłem z sali, byłem już wolny, no i zostałem inżynierem! Niestety, bodajże dwu kolegów nie zdało egzaminu i musieli go powtarzać. Z profesorem Tworowskim spotkałem się kilka lat później w Klubie Taternickim: byliśmy uczestnikami kursów wspinaczkowych w Dolinie Pięciu Stawów Polskich w Tatrach. Pochodził z Tatarów osiedlonych na północnym wschodzie dawnych terenów Polski i był wspianym towarzyszem podczas wspinaczek. Był też interesującym gawędziarzem.

Ponieważ Wydział Budownictwa Politechniki Wrocławskiej nie prowadził studiów magisterskich, chętni do dalszych studiów i uzyskania stopnia magistra byli zmuszeni kontynuować naukę w Politechnice Warszawskiej bądź Gdańskiej. Wybrałem Warszawę. Dla sekcji mostowej główne zajęcia prowadzone były przez prof. Franciszka Szelażowskiego (Katedra I – Mostów Stalowych) i prof. Zbigniewa Wasiutyńskiego (Katedra II – Mostów Żelbetowych). Katedry te mieściły się w dwu oddzielnych pokoikach, których drzwi wychodziły do pomieszczenia o powierzchni nieco większej niż łączna powierzchnia obu pokoi. W tej sali stały kulmany, na których kreśliliśmy nasze projekty. Zwraçał uwagę stosunek wzajemny obu profesorów: nie przepadali za sobą i skutecznie unikali spotkań we wspólnej cześci. Pomieszczenia te znajdowały się na strychu gmachu głównego Politechniki. Sekcja mostowa liczyła niewiele osób. O ile sobie przypominam, było nas siedmiu. W związku z tym wielokrotnie ustalaliśmy „dyżury”, by minimum trzech było na wykładzie. Chodziło oczywiście o to, by wykład mógł się odbyć i aby nie sprawić przykrości wykładowcy. Grupa była dość zgrana. Przyjaźniłem się z Marianem Suchanem, w domu którego często razem wykonywaliśmy projekty i uczyliśmy się do egzaminu. Korzystałem z gościnności jego bardzo sympatycznych rodziców, bo w akademiku praktycznie były kłopoty z uczeniem się czy rysowaniem. Natomiast bardzo miło wspominam dom akademicki przy ulicy Karolkowej. Mieszkał tam na pierwszym roku studium magisterskiego. Był to akademik eksperymentalny, wymyślony przez urzędników, być może z dużym poczuciem humoru, bo wyróżniający się tym, że miał charakter koedukacyjny, tzn. pokoje męskie i damskie sąsiadowały z sobą. Zwykle od 17.00 odbywały się w świetlicy potańcówki trwające do 22.00. Było bardzo przyjemnie i panował nastrój niekoniecznie sprzyjający nauce. Efekt był zatem łatwy do przewidzenia: kilku moich kolegów wyszło stamtąd z żonami...

Ze znanych w czasach późniejszych postaci mieszkała wówczas w tym akademiku Krystyna Sienkiewicz. Nie miałem okazji jej poznać, choć nie sposób było jej nie zauważyć: bardzo ładnie ubrana, zgrabniutka i zawsze roześmiana

na. W następnych semestrach umieszczono nas w wielopiętrowym akademiku przy placu Narutowicza. Tu już nie było tak łatwych kontaktów męsko-damskich...

Pracę dyplomową wykonywałem u prof. Szelągowskiego. Temat dotyczył przejścia przez Wisłę w okolicy Annapola. Z kilku wariantów profesor wybrał do opracowania most kratowy o schemacie statycznym jako belki ciągłej trójprzęsłowej. Ponownie miało miejsce zabawne wydarzenie związane z przebiegiem obrony mojej pracy dyplomowej. Otóż w tym czasie wojsko miało wpływ na tworzenie norm budowlanych. Chodziło o obronność kraju. Do jednej z norm dotyczącej projektowania mostów wprowadzono między innymi przepis, który nakazywał projektowanie mostów jako belki swobodnie podpartej, zakazując tym samym projektowania belek ciągłych. Chodziło o to, że belkę swobodnie podpartą łatwiej jest odbudować niż belkę ciągłą, w razie uszkodzenia na skutek działań wojennych któregoś z przęseł w moście wieloprzęsłowym. Profesor Szelągowski nawiązał do zaprojektowanego przeze mnie mostu, chcąc sprawdzić, czy znam ten przepis. Odpowiedziałem poprawnie na zadane pytanie, ale dalszą wypowiedź przerwał mi prof. Wasiutyński pytaniem, czy wiem, jaki jest napór wywierany przez podmuch podczas wybuchu bomby atomowej. Odpowiedziałem, że chyba jest bardzo duży, ale liczbowo nie potrafię podać wartości. Na to profesor: „To ja panu powiem. Jest to rząd 20 000 kg/m<sup>2</sup>. Czy podczas takiego naporu jakikolwiek obiekt budowlany może ustać w całości?”. Przewodniczący komisji, zorientowawszy się, że mogłoby dojść do konfliktowej rozmowy dwu profesorów, podziękował mi i tak się skończył mój magisterski egzamin dyplomowy...

## Praca na Uczelni

**P**roblem, który stanął przede mną, to wybór miejsca pracy. Obowiązywała wówczas metoda stosowania tzw. „nakazów pracy”. Każdy student kończący studia miał obowiązek stawienia się przed odpowiednią komisją, aby otrzymać skierowanie do zakładu pracy, który zgłosił zapotrzebowanie na zatrudnienie specjalisty, w tym przypadku inżyniera budowlanego. Stawiłem się przed taką „nakazową” komisją i otrzymałem propozycję pracy w zakładach remontowych jakiejś cegielni pod Łodzią. Poprosiłem o odroczenie decyzji, w międzyczasie bowiem otrzymałem kuszącą propozycję od prof. Wasiutyńskiego, bym podjął pracę jako asystent w jego katedrze. Pewne jednak względy nie sprzyjały pozostaniu w Warszawie. Głównie zdecydowały tu względy mieszkaniowe. W tamtych czasach nie było szans na uzyskanie jakiegokolwiek mieszkania, będąc pracownikiem Politechniki, a na wynajmowanie nie było mnie stać, skoro dysponować mogłem wówczas jedy-

nie pensją asystencką. Poza tym argumentem był fakt, że w Legnicy mieszkała moja mama, a ja byłem związany z Wrocławiem emocjonalnie bardziej niż z Warszawą. Ponieważ miałem zainteresowania naukowe w zakresie mechaniki budowli, a z katedrą prof. Adama Cybulskiego z racji moich zainteresowań i wolontariatu w trakcie studiów, pozostawałem w stałym kontakcie, poszedłem do profesora i po zreferowaniu mojej sytuacji zapytałem, czy nie zechciałby zatrudnić mnie jako asystenta. Profesor wyraził zgodę i polecił natychmiast złożyć w kadrach podanie, które niezwłocznie pozytywnie zaopiniował. Natychmiast pojechałem do Warszawy, gdzie miałem satysfakcję, przedstawiając urzędnikom z komisji do spraw nakazów pracy zaświadczenie, że zostałem zatrudniony w Politechnice Wrocławskiej. I tak znalazłem się w zespole prowadzącym zajęcia ze statyki budowli i mechaniki teoretycznej, w którego skład wchodził: Zdzisław Grodecki, Stefan Fuliński, Edward Gawrych-Żukowski, Gizela Fudem, Jan Langer, Waldemar Paszke i Józef Włodarczyk. Z Waldkiem dzieliliśmy nadto zamiłowanie do matematyki: zapisaliśmy się nawet na studia zaoczne. Niestety, zaliczyłem jedynie niecałe dwa lata, ale Waldek uzyskał dyplom magisterski.

Profesor Cybulski był niezwykle osobowością i jako kierownik katedry, i w kontaktach prywatnych. Przede wszystkim prowadzone przez niego seminarium pomagało nam rozwijać wiadomości i umiejętności w zakresie prowadzonych przedmiotów. Dla mnie osobiście szczególnie pomocne były ożywione dyskusje prowadzone z prof. Grodeckim. Wspaniałe to były spotkania. Poza tym niejednokrotnie spotykaliśmy się z profesorem na szlakach turystycznych. Był on przecież założycielem koła PTTK w Politechnice Wrocławskiej. W tym czasie zafascynowała mnie turystyka górską, szczególnie – taternictwo. Spotykaliśmy się więc w Karkonoszach czy Tatrach, na wędrownkach pieszych lub na nartach. Taternictwem zainteresowałem się dzięki Jurkowi Rydzewskiemu, koledze z gimnazjalnych lat. Niestety, moje wspinaczkowe osiągnięcia skończyły się niezbyt szczęśliwie, kiedy – jak to się określa fachowo – „odpadłem” od skały i spędziłem pięć miesięcy w zakopiańskim szpitalu. Ale to już inna historia...

Natomiast w Katedrze zaprzyjaźniłem się z Janem Langerem, zwanym przez wszystkich Jaśkiem. Załatwił mi bardzo interesującą posadę w pracowni mostowej Biura Projektów Transportu Drogowego i Lotniczego, gdzie sam pracował na części etatu. To właśnie tutaj nauczyłem się projektowania i budowy mostów. Wykonałem ich kilkanaście, współpracując przeważnie z Jaśkiem i Janem Chmarą. W tamtych czasach nie było służb geodezyjnych i prace projektowe zaczynało się od pomiarów w terenie i wykonania planu geodezyjnego, a kończyło bardzo ścisłym nadzorem autorskim, wykonawstwo bowiem wymagało ciągłej kontroli z uwagi na niską jakość robót realizowanych wtedy przez przedsiębiorstwa. Była to świetna szkoła budownic-

twa. U profesora Cybulskiego pracowałem do 1960 r., kiedy to przeniesiono mnie do zakładu utworzonego przy Katedrze Mechaniki Cieczy i Gazów na Wydziale Inżynierii Sanitarnej pod kierunkiem dr. inż. Augustyna Borcza. Zmiany te były związane z sytuacją, która się wytworzyła w gronie pracowników Wydziału Budownictwa. Otóż Augustyn Borcza był pierwszą osobą na Wydziale, która uzyskała stopień naukowy doktora nauk technicznych (w Politechnice Gliwickiej, bo Wydział Budownictwa PWr nie miał jeszcze praw doktoryzowania). Był zatrudniony jako starszy asystent w Katedrze Konstrukcji Żelbetowych kierowanej wówczas przez prof. Adama Mitzla. Doszło jednak do jakiegoś konfliktu pomiędzy tymi dwoma panami (którego szczegółów nie poznałem nigdy do końca) i należało znaleźć miejsce zatrudnienia dla nowo mianowanego adiunkta. W tym czasie utworzony został Wydział Inżynierii Sanitarnej, czego konsekwencją było zapotrzebowanie na zespół, który by prowadził zajęcia z mechaniki budowli.

Przez dłuższy czas stanowiliśmy we dwóch zespół zakładu. Po uzyskaniu przez Augustyna Borcza habilitacji, zakład usamodzielniał się i utworzono katedrę, a do zespołu dołączyli: Izabella Ferenc, Stanisław Frelkiewicz, Jan Stasiukiewicz. Poza tym profesor zatrudnił świetną sekretarkę – Helenę Wzorek, zwaną przez nas Lusią. Prowadziliśmy zajęcia z wytrzymałości materiałów i mechaniki teoretycznej. Profesor rozwinął bardzo szeroko i profesjonalnie badania modelowe, które pozwoliły nam na wyznaczanie wewnętrznych wielkości statycznych w nietypowych konstrukcjach budowlanych. Była to wówczas jedyna droga do uzyskiwania wartości tych wielkości, bo nikt nie marzył jeszcze o komputerach. Profesor pracował wówczas w Komunalnym Biurze Projektów, miał powiązania z innymi przedsiębiorstwami, co zapewniało nam ciągłość bardzo różnorodnych i ciekawych zleceń. Na nasze seminaria zapraszani byli matematycy: Bernhold Łysik, Henryk Borocho. Pozналиśmy teorię badań modelowych, teorię podobieństwa modelowego, rachunek prawdopodobieństwa i najważniejsze działy z równań różniczkowych.

Z tego okresu odnotuję pewien incydent, ciekawy dla tych czasów, choć należałoby napisać o nim – zabawny. Otóż profesor Borcza wypatrył na zapleczu budynku D-2 ceglany budynek poklasztorny, nazywany przez nas „domkiem”. Stał pusty i – jak wykazało rozeznanie – nikt się nim nie interesował, więc nawet trudno było znaleźć jego prawowitego właściciela. Wobec tego nasz szef zdecydował się zająć „domek”, który posiadał tyle pomieszczeń, że zmieściłby się cały nasz zespół wraz z sekretariatem. Zajmowany dotąd pokój na najwyższym piętrze budynku D-2 byłby gabinetem profesora. Poza tym domek miał piwniczkę, świetnie nadającą się na warsztat mechaniczny. Perypetie zaczęły się, gdy wieść o naszej przeprowadzce dotarła do administracji uczelni. Rozpoczęła się walka podjazdowa, łącznie z wieszaniem kłódki na drzwiach i blokowaniem wejścia do budynku. Profesor,

nie patyczkując się, zerwał kłódkę i po kilkutygodniowych utarczkach wywalczył możliwość użytkowania pomieszczeń w domku.

Profesor nie był lubiany przez administrację uczelni, ani też na Wydziale Inżynierii Sanitarnej, bezpardonowo bowiem potrafił krytykować poczynania tych instytucji, walcząc o miejsce należne jemu i jego zespołowi. Najlepszym tego przykładem było zachowanie się tzw. Komisji ds. Zleceń, do której zadań należało zatwierdzanie wyceny zleceń przyjmowanych do wykonania przez poszczególne katedry. Były to chorobliwe urzędnicze kontrole i pseudozapobieganie wzrostowi zarobków pracowników naukowych poprzez swego rodzaju szykany, zwłaszcza że członkami Komisji byli urzędnicy centrali i jeden z profesorów, bodajże z Wydziału Mechanicznego, który nie był przecież specjalistą w tym przypadku – budowlańcem. Prof. Borcz początkowo sam chodził na te posiedzenia, ponieważ jednak dochodziło wówczas do gorących sporów i odsyłało go z kwitkiem, żądając korekty wycen, mnie polecił przejąć te sprawy. Jakoś miałem więcej szczęścia i rzadziej odsyłało mnie z poleceniem wprowadzania poprawek. Pewnego jednak razu, podczas zatwierdzania jednego ze zleceń, zostałem zaskoczony: bez dyskusji i – o dziwo – natychmiast podpisano mi wycenę, nie wnosząc żadnych uwag. Zdziwiony przyszedłem do Lusi i opowiedziałem całą tę dziwną historię. A ona na to: „to ty nie wiesz o tym, że profesor zapisał się do partii?”. Odtąd mieliśmy spokój ze strony wyżej wspomnianych instytucji i osób, które z zawiścią obserwowały nasze prace. Decyzję tę dziś można by zaliczyć do kontrowersyjnych, prawdą jednak jest, że dzięki niej mieliśmy spokój i możliwość niezakłócanych działań związanych z prowadzonymi badaniami.

Profesor rozbudował Zakład, zatrudnił dwóch elektroników, do warsztatu przyjął trzech nowych pracowników, zdobył maszynę wytrzymałościową, tokarkę, komplety narzędzi itd. Rozwinał w znacznym stopniu badania modelowe nietypowych konstrukcji budowlanych. Lata od 1960 do 1969 zaliczyłbym do jednych z najciekawszych twórczo okresów mojej działalności naukowej.

W roku 1966 obroniłem doktorat, w tym samym okresie obronili doktoraty Iza i Staszek. Moim promotorem był prof. Otton Dąbrowski, w tym czasie bowiem prof. Borcz nie miał jeszcze habilitacji, choć to on właśnie w rzeczywistości kierował moim doktoratem. W pracy doktorskiej zająłem się zbiornikiem wieżowym, stalowym, projektowanym przez mgr. inż. Romana Dymarskiego w Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego. Z racji złożonej konstrukcji i nieznanymi skutkami działania wiatru na ten element wysokości 70 m, niosący zbiornik o pojemności 200 m<sup>3</sup> wody, wykonałem badania modelowe i zapisałem w postaci układu równań różniczkowych ruch wody w zbiorniku i jej wpływ na konstrukcję nośną tegoż, uzyskując wartości wewnętrznych wielkości statycznych, niezbędnych w projektowaniu konstrukcji obiektu. Moimi recenzentami byli:

- prof. Adam Troskoleński, który odniósł się do zagadnień zachowania wody w zbiorniku,
- prof. Igor Kisiel, który był inicjatorem utworzenia przedmiotu budownictwo przemysłowe i odniósł się do doktoratu w tym właśnie zakresie,
- prof. Roman Ciesielski, który zajmował się budowlami wysokimi, m.in. kominami, i był specjalistą w zakresie dynamiki budowli. W tym też zakresie odniósł się do doktoratu.

W owym czasie zwyczajem było, że kandydat na doktora sam musiał rozmawiać z proponowanym przez promotora recenzentem, pytając go, czy zechce ocenić osobiście wręczaną rozprawę. Najciekawsze spotkanie miałem z prof. Kisiel. Zwracając się do młodszych pracowników i studentów, był bardzo bezpośredni. Gdy z dużą treścią wszedłem do jego gabinetu, z miejsca zapytał: „czego chcesz?”. Po krótkim wyjaśnieniu usłyszałem: „siadaj i daj rozprawę”. Przekartkował ją, przeegzaminował mnie dokładnie, zadając wiele pytań, i w końcu rzekł: „Dobra. Będę ją recenzować, ale ustal przedtem ze mną termin obrony, bo jestem bardzo zajęty. A teraz już sobie idź”. Kontakty z moimi recenzentami były bardzo owocne. Każdy z nich miał wspaniałą osobowość i prawdziwą charyzmę.

Przyszedł rok 1968, pełen burzliwych zdarzeń w PRL. Na Uczelni przyniósł reorganizację jej struktury, bo zlikwidowano katedry, tworząc instytuty i zakłady. Mianowano wielu tzw. „marcowych docentów”, stwarzając w sposób sztuczny przyrost kadry naukowej, formalnie podwyższając tym samym rangę Politechniki. Były to działania zespołu pod kierunkiem rektora, prof. Tadeusza Porębskiego, dokonującego tych zmian za przykłaśnięciem partii. Nasza katedra w zasadzie na tym skorzystała, prof. Borczowi udało się bowiem powrócić na Wydział Budownictwa Lądowego i utworzyć Zakład Budownictwa Przemysłowego, który przejął zajęcia z budownictwa przemysłowego. Był to przedmiot utworzony przez prof. Kisiela, przewidującego zapotrzebowanie na specjalistów w tym zakresie z racji budowy w kraju wielu zakładów przemysłowych, m.in. Nowej Huty. Mając oparcie na wielu ekspertyzach, badaniach i projektach budowli przemysłowych, mieliśmy podstawy do prowadzenia tego przedmiotu, rozwijając i rozbudowując go w znacznym stopniu. Nie miałem żadnych szans awansu na stanowisko docenta, bo w dalszym ciągu naznaczony byłem swego rodzaju polityczną skazą. Dzięki jednak inspiracji prof. Borcza, wybrałem drogę awansu naukowego poprzez uzyskanie stopnia doktora habilitowanego. Wówczas pracowałem nad zleceniem Przedsiębiorstwa Hydrologiczno-Geologicznego, dotyczącym zastosowania rur azbestowo-cementowych do budowy studni głębinowych. Chodziło o oszczędności stali. Prof. Borcz odpowiedział mi temat rozprawy habilitacyjnej, mówiąc: „przecież materiał z prowadzonych przez pana badań jest na tyle ciekawy i naukowo interesujący, że wykorzystując go, na pewno zredaguje pan ciekawą rozprawę habilitacyjną”. Tak też się stało. Po



kilku latach badań napisałem rozprawę i w 1972 r. uzyskałem stopień naukowy doktora habilitowanego, awansując, po pozytywnym wyniku kolokwium, na stanowisko docenta. Tytuł profesora uzyskałem w 1983 r., a stanowisko profesora zwyczajnego w 1995 r.

Z pierwszym tytułem wiąże się ciekawe wydarzenie. Otóż, wniosek Rady Wydziału został pozytywnie zakwalifikowany w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej i dotarło do mnie zaproszenie na wizytę w Belwederze po odbiór nominacji profesorskiej. Wręczał mi ją przewodniczący Rady Państwa – prof. Henryk Jabłoński. W tym czasie nominacje profesorskie organizowane były bardzo uroczyście i nagłaśniane w TV. Po powrocie z Warszawy poszedłem do dyrektora Instytutu, by opowiedzieć mu o przebiegu wydarzenia. Okazało się, że do mojej dyrekcji nie dotarła wiadomość, że dostałem już zaproszenie do Warszawy i – co ciekawe – sekretarz partii w Instytucie nie dostał do zaopiniowania wniosku na mój awans. Ktoś tę sprawę przeoczył. Wspomniany sekretarz wywołał kosmiczną awanturę w dyrekcji Instytutu i w komitecie partii, że w cyklu opiniodawczym pominięto jego osobę. Mnie już na szczęście nic to nie obchodziło...

Po wielu zmianach organizacyjnych i uzyskaniu tytułu profesora, od roku 1984 zostałem mianowany kierownikiem Zakładu Metod Obliczeniowych w Projektowaniu Budowlanym Instytutu Budownictwa Politechniki Wrocławskiej. Stworzyłem zespół osób, które zainteresowałem wykorzystaniem komputerów w budownictwie. Zetknąłem się z tą techniką już podczas realizacji mojej rozprawy doktorskiej, w latach 1962–1966. Aby otrzymać wyniki części teoretycznej mojej rozprawy, zachodziła konieczność rozwiązania kilku układów równań różniczkowych. Technika komputerowa była mi jeszcze wówczas nieznana, a jedynie tą drogą mogłem uzyskać oczekiwane wyniki. Podczas przypadkowej rozmowy wskazał mi ją Leszek Wiśniewski. Nawiązałem więc kontakt z prof. Stefanem Paszkowskim, znanym matematykiem i informatykiem, kierownikiem Katedry Metod Numerycznych na Uniwersytecie Wrocławskim, w której zainstalowano brytyjski komputer Elliot 803. Na tym komputerze, dzięki pomocy prof. Paszkowskiego i pracowników jego zespołu, uzyskałem rozwiązania zapisanych równań. Wtedy to właśnie zrodziło się moje zainteresowanie komputerami i zastosowaniem ich w budownictwie, a szczególnie w projektowaniu złożonych konstrukcji budowlanych. W owym okresie współpracowaliśmy z Biurem Projektów BIPROMET w Katowicach. Prowadzone badania dotyczyły sposobów zastosowania niekonwencjonalnych metod optymalizacji w projektowaniu uwzględniającym wpływ efektów nieliniowych w analizie statycznej oraz praktycznego wykorzystania wyników prac teoretycznych. Zagadnienia syntezy konstrukcji zdominowały również współpracę z IPPT PAN (Instytutem Podstawowych Problemów Techniki PAN) w ramach problemu węzłowego 05-12 pt. „Opty-

malizacja stosowana prętowych konstrukcji budowlanych”. Przeważnie prace doktorskie, których byłem promotorem, dotyczyły optymalizacji konstrukcji. W efekcie zespół kierowany przeze mnie był głównym realizatorem komputeryzacji Instytutu Budownictwa PWr. – w latach 1984–1990 kierowaliśmy Laboratorium Komputerowym tego Instytutu. Propagowaliśmy zakładanie sieci komputerowych – w Zakładzie została założona przez dr. inż. Andrzeja Janczurę, jako pierwsza w Instytucie, sieć NWLITE. W latach 1977–1982 utworzyłem i prowadziłem przedmiot komputerowe wspomaganie projektowania budowlanego, a w 1988 r. Zakład mój przejął od Centrum Obliczeniowego PWr. przedmiot podstawy informatyki, do którego opracowano nowy program i nowe zasady prowadzenia zajęć. Wprowadzono też wykorzystanie wybranych technik CAD. Niezależnie od przedmiotów „komputerowych”, prowadziliśmy przedmiot budownictwo przemysłowe, modernizując go poprzez komputeryzację ćwiczeń projektowych. Zajęcia te są nadal prowadzone przez poprzednio kierowany przeze mnie zespół.

W 1963 r. wyszło ministerialne zarządzenie zabraniające pracownikom uczelni podejmowania jakiegokolwiek dodatkowej pracy. Ponieważ jednak zapotrzebowanie na specjalistów było duże, szczególnie w biurach projektowych, wymyślono sposób na ominięcie tych raf:

1. Dyrektor przedsiębiorstwa pisał do rektora zapotrzebowanie na danego specjalistę, wymieniając jego nazwisko.
2. Rektor pisał do Ministerstwa prośbę o stosowne zezwolenie.
3. Ministerstwo podejmowało zazwyczaj pozytywną opinię, kierując ją na ręce rektora.
4. Rektor wysyłał pismo z ostateczną decyzją do dyrektora przedsiębiorstwa.

Dzięki temu rozwiązaniu uzyskałem możliwość bardzo ciekawej pracy, głównie w następujących instytucjach:

1. Jako konsultant naukowy zatrudniony byłem w latach 1970–1986 w Biurze Projektów „Hydroprojekt”, biorąc udział w pracach projektowych takich obiektów jak np.: zbiornik wodny w Bukówce na rzece Bóbr o spiętrzeniu 27 m, zbiornik wodny w Dobromierzu na rzece Strzegomce o spiętrzeniu 30 m, most drogowy „Niemodlin” na kanale ulgi w Opolu, o sprzężeniu kablowym i rozpiętości przęsła 42 + 54 + 42 m.

2. W latach 1985–1987 konsultowałem prace renowacyjne i remontowe budowli zabytkowych w Przedsiębiorstwie Zagranicznym „Renopol”, biorąc udział w pracach renowacyjnych i projektowych m.in.: Szkoły Rycerskiej w Legnicy, twierdzy w Srebrnej Górze, kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu.

3. Współpracowałem z ZG „Rudna”, dokonując opracowań projektów i wydając opinie dotyczące wzmocnień i przebudowy dużych obiektów przemysłowych.



Ostatnia wycieczka konna z ojcem

Było to w latach osiemdziesiątych. Kazio Boroń zachęcił mnie do zajęcia się jeździectwem w ramach Akademickiego Klubu Jeździeckiego. Przystałem bez oporów, zwłaszcza że było to wspomnienie lat chłopięcych, kiedy z ojcem jeździłem konno na poligonach wojskowych. W AKS spotkałem niezwykle sympatyczne osoby, między innymi pp. Dzikę i Daniela Bemów, Grażynę Kędzioreę czy siostry Poplińskie (zwane przez nas „sisters”). Niezapomniane pozostały organizowane przez nas rajdy do Szwajcarii, Krzeszowa, zamku Książ, wszystkie pod wodzą Ludwika Filipowskiego, szefa „Dworzyska” pod Wałbrzychem. Miał tam stadninę koni rekreacyjnych, które od niego wypożyczaliśmy. Dwom kandydatom na wykonywanie rozprawy doktorskiej pod moim kierunkiem – Jackowi Boroniowi i Piotrowi Berkowskiemu zapowiedziałem, że oprócz zaangażowania w pracę naukową będę od nich wymagał umiejętności hipicznych. Jeżdżą konno całkiem nieźle i obronili swoje bardzo interesujące rozprawy...

\* \* \*

Tyle wspomnień o moich związkach z Politechniką Wrocławską, choć jest ich tyle, że można by napisać całą grubą księgę. Przytoczyłem fragmenty

dotyczące mnie osobiście oraz takie, które wydały mi się szczególnie warte przypomnienia. Wymieniłem tu kilkanaście osób. Większość z nich nie żyje, ale pamięć po wielu pozostanie w nas jeszcze długo. Niektórych nazwisk nie wymieniłem, uważałem bowiem, że tak będzie lepiej. Nie odważyłem się zapisać wpływu różnych innych wydarzeń, szczególnie politycznych, na życie Politechniki.

Chciałbym jeszcze powiedzieć o jubileuszu, jaki moi wychowankowie urządzili mi z okazji siedemdziesiątych urodzin i przejścia na emeryturę. Z uśmiechem wspominam nasze spotkanie w karpackim pensjonacie „Limba”, Obecni byli prawie wszyscy moi doktoranci i pracownicy zakładu. Nie zabrakło również byłego rektora – prof. Jana Kmity i dziekana – prof. Ernesta Kubicy. Było i jest o czym pamiętać...

Irena Maria Tomera

# Moja uczelnia i ja

## Przed studiami

Jest listopad 2009. Jesień każdego roku to okres drobiazgowego porządkowania mojego mieszkania i przy tej okazji zadumy nad przeszłością. Właśnie znalazłam swój INDEKS z Politechniki Wrocławskiej i zaczęłam go czytać od końca:

Strona 92 – „przedstawiła pracę dyplomową magisterską na temat – Projekt budynku mieszkalnego o wysokości 18 kondygnacji – ocenioną jako bardzo dobrą”.

Strona 90 – w rubryce „Nagrody, wyróżnienia, kary”: „Udzielono nagany porządkowej 23 III 68 r.”

Podpisano – „Prodziekan ds. Dydaktyki, doc. dr inż. Zbigniew Kowal”.

Trudno mi w tej chwili uwierzyć, że dokładnie czterdzieści dwa lata temu, 1 października 1967 roku, rozpoczęłam studia na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Wrocławskiej.

W 1966 roku skończyłam I Liceum Ogólnokształcące we Wrocławiu, mieszczące się w budynku, do którego wcześniej uczęszczała Edyta Stein (Święta Teresa Benedykta od Krzyża) i w którym 3 marca 1911 roku zdała maturę. Ja zdałam maturę w maju 1966 roku, dokładnie 55 lat po niej. Zamierzałam pracować i studiować zaocznie lub wieczorowo, dlatego też podjęłam naukę w Zakładzie Szkolenia Zawodowego przy ul. Wiśniowej, gdzie organizowano kursy na kreślarzy do biur projektów. Po skończeniu kilkumiesięcznego szkolenia postanowiłam jednak zdawać na Wydział Budownictwa Lądowego Politechniki Wrocławskiej, na studia dzienne.

Po udanym egzaminie wstępnym z matematyki, fizyki i języka obcego (wybrałam rosyjski), w lipcu 1967 roku otrzymałam z uczelni skierowanie do Przedsiębiorstwa Budownictwa Uprzemysłowionego, które mieściło się przy placu Powstańców Śląskich, na miesięczną praktykę zawodową, jeszcze



przed studiami, obowiązującą wszystkich, którzy się na nie dostali. W tym czasie PBU wznosiło pierwsze budynki mieszkalne w systemie Wrocławska Wielka Płyta przy ul. Wielkiej.

Na budowie pracowałam cały lipiec 1967 roku. Zapoznawałam się z dokumentacją projektową opracowaną przez Biuro Projektów Miastoprojekt Wrocław, wypełniałam druki przyjęć i zwrotów materiałów budowlanych i przez ponad dwa tygodnie, razem z kolegami i koleżankami, którzy dostali się na Akademię Ekonomiczną, uszczelniałam pakułami (pianka poliuretanowa nie była jeszcze stosowana i produkowana) drewniane okna wstawiane w ściany zewnętrzne jedenastokondygnacyjnych budynków.

## Wykładowcy i studenci pierwszego roku

Pierwszy rok studiów na Wydziale Budownictwa zainaugurowano 1 października 1967 roku uroczystością, podczas której wręczono nam indeksy. Naukę wraz ze mną rozpoczęło wówczas 125 osób, w tym zaledwie kilkanaście kobiet, choć dokładnej ich liczby nie pamiętam. Na moim roku znalazło się trzech Wietnamczyków: Lang, Tai i Vien. Tai nazywał się – Nguyen Minh Tai, Vien – Dinh Quan Vien, nazwiska Langa nie pamiętam. Najwyższy z nich i bardzo szczupły był Tai, najzdolniejszy zaś – Vien, który po drugim roku znalazł się w grupie o specjalności mosty. Wszyscy trzej mieszkali w domu studenckim „Parawanowiec”. Polska wspierała w tym czasie Wietnam, ponieważ toczyła się tam wojna, która skończyć się miała dopiero za osiem lat. Działania militarne Amerykanów w Wietnamie miały miejsce w latach 1957–1975.

Z Langiem w duecie na laboratorium z chemii mieszaaliśmy różne odczynniki w probówkach i muszę przyznać, że to on pomagał mi, a nie ja jemu, chociaż na początku miał duże kłopoty z językiem polskim. Viena spotkałam po studiach na zjeździe absolwentów w dniach 12–13 czerwca 1987 roku w miejscowości Pokrzywna. Przyleciał z Hanoi na szkolenie do Wrocławia i zupełny przypadek sprawił, że trafił na nasze spotkanie. Dowiedziałam się wtedy, że pracuje jako konstruktor mostów. Dużo z nim rozmawiałam. Opowiadał, że swoje mieszkanie w Hanoi wybudował własnymi rękami – po prostu, domurował brakującą część do zbombardowanego budynku mieszkalnego. W czasie spotkania w Pokrzywnej tańczyłam z nim trochę, pokazując mu kroki europejskich tańców. Był bardzo wzruszony atmosferą spotkania i już po zjeździe przyszedł do mnie do pracy (przy ul. Gabrieli Zapolskiej) z upominkiem. Wręczył mi wykonane z kości koraliki koloru kremowego z przyczepionym rzeźbionym ażurowym medalionem (również z kości) obrazującym dwa ptaki o długich szyjach i długich nogach, przytulone do siebie. Nie znam jego adresu do Hanoi, być może organizatorzy

zjazdu mają więcej informacji o naszych kolegach Wietnamczykach. W jakiś czas po spotkaniu w Pokrzywnej dowiedziałam się, że koledzy zrobili wtedy Vienowi prezent w postaci roweru.

Powracając do wspomnień z pierwszego roku studiów, muszę nadmienić, że ten rok i wszystkie wydarzenia, które wtedy miały miejsce, zapamiętałam najbardziej.

Wśród moich kolegów było wielu, którzy skończyli technikum i oni nie mieli prawie żadnych trudności z przedmiotami technicznymi, jak choćby mechanika, geometria wykreślna czy geodezja. Ze mną było inaczej, w liceum bowiem nie zetknęłam się z tymi zagadnieniami, w związku z czym musiałam wkładać więcej wysiłku w naukę. Dochodziło do zabawnych sytuacji, z których teraz mogę się tylko śmiać.

Spóźniłam się kiedyś do budynku D-2 na początkowy wykład z mechaniki technicznej (semestr drugi na pierwszym roku), który prowadził bardzo przystojny profesor o siwych włosach – Adam Cybulski. Wiem, że urodzony był w 1896 roku i po wojnie – w latach 1946–1951 – wykładał na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Profesor miał akcent Górnoślązaka.

Otworzyłam zeszyt i patrząc na tablicę, i profesora, usiłowałam coś notować. Profesor mówił: „bo jeśli kręci w prawo to – wicie – za tablicę, a jeśli w lewo to od tablicy”. W tym momencie skierował wskazujący palec najpierw w stronę tablicy, a potem w kierunku nas, studentów. O Boże! (pomyślałam wtedy zdenerwowana) o czym on mówi? Wstydziłam się zapytać kogoś z kolegów. Dopiero po kilku wykładach (na które uczęszczałam regularnie) zrozumiałam sens jego słów: jeśli działanie momentu skręcającego jest w prawo, to wektor momentu ma kierunek i zwrot, jaki wskazał profesor w kierunku tablicy, i na odwrót.

Profesor Cybulski był bardzo życzliwie usposobiony do studentów – niemniej jednak miał opinię ostrego i wymagającego. Na szczęście po pierwszym roku bez problemów zaliczyłam ćwiczenia z mechaniki, a po pierwszym semestrze drugiego roku zdałam u niego egzamin.

Na zjeździe absolwentów w 1987 roku, w czasie spotkania w Gmachu Głównym, przemawiając do nas, profesor powiedział pouczające życiowe słowa: „płacząc, uśmiechajcie się, a śmiejąc się – śmieście się przez łzy”. Dla mnie oznaczały one, że w życiu nie wolno zatracić się do końca ani w rozpacz, ani też w radości – i jedno, i drugie jest zgubne, i jedno, i drugie przemija tak, jak samo nasze życie. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że profesor Cybulski zmarł 3 marca 1996 roku, na kilka dni przed swoimi setnymi urodzinami – urodził się 14 marca.

Wykłady z geometrii wykreślnej prowadził na pierwszym roku profesor ze Lwowa, Konrad Dyba, również już niemłody, niedużego wzrostu i trochę łysy. Odbywały się one zwykle w sali 301 Gmachu Głównego A-1, gdzie znajdowały

się piętrowe, przesuwające się w pionie tablice. Profesor przynosił z sobą linijki, ekierki i cyrkiel, i zaczynał się jego taniec z kreskami białą kredą na tablicach. Na tych wykładach byłam po prostu mokra: nie nadażałam ani ze zrozumieniem tych wszystkich wzajemnie przenikających się na trzech płaszczyznach brył (rysowanych przez profesora), ani też z przerysowywaniem ich z tablicy. Gdy usiłowałam coś zanotować – nie nadażałam ze zrozumieniem, jeśli rozumiałam i patrzyłam na tablicę – kartki w moim zeszytcie pozostawały białe. Może byłoby inaczej, gdyby kredy były kolorowe. Wiem tylko, że miewałam momenty, kiedy na wykładzie profesora Dyby widziałam na tablicach tylko płątaninę prostych kresek.

Dla mnie osobiście tempo wykładów było za duże. Przy dzisiejszej technice przysłałabym na zajęcia z kamerą i potem w domu odtworzyłabym je w całości, w zwolnionym tempie. To, co usiłował wbić nam do głowy profesor, obejmowało bardzo duży zakres wiedzy, będąc zarazem wykładnią jego mistrzowskich wprost umiejętności.

Niestety, jeśli chodzi o geometrię wykreślną – poniosłam klęskę: w pierwszym terminie nie zdałam egzaminu wieńczącego dwa semestry nauki i całe wakacje stosowałam swoje zwolnione tempo, ucząc się z podręczników.

Egzamin poprawkowy zdałam szczęśliwie we wrześniu.

Kolejnym przedmiotem na początku studiów o pewnym stopniu trudności była dla mnie geologia. Obawiałam się bardzo nie tyle samego egzaminu, lecz zaliczenia ćwiczeń, które polegały na bezbłędnym rozpoznawaniu skał i minerałów. Ćwiczenia te nazywaliśmy w skrócie „skałki”.

Wmówiłam sobie, że „skałek” w pierwszym terminie nie zaliczę. Mimo wszystko jednak zrobiłam sobie ściągę z opisem kształtów i kolorów poszczególnych minerałów, do której bez ustanku zaglądałam. Na szczęście niczego nie pomyliłam i „skałki” szczęśliwie zaliczyłam za pierwszym podejściem. Z egzaminem z geologii problemów już nie miałam.

W tym czasie rektorem Politechniki Wrocławskiej był profesor Zygmunt Szparkowski (od 1965 roku). Aby PZPR mogła mieć wpływ na sprawy uczelni, w styczniu 1968 roku utworzono nową funkcję – zastępcy rektora ds. rozwoju, organizacji i planowania, którą objął I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR – doc. dr inż. Tadeusz Porębski.

## Wydarzenia marcowe 1968 roku

**P**od koniec 1967 roku, gdy słuchałam z rodzicami nielegalnej wtedy Wolnej Europy, dowiedziałam się, że od 25 listopada w Teatrze Narodowym w Warszawie wystawiana była inscenizacja III części *Dziadów* Adama Mickiewicza z Gustawem Holoubkiem w roli Konrada.



Na scenie padały ostre słowa naszego wieszczka:

*Nie dziw, że nas tu przeklinają,  
Wszak to już mija wiek,  
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają  
Samych łajdaków stek.*

Był to tekst wyraźnie antyrosyjski i tak został odebrany przez wysokich urzędników ambasady sowieckiej, podobnie zresztą, jak cały spektakl. Dalsze informacje z nielegalnej radiostacji usłyszałam w domu na początku 1968 roku: „pod koniec stycznia Ministerstwo Kultury zabroniło dalszych przedstawień. Równocześnie 31 stycznia, po ostatnim spektaklu, grupa widzów i aktorów udała się z kwiatami pod pomnik Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu”. I to było wszystko, o czym wiedziałam. Później ktoś ze znajomych rodziców, kto miał rodzinę w stolicy, opowiadał o demonstracjach studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Oczywiście prasa milczała, pokazując co najwyżej jakieś strzępki mało wiarygodnych informacji.

O smutnej prawdzie dowiedziałam się nieco później – było to chyba w piątek, 10 marca 1968 roku. Tego dnia rano wysiadłam z tramwaju linii „zero” przy placu Grunwaldzkim, na przystanku naprzeciw akademika Uniwersytetu Wrocławskiego „Dwudziestolatka”, i zobaczyłam wywieszane na zewnątrz długie wstęgi materiału, na których napisane było: „Prasa kłamie” i „My, studenci Wrocławia, solidaryzujemy się ze studentami z Warszawy”, a także inne hasła, których treści już dokładnie nie pamiętam. Po powrocie do domu znowu razem z rodzicami zaczęłam słuchać Wolnej Europy. W Warszawie działy się rzeczy straszne: w lutym 1968 roku, po proteście przed Teatrem Narodowym, zorganizowanym przez tamtejszy Oddział Związku Literatów Polskich przeciwko zakazowi wystawiania *Dziadów* w teatrze i poparciu tego protestu przez profesorów i studentów Uniwersytetu Warszawskiego, czterech młodych ludzi zostało wyrzuconych z uczelni. Następnie 8 marca 1968 roku, na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego, odbył się wielki wiec w obronie inscenizacji *Dziadów*, gdzie studenci domagali się przyjęcia z powrotem wyrzuconych wcześniej kolegów. Powoływali się przy tym na konstytucję PRL z 1952 roku, która gwarantowała wolność słowa, zgromadzeń i manifestacji. W czasie wiecu wtargnęli na dziedziniec rzekomi robotnicy, którzy skandowali obrażające studentów hasła. Równocześnie przywiezieni bojówkarze i oddziały milicji przeganiały protestujących na ulice, bijąc pałkami mężczyzn i kobiety. Dziewiątego marca na ulicach Warszawy wiece zostały wznowione. „Trybuna Ludu” (organ PZPR), „Życie Warszawy” i „Sztandar Młodych”, znów podawały kłamliwe informacje o wydarzeniach, używając określeń: „nieodpowiedzialne wystąpienia studentów”, „zakłócenia w ruchu ulicznym”, „grupy awanturników”. Komuniści pod wodzą Gomułki i jego zastępcy – Mieczysława Moczara

(sekretarza w KC PZPR), dorobili do tych wydarzeń własną ideologię, kłamliwie głosząc, że są to wrogie działania bankrutów politycznych i syjonistów. Nie miałam pojęcia, co znaczy słowo „syjoniści”. Natomiast w moim domu wszyscy wiedzieliśmy, że Moczar to brudna postać o czarnym charakterze, człowiek, który podczas okupacji niemieckiej, będąc w Armii Ludowej, bardziej tępił i mordował Żydów i akowców niż Niemców. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że we Wrocławiu dojdzie do podobnych demonstracji i prześladowań. Jako wrocławianka mieszkająca z rodzicami chodziłam własnymi ścieżkami i nie wiedziałam, że w akademikach trwają przygotowania do protestów i że to tam produkowane są ulotki, które zaczęły pojawiać się na mieście.

Siedemnastego marca, w piątek rano, udałam się w kierunku budynku D-2 (o ile dobrze pamiętam, na wykład z wspomnianym tu już profesorem Cybulskim) i po wejściu do budynku zobaczyłam po lewej stronie tłum studentów czytających jakiś tekst umieszczony na tablicy ogłoszeniowej. Zaglądając im przez ramię, przeczytałam: „Do Was, moich studentów, zwracam się z następującym apelem...”. Po tych słowach nastąpił opis krwawych wydarzeń w Warszawie oraz informacja, że autor wezwania podejmuje strajk głodowy od 17 marca i zaprzestanie go dopiero po spełnieniu warunków, które wymienił, m.in. po podaniu w środkach masowego przekazu prawdziwych informacji o wydarzeniach w stolicy. Pod śmiałym tekstem podpisany był profesor Ryszard Krasnodębski, który wykładał matematykę dla studentów Wydziału Architektury. Później dowiedziałam się, że pracował również na Uniwersytecie Wrocławskim. W ten dzień, na przerwach między wykładami, zaczęły się dyskusje studentów. Muszę przyznać, że ogarnął mnie strach. Moi rodzice stwierdzili, że zadarliśmy z Wielkim Bratem ze Wschodu i nie wiadomo, czym to się skończy, bo wesoło nie jest.

Ludziom żyło się naprawdę ciężko: płace były niezbyt wysokie – w granicach 1800–2000 złotych, w sklepach pustki – brak było dosłownie wszystkiego: żywności, a w szczególności mięsa i wyrobów mięsnych, ubrań, artykułów codziennego użytku. W sklepach mięsnych haki na mięso i wędliny świeciły zwykle pustkami, a przywieziony towar (przeważnie dwa razy w tygodniu), znikał natychmiast. Asortyment mięsa był tylko taki: wieprzowina i wołowina z kością i bez kości, kielbasa zwyczajna i parówki. Szynka i pomarańcze pokazywały się jedynie na święta, ale i tak nie dla wszystkich tych rarytasów wystarczało. Ubiorów było w sklepach niewiele. Zdolne Polki obszywały całe rodziny, prawie każda robiła swetry na drutach. Owszem, były prywatne zakłady krawieckie, ale rzadko kogo stać było na laki luksus. Koniecznością było natomiast zamawianie u krawca płaszczy, gdyż nie było ich w sklepach – szczególnie nietypowych rozmiarów.

Ja w tym czasie otrzymywałam odzież w paczkach z Paryża, od brata mojego ojca, który w 1936 roku wyemigrował z Polski za chlebem do Francji.

Moi rodzice pracowali wtedy w kiosku „Ruchu”. W zamian za zostawianie kolorowych czasopism (z tym też były problemy), znajoma pracownica sklepu mięsnego zawsze dawała znać, kiedy będzie dostawa mięsa i wędlin. Mama chodziła wtedy zająć sobie kolejkę – ludzie stali często przed sklepem mięsnym już od czwartej rano.

Jeśli chodzi o zaopatrzenie, to istniało swego rodzaju podziemie – ludzie kupowali kawałki świń lub całe świnię od chłopów poza miastem i nikt głodny nie chodził. Uczyli się nawzajem, jak robi się domową szynkę. Moi rodzice bali się w tym czasie nie tyle biedy, co rozlewu krwi. Ojciec tłumaczył mi, że po drugiej wojnie światowej my, Polacy, zostaliśmy wasalami Związku Radzieckiego (na szczęście nie kolejną republiką, co dla Wielkiego Brata byłoby bardziej niekorzystne) i tego nie można zmienić z dnia na dzień, że na to trzeba czasu.

Mój tato miał za sobą ciężkie przeżycia: w pierwszych dniach wojny Niemcy zbombardowali jego dom w Warszawie przy ul. Wawelskiej. Następnie, w 1942 r., w łapankach na ulicach Warszawy, został zatrzymany i wywieziony do Niemiec na roboty; najpierw pracował w gospodarstwie rolnym, a potem w kopalni we Frankfurcie nad Menem. Po przyjeździe do Wrocławia zorientował się, że komuniści objęli władzę i nic z tego dobrego nie będzie dla Polaków, i dlatego usiłował z transportem Niemców uciec na Zachód – docelowo do brata we Francji. Jednakże na granicy został złapany i osadzony w więzieniu we Wrocławiu przy ul. Kleczkowskiej.

W 1968 roku ja miałam niecałe dwadzieścia lat, ojciec mój – sześćdziesiąt. Chciał wreszcie żyć w spokoju. Należałam już do innego pokolenia i dowiadując się z listów od stryja, jak tam żyją ludzie, nie mogłam zrozumieć, że jako naród skazani jesteśmy na życie w jakimś obłąkaniu. Gomułka, a wcześniej Bierut, nie pozwalali na rozwinięcie inicjatyw ludzkich, by kraj rozwijał się gospodarczo normalnie, by ludzie mogli żyć na przyzwoitym poziomie.

Przykładem tego byli moi rodzice. Mama w czasie okupacji niemieckiej (po ewakuowaniu się ze Lwowa, który został zajęty przez Rosjan 22 września 1939 roku) chodziła po pięćdziesiąt kilometrów ze wsi do Lublina na handel z rąbanką w plecaku. To był jej sposób na przeżycie. Za zarobione pieniądze pod koniec maja 1945 roku, gdy znalazła się we Wrocławiu, wybudowała drewniany pawilon handlowy. Zaczęła w nim handlować sama, później – z moim ojcem. Interes rozwijał się dobrze, lecz komuniści wymyślili dodatkowe podatki, tzw. „domiary”, nie do udźwignięcia. Trzeba było zniszczyć tego typu inicjatywy, zasłaniając się hasłem, że prywatyzm pomagają amerykańscy imperialiści. Rodzice zmuszeni byli zarejestrować pawilon w nowo powstałym przedsiębiorstwie państwowym „Ruch”.

Okres tych zmagania pamiętam z najwcześniejszego dzieciństwa, szczególnie zaś wizyty komorników, którzy z powodu niezapłacenia domiarów,

przychodzili z nakazami wynoszenia z domu mebli (poniemieckich, bo fabryk mebli w Polsce jeszcze nie było). Mając na uwadze swoje dzieciństwo, i widząc szarą polską rzeczywistość, gdy stałam się już dorosła, buntowałam się wewnętrznie z powodu upodlenia, w jakim muszą żyć ludzie w Polsce. W marcu 1968 roku zrodziła się we mnie iskierka nadziei, że za studentami pójdzie cały naród.

W poniedziałek, 20 marca 1968 roku (był to już drugi semestr pierwszego roku studiów), przyszedliśmy na zajęcia do Gmachu Głównego (A-1). Zwykle idąc ulicą Norwida, wchodziliśmy do budynku z tyłu, przez bramę gospodarczą. Tym razem stały tam strażnice studenckie, które poinformowały nas o rozpoczęciu strajku okupacyjnego na znak solidarności ze studentami Warszawy. Wszyscy szli dalej na uczelnię, tylko nieliczni zawracali. Ja postanowiłam przyłączyć się do strajku. Nikt mnie specjalnie nie namawiał, uważałam, że im więcej nas będzie, tym bardziej może coś zdziałamy, szczególnie w obronie prawdy. W torbie miałam tylko bułkę na drugie śniadanie i to miało mi wystarczyć aż do rana następnego dnia.

W budynku nie było atmosfery do nauki, zajęcia się nie odbywały – sala wykładowa o numerze 301 stała się dla nas miejscem całodziennego i potem całonocnego pobytu. Wśród studentów mojego rocznika rzeczywiście nie było kilku osób – w tym kolegów Wietnamczyków. Na pierwszym piętrze, na korytarzu przy salach 204–207, rozłożone były pasy jakiejś tkaniny, na których studenci Wydziału Architektury malowali farbami napisy: „Studenci Politechniki Wrocławskiej solidaryzują się ze studentami Warszawy”, „Prasa kłamie”, „Wiec okupacyjny Politechniki Wrocławskiej”, itp. Przyłączyłam się do rozkładania materiału na podłodze, ale rąk chętnych do pracy było zbyt wiele, odeszłam więc w kierunku auli, która stała się wolną trybuną. Wygłaszane były tutaj patriotyczne teksty, dobiegały informacje o bieżącej sytuacji w Warszawie, odbywały się wykłady z prawdziwej historii Polski. Raz po raz przybywali tu kurierzy z Uniwersytetu Wrocławskiego i przedstawiciele robotników z darami. Każdy dostawał mikrofon do ręki i mógł się wypowiedzieć. Nie mogłam przebrnąć przez tłum studentów i dostać się do środka, ale przed wejściem rozwieszono były głośniki, dzięki którym wiedziałam, co dzieje się wewnątrz pomieszczenia.

Pierwszą noc spędziłam ze studentami mojego rocznika w większości na siedząco, na rozkładanych krzesłach w sali 301. Wieczorem ktoś przyniósł radio tranzystorowe i wszyscy skupiliśmy się przy nim, słuchając radia Wolna Europa. Jakże byliśmy dumni, gdy dowiedzieliśmy się, że o studentach wrocławskich już mówi się w świecie. Przez okna obserwowaliśmy podjeżdżające ciężarówki z kocami i żywnością z dużych zakładów pracy. Był chleb z prywatnych piekarni i prawdopodobnie z państwowego Mamuta

z ul. Sienkiewicza. To były tajne działania robotników – w ten sposób okazywali swoją solidarność z nami. Oficjalnie robotnicy – zaszczeni przez pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysława Gomułkę – bali się poprzeć studentów, chociaż czuli to samo, co my młodzi.

21 marca, we wtorek rano, zawołano mnie na zewnątrz pod bramę gospodarczą, pod którą stała moja bardzo zdenerwowana mama. Przyniosła chyba z 2 kg kielbasy i bochenek chleba. Wytłumaczyłam jej, że w piwnicy (przyziemiu) Gmachu Głównego zorganizowano stołówkę i mamy co jeść. Prowiant oddałam do wspólnej kuchni. Nigdy nie dowiedziałam się, ile wysiłku kosztowało ją zdobycie tej kielbasy – po prostu, dopóki żyła zapomniałam ją o to zapytać. Bardzo dużo ludzi przychodziło wtedy pod bramę z żywnością dla strajkujących studentów.

Drugi dzień wieceu (wtorek, 21 marca) przebiegał podobnie jak pierwszy, lecz niektórzy z nas mieli zajęcia – ręcznie przepisywaliśmy uchwalone przez nasz komitet strajkowy postulaty. Ja dodatkowo dla siebie pisałam jakieś studenckie rymowanki w stylu: „my w stołówce żywieni, demokracji spragnieni”. Drugą noc, z wtorku na środę 21/22 marca, spędziłam z koleżankami na podłodze w pokoju naukowców z Instytutu Inżynierii Lądowej w sali 340–341, między dwiema warstwami koców. Oczywiście spałyśmy w ubraniu.

Na trzeci dzień naszej okupacji (środa, 22 marca) Gmach Główny został otoczony dużymi milicyjnymi samochodami. Wysiedli z nich potężni, umundurowani mężczyźni, w kaskach na głowach, o wzroście ponad 1,90 m, jeśli nie więcej. Mówiono o nich, że są to chłopcy z Gołędzinowa, ze specjalnej szkoły milicyjnej. Równocześnie dowiedzieliśmy się, że wszyscy strajkujący – cały mój rocznik i studenci innych wydziałów – zostaliśmy skreśleni z listy studentów. Listy „buntowników” wywieszono przed dziekanatami.

Pamiętam, że zostałam jeszcze kilka godzin w Gmachu Głównym i gdy zaczęło się ściemniać, wyszłam przez bramę gospodarczą. Minęłam chłopców z Gołędzinowa, którzy rozproszonym szeregiem stali po drugiej stronie ulicy Norwida. Rozsunęli się nieco, gdy przechodziłam obok, a ja spokojnie, najkrótszą drogą, udałam się przez ulicę Janiszewskiego do tramwaju.

Byłam zmęczona i zrezygnowana. Po drodze rozmyślałam, co zrobić teraz z moim życiem – najpewniej trzeba będzie iść do pracy i kiedyś wrócić na studia wieczorowe. Postanowiłam poszukać pracy kreślarza (po liceum skończyłam kilkumiesięczny kurs kreślarski) albo w krawiectwie (byłam samoukiem, szyjąc sobie ciuszki na poniemieckiej maszynie). Wiedziałam, że na pewno pomagać będę rodzicom w kiosku, gdzie czasem pozwolili mi sprzedawać.

W czwartek, 23 marca, będąc w domu, rozmyślałam od rana o wydarzeniach wczorajszego dnia. Doszłam do wniosku, że władze uczelni nie miały

wyjścia – w ten sposób postanowiono zapobiec rozlewowi krwi. Gdyby taki stukilogramowy „chłopiec” z Gołędzinowa uderzył mnie, drobną kobietę o wadze powyżej 40 kg pałką, to zostałaby po mnie miazga. Około godziny 12.00 do kiosku „Ruchu”, w którym pracowała moja mama, przybiegła mama kolegi Wacka z ul. Roosevelta i powiedziała, żeby skrzyknąć wszystkie koleżanki i kolegów, gdyż z powrotem przyjmują nas na studia. Trochę czasu zajęło mi obejście prywatnych kwater. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach nie każdy mógł mieć telefon, na którego założenie czekało się po kilka lat, a o telefonach komórkowych nikomu się nawet nie śniło.

23 marca 1968 roku przed dziekanatem Wydziału Budownictwa Lądowego na parterze Gmachu Głównego kłębił się już niezły tłumek. Wchodziliśmy pojedynczo. Za pierwszymi drzwiami znajdował się sekretariat z balustradą odgradzającą część pracowników od pozostałych. W lewo były drzwi do pokoju, w którym przy zasłanym zielonym suknie stole siedzieli w garniturach: pan prodziekan i nasi wykładowcy. Każdy dostawał do ręki tekst lojalności wobec władz komunistycznych naszego kraju, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i władz uczelni. Warunkiem ponownego przyjęcia na studia było podpisanie wręzonego nam arkusza formatu A4. Pamiętam dokładnie, że usiadłam tyłem do okna. Nawet nie przeczytałam każdej linijki dokładnie, wzrokiem objęłam cały tekst i stwierdziłam w myślach, że są to typowe slogany komunistyczne znane mi z „Trybuny Ludu”. Oczywiście wszyscy podpisaliśmy „lojalkę”, no bo jakie mieliśmy inne wyjście. Należało mieć przy sobie indeks, w którym na stronie dziewięćdziesiątej prodziekan wpisywał wspomniane przeze mnie zobowiązanie.

## Po wydarzeniach marcowych

**L**etnia sesja egzaminacyjna roku 1968 nie objęła wszystkich studentów Politechniki Wrocławskiej. Wielu z nich – szczególnie ze starszych roczników – nie wróciło na studia. Niektórzy dostali tzw. „wilczy bilet”, bez prawa powrotu na uczelnię – szczególnie ci, u których dopatrzone się bezpośredniego przywództwa i również osoby pochodzenia żydowskiego. Wytaczano procesy pod fałszywymi zarzutami i skazywano na więzienie, wielu powołano do wojska. Pierwszy sekretarz PZPR – Gomułka, krzychał w radiu o syjonistach i wrogach socjalizmu. Przemówienia te tak po prawdzie miały odwrócić uwagę narodu od faktycznych i dolegliwych problemów gospodarczych kraju.

Szczególnie dziwne wydawały się jego ataki na Żydów: powszechnie wiadomo było, że poślubił żydowską komunistkę, która w 1930 roku urodziła mu syna i z którą związek zalegalizował dopiero w roku 1951. Ojciec nam

tłumaczył, że w tym szaleństwie jest metoda. W Komitecie Centralnym każdy każdego się bał, cały czas rozgrywała się walka o „koryta” (jak to bezceremonialnie określał tato). Według niego Gomułka, mając przy boku szalonego Moczara, chciał odwrócić uwagę od swojej rodziny. Ze strachu, pod wpływem Moczara, i za przyzwoleniem milczącego narodu, wymyślił nową ideologię. Osoby pochodzenia żydowskiego oskarżono o działanie na szkodę państwa polskiego. Wszystkich, u których dopatrzono się takiego pochodzenia, zwalniano z pracy, odbierano stanowiska. Profesorów Żydów usuwano ze szkół – w tym także ze szkół wyższych. Pomyślałam wtedy o moim wspaniałym profesorze od matematyki w liceum, który był Żydem o nazwisku Intner, dzięki któremu po maturze wybrałam Politechnikę, gdyż to on wzbudził we mnie miłość do nauk ścisłych. Miał ogromny talent w przekazywaniu wiedzy i życzliwy stosunek do ludzi. Co się wtedy – w 1968 roku – stało z panem, panie profesorze?

Po wydarzeniach marca 1968, po prześladowaniach studentów i naukowców, rękoma mężczyzn po zawodówkach, PZPR rozprawiła się z Żydami, którzy masowo zaczęli opuszczać Polskę. Na skutek kampanii antysemickiej w latach 1968–1972 ponad 20 tysięcy osób wyjechało stąd na zawsze. Moja mama określiła przywódców komunistycznych jednym zdaniem: nie ma gorszego tyrana niż z chama zrobić pana.

Dla mnie ważne było to, że nie spotkałam się w owym czasie – ani na studiach, ani też w życiu prywatnym – chociażby z jedną osobą o poglądach antyżydowskich. Nie było mowy o tym, żeby wśród nas, młodych, istnieli „narodowcy” dążący do rozruchów antyżydowskich, takich, jakie miały miejsce w Polsce na uniwersytetach w latach 1931–1934, a szczególnie na Uniwersytecie Lwowskim. Łączyły nas wspólne sprawy: wspólna nauka i wspólne problemy codzienności. Wspólne radości i smutki.

## Praktyka geodezyjna w Bożkowie

**P**o powrocie na studia zabraliśmy się ostro do nauki, aby zaliczyć pierwszy rok. Do lipca 1968 zdałam wszystkie egzaminy, z wyjątkiem geometrii wykreślnej.

Po pierwszym roku studiów obowiązywała nas miesięczna praktyka geodezyjna w terenie. Wyjechaliśmy do Bożkowa w Kotlinie Kłodzkiej i zamieszkaliśmy tam w pięknym zamku, zajmowanym na co dzień przez szkołę rolniczą. Zostałam grupową małego zespołu, w którym znaleźli się: dwie koleżanki, Iwona i Teresa, oraz dwóch kolegów, którzy kończyli już studia, a pozostała im do zaliczenia jedynie praktyka geodezyjna. Starszy miał na imię Zbyszek, młodszy – Azim i pochodził z Jordanii. Z Jordańczykiem miałam

nieprzyjemne starcie na początku, gdy w czasie pomiarów wypadł mi z kieszeni różaniec. Azim zaczął się naśmiewać i sugerować, bym się tego przedmiotu pozbyła. Dokładnych jego słów nie pamiętam. Zdenerwowałam się, ale powiedziałam mu tylko, że nie będę z nim dyskutować. „Wy macie swoją religię, a my swoją” – tak zamknęłam temat.

Codziennie rano – ze szkicownikami, łątą, niwelatorem i teodolitem – wyruszaliśmy w teren na pomiary. Zwykle ja trzymałam w drewnianej oprawie szkicownik i nanosiłam kolejne punkty geodezyjne wyznaczonego pagórkowatego terenu. Któregoś dnia musieliśmy wejść za opłotki prywatnej posesji. Pod domem przy budzie siedział uwiązany wielki pies. Zaszczekał ostrzegawczo, ale nie zareagowałam, widząc, że jest w odległości co najmniej dwudziestu metrów ode mnie. Spokojnie szkicowałam, gdy nagle usłyszałam tuż obok siebie brzęk łańcucha. Pies rzucił się na mnie i bez trudu mnie przewrócił. Okazało się, że łańcuch miał na końcu kółko, które przesunęło się po linie przymocowanej do ogrodzenia prostopadłego do bramy wejściowej. Nieco potłuczona po skończeniu pracy udałam się na obiad.

Kiedy już wszystko zostało pomierzone, należało sporządzić na dużym arkuszu mapę geodezyjną terenu. Mieszkałyśmy z dziewczętami w pokoju przy tarasie na pierwszym piętrze, gdzie stały piętrowe łóżka i duży stół z krzesłami. Był lipcowy upalny wieczór, gdy sama postanowiłam ponanosić dane z kartek szkicownika na duży arkusz. Z powodu gorąca, okna i drzwi naszego pokoju były otwarte. Z tarasu rozciągał się widok na pobliski cmentarz. Koleżanki poszły już spać, a ja jeszcze długo w nocy pracowałam. Nagle od strony cmentarza usłyszałam przeraźliwy płacz niemowlęcia. Spojrzałam na zegarek – była dokładnie północ. Wyszłam na taras, gdzie płacz było słycać wyraźniej i mabrałam pewności, że dochodzi on od strony cmentarza. Byłam już bardzo zmęczona niewiele więc trzeba było, by w mojej głowie zakiełkowała taka oto myśl: godzina dwunasta w nocy to godzina duchów i najwyraźniej duchy dzieci tak hałasują. Ze strachu wskoczyłam do łóżka w ubraniu. Jakoś zasnęłam i rano dowiedziałam się, że jedna z koleżanek wstawała, by wyłączyć światło. Przy śniadaniu w stołówce koledzy wyśmiali mnie, mówiąc, że to wina kotów.

\* \* \*

Pamiętam, że po jakimś posiłku podszedł do mnie Azim i wręczył mi kolorową widokówkę ze słowami: „to dla ciebie na pamiątkę, to, co jest na tej karcie jest dla ciebie ważne”. Widokówka przedstawiała wodę, a wokół bujną roślinność. Odwróciłam ją na drugą stronę i przeczytałam znane mi słowa: RIVER JORDAN. Reszta była napisana drukiem arabskim. Zawładnęły mną emocje: zaskoczenie, wzruszenie, radość i jeszcze nie wiadomo co.



Podziękowałam mu i powiedziałam: to jest rzeka, w której był ochrzczony Jezus Chrystus. Nigdy bym się tego po Azimie nie spodziewała, szczególnie po wcześniejszym jego „wystąpieniu”. Zadałam mu pytanie, skąd wziął tę kartkę tu, w Bożkowie? Lecz odpowiedzi nie znam do dziś. Teraz, po latach, żałuję, że nie poprosiłam go, by mi napisał kilka słów na pamiątkę na odwrocie tej kartki.

Gdy praktyka dobiegała końca, odwiedził nas profesor Kozuchowski (senior, bo trzeba wiedzieć, że junior – syn profesora, również był geodetą i asystentem na uczelni), który oznajmił, że na zakończenie praktyki zaprasza nas na tańce do sali balowej zamku. Najpierw była uroczysta kolacja, a potem bal do białego rana.

## Epizod na wykładzie

**D**rugi rok studiów zapowiadał się jeszcze trudniejszy, gdyż w semestrze zimowym doszedł nowy przedmiot – wytrzymałość materiałów. Wykłady odbywały się często w sali 29, na parterze budynku zwanego Nowym Elektrycznym (D-1). Docent Longin Jarmońkiewicz, wysoki, w średnim wieku, przystojny pan o ciemnych włosach, cały czas wyprowadzał zawiłe wzory na tablicy. Chodziłam na wszystkie jego wykłady i skrupulatnie notowałam; sposób tłumaczenia bardzo mi się podobał i co więcej wszystko rozumiałam. Zapisywałam każdy znak, symbol, cyfrę. Na jednym z wykładów obok mnie siedziała koleżanka Marylka, a przede mną, kolega, Murzyn z Sudanu, o bardzo kręconych włosach. Przepisując z tablicy, obie bez ustanku spoglądałyśmy na te intrygujące nas kędziory. W końcu postanowiłyśmy sprawdzić, czy te włosy są sztywne, czy miękkie. Docent Jarmońkiewicz prowadził wykład tyłem do sali, pisząc na tablicy, a my z koleżanką, wykorzystując ten fakt, wyciągałyśmy dłonie, dotykając loków kolegi. Moim zdaniem włosy były mięciutkie, Marylka zaś twierdziła, że przeciwnie – są sztywne. Nagle docent Jarmońkiewicz odwrócił się i powiedział: „przestańcie panie głaskać kolegę po głowie i zajmijcie się wykładem”. Cała sala gruchnęła śmiechem. A nam wydawało się, że wykładowca widzi tylko tablicę...

## Przerwa w studiach

**J**uż myślałam, że od drugiego roku moje studia przebiegną normalnie, bez żadnych niespodzianek. Tymczasem w połowie trzeciego semestru administracja budynków mieszkalnych poinformowała rodziców, że nasza kamienica przy ul. Żeromskiego, z drewnianymi stropami i ubiczami na

korytarzach, będzie remontowana. Na ten czas mojej czteroosobowej rodzinie przydzielono lokal zastępczy przy ul. Jackowskiego na Biskupinie, składający się tylko z jednego pokoju i kuchni. Na moich studiach zaczął się tymczasem okres projektów, które powinnam sporządzać w domu. W nowym lokalu nie było miejsca na rozkładanie kalek kreślarskich. Brat uczył się w technikum i odstąpił mi biurko, rodzice zmuszeni byli zlikwidować część poniemieckich mebli. Mogłam próbować załatwić sobie miejsce w akademiku, lecz stwierdziłam, że na ten czas wezmę urlop dziekański. Tak też zrobiłam – przerwałam studia i poszłam do pracy.

Zatrudniłam się jako kreślarz w filii Biura Projektów Zakładów Włókienniczych w Łodzi, które we Wrocławiu mieściło się w ponemieckiej hali produkcyjnej przy ul. Kościuszki (między ulicami Dąbrowskiego i Pułaskiego). Na pierwszym piętrze, na które wchodziło się stalowymi zewnętrznymi schodami, znajdowały się małe pokoiki dla projektantów i kreślarzy, oddzielone od siebie cienkimi ściankami ze sklejki. Pracę miałam bardzo ciężką: na wielkich płachtach formatu A0 kreśliłam kilometry przewodów wentylacyjnych, instalacji sanitarnych i różnych urządzeń. Na stażu zarabiałam 700 zł, podczas gdy projektanci raz na kwartał otrzymywali średnio ponad 20 tysięcy złotych. Marzyłam tylko o tym, by remont kamienicy szybko się skończył. Bardzo chciałam już wrócić do normalnego domu i na Politechnikę, na studia dzienne. Siedząc w pokoju z nalogowym palaczem – projektantem instalacji sanitarnych – z oczami czerwonymi od dymu papierosowego nie mogłam się już doczekać końca mojej udręki. Wtedy to chyba wyleczyłam się z pomysłu godzenia pracy ze studiami.

Tak się złożyło, że na początku nowego roku akademickiego 1969/1970 remont budynku został ukończony i mogłam spokojnie wrócić na studia dzienne.

## Wspomnienia o kolegach i profesorach z drugiego roku

**P**o powrocie na trzeci semestr byłam już wśród nowych koleżanek i kolegów. Pierwszy wykład zaczął się w mojej ulubionej sali 301 w Gmachu Głównym. Po przerwie dosiadła się do mnie dziewczyna o imieniu Basia, mieszkająca – jak i ja – przy ulicy Żeromskiego, z którą znałyśmy się z widzenia. Gdy rozpoczęła się druga część wykładu, nagle otworzyły się dodatkowe drzwi z tyłu i do amfiteatralnej sali wkroczył chłopak o bujnej ciemnej czuprynie w sportowym ubraniu, z wysokim plecakiem. Przy wejściu schylił się i narobił okropnego rumoru, kładąc metalowe klamoty na podłogę.

Po czym zszedł cichutko na dół, do pierwszej ławki i natychmiast zaczął pilnie notować. Basia oznajmiła, że jest to taternik i alpinista – Marek Kęsicki. Właśnie wrócił nocnym pociągiem z Zakopanego. Ten hałas pochodził od raków, które na górze zostawił wraz z plecakiem. Ponieważ w ostatnie wakacje właśnie zostałam turystką wysokogórską, zaliczając szczyty Orlej Perci w Tatrach, pomyślałam: „chyba mi tu będzie fajnie z tymi ludźmi, skoro są wśród nich miłośnicy gór”.

Gdy byłam już po studiach i pracowałam w Biurze Projektów Miastoprojekt, 4 sierpnia 1975 roku do Polski dotarła wiadomość, że 28 lipca Marek zginął tragicznie w Himalajach. Studiował w grupie drogowców i po studiach był asystentem w Instytucie Inżynierii Lądowej. Tego feralnego dnia wraz z polskimi himalaistami – Kazimierzem Głazkiem, Januszem Kulisiem, Bohdanem Nowaczykiem i Andrzejem Sikorskim, dokonał pierwszego w historii polskiego himalaizmu wejścia na szczyt Broad Peak Middle o wysokości 8016 metrów. Zginął podczas zejścia, razem z Sikorskim i Nowaczykiem. Zostali na zawsze w Karakorum, pod zwałami lodu i śniegu. Na Cmentarzu Osobowickim na polu „C”, na płycie grobu jego matki Izabelli, rodzina umieściła dokładną datę urodzin i śmierci Marka 01.01.1950 –28.07.1975. Obecnie (po śmierci jego brata, który także spoczął w grobie matki) jest nowy nagrobek i napis dotyczący Marka: „Marek Kęsicki 1950 –1975 zginął w Himalajach i tam spoczywa”. Dla niego czas się zatrzymał – miał zaledwie 25 lat.

W mojej nowej grupie był bardzo spokojny i kulturalny kolega Adaś. Razem uczęszczaliśmy na wykłady z fizyki, które prowadziła pani docent Wesołowska. Ćwiczenia odbywały się przeważnie w sali 207 Gmachu Głównego z jej asystentem, którego przeżywaliśmy Napoleonem. Na ostatnim semestrze z fizyki, podczas ćwiczeń, omawiana była teoria względności Einsteina. W sali 207 ławki mają tylko trzy rzędy. Ja siedziałam akurat w środkowym, Adaś nieco za mną, w ostatnim. Napoleon, omawiając teorię Einsteina, podał przykład braci bliźniaków: jeden pozostał na Ziemi, a drugi wyruszył w kosmiczną podróż, z której po wielu latach wrócił na Ziemię jako młody człowiek, podczas gdy jego brat bardzo się zestarzał. Słuchałam tego zafascynowana. Tymczasem Adaś czytał za plecami kolegi jakąś książkę i widać było, że jest zupełnie nieobecny. Przechyliłam się do tyłu i rzuciłam okiem w otwarte stronicie. „Julian Sorel zasnął w objęciach kochanki” – przeczytałam. Ach, więc Adaś czyta *Czerwone i czarne* Stendhala – książkę, którą połykałam jako nastolatka. W tym momencie, z uwagi na moje wzniosłe przeżycia wywołane teorią Einsteina, która Adasia w ogóle nie interesowała, stracił on w moich oczach wszystkie dodatnie cechy, jakie dotąd mu przypisywałam. No bo żeby mężczyzna czytał romanse i to na tak niezwykłym wykładzie?!

Na drugim roku studiów z nową grupą kontynuowałam naukę wytrzymałości materiałów. W semestrze letnim doszło projektowanie z tego przedmiotu, które to zajęcia prowadził magister Piotr Konderla – człowiek młody, lecz o niebywale solidnym i konkretnym podejściu do przedmiotu. Bardzo podobały mi się prowadzone przez niego ćwiczenia i tak się postarałam, że nawet otrzymałam ocenę powyżej dobrą. Przy tak trudnych przedmiotach, jak mechanika czy wytrzymałość materiałów, otrzymanie jedynie trójki było już wielką radością. Tym bardziej więc się cieszę, że pan Piotr Konderla został później profesorem zwyczajnym i zarazem wykładowcą wytrzymałości materiałów.

Interesującym przedmiotem były również materiały budowlane, przede wszystkim z uwagi na prowadzącego wykłady profesora Mieczysława Zacharę, urodzonego we Lwowie w 1911 roku. W mieście tym przed wojną profesor był wykładowcą na Politechnice Lwowskiej. Miał zawsze uśmiech francuskiego aktora Fernandela i na każdym wykładzie zachęcał nas do zasilenia chóru Politechniki Wrocławskiej, który współorganizował i w którym sam śpiewał. Pamiętam, że gdy kilkakrotnie mówił o produkcji cegły, zwracał się do kobiet (nas, studentek) z tekstem, jak ważny jest kierunek mieszania gliny, by powstała solidna, wytrzymała cegła: „glinę należy mieszać w jednym kierunku, tak jak się miesza ciasto. Gdy przełamiemy wypaloną z gliny cegłę to zobaczymy zatrzymaną w przekroju strukturę pamięci”. Zapamiętałam sobie na zawsze tę „strukturę pamięci”. Profesor Zachara zmarł w kwietniu 1999 roku.

## Nauka mechaniki budowli na trzecim roku

**N**a trzecim roku studiów (piąty semestr) mieliśmy przedmiot o nazwie mechanika budowli (statyka i dynamika) prowadzony przez docenta Zdzisława Grodeckiego, do którego studenci zwracali się „panie profesorze”. Profesor Grodecki z moją grupą miał również ćwiczenia. Przedmiot ten sprawiał mi nie byle trudność. Chodziłam na wszystkie wykłady, uczyłam się z zeszytu i z książki. Efekty były takie, że gdy szłam do profesora z rozwiązaniem statycznym jakiejś belki czy ramy, okazywało się, że popełniam błędy. Zwróciłam się o pomoc do kolegów po technikum, którzy mieli opinię dobrych ze statyki. Gdy byłam już pewna dobrego rozwiązania, profesor znowu sprowadzał mnie na ziemię. Takich osób jak ja było kilka na roku. Egzaminu ze statyki w pierwszym terminie nie zdałam. Poprawkowego zresztą także... Ogarnęła mnie czarna rozpacz: z powodu tego nieudanego egzaminu trzeba bowiem było brać urlop dziekański i mieć przesunięcie zakończenia studiów o rok. Taki był wtedy

regulamin opracowany przez profesora Tadeusza Porębskiego, rektora Politechniki Wrocławskiej. Regulamin ten studenci nazywali „księgami pana Tadeusza”. Zgodnie z nim, po niezdanym egzaminie poprawkowym była jeszcze jedna i ostatnia szansa – egzamin komisyjny. Niezdanie komisji było jednoznaczne z pożegnaniem się ze studiami. Nie chciałam ryzykować i dałam sobie spokój. Pocieszałam się, że nie tylko ja wypadłam z roku. Jednakże trudno było mi pogodzić się z porażką. Stwierdziłam wtedy, że jest ona wynikiem braku przykładów ustrojów prętowych do rozwiązania zebranych w specjalnym zbiorze. Myślę, że do tej pory studentom Wydziału Budownictwa Lądowego brakuje takiego zbioru. Oni, tak jak i ja wtedy, nie są w stanie na tym etapie nauki wymyślać sobie różnego rodzaju belek, ram czy kratownic. Postanowiłam, że powtarzając statykę, skupię się głównie na rozwiązaniach wszelkich możliwych ustrojów statycznie wyznaczalnych i statycznie niewyznaczalnych. Zaczęłam chodzić na konsultacje do profesora Grodeckiego, którego pasją było rozwiązywanie płaskich i przestrzennych układów prętowych. Otrzymywałam od niego różne możliwe kombinacje tych ustrojów. Być może profesor zorientował się, że nie jestem już tą najgorszą ze statyki, ponieważ na konsultacjach prowadził ze mną często rozmowy na tematy prywatne. Pamiętam, jak rozmawialiśmy między innymi o prasowaniu męskich koszul. Siedziałam u niego w gabinecie bardzo spięta, szczerze mówiąc – wolałam rozmawiać tylko o zadaniach. Naprowadzałam więc profesora na temat ustrojów konstrukcyjnych, ale on widać wolał kontynuować swoje prywatne wywody. Może wyczuwał we mnie napięcie i chciał, żebym bardziej na luzie traktowała jego przedmiot.

Kiedyś doszło do tego, że z moich konsultacji u profesora (które zaczęły się o siódmej wieczorem, gdyż byłam ostatnia w kolejce) wyszliśmy oboje o północy. Do dziś pamiętam zdziwioną twarz portierki...

Bojąc się ciągle kolejnej porażki, zaczęłam zbierać od koleżanek i kolegów ich przykłady konstrukcji i tworzyłam własny zbiór, dzięki któremu mogłam pomagać innym. Na szczęście ostatecznie zdałam egzamin u profesora Grodeckiego i to całkiem nieźle.

Profesor Grodecki, który studiował na Politechnice Lwowskiej przed wojną, urodzony 16 lutego 1920 roku, zmarł 19 listopada 2003 roku. Pamiętam, że widziałam go jeszcze wiosną. Oglądałam wystawę księgarni przy placu Legionów i gdy się odwróciłam, zauważyłam stojącego obok profesora, który jak gdyby nigdy nic powiedział: „dzień dobry”. Pamiętał mnie prawie 29 lat od zakończenia studiów. Bardzo żałuję, że nie nawiązałam z nim wtedy rozmowy...

Wiedza ze statyki jest bardzo ważna – jeden błąd i katastrofa budowlana gotowa. Niestety, jednego z moich kolegów – Wieśka T., z którym rozpoczęłam studia, spotkało nieszczęście po zawaleniu się 6 grudnia 2000 roku konstrukcji żelbetowej obiektu handlowego Carrefour’a w Szczecinie, którego realizację prowadził. Załamał się i 12 lutego 2001 roku odszedł z tego świata. Był wyjątkowo zdolnym studentem – bardzo dobrym, zarówno z wytrzymałości materiałów, jak i ze statyki. Nie popełnił błędu, jak wykazała ekspertyza zlecona specjalistom z Politechniki Szczecińskiej i następnie opublikowana w numerze 8/2001 czasopisma „Inżynieria i Budownictwo”. Winnymi tragedii byli projektanci-konstruktorzy, inżynierowie budownictwa, którzy błędnie zaprojektowali połączenie wspornika z dźwigarem. Sprawa w sądzie ciągnęła się aż do 2005 roku. Projektant-konstruktor i dwóch sprawdzających otrzymali wyroki w zawieszeniu. Wieśka żegnaliśmy całą moją grupą na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Spoczął na polu 102 pod kamieniami z granitu, na których znalazł się napis: Wiesław T. 11.01.1949–12.02.2001. Na zawsze zapamiętałam jego szczupłą wysoką sylwetkę i życzliwe wyjaśnienia, gdy prosiłam go o pomoc.

Wspominając niezżyjącego kolegę, bardzo żałuję, że na zajęciach katastrofy budowlane omawiane były tylko marginesowo. Należałoby prowadzić wykłady (prawdopodobnie ze statyki), obrazując – na przykładach konstrukcji budynków i budowli – sposoby zabezpieczeń (stężeń) tych konstrukcji w trakcie realizacji oraz podawać obliczeniowo, co by się stało w przypadku wyłączenia jakiegoś elementu konstrukcyjnego lub jego wymiany na inny w innym miejscu. W przypadku Carrefour’a w Szczecinie inwestorom przeszkadzał słup i dlatego został on zastąpiony wspornikiem. Projektant-konstruktor popełnił kilka błędów dotyczących zamocowania tegoż.

\* \* \*

„Księgi pana Tadeusza” nie okazały się dla mnie aż tak bardzo rygorystyczne, gdyż pozwolono mi studiować awansem, co oznaczało, że na zajęcia uczęszczałam z moim poprzednim rocznikiem. Na egzaminach nie podawałam jednak do podpisu indeksu, tylko specjalną kartę. Niektóre przedmioty studiowałam z nową grupą i rocznikiem, a więc ludźmi ode mnie młodszymi nawet i trzy lata. Osobiście nie mogę niczego złego powiedzieć o rektorze Politechniki Wrocławskiej – profesorze Tadeuszu Porębskim, który sprawował tę funkcję w latach 1969–1980. Myślę nawet, pomijając względy polityczne, że dyscyplina wprowadzona przez niego na uczelni była młodym ludziom potrzebna. Jednakże znam również dramaty ludzi, którzy po niezdanym egzaminie komisyjnym już nigdy nie wrócili na studia.

Profesor Tadeusz Porębski zmarł 17 lipca 2001 roku, w wieku 70 lat, i został pochowany na Powązkach w Warszawie.

## Nowe przedmioty na trzecim roku

**N**a trzecim roku studiów, oprócz statyki, doszły następne przedmioty o dużym stopniu trudności i bardzo ważne dla przyszłych inżynierów: konstrukcje betonowe – „żelbet”, konstrukcje stalowe – „stal”, mechanika gruntów i fundamentowanie oraz budownictwo ogólne.

Wykłady z „żelbetu” – jak nazywaliśmy konstrukcje betonowe – prowadził docent Stefan Jasman, dosyć wysoki siwawy pan o masywnej budowie ciała. Był bardzo pogodnym człowiekiem, lubił żartować i nie wprowadzał na swoich zajęciach atmosfery nerwowości. Studia na Politechnice Wrocławskiej na Wydziale Budownictwa Lądowego skończył w 1952 roku. Dużym zaskoczeniem była dla mnie wiadomość o jego nagłej śmierci – 3 sierpnia 2002 roku.

Konstrukcje metalowe wykładał profesor Zbigniew Kowal. W 1981 roku (już po moich studiach) rozpoczął pracę na Politechnice Świętokrzyskiej, gdzie w latach 1984–1990 pełnił funkcję rektora. Pracował również na Politechnice Częstochowskiej. Profesor Kowal, urodzony w roku 1928, 10 września 2010 roku skończył 82 lata.

Gdy byłam studentką, ćwiczenia z konstrukcji metalowych prowadził bardzo sumienny i życzliwy asystent profesora – mgr Antoni Biegus. Bardzo ucieszyłam się na wieść, że od 1 stycznia 2001 roku jest on profesorem zwyczajnym. Ku memu zaskoczeniu, na egzaminach z żelbetu i konstrukcji metalowych otrzymałam nawet dobre oceny. A może wreszcie dojrzałam do tego, by nie mieć problemów? Na pewno stało się to za sprawą wyjątkowych wykładowców i ich asystentów.

\* \* \*

W czasie długoletniej praktyki zawodowej uzupełniłam wiedzę zarówno z „żelbetu”, jak i ze „stali”. Szkoda, że na wykładach lub ćwiczeniach z tych przedmiotów nie omówiono na wielu konkretnych przykładach sposobów (detali) połączeń poszczególnych elementów konstrukcyjnych, zarówno żelbetowych, jak i stalowych. Chodzi mi o połączenia sztywne oraz szczególnie o połączenia przegubowe.

Egzamin ustny z budownictwa ogólnego u docenta Kazimierza Czarnowskiego (pamiętam, że było to w przyziemiu Gmachu Głównego) był dla mnie bardzo dziwny. Była to nieomal pogadanka o systemach budownictwa, w czasie której docent zadawał mi zaskakujące pytania: jaka w tym pomieszczeniu jest podłoga, jaki tu jest rodzaj okna, itp. Potem poprosił o indeks i byłam już pewna, że oblałam, wszyscy moi poprzednicy wychodzili bowiem z oceną niedostateczną. Jednak zdałam w tym dniu jako jedna z nielicznych i to z oceną bardzo dobrą.

Pan docent Czarnowski, urodzony 3 marca 1917 roku, wydawał mi się wtedy człowiekiem energicznym, takim, co to nigdy się nie zestarzeje. Zrobiło mi się smutno, gdy usłyszałam, że zmarł 7 października 2001 roku.

\* \* \*

Mechanikę gruntów i fundamentowanie zdawałam u profesora Biernatowskiego w gmachu D-2 (Inżynierii Sanitarnej). To był bardzo trudny egzamin, wielu studentów go nie zdało. Wylosowałam zestaw tematów do omówienia. Pan profesor przerwał mi i zadał dodatkowe pytania. Egzamin przeobraził się w rozmowę. Długo ona nie trwała. Gdy odebrałam indeks, myśląc, że egzamin trzeba będzie powtórzyć – znalazłam w nim ocenę bardzo dobrą.

Profesor był bardzo przystojnym mężczyzną o ciemnych oczach, ciemnych włosach i wyglądzie młodego (jak na profesora) człowieka. Urodził się w 1932 roku. Wielkim zaskoczeniem było dla mnie po latach przypadkowe odnalezienie jego grobu na Cmentarzu Osobowickim – zmarł w 1988 roku.

## Na czwartym i piątym roku

Na czwartym roku kontynuowane były przedmioty, takie jak mechanika gruntów i fundamentowanie, konstrukcje betonowe i konstrukcje metalowe. Doszedł nowy – budownictwo przemysłowe z projektowaniem, który to przedmiot prowadził profesor Borcz – pan w średnim wieku, szczupły, o siwych włosach. Miałam zaprojektować skład kruszywa dla zakładu prefabrykacji, co stanowiło pewien stopień trudności, gdyż nie było na ten temat wiedzy w dostępnych podręcznikach. Pomoc uzyskałam w Biurze Projektów Ceramiki Budowlanej przy ul. Raławickiej.

Bardzo trudnym przedmiotem była teoria sprężystości i plastyczności, którą wykładał docent Jarmońkiewicz. Wiedziałam, że muszę się przyłożyć, by zdać w pierwszym terminie i dałam radę. Po tym trudnym zaliczeniu uświadomiłam sobie, że dyplom mam już prawie w kieszeni.

Kilka lat temu dowiedziałam się, że profesor Jarmońkiewicz miał wylew. Chcę wierzyć, że czuje się już dobrze, gdyż z przyjemnością wspominam zarówno jego, jak i jego trudne wykłady.

\* \* \*

Na ostatnim roku nie mieliśmy już tak trudnych przedmiotów, jak w latach poprzednich. Do interesujących należały wykłady profesora Wacława Szarejki z fizyki i ochrony budowli. Po latach emocji związanych z nauką i egzaminami w poprzednich latach, na tych zajęciach odpoczywałam, gdyż profesor mówił



spokojnie i – jak zauważyłam – miał w oczach niespotykaną dobroć dla ludzi (w myślach określałam ją jako „samą słodycz”). Był to człowiek niedużego wzrostu – taki starszy siwy pan. Urodzony w 1902, zmarł 11 listopada 1980 roku. Według mnie był prekursorem dyscypliny, która będzie rozwijać się nieustannie w miarę tworzenia nowych systemów budownictwa i wykorzystywania nowych rodzajów materiałów budowlanych.

\* \* \*

Na semestrze dyplomowym (ostatnim) miałam z nową grupą zajęcia seminaryjne – to był już semestr letni roku 1974. Seminaria polegały na tym, że prowadzili je studenci, z których każdy mówił na interesujący go temat dotyczący budownictwa. Miałam wykład na temat konstrukcji budynków wysokich w świecie. Zdobycie informacji nie było takie proste jak obecnie, w dobie Internetu. Musiałam odwiedzić wiele bibliotek, m.in. w biurach projektów. Ponieważ nie znałam języka angielskiego (na studiach uczyłam się tylko rosyjskiego i francuskiego), żeby nie łamać sobie języka, wymyśliłam plansze z angielskimi napisami, bo w tym języku nadawano nazwy budynkom usytuowanym na obu półkulach. Na moim wykładzie porozwieszałam na deskach kreślarskich narysowane w skali na papierze pakunkowym budynki wysokie z częścią opisową. Wydawało mi się – z uwagi na ten niezbyt estetyczny papier – że wypadnę słabo. O dziwo, dostałam bardzo dobry.

Moja praca dyplomowa również dotyczyła budynku wysokiego, osiemnastokondygnacyjnego, z podaniem rozwiązań architektonicznych i konstrukcyjnych. W pracy tej przeprowadziłam obliczenia statyczne konstrukcyjne wielu systemów budownictwa, jakie były wtedy realizowane w Polsce, m.in. WBL, W-70, Wk-70, Wrocławska Wielka Płyta i System Szczeciński. Miałam ocenić, który z nich jest najbardziej ekonomiczny, tj. najtańszy i pozwalający na zamieszkanie największej liczby ludzi. Systemem tym była Wrocławska Wielka Płyta z budynkami o ścianach i stropach grubości 14 cm.

Dyplom magistersko-inżynierski ze specjalnością budownictwo miejskie i przemysłowe otrzymałam w 1974 roku.

## Opis przyrządów pomocniczych do nauki

Czasy, w jakim studiowałam, nie były łatwe również z uwagi na sprzęt, którym dysponowaliśmy. Wszystkie obliczenia robiliśmy na suwakach. Dziś niektórzy nie wiedzą nawet, jak on wygląda. Jest to „linijka” o trzech pasmach, z których środkowa część jest przesuwana. Na tych trzech „linij-

kach” dodatkowo „jeździ” prostokątne szkiełko z trzema pionowymi kreskami. Można na tym urządzeniu wykonywać wszystkie działania matematyczne, łącznie z pierwiastkowaniem.

W Instytucie Geodezji udostępniano nam do obliczeń arytmometr, zwany przez nas kręciółkiem. Była to stalowa maszynka o wymiarach: dł. ok. 30–40 cm, wys. ok. 15 cm – z suwakami przy cyfrach na łukowatego kształtu pokrywie i z korbką. Pierwszy kalkulator elektroniczny miałam dopiero w pracy. Projekty wykonywaliśmy na kalkach technicznych, które dla powielania oddawało się na światłokopię.

Podstawowym przyrządem kreślarskim był grafion – dwie płytki na obsadce skręcane pokrętelem w celu uzyskania odpowiedniej grubości linii. Potem nastąpiły markery, grafosy i rapidografy. Rysunki opisywane były początkowo stalówkami, które nazywano redisówkami.

Na ogół każdy ze studentów oddawał do przepisania na maszynie tekst pracy dyplomowej paniom, które tym się trudniły. Ja swoją panią maszynistkę znalazłam w jakimś biurze projektów. Ten zawód obecnie zanikł, mimo że kiedyś, aby posiadać umiejętność pisania na maszynie, trzeba było ukończyć specjalny kurs.

## Rady dla studentów i absolwentów Wydziału Budownictwa Lądowego

**M**oim koleżankom i kolegom po fachu – przyszłym inżynierom budownictwa – chciałabym uświadomić, że studia na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Wrocławskiej są jedynie otwarciem drogi do zawodu i warunkiem otrzymania pracy w budownictwie. Zawód inżyniera budownictwa wymaga ciągłego dokształcania się. Trzeba być zawsze na bieżąco z nowościami w zakresie przepisów prawa budowlanego, wraz z rozporządzeniami wykonawczymi, kosztorysowania, materiałów budowlanych i nowych technologii. Obowiązkowo należy zapoznać się z ustawą o zamówieniach publicznych i w razie potrzeby – uczestnicząc w przetargach – umieć stosować jej przepisy. Moim zdaniem ambitny inżynier budownictwa powinien zdobyć uprawnienia zarówno w zakresie projektowania, jak i realizacji obiektów budowlanych.

A najważniejszym zadaniem zaraz po skończeniu studiów (lub jeszcze na końcówce, w ostatnim semestrze) jest skompletowanie wszystkich norm budowlanych do prywatnego zbioru lub też zakupienie ich całego kompletu. Nigdy nie należy się z nimi rozstawać – wtedy nie będzie problemów ani z projektowaniem konstrukcji, ani z realizacją budów. W swojej praktyce zawodowej przekonałam się nieraz, jak bardzo jest to ważne, chociażby wtedy,

gdy, pracując na budowie i przeglądając dokumentację projektową budynku mieszkalnego, zauważyłam, że projektant zapomniał policzyć stopę fundamentową na przebiecie i trzeba było zmieniać jej wymiary, jak też dokładać zbrojenia. Ponieważ projektant przebywał za granicą, zajęłam się tym sama. Często na kartach norm mojego zbioru robiłam uzupełniające notatki ołówkiem. Na pewno nie byłoby to możliwe w przypadku posiadania takiego zbioru jedynie w komputerze.

Ważna jest też wiedza o budynkach i budowlach, jakie nas otaczają i które długo jeszcze będą istnieć. Nie do pomyślenia jest na przykład, aby w remontowanym budynku mieszkalnym lub hotelowym, zrealizowanym z płyt żelbetonowych o otworach drzwi wejściowych szerokości 80 cm – poszerzać te otwory do szerokości 90 cm, bo tak mówi nowa norma. Jest to absolutnie zabronione, gdyż ściany konstrukcyjne nośne z otworami zostały wcześniej policzone na całej wysokości budynku jako ściany nośne osłabione otworami, z uwzględnieniem obciążeń poziomych według obowiązującej wtedy normy. Przykład ten świadczy również o tym, że inżynier budownictwa nie może być kujonem.

## Praca i zainteresowania zawodowe

**N**a koniec o tym, jak potoczyły się moje losy po skończeniu Politechniki Wrocławskiej. Zaraz po otrzymaniu dyplomu, pani pełnomocnik do spraw zatrudnienia (pracownik Politechniki) wręczyła mi skierowanie do pracy w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego, które mieściło się w starym budynku przy alei Słowackiego. Postanowiłam sprawdzić najpierw, co się w takim biurze projektuje. Gdy weszłam do pokoju projektantów, od razu się wycofałam. O nie! – powiedziałam sobie – żadnych zbiorników i silosów nie będę projektować. Udałam się więc na sąsiednią ulicę (Ofiar Oświęcimskich) do Biura Projektów Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt”, bezpośrednio do działu kadr, którego szef – łysawy starszy pan – dosłownie mnie przegonił, twierdząc z wyraźną złością, że w tym biurze już od lat nie przyjmuje się do pracy inżynierów. Niezrażona weszłam do sekretariatu i zapisałam się na rozmowę z dyrektorem technicznym. W wyznaczonym terminie przyszłam z moją pracą dyplomową. Dyrektor przejrzał ją i poprosił do siebie szefa zespołu konstruktorów budownictwa z Pracowni Unifikacji Wrocławskiej. Inżynierowi K. podał moją pracę ze słowami: „ta pani umie sporządzać obliczenia statyczne budynków, myślę, że mogłaby się przydać w pana zespole”. Ten, patrząc na mnie cały czas i przewracając kartki, odpowiedział: „tak jest, panie dyrektorze”.

W takim ekspresowym tempie załatwiłam sobie pracę i zostałam czarną owcą w zespole, wszyscy bowiem myśleli, że jestem protegowaną dyrektora

technicznego. Gdy wyczułam dziwną atmosferę wokół siebie, opowiedziałam całą historię i odtąd byłam bardzo mile traktowana.

Na początek powierzono mi samodzielną pracę pt. „Obliczenia statyczne budynków pięcio- i jedenastokondygnacyjnych w systemie Wrocławska Wielka Płyta”. Zostałam autorem opracowania w formie książkowej, z którego później korzystało wielu projektantów konstruktorów. W mojej pracowni nie było projektów nietypowych. Jednakże konstrukcyjne rozwiązanie pewnych elementów nie było proste. Przykładem są dwie płyty stropowe łącznikowe klatki schodowej na osiedlu Polanka we Wrocławiu, które łączą bryły budynków. Płyty te, o kształcie zbliżonym do trapezu, posiadają wycięcia na szyb windy, zsymp smięci i oparcie biegów schodów. Obliczenie zwykłymi metodami statycznymi mogłoby doprowadzić do jakiegoś błędu. Po rozmowach telefonicznych skorzystałam z pomocy komputera w Stoczni Gdańskiej. Przygotowałam siatkę punktów, w których chciałam uzyskać siły wewnętrzne i później był tylko problem zbrojenia tych cienkich (14 cm) płyt. Jako asystent projektanta zostałam autorem ich konstrukcji. Później zajmowałam się innymi pracami, m.in. propozycją usytuowania całych brył budynków na wysokich słupach. Niestety, moje wstępne opracowania trafiły na półkę, co widać w samym Wrocławiu na osiedlach.

W tym czasie – w styczniu roku 1977 – otrzymałam zaproszenie do brata mojego ojca do Paryża. Po paszport stałam w długiej, kilkumiesięcznej kolejce przed komisariatem milicji przy ul. Rydygiera. Społeczny komitet utworzył listy kolejkowe i codziennie po pracy zgłaszałam się, żeby odfajkowano moją obecność. Ostatecznie paszport otrzymałam w sierpniu 1977 roku przy ul. Łąkowej. Do Paryża poleciałam samolotem 1 września, na kilkumiesięczny pobyt w ramach urlopu bezpłatnego.

Będąc tam, dosłownie dostałam obsesji na punkcie słupów pod budynkami. Wykonałam minimum dwieście przezroczy. Podczas kilkumiesięcznego pobytu miałam okazję poznać budynki Paryża. Stolica Francji ocalała w czasie drugiej wojny światowej, mogłam więc na co dzień oglądać dziewiętnastowieczną architekturę opisywaną przez Emila Zolę w powieści *Zdobycz*. Razem z kuzynką bywałam też w domach jej przyjaciół. No cóż, z zewnątrz piękno i blichtr, jak w całym Paryżu, wewnątrz – brak nowoczesnych rozwiązań, jak łazienki czy ogrzewanie. Często na ostatnich kondygnacjach widywałam na klatkach schodowych tureckie ubikacje. Wnętrza blokowe wschodnich osiedli posiadały niebezpieczne (z uwagi na zagrożenie katastrofą budowlaną) rudery. W pewnym budynku (przy rue de Pali Kao) na pierwsze piętro należało wchodzić schodami tylko prawą stroną, wchodzenie lewą groziło ich zawaleniem. Okryłam wtedy, że istnieją dwa Paryże: Paryż turystów, który zawsze będzie zachwycał, i Paryż zwykłych mieszkańców.

Odwiedziłam wiele dzielnic (co nie zawsze było bezpieczne), by odpowiedzieć sobie na pytanie, na czym polega różnica – jeśli chodzi o warunki życia – między ludźmi kapitalizmu a nami, Polakami, mieszkającymi w socjalizmie. Stwierdziłam wtedy, że zwykli mieszkańcy Paryża to ludzie na co dzień przemęczeni, pracujący ponad siły i często bardzo mocno zestresowani z powodu nadmiaru obowiązków, złej atmosfery w pracy i lęku przed jej utratą. Jedyne czego zazdrościłam Francuzom to sklepów pełnych towarów oraz wspaniałych dróg i autostrad. Mogłam tam wtedy zostać na stałe (czyli uciec z komunizmu), lecz nie miałabym szans przyjechać do Polski nawet po to, aby zobaczyć się z moimi rodzicami. Poza tym musiałabym lepiej poznać język, zacząć pracę od sprzątanania biur projektów i nostryfikować dyplom. Wybrałam „polskie komunistyczne ciepłko”: zawsze pewną pracę, niską płacę i atmosferę rodzinnej wspólnoty. Uświadomiłam sobie również tam, w Paryżu, że jako inżynier budownictwa jestem potrzebna w kraju, który nadal należy odbudowywać po wojennych zniszczeniach. Zbombardowany Wrocław czekał na mieszkania i... na mnie – specjalistkę od projektów budynków mieszkalnych.

Nie uważałam, że Zachód może mnie kupić za plastry szynki, której u nas wtedy nie było. Wierzyłam mocno w zmiany i młode pokolenie, pokolenie wykształconych ludzi, którzy kiedyś – po śmierci oszołomów – przejmą w Polsce władzę.

Warto było wrócić – dla mnie komunizm padł ostatecznie w 1989 roku, kiedy to pierwszym niekomunistycznym premierem został Tadeusz Mazowiecki. Otrzymałam od losu prezent na moje czterdzieste pierwsze urodziny. Tak to odebrałam. Teraz mogę tylko dodać, że nie ma na świecie idealnego systemu społeczno-politycznego. Tylko człowiek powinien dążyć do ideału. Komunizm, niestety, na skutek tłamszenia inicjatyw i ograniczenia wolności – dla każdej jednostki ludzkiej jest systemem blokującym jej rozwój.

Po „Miastoprojekcie” zatrudniłam się w rzemiośle (Zakład Inwestycji Budownictwa przy Izbie Gospodarczej). Później dosyć długo – u największego wrocławskiego inwestora, tj. w Dyrekcji Miejskich Inwestycji Komunalnych, w spółdzielczości mieszkaniowej (Spółdzielnia Mieszkaniowa „Metalowiec”), w drogownictwie (Wojewódzka Dyrekcja Dróg Publicznych), przy remontach starych domów (Zarząd Gospodarki Mieszkaniowej Wrocław–Stare Miasto) i ostatnio – w Wojsku Polskim. W ciągu ponad trzydziestu lat pracy uzyskałam uprawnienia wykonawcze i projektowe. Skończyłam wiele kursów dokształcających, m.in. z zakresu kosztorysowania, w tym również taki, dzięki któremu zostałam starszym specjalistą ds. kosztorysowania w budownictwie.

W 1991 rozpoczęłam pracę w Wojewódzkiej Dyrekcji Dróg Miejskich, gdzie poznałam konstruktora mostów, inżyniera Mirosława Zamaro. Przy jego pomocy sporządziłam kosztorys niewielkiego mostu nad rzeką Dobrą.

Miałam obawy, czy będę umiała z projektu tegoż mostu odczytać wszystko to, co jest potrzebne do obliczeń. Inżynier Zamaro bardzo życzliwie objaśnił mi, że wszystkie mosty konstruowane są według pewnych zasad i posiadają te same elementy. Reszta to elementy budownictwa ogólnego i drogowego. Postarałam się i dałam radę. Zabrakło czasu, bym mogła tę umiejętność rozwinać.

Inżynier Zamaro – bardzo przystojny mężczyzna o ciemnych włosach – był człowiekiem dużej wiedzy, a mimo to był bardzo skromny. Ta jego wiara w moje umiejętności podtrzymywała mnie na duchu w trudnych momentach w następnych zakładach pracy. Inżynier Zamaro, urodzony 1 stycznia 1935 roku, zmarł 2 kwietnia 2004 roku. Swoim sposobem bycia prawdziwego dżentelmena mógł być wzorem dla innych inżynierów budownictwa.

Ciągle czuję niedosyt spełnienia zawodowego do końca. Może uda mi się, kiedy... otrzymam od Boga jeszcze jedno życie...

## Na Politechnice Wrocławskiej w 2009 roku

**R**easumując, pragnę dodać, że jestem dumna z tego, że skończyłam studia na tak niezwykłej uczelni. Dziękuję Opatrzności za to, że trafiłam na wykładowców i asystentów, którzy dali z siebie wiele, by nam, młodym, przekazać duży zasób wiedzy technicznej, a także nauczyli nas właściwego zachowania i dobrych manier. Wszystkich wykładowców i ich asystentów na zawsze będę miała w swojej pamięci, mimo że nie o wszystkich tu napisałam.

Skończone przeze mnie studia na Politechnice Wrocławskiej i lata pracy nauczyły mnie tego, że niełatwą wiedzę techniczną zdobywa się wytrwałością i systematycznością oraz tego, że do wykorzystania tej wiedzy potrzebny jest dobrze zorganizowany zespół ludzi uczciwych.

\* \* \*

W grudniu 2009 roku postanowiłam po latach odwiedzić budynki Politechniki Wrocławskiej, by sobie wiele faktów przypomnieć. Zaczęłam od wizyty w Archiwum, w budynku G-10 przy ul. Gdańskiej 13/15. Odszukano moją teczkę, w której nie było ani śladu „lojalki” z 1968 roku. Pan archiwista poinformował mnie, że wie ze słyszenia, iż kiedyś była akcja czyszczenia teczek z dokumentów obciążających absolwentów. Prosiłam o skserowanie tekstu, który gdzieś musi być. Nic nie załatwiłam, wobec czego po informacji uzupełniające zatelefonowałam do koleżanki Marylki, z którą zaczynałam studia. Wzięła do ręki swój indeks i przeczytała wpis, którego ja nie mam, jako że byłam wtedy na urlopie dziekańskim i pracowałam: „Zatarcie nagany porządkowej z dnia 23 III 68 r.” Podpisał Dziekan Wydziału Budownictwa

Ładowego – prof. Jan Kmita z datą 25 IV 1969 r. Czyżby chodziło o to, by nas, osoby wykształcone, chronić przed szaleństwem i okrucieństwem komunizmu? Wielu należało wtedy do PZPR na zasadzie „nie chcę, ale muszę” i może to oni podjęli decyzję o „czyszczeniu papierów”.

Również w grudniu 2009 złożyłam wizytę w Gmachu Głównym Politechniki Wrocławskiej przy Wybrzeżu Wyspiańskiego oraz w budynkach przy placu Grunwaldzkim, które nazywaliśmy Nowy Elektryczny i Inżynierii Sanitarnej. Nie byłam sama, wędrując korytarzami – towarzyszyli mi wykładowcy z mojego wydziału, którzy odeszli do wieczności i którzy na pewno odwiedzają mury Politechniki Wrocławskiej.

Pokolenia przemijają, a mury pozostają. A przede wszystkim pozostaje pamięć o tych, którzy w tych murach przebywali: naukowcach i ich studentach.





Barbara Zapaśnik

## Tak zapisało się w mojej pamięci

### Droga na studia

W lipcu 1949 roku przyjechałam do Wrocławia wraz z rodzicami i maleńką siostrą.

Dzięki zapobiegliwości i uporowi mamy zostałam przyjęta do liczącej już ponad 40 uczniów klasy IXa w III Liceum Ogólnokształcącym. Sala lekcyjna była tak wypełniona ławkami, że kolejna, dostawiona dla mnie, częściowo tarasowała drzwi wejściowe, jednak na takie utrudnienia nie zwracało się wtedy uwagi. W szkole, zorganizowanej i kierowanej przez wybitnego pedagoga Antoniego Ziębę, panowała wspaniała atmosfera co ułatwiało pokonywanie wszelkich trudności.



W tym czasie zaczęły powstawać technika – pięcioletnie po VII klasie i trzyletnie po IX klasie. Szkoła przeprowadziła szeroką akcję uświadamiającą, proponując uczniom, którzy nie zamierzali studiować, szybkie zdobycie kwalifikacji zawodowych w technikach. Z oferty skorzystało tak wielu, że klasa X liczyła tylko 27 uczniów, w tym 4 nowo przyjętych. Powstały normalne warunki do pracy, zarówno dla nauczycieli, w większości wytrawnych pedagogów, jak i dla uczniów. Z wielu przedmiotów byliśmy dobrze przygotowani do matury i studiów, słabiej tylko z matematyki. Nauczyciele tego przedmiotu często się zmieniali, nawet w ciągu roku szkolnego.

Już w klasie X zaczęły się „przymiarki” co do wyboru kierunku studiów. Niewiele osób miało skryształizowane zainteresowania, a było w czym wybierać, bo we Wrocławiu funkcjonowało już dziesięć, oczywiście państwowych, wyższych uczelni. Oprócz jednego kolegi, który ożenił się bezpośrednio po maturze i podjął pracę, reszta, po wielu wahaniach, często skrajnych

(np. polonistyka czy medycyna) dokonała właściwego wyboru – 26 osób zostało przyjętych na studia dzienne, ukończyło je i pracowało w wyuczonym zawodzie. Zaskakujący może być fakt, że przy stosunkowo słabym przygotowaniu z matematyki, spośród szesnastu dziewcząt, aż sześć wybrało studia politechniczne, a z dziesięciu chłopców – tylko dwóch.

Nie wiem z czyjej inicjatywy na Politechnice Wrocławskiej został zorganizowany bezpłatny kurs przygotowawczy z matematyki dla maturzystów III LO. Były to trzy-, czterogodzinne zajęcia, prowadzone przez dr. Rościława Rabczuka, w kolejne niedziele, od lutego do maja, które pomogły nam nadrobić braki w przygotowaniu do egzaminu wstępnego.

Moim ulubionym przedmiotem była matematyka – uważałam ją zawsze za królową nauk. Do dzisiaj chętnie rozwiązuję zadania matematyczno-logiczne. Mimo że moi rodzice byli nauczycielami, ja nie widziałam się w tym zawodzie, dlatego wybrałam studia politechniczne, a nie matematykę.

Wraz z „koleżanką z ławki” szukałyśmy wydziału, który spełniałby zarówno moje, jak i jej oczekiwania – gdy okazało się, że takiego nie ma, ona wybrała chemię, a ja wydział mechaniczny.

## Rekrutacja

Kandydatami na studia mogli być absolwenci liceów ogólnokształcących, techników i Uniwersyteckich Studiów Przygotowawczych (USP). Absolwenci techników, oprócz świadectwa dojrzałości, musieli przedłożyć albo Dyplom Przewodnika Nauki i Pracy Społecznej (dostawał go chyba jeden uczeń w całej szkole), albo skierowanie na studia, wystawione przez macierzystą szkołę. Kto nie dostał dyplomu ani skierowania, otrzymywał nakaz pracy.

USP były szkołą przeznaczoną dla młodzieży, której warunki socjalne przed 1939 rokiem oraz wojna uniemożliwiły kontynuowanie nauki – miały wyrównywać szanse. Przyjmowano do nich osoby powyżej dwudziestego roku życia, które teoretycznie miały ukończoną szkołę podstawową (czasem ukończyły tylko 4 klasy) i w ciągu dwóch lat miały zostać przygotowane do studiów wyższych na dowolnym kierunku. Świadectwo tej szkoły nie było świadectwem dojrzałości (maturalnym), a jedynie swoistą „przepustką” na studia.

Absolwenci USP oraz technicy posiadający Dyplom Przewodnika Nauki i Pracy Społecznej nie zdawali egzaminu wstępnego, czyli nie podlegali procedurze rekrutacyjnej.

Na nasz rok zostało przyjętych 15 osób po USP i tylko nieliczni, najbardziej wytrwali, zdolali ukończyć studia (znam takich pięciu).

Technicy z dyplomami przodowników stanowili kilka procent przyjętych na nasz rok i byli dobrze przygotowani, zwłaszcza z przedmiotów zawodowych.

O przyjęciu pozostałych decydowała Wydziałowa Komisja Rekrutacyjna na podstawie wyników egzaminu wstępnego i opinii o pracy społecznej oraz postawie politycznej kandydata i jego rodziny. Najbardziej znacząca była opinia wystawiona przez Zarząd Szkolny (lub wyższą instancję) ZMP, ale liczyły się również inne zasługi, np. nieodpłatne nauczanie na kursach dla analfabetów. W praktyce o przyjęciu często przesądzało pochodzenie społeczne lub względy polityczne (np. ojciec oficer WP przed 1939 rokiem lub ksiądz w rodzinie – to był duży minus). Wzmacniało ono lub osłabiało pozycję kandydata. I tak pochodzenie robotniczne i chłopskie-małorolne dawało plus, chłopskie-średniorolne i z inteligencji pracującej było obojętne, a pochodzenie „kułackie”, czy z tzw. inicjatywy prywatnej nie dawało szans. Na naszym roku był kolega, który nie znalazł się na liście studentów w roku 1951, jego rodzice bowiem mieli prywatny zakład fotograficzny. Podjął więc pracę i przy następnym naborze został przyjęty jako... „klasa robotnicza”. Wobec braku sprecyzowanych kryteriów, Komisja mogła przyjmując kogo chciała.

Egzamin wstępny obejmował: matematykę (pisemną), fizykę oraz naukę o Polsce i świecie współczesnym – zdawane ustnie. Egzamin pisemny na wydział: Elektryczny, Lotniczy, Łączności (obecnie Elektronika) i Mechaniczny odbywał się w tym samym czasie i z tymi samymi zadaniami. Zapamiętałam go najlepiej z powodu przykrości, jaka mnie wówczas spotkała. Gdy zajęliśmy miejsca w sali „dużej elektrycznej”, amfiteatralnej, siedzący za mną kolega, Leon R., rzucił uwagę: „dziewczęta zdające na Politechnikę na pewno lepiej znają matematykę, będzie od kogo ściągnąć”. Wiedziałam, że oprócz drobnej pomyłki w odczycie z tablic trygonometrycznych wszystkie zadania rozwiązałam poprawnie, byłam więc pewna, że egzamin zdałam i to co najmniej na 4+. Jakież było moje zdziwienie, gdy swojego nazwiska nie znalazłam na liście tych, którzy zdali, lecz tylko na bardzo długiej liście „do poprawki”. Ustny egzamin poprawkowy rozpoczął się chwilę po ogłoszeniu wyników egzaminu pisemnego. Moim egzaminatorem był dr Rościsław Rabczuk, znany mi z kursu przygotowawczego. Gdy po sprawdzeniu rozwiązanych przeze mnie zadań napisał „bardzo dobrze”, poprosiłam o pokazanie mojej pracy pisemnej, w której przeczytałam uwagę – „błąd jak u Leona R. – sprawdzić”. No i się wyjaśniło! Przebiegu pozostałych egzaminów zupełnie nie pamiętam.

Po egzaminach wstępnych i rozpatrzeniu pozostałych dokumentów, komisja rekrutacyjna wywieszała trzy listy: „przyjęci”, „nieprzyjęci z braku miejsc” i „nie zdali”. Nieprzyjęci z braku miejsc mogli się starać o przyjęcie na inny wydział lub w innym mieście, albo rozpocząć pracę i w następnym roku startować z nową opinią.

## Skład osobowy nowo przyjętych studentów

W 1952 roku na Wydział Mechaniczny zostały przyjęte 293 osoby, w tym 11 dziewcząt (3,78 proc.). Skład szybko się zmieniał. Już 1 września okazało się, że trzy osoby nie podjęły studiów (w tym jedna dziewczyna), a trzy następne uzyskały przeniesienie. W ciągu pierwszego semestru 20 osób zostało skreślonych, a 4 przeniosły się na inne wydziały lub uczelnie. Pierwszej sesji nie zaliczyło kolejnych 20 osób. W drugim semestrze było już lepiej – 10 skreślonych i 6 przeniesionych. W sumie – w ciągu pierwszego roku ubyło 66 osób, czyli 23 proc., w tym dwie koleżanki. Jedna nie zaliczyła pierwszej sesji, a druga zrezygnowała po urodzeniu dziecka. O tak dużej fluktuacji decydowało wiele powodów. Jednym z nich był fakt, że nowo przyjęci studenci byli aż z siedemnastu kolejnych roczników – od 1919 do 1936, czyli mieli od 16 do 33 lat. Najstarsi przerwali naukę kilkanaście lat temu, a potem przechodzili różne koleje losu, jak to w czasie wojny – pracowali, służyli w wojsku, pozakładali rodziny. Pomimo szczerych chęci niejednokrotnie nie dało się pogodzić statusu studenta studiów dziennych i pracować na utrzymanie rodziny, zatem rezygnowali. Wielu miało nie tylko zbyt długą przerwę w nauce, ale często kończyli (albo i nie kończyli, a tylko zaczynali) różnego typu szkoły (zawodowe, rzemieślnicze, rosyjskie, litewskie itp.) lub tajne komplety, które nie dawały nawet minimalnego przygotowania do nauki na wyższej uczelni. Trudno było porównać poziom wiedzy osoby, która ukończyła dobre liceum we Wrocławiu z osobą po czterech klasach szkoły powszechnej, długiej przerwie i dwuletnim USP.

Część rezygnujących lub skreślonych podjęła studia wieczorowe, które oprócz tego, że były bezpłatne, pozwalały łączyć naukę z pracą zawodową. Ze względu na niższe wymagania mogły im podołać również osoby gorzej przygotowane.

Przenosiny do innych miast czy uczelni były często skutkiem sposobu rekrutacji, w którym bardzo istotną rolę odgrywała opinia i pochodzenie społeczne. Ktoś, kto nie został przyjęty w Warszawie, ale znalazł miejsce na uczelni we Wrocławiu, po semestrze czy roku starał się przenieść z powrotem bliżej rodziny. Ktoś inny np. chciał studiować na wydziale lotniczym, a został przyjęty na mechaniczny, i to w innym mieście, próbował więc zmienić uczelnię.

Na naszym roku znaleźli się studenci, którzy urodzili się i wychowali na terenach o zróżnicowanym poziomie rozwoju gospodarczego i kultury, wyrosli zarazem w skrajnie różnych środowiskach.

Przyjechali z dużych miast, ale i z małych wiosek, w których większość mieszkańców nie potrafiła czytać ani pisać. Najwięcej osób, bo około 40 proc., stanowili repatrianci zza obecnej wschodniej granicy. Dla kilkunastu z nich droga na Ziemię Odzyskane wiodła przez Syberię. Następne, prawie równe grupy to ci, którzy przyjechali z Polski centralnej (za okupacji niemieckiej –

Generalnej Guberni) i z Polski północno-zachodniej, w czasie wojny włączonej do Rzeszy Niemieckiej. Ci pierwsi mogli uczyć się w polskich szkołach powszechnych, ci drudzy takiej możliwości nie mieli. Na terenie Wielkopolski, nazwanej przez Niemców krajem Warty, oraz na Pomorzu i Śląsku nie było szkół dla polskich dzieci. Nasi koledzy, już w wieku 8–10 lat byli wraz z rodzicami wywożeni na przymusowe roboty do Niemiec albo bez ich opieki kierowani do pracy u niemieckich rolników w regionie.

Ci, którzy mogli chodzić do szkoły, często musieli ją zmieniać z powodu działań wojennych. Dla wielu zmieniał się język nauczania – był nim polski, litewski, rosyjski i znowu polski, a dla innych był nim wyłącznie język niemiecki.

Pochodzenie społeczne studentów i status majątkowy ich rodziców do 1939 roku były bardzo różnorodne – od dzieci bezrobotnych analfabetów po inżynierów na wysokich stanowiskach.

Oczywistym jest, że wymienione wyżej różnice, szczególnie że dotyczyły okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, wpłynęły na zróżnicowane ukształtowanie się naszych charakterów, stosunku do ludzi, wyznawanego systemu wartości i planów życiowych.

Może to zaskakujące, ale w społeczności akademickiej nie było konfliktów z przyczyn regionalno-kulturowych, a tym bardziej narodowościowych. Integracja postępowała bardzo szybko. Można powiedzieć, że dzieliło nas prawie wszystko, ale na pewno łączyło jedno – ogromna ambicja, aby ukończyć studia po to, by twórczo pracować.

My nie tylko śpiewaliśmy *Zbudujemy nowy dom, stupiętrowy nowy dom... czy My awangarda, pracy armia twarda...*, ale wierzyliśmy głęboko, że to od nas, od naszej postawy zależy, jak szybko odbudujemy tak okrutnie zniszczony kraj, dzięki czemu poprawią się warunki życiowe wszystkich Polaków. Nie liczyliśmy na wyższe zarobki, bo przez cały okres PRL-u robotnicy zarabiali zdecydowanie więcej niż inżynierowie. Robotnicy za pracę w godzinach nadliczbowych dostawali wynagrodzenie powiększone o 50 lub 100 proc., inżynierowie zaś mieli nienormowany czas pracy, co w praktyce oznaczało, że bez dodatkowej zapłaty trzeba było pracować tyle godzin, ile wymagała sytuacja w danym dniu.

Po okrutnej wojnie, która zabrała nam uroki dzieciństwa, pozbawiła domów rodzinnych, a czasem i rodziców, potrzebowaliśmy nadziei i wiary, że marzenia możemy zrealizować, a szansę na to dawały studia na Politechnice Wrocławskiej, która wprawdzie jako polska uczelnia rozpoczynała dopiero ósmy rok akademicki, ale przecież przejęła tradycje i wykładowców prestiżowej uczelni II RP – Politechniki Lwowskiej.

Jej dyplom miał być i był przepustką, pozwalającą wejść do grupy społecznej, która – zajmując liczne, ważne stanowiska w gospodarce na-

rodowej – miała wpływ na rozbudowę i unowocześnianie polskiego przemysłu.

Z całego naszego roku najwyżej kilka osób nie ukończyło studiów z powodu lenistwa.

## Rozpoczynamy studia

**P**ierwszego września (to nie pomyłka) 1952 roku rozpoczęłam studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej. Nie wiem przez ile (2, 4?) kolejnych lat studenci pierwszego roku rozpoczynali zajęcia o miesiąc wcześniej niż pozostali. Miało to swoje zalety, bo łatwiej było wśród samych „pierwszaków” poznawać strukturę i władze uczelni wraz z hierarchią ich ważności, jej poszczególne agendy i zakres kompetencji, położenie budynków, a w nich sal, a także – wykładowców, asystentów i pracowników administracji.

Dowiadaliśmy się o sprawach mających zasadnicze znaczenie dla prawidłowego przebiegu naszych studiów, ale również o drobiazgach, które mogły znacznie ułatwić uczelniany żywot.

Najpierw poznaliśmy Gmach Główny (A-1), w którym mieścił się nasz dziekanat, Biblioteka Główna i największa sala wykładowa – 329. W ciągu pierwszego i drugiego roku większość wykładów (oprócz fizyki i chemii) odbywała się w tej właśnie sali, bo tylko ona mogła wszystkich nas pomieścić. Wkrótce każdy miał w niej stałe, wybrane przez siebie miejsce.

Zauważyliśmy, że większość korytarzy w tym budynku obudowana jest szafkami, wieloma otwartymi, które można było zająć, zamknąć i przechowywać w nich wszystko, co potrzebne jest tylko na uczelni. Sprawa drobna, jednak bardzo ułatwiająca funkcjonowanie.

Ćwiczenia mieliśmy w wielu budynkach, często znacznie oddalonych od siebie. Oprócz A-1, były to: Hutniczy (B-3), „Chowańcówka” (parterowy budynek mieszczący Katedrę Obróbki Metali, Katedrę Budowy Obrabiarek, Laboratorium Pomiarów Warsztatowych i Zakład Obróbki Skrawaniem – na jego miejscu stoi obecnie budynek Wydziału Mechanicznego oraz Wydziału Informatyki i Zarządzania B-4), budynek NOT-u przy obecnej ul. Piłsudskiego oraz budynek Instytutu Matematyki przy ul. Kopernika. Zajęcia z wf. odbywały się w kilku odległych miejscach.

\* \* \*

Skoro zdecydowana większość studentów dotychczas mieszkała poza Wrocławiem, to było oczywiste, że musieli w przyspieszonym tempie poznawać miasto, aby móc się po nim swobodnie poruszać.



Plan zajęć obejmował 36–38 godzin tygodniowo plus studium wojskowe. Aby na nie zdążyć, trzeba było przemieszczać się pewnie i szybko. Ze względu na liczne „okienka” przeznaczone na dojazdy, zajęcia rozpoczynały się o 7.30 a kończyły o 20.00 (z przerwą obiadową) i tylko w soboty trwały do 14.00. Ponieważ jeden dzień w tygodniu przeznaczony był na szkolenie wojskowe, zyskiwały dziewczęta, dla których były to zajęcia nadobowiązkowe. W czasie naszych studiów na Politechnice znana była tylko jedna ochotniczka – Janina Polak z Wydziału Chemii, która brała udział w szkoleniu wojskowym.

W 1953 roku został oddany do użytku budynek Nowy Mechaniczny (B-5), co chociaż trochę poprawiło sytuację lokalową Wydziału, a tym samym nas, jego studentów. Znalazł się tu nasz dziekanat, większość katedr Wydziału Mechanicznego, sale wykładowe, kreślarnie i duża sala laboratoryjna. Wobec szybko rosnącej liczby studentów i powstawania nowych wydziałów, na Politechnice wciąż brakowało sal wykładowych. Aby poprawić sytuację, rozpoczęto budowę dwóch kolejnych gmachów na pl. Grunwaldzkim. Miały one być wzniesione jako „szybkościowce”, to znaczy w bardzo krótkim czasie, o czym szeroko informowały wielkie tablice powieszona na rusztowaniach oraz miejscowe dzienniki. Jeden z tych budynków był przeznaczony dla Wydziału Elektrycznego (D-1), drugi dla Wydziału Lotniczego (D-2), a po jego likwidacji (w 1953 roku) dla utworzonego właśnie Wydziału Mechanizacji Rolnictwa. Tymczasem budowa się „wlokła” i chociaż stopniowo oddawano do użytku poszczególne sale, to jeszcze w 1957 roku, gdy my kończyliśmy studia magisterskie, trwały w nim roboty wykończeniowe. Wydział Mechanizacji Rolnictwa nie zdążył się doń wprowadzić, ponieważ w 1958 roku został zlikwidowany. Na parterze budynku D-1 stosunkowo wcześniej została oddana duża sala, z wewnętrzną szklaną ścianą, zwana „akwarium”, i odtąd w niej najczęściej odbywały się zabawy taneczne, tzw. potańcówki.

\* \* \*

W dniu, gdy rozpoczynaliśmy nasz pierwszy rok akademicki „Gazeta Robotnicza” (organ KW PZPR, dziennik o najwyższym nakładzie spośród trzech wrocławskich gazet) na pierwszej stronie umieściła artykuł pt. *Jan Kuryłło, syn wrocławskiego kolejarza będzie inżynierem*. Z jego treści wynikało, że będzie on właśnie naszym kolegą na Wydziale Mechanicznym, toteż gdy przyszedł na pierwszy wykład do sali 329 i wszyscy przyglądali się sobie uważnie, największe zainteresowanie budził Janek. Łatwo go było zauważyć, bo był „słusznej postury” i istotnie po czterech latach został inżynierem.

Na początku października, w auli Uczelni, odbyła się uroczysta immatrykulacja. Poznaliśmy Jego Magnificencję, prof. Dionizego Smoleńskiego, który był pierwszym rektorem Politechniki Wrocławskiej jako samodzielnej uczelni i pełnił tę funkcję od 1951 do 1960 roku.

Rota przyrzeczenia brzmiała:

*Przyrzekam uroczyście, że jako student Polski Ludowej sumiennie wypełniać będę swoje obowiązki i uczynię wszystko, aby w przepisowym terminie ukończyć studia.*

*Przyrzekam, że będę strzec godności studenta i nie przyniosę ujmy dobremu Imieniu Uczelni, będę przestrzegać dyscypliny pracy i wszelkich zarządzeń władzy ludowej oraz obowiązujących przepisów szkoły.*

Dla dzisiejszej młodzieży te słowa brzmią zapewne co najmniej dziwnie, a może nawet śmiesznie, ale wówczas nie budziły niczyich zastrzeżeń.

W naturalny sposób traktowaliśmy przepisy o dyscyplinie studiów, dotyczące obowiązkowego uczestnictwa we wszystkich wykładach, ćwiczeniach i laboratoriach oraz terminowego zaliczania ćwiczeń, projektów, praktyk i kolejnych semestrów. Przed rozpoczęciem kolejnego semestru trzeba było mieć w indeksie dwie pieczątki: „wpis ukończony” i „semestr zaliczony”. Kto ich nie uzyskał, ten w najlepszym wypadku mógł liczyć na urlop dziekański.

Już „otrząskani” z Uczelnią, po tym wydarzeniu, z indeksami w rękach, poczuliśmy się pełnoprawnymi studentami.

A skoro „student” brzmiało dumnie, podkreślaliśmy nasz status przez noszenie naszych studenckich czapek. Białe rogatywki z bordowym otokiem nosili studenci wszystkich uczelni, a miękkie, okrągłe, z granatowego aksamitu ze złotym sznurkiem – studenci Politechniki. Te ostatnie miały otoki, których kolor był wyróżnikiem wydziału – dla mechaników był to – jak pamiętam – kolor szary.

Gdy koledzy nacieszyli się już czapkami, któryś z nich trafił do sklepu, w którym były brązowe kapelusze po 1 zł i wówczas wielu zmieniło nakrycie głowy... Ale było to już na trzecim roku studiów.

## Władze Uczelni i Wydziału

**I**mmatrykulacja była jedynym spotkaniem rektora z całym naszym rokiem. Pojedyncze osoby wzywano czasem „przed oblicze”, ale ponieważ takie spotkania mogły dotyczyć jedynie bardzo poważnego naruszenia dyscypliny studiów, były to przypadki sporadyczne i nikt się tym nie chwalił.

Częściej, acz z tych samych powodów równie niechętnie, przychodziło widywać się z dziekanem lub prodziekanem ds. studenckich. Zdarzało się jednak, że spotkania dotyczące dyscypliny studiów okazywały się wręcz zabawne.

W latach 1952–1954 prodziekanem ds. studenckich był prof. Tadeusz Demeter, z którym mieliśmy w tym czasie wykłady z części maszyn. Na trzecim roku studiów zachorowałam na świnkę. Ponieważ jest to choroba zakaźna, to – nawet, gdy jej objawy ustąpiły – nie brałam udziału w zajęciach



bodajże przez trzy tygodnie. W tym czasie miałam wykonać i oddać projekt z części maszyn, ale nie mogłam tego zrobić, skoro nie wolno mi było przychodzić na uczelnię. Napisałam więc podanie do prodziekana o przesunięcie terminu oddania projektu, na którym prof. Demeter umieścił trzy wpisy: jako prodziekan napisał – „proszę o zaopiniowanie prośby studentki” i sprawę skierował do kierownika Katedry Elementów Maszyn, czyli do... siebie; jako kierownik Katedry napisał – „akceptuję propozycję” i przesłał podanie z powrotem do dziekanatu; wreszcie jako prodziekan – „przedłużam termin oddania projektu do...”. No i procedurze stało się zadość, chociaż trwało to długo.

Był to mój jedyny kontakt z władzami Wydziału, nie mogę więc niczego powiedzieć o dziekanach i prodziekanach, którzy pełnili tę funkcję w czasie moich studiów.

\* \* \*

Ale dziekanat to nie tylko miejsce, w którym urzędują dziekan oraz prodziekani, gdzie czasem wzywają „na dywanik”. To również miejsce pracy urzędników zwanych „dziekankami”, a poprzez nie – miejsce stałego kontaktu studentów z Uczelnią.

Do dziekanatu Wydziału Mechanicznego przyszliśmy po raz pierwszy, aby złożyć dokumenty o przyjęcie na studia. Potem przychodziliśmy tu niemal codziennie, chociażby po to, aby przeczytać ogłoszenia umieszczane w gablotach obok. Dotyczyły one zarówno spraw bardzo istotnych, jak i drobnych, np. przyznania stypendium lub miejsca w domu studenckim, urlopów dziekańskich, informowały o zakładach, w których można było odbywać praktyki studenckie, były tam też plany zajęć na semestr, terminarze egzaminów, oceny ze sprawdzianów pisemnych, zadania z matematyki do rozwiązania na najbliższe ćwiczenia lub ogłoszenia, np. „sprzedam skrypt...”. Tablica ogłoszeń była jedyną formą przekazywania informacji, wszystko więc musiało być wtedy jawne.

Większość informacji była bezdyskusyjna, czasem nawet radosna (dzień rektorski), ale myślę, że niemal każdemu studentowi chociaż raz w jego „karierze” przyszło zapoznać się z ogłoszeniem, z którego wynikało, że znalazł się w sytuacji wymagającej „rozwiązania”. Wówczas rola dziekanek była nie do przecenienia...

Funkcję kierowniczką dziekanatu Wydziału Mechanicznego, w latach 1949–1966 pełniła pani Janina Kuczkowska – nasza dziekanka. Osoba pracowita, rzeczowa i życzliwa ludziom – lwowianka. To ona była naszym dobrym duchem – pomagała łagodzić konsekwencje powstałe najczęściej na skutek niedopełnienia obowiązków wynikających z przepisów o dyscyplinie studiów. Doradzała, jak wybrnąć z trudnej sytuacji, do kogo się zwrócić i jakich użyć

argumentów. Jako osoba bardzo kompetentna, doskonale знаła nie tylko przepisy, ale i tkwiące w nich luki, które dało się wykorzystać na swoją obronę. Zawsze można było liczyć na jej zrozumienie, cierpliwość i pomoc, a nawet pocieszenie, pod warunkiem że poruszaliśmy się w granicach prawa. Osobiście doświadczyłam, że skrupulatnie tego przestrzegała. Na piątym roku studiów wyszłam za mąż i zmieniłam nazwisko. Po zdaniu egzaminu dyplomowego poprosiłam o wystawienie dyplomu na obydwa nazwiska i spotkałam się ze stanowczą odmową, byłoby to bowiem już „na obrzeżach” prawa...

## Tok i program studiów

Rozpoczynając naukę w 1952 roku, mieliśmy w perspektywie czteroletnie studia inżynierskie lub pięcioletnie – magisterskie. Decyzję o wyborze któregoś z wariantów podejmowało się dopiero po siódmym semestrze, gdy każdy z nas był w stanie ocenić zarówno swoje predyspozycje naukowe, jak i warunki materialne.

W październiku 1953 r. z Wydziału Mechanicznego wyodrębnił się Wydział Mechanizacji Rolnictwa, a rok później – Wydział Mechaniczno-Energetyczny. Jednocześnie zlikwidowany został Wydział Lotniczy i po trzecim semestrze 40 osób z tego wydziału przeniosło się na Wydział Mechaniczny, pozostali zaś na Politechnikę Warszawską.

Na Wydziale Mechanicznym były kierunki: technologia budowy maszyn, odlewnictwo, maszyny budowlane oraz dźwignice i przenośniki. Na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym: kotły parowe, maszyny wodne i energetyka cieplna, natomiast na Wydziale Mechanizacji Rolnictwa nie było podziału na specjalizacje.

Gdy po czwartym semestrze, tj. w październiku 1954 r., następował podział na specjalizacje, wybieraliśmy je już na trzech wydziałach. Około 60 proc. studentów wybrało Wydział Mechaniczny, 30 proc. Mechaniczno-Energetyczny i 10 proc. Mechanizację Rolnictwa.

Ja wybrałam technologię budowy maszyn na Wydziale Mechanicznym.

Po podziale na specjalizacje, czyli od piątego semestru, program studiów był zróżnicowany wg kierunków i wspólnych wykładów mieliśmy coraz mniej. Zróżnicowana też została ogólna ilość zajęć i wynosiła od 33 do 43 godzin tygodniowo plus studium wojskowe. Większość z nich odbywała się w salach, którymi dysponowały katedry prowadzące daną specjalizację. Mieściły się one najczęściej blisko siebie, przez co mniej czasu potrzebowaliśmy na dojazd.

W porównaniu z innymi wydziałami Politechniki mieliśmy chyba największą liczbę egzaminów – od 4 do 7 w każdej sesji plus studium wojskowe.

Gdy było ich powyżej pięciu, te „ponadnormatywne” można było przełożyć np. z czerwca na wrzesień. W sesji zimowej egzaminy poprawkowe odbywały się w ciągu miesiąca od pierwszego terminu, a w letniej – we wrześniu. „Oblanie” trzech egzaminów w pierwszej sesji oznaczało skreślenie z listy studentów, bez możliwości przystąpienia do egzaminów poprawkowych. Przez cały okres studiów skreślenie dotyczyło również wszystkich, którzy w jednej sesji nie zdali dwóch egzaminów komisyjnych. Pytanie – czy studentów pozbawionych samodyscypliny przepisy te uratowały przed skreśleniem z listy, czy przeciwnie – pozostanie bez odpowiedzi.

Po siódmym semestrze nastąpił podział studentów na tych, którzy postanowili skończyć studia jako inżynierowie i w ciągu ósmego semestru wykonać pracę dyplomową, po czym zdać egzamin końcowy, oraz chętnych do kontynuowania nauki na trwających kolejne trzy semestry studiach magisterskich. Ja wybrałam te ostatnie.

Znów wróciliśmy do przedmiotów teoretycznych i ogólnozawodowych: matematyki, fizyki, mechaniki i wytrzymałości materiałów.

## Profesorowie

W okresie naszych studiów nie było podręczników, a i skrypty – tylko nieliczne. Znający języki obce mieli szansę na znalezienie literatury w języku rosyjskim lub niemieckim. Z tego względu sposób prowadzenia i przystępność wykładów oraz ćwiczeń, jak również umiejętność robienia notatek – miały ogromne znaczenie.

Nasi wykładowcy – byli to na ogół panowie w średnim wieku, stateczni, poważni, a niektórzy także jowialni i dobronuduszeni. Jedyłą kobietą w tym gronie była prof. dr Halina Łopuszańska, która w ósmym semestrze (pierwszym magisterskim) wykładała nam matematykę.

Spośród kadry nauczającej najlepiej zapamiętałam prof. Bolesława Iwaszkiewicza, którego wykładów z matematyki słuchaliśmy przez pierwsze trzy semestry. Miały one może trochę szkolny charakter, jako że Profesor był wieloletnim nauczycielem szkół średnich (w tym „mojego” III LO we Wrocławiu) i ich wizytatorem, były jednak prowadzone przystępnie i pomogły wielu studentom nadrobić wcześniejsze braki. Profesor był doskonałym dydaktykiem i metodykiem, zawsze chętnym do wyjaśniania wszelkich wątpliwości. Jako opiekun naszego roku pilnował dyscypliny. Wykład zaczynał punktualnie, a po 10 minutach wpuszczał spóźnialskich, którzy musieli oddawać karteczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem. Czy robił z nich jakiś użytek – nie wiem. Często pod koniec wykładu prosił starostę jednej z grup o dzienniczek (w którym ten notował obecność na wykładzie),

a grupę o pozostanie w sali i sprawdzał, czy frekwencja jest odnotowana bez przekłamań. Zadania egzaminacyjne nigdy nie przekraczały materiału przerobionego na wykładach i ćwiczeniach. Na egzaminie ustnym stwarzał przyjazną atmosferę, był pogodny i cierpliwy, acz wymagający. Wydaje mi się, że cały rocznik egzaminował osobiście.

Postać prof. Konrada Dyby, wykładowcy geometrii wykreślnej, na pewno została zapamiętana przez wszystkich studentów, którzy słuchali, a ściślej mówiąc – oglądali – rysunki wykonywane przez niego w czasie wykładu. Profesor wchodził do sali (oczywiście 329), mówił „dzień dobry państwu”, odwracał się do tablicy i zaczynał bardzo starannie rysować i skrupulatnie objaśniać.

Tak stojąc, nie był jednak dobrze słyszany, a zasłaniając tablicę swoją osobą i przyrządami, powodował, że nie mogliśmy śledzić, jak te rysunki powstają. Po ukończeniu rysunku przesunął tablicę do góry, mówił „do widzenia państwu” i... wychodził. Przed naszymi oczami pozostawał pięknie wykonany rysunek, ale nie można go było przeanalizować, bo czas wykładu minął i zmuszeni byliśmy opuścić salę.

Nie miałam wyobraźni przestrzennej i bardzo trudno było mi zrozumieć, jak powstają poszczególne przekroje i ich rzuty. Również niewiele dowiadywałam się na ćwiczeniach, prowadzonych przez mgr. inż. Anatola Krzywickiego, który delektował się opowiadanymi przez siebie dowcipami, często przekraczającymi dobry smak. Męska część grupy była zachwycona, a koleżanka i ja (szesnasto- i siedemnastolatka) – wprost przeciwnie. W zrozumieniu przedmiotu pomagali mi koledzy, absolwenci techników, którzy znali te zagadnienia ze szkoły, ale dla mnie to była naprawdę „droga przez mękę”.

Adiunkt, dr Mieczysław Bukała, od pierwszego wykładu zyskał sympatię studentów, wygłaszając swoje credo: „żaden chemik nie zna się na mechanice, a mechanik na chemii”. Nic dziwnego, że wykłady z chemii mogły odbywać się w dużo mniejszej niż 329 sali, w budynku Nowej Chemii (A-2). Do głoszonej zasady dostosowywał przebieg egzaminu – podawał pytania i wychodził. Wynik egzaminu zależał wyłącznie od zasobności przyniesionych materiałów.

W drugim semestrze weszły do programu przedmioty zawodowe – mechanika i technologia metali. Mechanikę wykładał prof. mgr inż. Marek Zakrzewski, jeden z najmłodszych naszych nauczycieli. Reprezentował inny styl stosunków między wykładowcą a studentami, bardziej bezpośredni, choć nie poufały. Jego wykłady były zawsze dobrze przygotowane, przedstawiały materiał systematycznie i rzeczowo. Notatki z powodzeniem kompensowały brak podręcznika. Byliśmy bardzo zadowoleni, gdy na drugim roku wykładał nam również wytrzymałość materiałów.

Prof. dr Egon Dworzak, wykładowca technologii metali, a później również metaloznawstwa i technologii spawalnictwa – to była osobowość. Najstarszy z naszych wykładowców, elegancki, najczęściej w muszce, o nienagannych manierach, zawsze przychodził z woźnym, który przynosił pomoce naukowe. Od studentów wymagał nie tylko wiedzy, ale i kulturalnego zachowania. Nie egzaminował tych, którzy przychodzili nieodpowiednio ubrani. Wykładał barwnie, przytaczając ciekawe wydarzenia ze swej praktyki w przemyśle. Zapamiętałam taką wskazówkę: inżynier nie może zbyt poddawać się emocjom, bo wówczas – na wiadomość o awarii – zemdleje i stanie się bezużyteczny. Technologia metali to jedyny przedmiot, do którego był dostępny podręcznik zgodny z programem i w dodatku napisany przez naszego wykładowcę.

Dwa przedmioty – rysunek techniczny i części maszyn – miał z nami prof. mgr inż. Tadeusz Demeter, kierownik Katedry Elementów Maszyn, który w latach 1952–1954 pełnił również funkcję prodziekana ds. studenckich. Zapamiętałam go jako człowieka skromnego, rozważnego, sympatycznego i życzliwego, wręcz dobrodusznego. Również koledzy, którzy nie sprościli wymogom dyscypliny studiów i musieli się z tego przed profesorem tłumaczyć, uważali, że jako prodziekan traktował ich ze zrozumieniem. Często odnosili wrażenie, że pełnienie roli egzekutora było dla niego żenujące.

Zupełnie inną opinię miał wśród studentów, zwłaszcza rocznika nas poprzedzającego, prof. mgr inż. Wiktor Wiśniowski, kierownik Katedry Teorii Maszyn Ciepłych. Nie znam przyczyny, która spowodowała bardzo wyraźny konflikt między nim a tym rocznikiem. Był na tyle ostry, że starsi koledzy straszili nas, iż egzamin z TMC jest „nie do zdania”, bo student wylatuje drzwiami, a jego indeks – oknem. Ponadto, biorąc pod uwagę osobowość profesora – surową, wręcz ascetyczną – oraz jego kamienną twarz, przystępowaliśmy do tego egzaminu bardzo wystraszeni. To uczucie nie ominęło i mnie, chociaż ćwiczenia miałam zaliczone na piątkę. Pamiętałam, że na pytanie: „z czego się pani uczyła?” nie mogłam wymienić nazwiska prof. Ochęduszkii, autora jedyne go dostępnego podręcznika z TMC, a jednocześnie antagonisty naukowego prof. Wiśniowskiego. Może z powodu tego strachu byliśmy lepiej przygotowani, bo egzamin wypadł u nas całkiem nieźle. Ja zdawałam u adiunkta – mgr. inż. Zygmunta Vrabetza i wyszłam bardzo zadowolona, z czwórką w indeksie.

Muszę też wspomnieć prof. dr. Bronisława Pilawskiego, kierownika Katedry Ekonomiki, Organizacji i Zarządzania, powstałej w 1954 roku dzięki jego usilnym zabiegom. W okresie realizacji Planu 6-letniego (1950–1955) i w latach następnych, wielkość produkcji mierzona była w tonach wyrobów. Zakład miał wyznaczane plany: miesięczne, kwartalne, roczne i wieloletnie. Od ich wykonywania zależały premie dla załogi oraz stanowiska dyrektorów

i członków Komitetu Zakładowego PZPR. Pionierska działalność profesora polegała na zwróceniu uwagi na to, że oprócz wagi i ilości produkowanych wyrobów ważna jest ich jakość i koszty produkcji. Była to wtedy „jazda pod prąd”, ze względu bowiem na sposób zarządzania polską gospodarką, takie myślenie znalazło zrozumienie dopiero po wielu, wielu latach. Profesor głosił prawdy oczywiste, chociaż niepopularne w tym czasie, jak tę, że tona szyn kolejowych to nie to samo co tona nożyczek. Wskazywał, że trzeba szukać oszczędności w poprawie organizacji i zarządzania przedsiębiorstwem oraz w podnoszeniu jakości wyrobów.

Był jedynym z naszych wykładowców, który miał stały, bezpośredni kontakt z przemysłem i wskazywał, że nasze fabryki i zakłady działają w absurdalnych warunkach, wyznaczonych przez państwo. Celem ich działalności było wykonanie planu, a nie produkowanie dużej ilości tanich wyrobów o dobrej jakości.

Gdy jako specjalizację wybrałam technologię budowy maszyn, moja dalsza edukacja była związana z Katedrą Obróbki Metali i z Zakładem Obróbki Skrawaniem, działającymi pod kierownictwem prof. Władysława Chowańca. Słuchałam jego wykładów z podstaw skrawania, technologii budowy maszyn, uchwytów i przyrządów, wybranych działów technologii obrabiarek, teorii skrawania, automatyzacji procesów technologicznych i wybranych działów technologii budowy maszyn oraz miałam laboratorium obróbki skrawaniem. Pod jego kierownictwem wykonałam dwie prace przejściowe i magisterską pracę dyplomową. U profesora Chowańca zdałam pięć egzaminów przedmiotowych oraz egzamin dyplomowy. Zdażyliśmy się dobrze poznać, a nawet zaprzyjaźnić.

Profesor był człowiekiem statecznym, rozważnym, obowiązkowym, eleganckim, o wysokiej kulturze osobistej, a jednocześnie sympatycznym i życzliwym, acz bardzo wymagającym.

Cieszyłam się jego sympatią i profesor nie odmówił, gdy zaprosiłam go na mój ślub i wesele.

Liczne obowiązki zawodowe i rodzinne sprawiły, że po zakończeniu studiów nie podtrzymałam kontaktów, czego – niestety, nie da się nadrobić. Byłam na obronie jego pracy doktorskiej, ale był to tylko kontakt okazjonalny.

Jednym z najbliższych współpracowników prof. Chowańca był adiunkt – mgr inż. Tadeusz Karlic. Chociaż wykładał nam tylko przez jeden semestr technologię budowy maszyn, to mieliśmy z nim bardzo bliski kontakt, bo był dla nas dostępny o każdej porze. Miał ogromną wiedzę, także praktyczną, i chętnie dzielił się nią ze studentami – gdy trzeba było objaśnić, także praktyczną, wytłumaczył i wskazał literaturę albo nawet pożyczył książkę. W przeciwieństwie do profesora nie dbał o swój wygląd zewnętrzny – zawsze w fartuchu, bo najczęściej przebywał w hali maszyn.



## Dach nad głową i coś na ząb

W latach pięćdziesiątych żyło się bardzo skromnie. Polska była biednym, zniszczonym krajem, tak jak i jej obywatele. Nie da się tego porównać ze stanem obecnym – i całe szczęście! No ale i wówczas trzeba było gdzieś mieszkać i coś jeść, chociaż oczekiwania w tym zakresie były nieporównanie skromniejsze od dzisiejszych.

Zaledwie kilkanaście procent studentów naszego roku miało we Wrocławiu rodzinę, czasem bardzo daleką, lub przyjaciół, u których mogli zamieszkać. Niemal połowa osób z roku dostała miejsce w akademiku, którym były dwupokojowe mieszkania z kuchnią i łazienką usytuowane na Biskupinie, przy ulicy Stanisławskiego (z innych wydziałów również przy sąsiedniej ul. Kotsisa). W każdym mieszkaniu znajdował się jeden piec kaflowy, po trzy łóżka w pokoju i piecyk węglowy do grzania wody w łazience. Jeżeli mieszkańcy utworzyli zgrany zespół, to korzystając z zalet mieszkania w akademiku, unikali jego wad. Tu mieszkało się prawie jak w domu – można było ustalić godziny przeznaczone na naukę i spanie oraz kto i kiedy pali w piecu. Jednocześnie w takiej zbiorowości łatwiej było pożyczyć podręcznik, skrypt czy przyrządy kreślarskie – dobra trudno dostępne, ale również notatki lub kalkę techniczną czy papierosy, których zapomniało się kupić. Nawiazywały się kontakty, a czasem stałe przyjaźnie między osobami o wspólnych zainteresowaniach – szachy, brydż, kino, sport.

W 1954 roku, na pl. Grunwaldzkim, zostały oddane do użytku nowe budynki przeznaczone na akademiki, tak zwane Teki. Studenci Wydziału Mechanicznego zamieszkali w T-4, a Mechaniczno-Energetycznego w T-2. Były one projektowane specjalnie dla studentów, ale według ówczesnych siermiężnych standardów, a to zaowocowało faktycznym pogorszeniem warunków mieszkaniowych. W pokojach o powierzchni prawie takiej jak na Biskupinie mieszkało po pięć osób. Spali na piętrowych żelaznych łóżkach, a między nimi stał jedynie stół – na krzesła bowiem miejsca już nie starczało. Na każdej kondygnacji była tylko jedna kuchnia i jedna łazienka. Trudno było nie tylko przygotowywać posiłki, ale i je spożywać. Znajdująca się w pobliżu łaźnia miejska ułatwiała dbanie o higienę osobistą. Niestety nie było już gdzie prać i suszyć bielizny.

Studenci mający na Dolnym Śląsku rodziny jeździli na niedzielę „do domu”, gdzie zawozili pranie i skąd przywozili „wałówkę” – najczęściej był to smalec do chleba.

W budynku był zawsze przepełniony pokój do nauki i świetlica, w której w soboty odbywały się potańcówki. Na naukę pozostawała późna noc.

Z placu Grunwaldzkiego na Uczelnię było blisko, nie trzeba było więc korzystać z tramwaju.

Pomimo takich warunków, ten, kto dostał miejsce w akademiku, był zadowolony, bo miesięczna opłata wynosiła tylko 9 zł, a stypendium zaczynało się od 270 zł.

Kilka razy odwiedzałam kolegów mieszkających w T-4 i muszę przyznać, że o ile było to dobre miejsce do integracji, zawierania przyjaźni, korzystania z pomocy koleżeńskiej i wesołych spotkań towarzyskich, o tyle panowały w nim bardzo trudne warunki do nauki. Trzeba było mieć dużo samozaparcia, aby mieszkając tam, ukończyć studia w terminie. A jednak większości się to udało!

\* \* \*

Żeński akademik mieścił się przy ul. Skłodowskiej-Curie, ale nigdy w nim nie byłam.

Okolo 30 proc. studentów z naszego roku wynajmowało kwatery prywatne. Ten, kto dostał stypendium mieszkaniowe, najczęściej pokrywające koszty wynajmu kwatery prywatnej, często miał nawet dużo lepsze warunki niż w akademiku. Takie stypendium dostawali studenci, którzy spełniali kryterium dochodowe, a zabrakło dla nich miejsc w domach studenckich.

Pojedyncze osoby dojeżdżały do Wrocławia pociągiem lub autobusem.

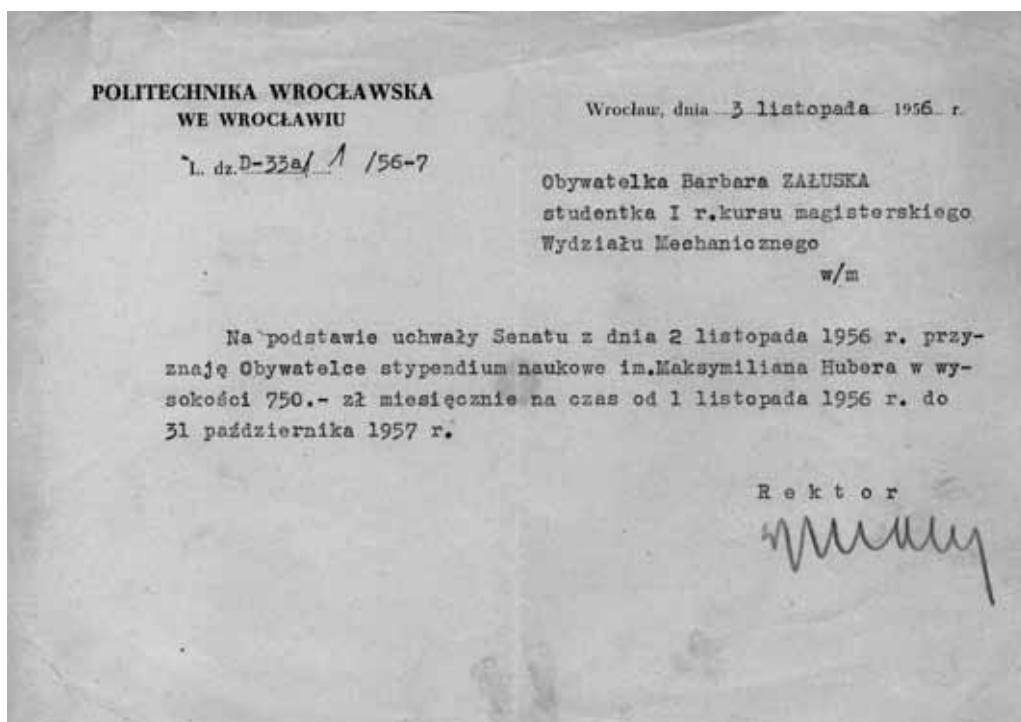
Prawie przez cały okres naszych studiów stołówka dla studentów Politechniki mieściła się w tzw. Pawilonie, obok Hali Ludowej, od strony Pergoli, a korzystali z niej niemal wszyscy. Obiad kosztował od 2,10 do 3 zł – w sam raz na studencką kieszeń.

Dla zdecydowanej większości studentów podstawą utrzymania było stypendium: pełne, częściowe (połowa pełnego), premiowe, mieszkaniowe lub – z rzadka – naukowe. Przyznawał je prodziekan ds. studenckich na podstawie dostarczonych dokumentów. Otrzymanie stypendium (pełnego czy częściowego) zależało od wysokości dochodu na członka rodziny, a jego wysokość wzrastała z każdym rokiem studiów. W roku akademickim 1952/1953 dla pierwszego roku pełne stypendium wynosiło 270 zł, a w 1956/1957 r. dla czwartego roku – o ile dobrze pamiętam – 575 zł. Taką pomoc dostawało ponad 70 proc. a może nawet 80 proc. studentów naszego roku. Począwszy od drugiego roku studiów, mogli oni dodatkowo otrzymywać stypendium premiowe w wysokości 100 zł na miesiąc, jeżeli zdali egzaminy co najmniej na czwórki. Był to silny bodziec dopingujący do pilniejszej nauki, ponieważ bardzo wielu kolegów utrzymywało się wyłącznie ze stypendium, a znam i takich, którzy wspomagali finansowo swoje samotne matki, pozostające bez środków do życia.

Przy tak dużej liczbie obowiązkowych zajęć nie dało się pracować zarobkowo, nawet dorywczo. Można było niekiedy w nocy z soboty na niedzielę zrzucać węgiel z wagonu, bo z powodu braku wagonów samowładowczych robiło się to ręcznie.

Stypendia były wypłacane piątego dnia każdego miesiąca i był to dzień ogólnej szczęśliwości.





Pismo dotyczące przyznania stypendium

Stypendium naukowe, jako jedyne, przyznawane było niezależnie od warunków materialnych studenta, a zależało wyłącznie od wysokiej średniej ocen i poparcia profesora, pod którego patronatem student pracował np. w kole naukowym. Dzięki poparciu profesora Władysława Chowańca, w roku 1956/1957 (piąty rok studiów), otrzymałam stypendium naukowe im. Maksymiliana Hubera w wysokości 750 zł miesięcznie. Było to jedyne stypendium, jakie mi przysługiwało, bo dwie pensje nauczycielskie moich rodziców podzielone na cztery osoby, przekraczały próg dochodowości.

W wypadku nagłych zdarzeń losowych można było ubiegać się o bezzwrotną zapomogę pieniężną.

Kompletowaniem dokumentów niezbędnych do przyznania świadczenia zajmował się pełnomocnik dziekana ds. pomocy materialnej, którym był nasz kolega – śp. Ryszard Masłowski, późniejszy wieloletni pracownik Politechniki Wrocławskiej. Decyzja o przyznaniu stypendium należała do prodziekana ds. studenckich. Na Wydziale Mechanicznym był nim prof. Tadeusz Demeter – człowiek prawy, skrupulatny i apolityczny, co oznaczało, że decyzja była podejmowana uczciwie i sprawiedliwie.

## Praktyki studenckie

W latach pięćdziesiątych i przez następne dekady integralną częścią studiów politechnicznych były wakacyjne praktyki studenckie.

Dla Wydziału Mechanicznego były to:

- po pierwszym roku – miesięczna praktyka odlewnicza;
- po drugim roku – miesięczna praktyka z obróbki skrawaniem;
- po trzecim roku – dwumiesięczna praktyka kierunkowa wg specjalności.

Dla specjalności technologia budowy maszyn, na której byłam, prof. Chowaniec zorganizował dodatkową miesięczną praktykę po czwartym roku studiów.

Politechnika zawierała umowy z zakładami pracy (przeważnie dużymi), które zobowiązywały się zapewnić studentom: bezpłatne zakwaterowanie, możliwość korzystania ze stołówki i zapoznanie się z procesem produkcyjnym na określonych wydziałach. Zakłady przyjmowały jednorazowo od kilku do kilkunastu osób. Miejsce praktyki można było wybierać. Przed wyjazdem Uczelnia wypłacała wynagrodzenie w kwocie około 300 zł, czyli równowartość stypendium dla pierwszego roku.

Praktyczne zapoznanie się z technologią wykonywania poszczególnych detali czy też ich montażem w zespoły było bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe, nawet przy najlepszej woli obu stron. Robotnicy pracowali przecież na akord, udostępnienie więc stanowiska pracy studentowi oznaczało ewidentne zmniejszenie zarobku, a ponadto możliwość niewykonania normy czy też zniszczenie surowca. Biorąc pod uwagę, że w tym czasie każdy pracownik, oddział, wydział i zakład miał wyznaczony plan produkcji i od jego wykonania zależała premia, stanowiąca bardzo znaczną część wynagrodzenia – niewykonanie planu oznaczało katastrofę. Z tych powodów praktyki najczęściej polegały jedynie na obserwowaniu pracy fachowców. Nie było możliwości zdobycia doświadczenia, czyli umiejętności praktycznych, przez co stawała się ona w znacznym zakresie zaprzeczeniem swej istoty.

W czasie praktyki odlewniczej w Cieszyńskich Zakładach Wytwórczych Maszyn Elektrycznych M2, spotkałam się nawet z sytuacją, że przed rozpoczęciem zalewania form żeliwem, studenci musieli opuścić halę ze względów bezpieczeństwa. Cóż było robić? Pozostawało usiąść na trawie za halą i grać w karty, skoro straż zakładowa nie wypuszczała przed fajrantem. Były też zakłady, w których nikt nie interesował się praktykantami, więc przychodził do nich tylko ten kto chciał i kiedy chciał. Doświadczyłam tego, odbywając praktykę z obróbki skrawaniem w Stoczni Gdańskiej. Ten ogromny zakład miał swobodne przejście do Stoczni Remontowej, gdzie statki czekały na rozpoczęcie remontu, a na każdym z nich po kilku marynarzy, nudzących się tak jak i my; okoliczności wprost zachęcały do omijania stanowisk pracy.

Mieszkałyśmy z koleżanką w Domu Stoczniewca w Jelitkowie, tuż obok plaży, co dodatkowo zniechęcało do wyjazdu na praktykę.

W 1955 r. najbardziej atrakcyjny był staż w Warszawie lub okolicy, ze względu na odbywający się tam V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Przez dwa tygodnie na kilkudziesięciu scenach, niemal przez całą dobę, prezentowały się zespoły z różnych stron świata. Nie było czasu nie tylko na praktykę, ale i na spanie. Kiedy ta ogromna impreza dobiegła końca, przez pozostałe sześć tygodni praktyki było po prostu nudno, ponieważ w Zakładach Przemysłowych im. 1 Maja w Pruszkowie nikt się nami nie interesował. Dobre chęci nie wystarczały, aby znaleźć jakieś zajęcie; hala była wypełniona obrabiarkami ustawionymi blisko siebie, a obsługujący je robotnicy, przeważnie młodzi chłopcy, skłonni byli do niewybrednych żartów, zwłaszcza wobec nas – dziewcząt.

Najwięcej korzyści wyniosłam z praktyki w Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie na Zeraniu, na której byłam po czwartym roku studiów. Na owe czasy był to zakład nowoczesny, wyposażony w liczne automaty i linie technologiczne.

FABRYRA SAMOCHODÓW OSOBOWYCH  
Zakładowy Kierownik Praktyk

Warszawa, dnia 28. IX. 1956 r.

ZASWIADCZENIE

Niniejszym zaświadcza się, że Ob. Zafuska Barbara  
student (miejsc.) Politechniki Wrocławskiej w Wrocławiu  
odbył praktykę wakacyjną (dyplomową) w Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie w okresie  
od 1. IX. 56 do 28. IX. 56

Zaświadczenie wydaje się celem przedłożenia Władrom Uczelni (Szkołnym).

Zakładowy Kier. Praktyk  
*[Signature]*  
CWT, Rydygowa, Warmińskago 12 km. 1155/56.  
Ck 2.2.1.4. tom. 122 11 12 16 - format A3 1180 - drukowy VII 31. 86 gr. 5/68-7-114

Kier. Dł. Szkol. Zarządca  
*[Signature]*  
Kier. Dł. Person.  
*[Signature]*

Zaświadczenie o praktyce w FSO w Warszawie

Z praktyki należało przywieźć wypełniony i potwierdzony dzienniczek oraz napisać sprawozdanie i złożyć je w Katedrze, która patronowała specjalności odbytej aplikacji (odlewnictwa, obróbki skrawaniem, technologii budowy maszyn). Zaliczenie wpisywane było do indeksu, czasem z oceną.

Można chyba powiedzieć, że tak, jak i na innych polach, również na tym – szczytne założenia przy próbie realizacji okazały się utopią. Praktyki to dla uczelni znaczny wysiłek organizacyjny, dla zakładów pracy kłopot (zapewnienie bezpłatnego zakwaterowania, stołówki i bezpieczeństwa oraz przynajmniej teoretyczny przydział zadań), a dla budżetu wydatek – i prawie cała „para w gwizdek”.

Opiekunem praktykantów w fabryce był najczęściej inżynier, któremu do normalnych obowiązków dodawano tę funkcję. Nie miał on czasu zajmować się studentami, zwłaszcza że w tym czasie (okres urlopowy) zwykle w zakładzie brakowało pracowników, a plan trzeba było wykonać bez względu na wszystko. Uważam, że dobrze zorganizowane wycieczki do wybranych zakładów przyniosłyby co najmniej taką samą korzyść, lecz przy znacznie mniejszym wysiłku wszystkich organizatorów przedsięwzięcia. Zdobyć pewnych umiejętności w czasie praktyk to przypadki odosobnione.

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że na praktyki jeździło się chętnie, a nie tylko z obowiązku, bo był to sposób na bezpłatny wyjazd wakacyjny, czasem w bardzo atrakcyjne miejsca, z gronem dobranych kolegów. W niedziele organizowaliśmy wycieczki np. z Gdańska na Hel, z Cieszyna na Babią Górę. W tym czasie mało kogo było stać na prywatny wyjazd w góry czy nad morze. Wprawdzie ZSP przydzielało tanie dwutygodniowe wczasy studenckie, jednak zgranie terminów praktyki, obozu wojskowego (dotyczyło ponad 96 proc. naszego roku) i wypoczynku było trudne.

## Organizacje młodzieżowe

W lipcu 1948 roku, w wyniku połączenia się czterech organizacji młodzieżowych, powstał Związek Młodzieży Polskiej. Wchłonął on również ZHP, przekształcając go w swoją agendę o nazwie Organizacja Harcerska. Związek, odtąd jedyna organizacja młodzieżowa będąca z założenia młodzieżówką PZPR, rozwijał się błyskawicznie. Już po kilku miesiącach miał nie tylko program, ale i pełną strukturę do jego realizacji we wszystkich szkołach, uczelniach i zakładach pracy.

Skoro od opinii wystawionej przez zarząd szkolny ZMP w dużym stopniu zależało przyjęcie na studia, to nic dziwnego, że około 90 proc. uczniów szkół średnich należało do tej organizacji.

Był to tylko jeden z powodów wstępowania w szeregi Związku i udziału w jego pracach, zapewne jednak nie najważniejszy, bo chętnych do studiowania nie było tak wielu jak obecnie. Inne równie ważne to:

- naturalna, przynależna młodzieży chęć działania, możliwa do realizacji w jedynej istniejącej organizacji;

- panująca wówczas atmosfera, zachęcająca do współuczestnictwa w odbudowie kraju. Po latach wojny i okupacji upajaliśmy się wolnością (bo, mimo wszystko, kontrast z okresem okupacji niemieckiej był ogromny), nie zdając sobie jednak sprawy, że była ona mniej niż połowiczna;

- okazja do spotkań towarzyskich, jak wiece, capstrzyki, wieczornice czy wyjazdy, chociażby na prace społeczne. Gdy nie było dyskotek ani telewizji, a tylko w niewielu domach stało radio, które nie nadawało muzyki tanecznej, to i takie spotkania były atrakcyjne;

- szansa na awans w pracy.

Rezygnacja z przynależności do ZMP, po przyjęciu na studia, byłaby równoznaczna z rezygnacją z nich.

Trzeba też uczciwie przyznać, że Związek zajmował się nie tylko propagowaniem określonej ideologii, ale i kształtowaniem postaw prospołecznych.

Działalność w strukturach organizacji już w szkole średniej miała i dobre strony – była szkołą samorządności i samoorganizacji. Uczyla przygotowywania i prowadzenia zebrań, zabierania głosu na szerszym forum oraz organizowania prac społecznych, wyjazdów na nie i brania odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Osobiście brałam udział w dwutygodniowych pracach społecznych w PGR-ze koło Oławy, zorganizowanych przez Zarząd Szkolny ZMP bez udziału szkoły. Było to po maturze, a przed rozdaniem świadectw. Organizatorzy podobnych wyjazdów, innych prac społecznych oraz dużych imprez, podejmując studia, szybko wchodzili w struktury organizacyjne, świadomi swej roli i umiejętności w sprawnym kierowaniu pracami na wyznaczonym im odcinku. Niektórzy poczuli się już nawet przygotowani do wstąpienia do partii.

Na uczelni każdą grupę studencką reprezentował „grupowy” ZMP, a podstawową jednostką organizacyjną było „koło”, do którego należeli studenci jednego roku. Grupowy zwoływał zebrania, na których omawiano zarówno wyniki w nauce, sprawy socjalne, jak i postawę polityczno-społeczną członków grupy w określonych sytuacjach. Po każdym kolokwium odbywało się zebranie, nazywane naradą produkcyjną, na którym omawiano wyniki i ustalano, jak pomóc tym, którzy sprawdzianu nie zaliczyli. Po sesji zimowej szczególnie omawiano jej wyniki, obliczano „średnie” i sporządzano listę, którą dzisiaj nazwalibyśmy rankingową. Mobilizowano tych, którzy znaleźli się w „ogonie”, ale przede wszystkim organizowano pomoc, bardzo potrzebną, zwłaszcza tym, którzy przyszli na studia słabo przygotowani z powodu tułaczki, jaka stała się ich udziałem w czasie wojny. Nie do pomyślenia była sytuacja, aby student

mający dobre wyniki odmówił bezinteresownej pomocy swoim słabszym kolegom.

Jednocześnie ZMP promował studentów osiągających najlepsze wyniki w nauce i aktywnych społecznie. W holu Gmachu Głównego (A-1) Politechniki wszystkie wydziały miały swoje tablice, na których po każdej sesji umieszczano zdjęcia przodowników nauki i pracy społecznej, z informacją o ich osiągnięciach.

Organizacja propagowała „kultpochody”, czyli wspólne chodzenie na imprezy, głównie do kina. Rozprowadzała tanie książki (po 2,40 zł), nie tylko „cegły”, ale i pozycje wartościowe oraz organizowała zebrania dyskusyjne nad wybranymi tytułami. Kolportowała dziennik „Sztandar Młodych” (chyba bezpłatnie) i tygodnik „Po prostu”, pismo niemalże awangardowe, w którym pracowali zarówno Jerzy Urban, jak i Jan Olszewski.

Zwoływano też zebrania, na których odbywały się szkolenia ideologiczne, bo „zaostrza się walka klasowa i trzeba zwierać szeregi”. Powszechna była „nowomowa”.

Szczególnie przykre i brzemienne w skutki były zebrania, zwoływane w celu ukarania kogoś z nas za „zachowanie niegodne studenta Polski Ludowej”. A takim były na przykład: nieobecność na pochodzie pierwszomajowym, odmówienie niesienia szturmówki na tymże lub niewykonanie przydzielonego zadania, jak przygotowanie transparentu, dekoracji sali na zebranie wyborcze czy przeprowadzenie agitacji przedwyborczej. Pamiętam, że tego ostatniego przewinienia dopuścił się student Wydziału Mechanicznego – Aleksander Kopec, późniejszy wicepremier i prezes NOT.

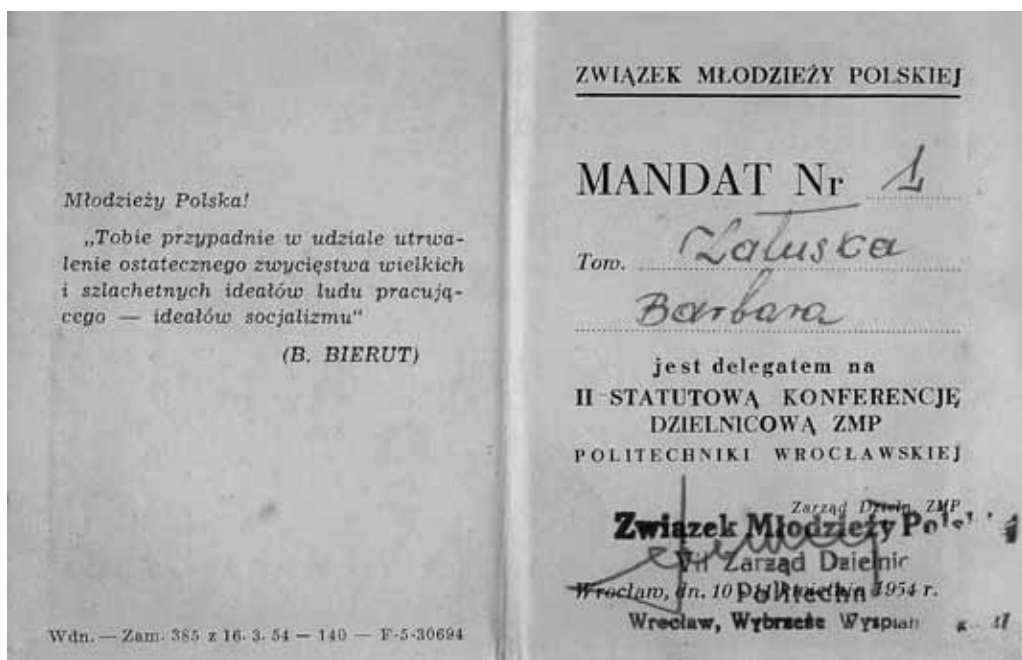
Kary były różne – od złożenia samokrytyki (bardzo popularna) lub przydzielenia określonej pracy społecznej, po wnioskowanie o skreślenie z listy studentów.

Następne szczeble organizacyjne ZMP ze swoimi zarządami – to wydział i uczelnia. Każdy z nich miał przydzielony odrębny lokal. Zebrania wyborcze do zarządu wydziałowego czy uczelnianego były bardzo dokładnie przygotowywane, łącznie z listami kandydatów i wykazem osób, które mają owych kandydatów zgłosić. Odbywały się zawsze w niedziele i trwały po 7–10 godzin. Chociaż wszyscy wiedzieli, że nie ma tu miejsca na żaden wybór, bo wszystko jest z góry ustalone i zatwierdzone, to traktowali je bardzo poważnie. Panował rytuał wkraczania na zebrania wyborcze delegacji z innych wydziałów czy uczelni, które odczytywały listy z życzeniami pomyślnych obrad i udanych wyborów.

Zarówno w szkole średniej, jak i na studiach, na zebraniach ZMP wszystkich szczebli nie zwracaliśmy się do siebie jak zwykle po imieniu, lecz tylko przez „koleżanko” lub „kolego”.

W czasie trwania naszych studiów, który pokrywał się z okresem działalności Związku, Zarząd Uczelniany Politechniki Wrocławskiej był zdomino-





Mandat delegata na wybory Zarządu Uczelnianego ZMP PWi.

wany przez studentów Wydziału Mechanicznego. Jego przewodniczącym był Tadeusz Porębski, wiceprzewodniczącym Waław Kasprzak, a członkami – Kazimierz Ziemiański, Wiesław Grzegórski i inni.

Profesor Tadeusz Porębski był tak silną osobowością, że gdy zmieniał stanowisko, to i władza nad Politechniką przenosiła się wraz z nim do kolejnego ośrodka. Tak było, gdy został I sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR, a następnie prorektorem i rektorem.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, trzeba powiedzieć, że byliśmy aktorami, a może raczej klaunami w tym „kabarecie”. Czy sami wybieraliśmy role? A może to sytuacja narzucała nam określone kreacje? Może nie wszyscy grali lub zdawali sobie sprawę z tego, że uczestniczą w tym swoistym przedstawieniu? Trudno to dzisiaj ocenić, żyjemy bowiem w diametralnie innych warunkach, bogatsi o wiele doświadczeń. Już wtedy uczono nas, chyba wyjątkowo słusznie, że „byt określa świadomość”. Odmowną rolę odegrał Związek wśród młodzieży wiejskiej i robotniczej. To aktywiści ZMP jeździli po wsiach i miasteczkach, agitując młodzież, by przenosiła się do miast, na wielkie budowy, na Ziemię Odzyskaną oraz zachęcając do podejmowania nauki. Dzięki działalności Związku Politechnika zyskała wielu pilnych (choć pewnie słabiej przygotowanych) studentów.

Związek Młodzieży Polskiej zniknął ze sceny politycznej po pamiętnym Październiku 1956 (został rozwiązany w styczniu 1957 r.), razem z końcem naszych studiów. Dzisiaj wprost trudno uwierzyć, że organizacja, która istniała tylko osiem lat, miała tak wielki wpływ na życie całego pokolenia i dlatego tak szeroko o tym piszę.

\* \* \*

Drugą organizacją działającą na uczelniach było Zrzeszenie Studentów Polskich, zajmujące się sprawami socjalnymi i kulturalnymi. Wydaje mi się, że należeli do niego wszyscy studenci.

ZSP rozdzielało tanie wczasy, głównie letnie, dotacje w formie bonów noclegowych dla Samodzielnych Obozów Wędrownych, a czasem również... suwaki logarytmiczne lub przyborniki kreślarskie, „dobra”, których próżno by szukać w sklepach. W każdej grupie reprezentantem ZSP był „mąż zaufania”, który informował kolegów, z jakich świadczeń i na jakich warunkach mogą aktualnie korzystać (kiedy i jak starać się o stypendium, akademik, zapomogę czy wczasy) oraz organizował „kultpochody”.



Legitymacja członkowska Zrzeszenia Studentów Polskich



Przedstawiciele ZMP i ZSP mieli wpływ na rozdzielanie miejsc w domach studenckich i przyznawanie zapomóg, a w mniejszym stopniu – stypendiów, te były bowiem rozdzielane według ściśle określonych kryteriów.

<p style="text-align: center;"><b>LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA</b></p> <p style="text-align: center;">Nr <u>8</u></p> <p style="text-align: center;"><i>Barbara Zatuska</i></p> <p style="text-align: center;">Imię i nazwisko</p> <p style="text-align: center;"><i>Barbara Zatuska</i></p> <p style="text-align: center;">Podpis</p> <p style="text-align: center;"><i>1. XI. 1953r.</i></p> <p style="text-align: center;">Data wstąpienia do S. T. N.</p> <p style="text-align: center;"><b>STUDENCKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE</b></p> <p style="text-align: center;"><i>Rada Wydziałowa</i></p> <p style="text-align: center;"><b>Politechniki Wrocławskiej</b></p> <p style="text-align: center;"><i>C. M.</i></p> <p style="text-align: center;">Podpis przewodniczącego RW. STN.</p>	<table border="1" style="width: 100%; height: 100%;"> <tr> <td colspan="3" style="text-align: center;">PRZYNALEŻNOŚĆ DO KOŁA</td> </tr> <tr> <td colspan="3" style="text-align: center;"><i>Koło Mech. Technicznej</i></td> </tr> <tr> <td style="width: 33%;"></td> <td style="width: 33%;"></td> <td style="width: 33%;"></td> </tr> <tr> <td></td> <td></td> <td></td> </tr> <tr> <td></td> <td></td> <td></td> </tr> <tr> <td></td> <td></td> <td></td> </tr> </table>	PRZYNALEŻNOŚĆ DO KOŁA			<i>Koło Mech. Technicznej</i>														
PRZYNALEŻNOŚĆ DO KOŁA																			
<i>Koło Mech. Technicznej</i>																			

Legitymacja członkowska Studenckiego Towarzystwa Naukowego

RADA WYDZIAŁOWA STUDENCKIEGO TOW. NAUKOWEGO  
PRZY WYDZIAŁACH MECHANICZNYCH  
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

ZAPRASZA

Ob. *Barbara Zatuska*

N A

**II STUDENCKĄ KONFERENCJĘ  
NAUKOWĄ**

KONFERENCJA ODBĘDZIE SIĘ W DNIU 16 GRUDNIA 1954 R.  
W GMACHU GŁÓWNYM POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ  
WROCŁAW, UL. WYBRZEŻE WYSPIAŃSKIEGO 7.

**PORZĄDEK OBRAD**  
Czwartek 16 grudnia 1954 r.

Aula Politechniki Wrocławskiej

godz. 8.15 — Otwarcie obrad

„ 9.30 — Referat: Modernizacja frezarki poziomej  
z FX — K. Kostyra

„ 10.30 — Referat: Analiza techniczna rewolwerówki  
poziomej RHE2 — J. Sikorski

„ 12.10 — Referat: Dynamiczne obciążenia w mecha-  
nizmach dźwignic — Z. Mazurkiewicz

„ 13.25 — Podsumowanie obrad  
Rozdanie nagród  
Zamknięcie Konferencji

Zaproszenie na II Studencką Konferencję Naukową

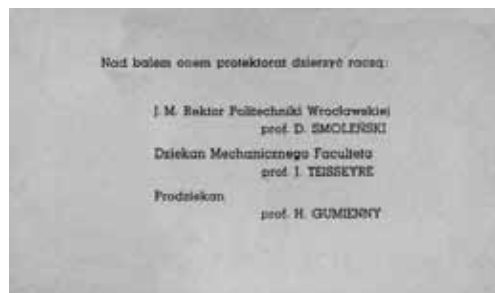
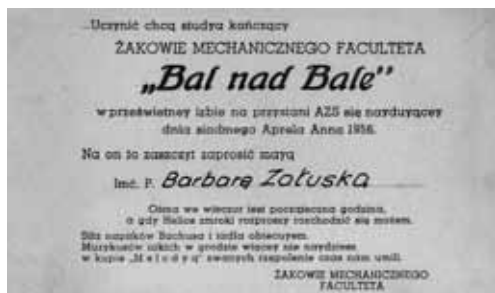


Zaproszenie na zabawę do tzw. „akwarium”

więcej jednak osób trenowało wioślarstwo, w którym odnosiło liczne sukcesy. W 1956 roku Kazimierz Błasiński, Szczepan Grojczyk, Berthold Mainka (sternik) wraz ze Zbigniewem Paradowskim i Marianem Nietupskim z Wydziału Weterynarii AR uczestniczyli, jako czwórka ze sternikiem, w półfinale Igrzysk Olimpijskich w Melbourne. Szczepan Grojczyk zaś, już z inną załogą, brał również udział w Igrzyskach Olimpijskich w Tokio, zajmując w finale szóste miejsce.

Oprócz nauki, zaangażowania w pracach kół naukowych, uczestniczenia w zebraniach i pracach społecznych, korzystaliśmy też z rozrywek kulturalnych. Najczęściej było to kino, ale również teatr i imprezy plenerowe. Dostyc często poszczególne wydziały lub roczniki organizowały zabawy taneczne na przystani AZS, w Auli, a później również w „akwarium” (w D-1).

W wakacje entuzjaści turystyki organizowali obozy wędrowne i spływy kajakowe. Byli wśród nas także sportowcy, jak siatkarze i szermierze, naj-



Zaproszenie na bal, na którym żegnaliśmy się z koleżankami i kolegami kończącymi studia inżynierskie

## Grupa studencka

Gdy od moich wnuczek, studentek, dowiaduję się, że obecnie nie ma podziału na grupy, to wprost nie mogę w to uwierzyć.

W 1952 roku nowo przyjęci studenci Wydziału Mechanicznego zostali podzieleni na dwanaście grup, po dwadzieścia kilka osób. Ja znalazłam się w grupie dwunastej liczącej dwadzieścia jeden osób, z których tylko koleżanka



Grupa dwunasta na ćwiczeniach z matematyki prowadzonych przez opiekuna grupy mgr. Ryszarda Krasnodębskiego w Instytucie Matematyki przy ul. Kopernika.  
Przy tablicy Mikołaj Gorgon

i ja miałyśmy rodziców we Wrocławiu. Większość przyjechała z Dolnego Śląska, ale byli też koledzy ze Śląska, Zagłębia, Płocka, a nawet z Suwałk. Nie mieli tu rodzin ani przyjaciół, co sprzyjało integracji. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo szybko, tworząc „zwarty kolektyw”, jak się wówczas mówiło. Dzisiaj nazwalibyśmy się pewnie grupą serdecznych przyjaciół, czujących współodpowiedzialność za każdego jej członka. Absolwenci „ogólniaków” byli lepiej przygotowani z przedmiotów teoretycznych, a technicy – z zawodowych. Szeroko rozwinęła się samopomoc koleżeńska i dzięki niej dwadzieścia osób ukończyło studia dzienne, w tym dwanaście – pełne magisterskie. Tylko jeden kolega zrezygnował z dalszej nauki już po miesiącu: był Grekiem, dużo starszym od nas i zupełnie nieprzygotowanym do studiów.

Aby zacieśnić przyjaźń pojechaliśmy razem na praktykę studencką po pierwszym roku. W grupie zostały zawarte dwa małżeństwa, a były w niej tylko dwie dziewczyny.

\* \* \*

W poszczególnych grupach panował różny stopień zażyłości. Na szczególne wyróżnienie zasługuje grupa czwarta, której większość stanowili absolwenci Gimnazjum i Liceum Mechanicznego, mieszczącego się przy ul. Jemiolowej we Wrocławiu. Tak jak za czasów uczniowskich, nadal chodzili razem do teatru, opery i kina, a po spektaklach wymieniali się wrażeniami. Wspólnie uczestniczyli w zabawach na uczelni i często organizowali własne imprezy z różnych okazji. Członkowie tej grupy inicjowali większość wycieczek. Najpierw były to jednodniowe wypadki podczas praktyk, a później – coraz dłuższe wyprawy, obozy wędrownie i spływy kajakowe. Z czasem utworzył się duży zespół zapalonych turystów z różnych grup, tak że jeszcze przez pewien okres po skończeniu studiów kontynuowano wspólne wyjazdy turystyczne.

## Rozstanie z Politechniką, kolegami, a dla wielu i z Wrocławiem...

**W** ciągu tych czterech lub pięciu lat studiów zmienialiśmy się my, Uczelnia i Wrocław. Studenci dorosleli, wielu pozakładało rodziny, wszyscy zdobyli zawód, bo nawet ci, którzy studiów nie ukończyli, podnieśli swoje kwalifikacje

Po zdaniu wszystkich egzaminów przyszedł czas na pracę dyplomową. Do kierującego specjalizacją należało przygotowanie tematów, wyznaczenie promotorów i przydział zagadnień lub pozwolenie, aby studenci sami wybierali je z przedłożonej listy.

Profesor Władysław Chowaniec przydzielił mnie oraz trzem kolegom z roku tematy dotyczące pomiaru chropowatości powierzchni i został naszym promotorem. Podlegaliśmy specjalnej dyscyplinie – portierka została zobowiązana do notowania naszej obecności w laboratorium pomiarów warsztatowych, nic więc dziwnego, że z egzaminem dyplomowym uporaliśmy się w pierwszym możliwym terminie – 28 czerwca 1957 roku.

Egzamin ten można było zdawać w różnych terminach, po kilka osób, które akurat zdążyły wykonać pracę dyplomową i przygotować się do jej obrony. Aż dziwne, że pozwalała na to dyscyplina studiów. Chociaż znam jednego kolegę, który zaraz po studiach podjął pracę, a gdy po pewnym czasie chciał przystąpić do egzaminu dyplomowego musiał jednak powtarzać ostatni rok nauki.

Uroczystego rozdania dyplomów nie było: przy tak rozłożonych w czasie egzaminach stało się to niewykonalne. Dokument odbierało się w dziekanacie, żegnając się jednocześnie z naszą dziekanką, panią Janiną Kuczowską.

Do 293 osób przyjętych na Wydział Mechaniczny w 1952, po trzecim semestrze dołączyło 40 studentów ze zlikwidowanego Wydziału Lotniczego oraz pojedyncze osoby, które przeniosły się z innych wydziałów i uczelni lub powróciły z urlopów dziekańskich. Dołączyli też inżynierowie, którzy chcieli uzupełnić studia magisterskie i magistrowie fizyki, którzy kontynuowali studia, aby uzyskać tytuł inżyniera i specjalność optyka. W sumie doliczyliśmy się 379 osób, które chociaż przez pewien okres były studentami naszego roku. Wiemy, że studia ukończyło przynajmniej 265 osób (czyli 70%), co świadczy o dobrej sprawności nauczania, jeśli uwzględni się fakt, że 66 osób odpadło już na pierwszym roku głównie z powodu niewystarczającego przygotowania lub bardzo złych warunków materialnych. Spośród 11 dziewcząt przyjętych na pierwszy rok jedna nie podjęła studiów, jedna została skreślona i jedna zrezygnowała po urodzeniu dziecka, ale przybyły trzy – 11 ukończyło studia.

Jeszcze podlegając dyscyplinie studiów, zostaliśmy objęci przepisami o „socjalistycznej dyscyplinie pracy”. Wszyscy studenci, którzy do 1956 roku włącznie kończyli studia, w czerwcu każdego roku otrzymywali nakaz pracy na okres 3 lat. Dostawali go również ci, którzy nie przystąpili lub nie zdali egzaminu dyplomowego. Dla wielu oznaczało to rozstanie z Wrocławiem i przyjaciółmi. Wprawdzie w 1957 roku nakazy zostały zlikwidowane i kończący studia magisterskie mieli już możliwość pozostania we Wrocławiu, bo „praca na nas czekała”, bardzo trudno jednak było tu otrzymać mieszkanie, stąd spora grupa naszych kolegów wybrała inne miejsce „do życia”. Rozpoczynając pracę wchodziliśmy w nowe środowisko i traciliśmy kontakt z dotychczasowym.

## Spotkania po latach

Jubileusz pięćdziesięciolecia Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej, obchodzony 22 i 23 września 1995 roku, stał się okazją do pierwszego, po prawie czterdziestu latach, spotkania grupy absolwentów, którzy w 1952 roku rozpoczęli studia na tym Wydziale lub do niego dołączyli. Wprawdzie przyjechało nas tylko dziewiętnaścioro (w tym dziewięcioro z grupy dwunastej) i wśród tak wielu dużo młodszych kolegów poczuliśmy się trochę zagubieni, ale może właśnie dlatego natychmiast padła propozycja, aby już w czerwcu 1996 roku zorganizować spotkanie tylko naszego roku.

Korzystając z pomysłu śp. Wojtka Matuszewskiego, wytrawnego turysty, ustaliliśmy, że zjazd powinien odbyć się w jakimś pensjonacie położonym w Sudetach. Stwarzało to warunki do zaproponowania urozmaiconego programu, który mógł zadowolić większość uczestników. Został powołany „jednособowy komitet organizacyjny” w mojej osobie.

Najpierw trzeba było odtworzyć listę studentów przyjętych w 1952 roku i uzupełnić ją o nazwiska osób, które dołączyły do nas w następnych latach, w tym 40 studentów ze zlikwidowanego Wydziału Lotniczego i 46 z innych roczników i uczelni. Z łatwością przypomniałam sobie nazwiska członków



Jubileuszowy zjazd Wydziału Mechanicznego PWr.  
Dowiedziało się o nim tylko kilkanaście osób





Czwórka ze sternikiem znów w komplecie na przystani AZS.  
Od lewej: S. Zapaśnik, M. Woźniak, J. Zatopiański (sternik), J. Wejman i F. Zawada

dwunastej grupy, tak jak wyczytywano je z listy obecności. Dużo trudniejsze było odtworzenie listy nazwisk członków pozostałych grup, ale znalazłam je w dokumentach udostępnionych mi w dziekanatach Wydziału Mechanicznego (za wstawiennictwem prof. Jana Kocha – dziękuję) i Wydziału Mechaniczno-Energetycznego oraz w Archiwum Politechniki Wrocławskiej.

Najtrudniejsze było przede mną – ustalenie adresów. Nieocenionym ich źródłem były książki telefoniczne oraz informacje kolegów, nie tylko o adresach, ale też o rodzinie, przyjaciółach, dawnych miejscach pracy. A potem – telefony, telefony, telefony...

„I Spotkanie po latach” odbyło się w dniach 22–23 czerwca 1996 roku w Karpaczu. Wysłałam 86 zaproszeń, przyjechało 51 osób. Pomimo nienajlepszej pogody atmosfera była wspaniała. Kilka godzin zajęła nam identyfikacja „kto jest kto”. Następnego dnia najbardziej zapaleni turyści powędrowali w deszczu na Śnieżkę, reszta zaś nadal odnawiała i zacieśniała kontakty. Czas szybko minął, pozostał duży niedosyt. Postanowiliśmy zatem organizować kolejne, trzydniowe zjazdy co dwa lata, dopóki pozwoli nam na to nasza kondycja. Uczestnicy powymieniali adresy i przekazali szereg informacji, które pozwoliły odnaleźć wielu następnych kolegów.

Kolejne zjazdy odbywały się w równie pięknych dolnośląskich miejscowościach turystyczno-wypoczynkowych. Uczestników wciąż przybywało



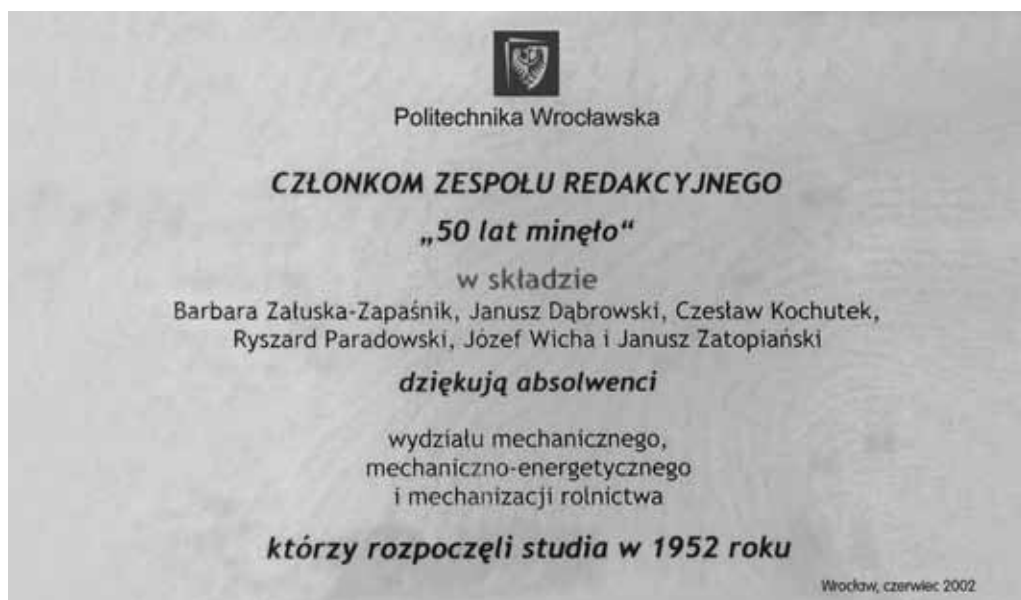
„I Spotkanie po latach”.  
Do Karpacza przyjechało już znacznie więcej osób



„II Spotkanie po latach” na Koziej Hali w 1998 r.  
Upłynęło ono na wspomnieniach, wycieczkach i pieczeniu kiełbasek



i nic w tym dziwnego, gdyż nazbierałam ponad 150 adresów... W 2002 roku, w ramach „IV Spotkania po latach”, odbył się zjazd jubileuszowy z okazji pięćdziesięciolecia rozpoczęcia przez nas studiów, na którym Rysiek Paradowski zaproponował, abyśmy napisali swoje biografie, głównie zawodowe, i wydali je w formie książki. Po trzech latach wyszedł zbiór pt. *50 lat minęło...*, zawierający 109 biografii na 380 stronach, uzupełniony suplementem z kolejnymi 17 biografiami, z którego wynika, że wszyscy pracowali w wyuczonym zawodzie, chociaż niekoniecznie w wybranej specjalności. Niemal wszyscy nasi koledzy zajmowali kierownicze stanowiska, czego nie można już powiedzieć o koleżankach. Wnioski płynące z nadesłanych biografii nie są całkowicie reprezentatywne, bo pewnie przysłali je w większości ci, którzy są zadowoleni ze swoich osiągnięć.



Tablica ufundowana przez naszego kolegę  
Erharda Ledwonia

Na „VI Spotkaniu po latach”, w 2006 roku, obchodziliśmy jubileusz pięćdziesięciolecia zakończenia studiów inżynierskich, w ramach którego zorganizowana została konferencja naukowo-techniczna pod patronatem dziekana Wydziału Mechanicznego – prof. dr. hab. inż. Eugeniusza Rusińskiego na temat „Absolwenci 1956/1957 wydziałów: Mechanicznego, Mechaniczno-Energetycznego i Mechanizacji Rolnictwa w przemyśle krajowym i światowym”. Wzięło w niej udział 74 uczestników. Wśród gości był prof. dr. hab. inż. Jan Kmita, który wręczył nam odznaki Politechniki Wrocławskiej.



Profesor Jan Kmita podczas ceremonii wręczenia odznak Politechniki Wrocławskiej



Jeszcze tylko „zdjęcie rodzinne” i do zobaczenia na następnych spotkaniach!

W czerwcu 2010 roku odbyło się „VIII Spotkanie po latach” – tym razem w Rzecze k. Walimia.

Na kolejnych zjazdach odnowiliśmy stare znajomości, jak również zawarliśmy nowe przyjaźnie. Na roku było nas tak dużo, że wiele osób, których nie zapamiętaliśmy z tamtych lat, stało się teraz „nowymi starymi znajomymi”.

Przyjeżdżają także absolwenci mieszkający obecnie w Niemczech, Francji, Szwajcarii, a nawet w Australii. Brakuje mi koleżanek, z których większość mieszka we Wrocławiu, lecz tylko sporadycznie odpowiadają na moje zaproszenia.

Czy będą następne „Spotkania” – trudno powiedzieć. Czas robi swoje. W naturalny sposób i entuzjastów ubywa. Niestety, coraz częściej spotykamy się na pogrzebach.

## Zakończenie

**M**oje związki z Politechniką Wrocławską to nie tylko studia uwieńczone dyplomem, ale również mąż, którym od 54 lat jest kolega, oczywiście z grupy dwunastej, i dwóch synów, absolwentów tej Uczelni oraz grono serdecznych przyjaciół, na których zawsze mogę liczyć.

Okres studiów przypadł na czasy bardzo trudne – jednak kiedy ma się siedemnaście lat, świat ogląda się przez „różowe okulary”. To, co wówczas było zwyczajne i naturalne, dziś wyglądać może dziwacznie, śmiesznie lub nawet absurdalnie. Nie pozostaje nic innego, jak nabrać do wszystkiego odpowiedniego dystansu, bo przecież miło wspominać czas spędzony na uczelni i ludzi, których tam poznałam.

Wszystkie dane liczbowe, zawarte w niniejszym opracowaniu, pochodzą z materiałów znajdujących się w Archiwum Politechniki Wrocławskiej lub też zostały zestawione na podstawie biografii nadesłanych przez koleżanki i kolegów do wydanej w 2005 roku książki *50 lat minęło...*



## Co jeszcze pamiętamy po upływie sześćdziesięciu lat?

*Studiowaliśmy na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej, rozpoczynając w październiku 1951 roku i kończąc latem roku 1954 albo 1956, w zależności od tego, czy ktoś z nas decydował się zakończyć studia na etapie inżynierskim, czy magisterskim. Jak łatwo zauważyć, od tamtego czasu minęło prawie sześćdziesiąt lat. To dostatecznie długo, aby o wielu epizodach zapomnieć, a większość zapamiętanych postrzegać z innej perspektywy niż wtedy, kiedy to wszystko się działo. Gdyby ktoś prowadził zapiski na gorąco, w formie pamiętnika, relacja mogłaby być inna, ale takiego pamiętnika nikt nie pisał.*

*Stanęło nas wtedy na starcie ponad dwieście osób, ukończyło około sto dwadzieścia, a w końcu po tylu latach żyje nas już prawie garstka. Z tej niewielkiej liczby żyjących zaledwie kilka osób zdecydowało się podzielić swoimi wspomnieniami. Zapamiętaliśmy różne zdarzenia, które się uzupełniają i których ocena po latach może się różnić, bo dalsze życie każdego z nas nasunęło, w zależności od tego, jak przebiegało, różne refleksje na temat naszej przeszłości. Dlatego postanowiliśmy nie robić syntezy tego, co zostało napisane, tylko zamieścić w całości poszczególne wypowiedzi, tak jak zostały zrelacjonowane przez poszczególnych autorów.*

Autorzy



Anna Kollender-Szych

## Moje studia na Politechnice

### Na uczelni

Lata naszych studiów 1951–1956 na Politechnice Wrocławskiej należały do okresu stalinowskiego, nie były to więc lata wolności słowa i postępowania. Na absolutną szczerłość nie można było sobie pozwolić wobec nikogo, wszak groziło to konsekwencjami. Wydaje się, że w owym czasie prawie każdy z nas, mimo młodego wieku, nosił w sobie coś, z czym nie dzielił się nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Wszechobecny był strach przed Urzędem Bezpieczeństwa – nawet wśród nas, studentów. To, że nie wszystkich należy darzyć zaufaniem, wpajano nam już w szkole, a właściwie w domu rodzinnym. Szczerłość wobec niektórych osób mogła zaszkodzić nie tylko rozmówcy, ale i jego rodzinie. Dużo czasu musiało upłynąć, zanim „otworzyło się duszę” wobec innych.

Brak było pieniędzy, nie było nas stać na wiele rzeczy, często musieliśmy podejmować się dodatkowej – poza studiami – pracy. Oczywiście praca zarobkowa była właściwie zabroniona, gdyż obowiązywała nas *dyscyplina studiów*; mieliśmy dać z siebie maksimum wysiłku, cały nasz czas miał służyć wyłącznie nauce. A przecież trzeba było żyć, ubierać się, czasem pójść do kina... Reguły zachowania dyscypliny studiów były twarde: w ramach jej utrzymania „grupowi”, czyli wybrani przedstawiciele, mieli obowiązek codziennego sprawdzania nie tylko listy obecności na wykładach, ale i zgłaszania do dziekana ewentualnych spóźnień. Nad starostami poszczególnych grup czuwała starościna roku. Zdaje mi się, że przez kilka lat była to Rena – dziewczyna o ostrym języku, ale miękkim sercu. Jednak i ona musiała przestrzegać reguł. Jedynie zaświadczenie lekarskie zwalniało studenta od zajęć. Mimo jednak tych wszystkich ograniczeń, gróźb, wiszących nad naszymi głowami, nie brakowało nam radości i humoru. Prawie



codziennie pośród nas krążyły nowe dowcipy – nawet polityczne, opowiadane po cichu na przerwach, podawane od jednego do drugiego. Byliśmy przecież młodzi! I nie myśleliśmy o ewentualnych konsekwencjach.

Początki nauki były niełatwe. Politechnika miała duże trudności finansowe i nie zawsze wystarczyło np. na ogrzewanie dużych sal wykładowych. Przypominam sobie pierwszą zimą, kiedy na wykładach w Sali Wałbrzyskiej siedzieliśmy opatuleni w płaszcze i zgrabiętymi palcami próbowaliśmy notować treść wykładów. Na stole laboratoryjnym w przedniej części sali, gdzie czasem pokazywano nam przebieg niektórych reakcji, paliło się kilka palników gazowych. To wszystko. Zimno było przenikliwe, a jednak byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy studentami, że przyjęto nas na Politechnikę. Zresztą, chyba ta dyscyplina i jej reguły wynikały z potrzeb, przecież nie mieliśmy prawie żadnych podręczników – istniał np. jeden jedyny egzemplarz skryptu prof. Trzebiatowskiego, a nas było na początku studiów prawie 180 osób! Jeżeli ktoś miał okazję „dorwać” się do tego skryptu choć na jeden dzień, mógł uważać się za szczęściarza! Stąd wszystkie nasze wiadomości pochodziły z własnych notatek z wykładów. Na cudzych notatkach trudno było się oprzeć, każdy miał swój styl, stosował własne skróty. Pierwsze podręczniki pojawiały się dopiero na późniejszych latach. Były to przeważnie rosyjskie tłumaczenia najnowszych podręczników amerykańskich. W tym czasie nieuznawane były prawa patentów. Korzystaliśmy z tego chętnie, choć zmuszało nas to z kolei do nauki języka rosyjskiego, a więc „bukw”.

Najtrudniejszy był chyba pierwszy rok studiów, nie tylko ze względu na zmiany w sposobie nauczania, wynikające z przejścia ze szkoły średniej na wyższą uczelnię, lecz również z uwagi na zwiększone obciążenie pracą. Ćwiczenia z chemii nieorganicznej – analiza jakościowa, potem ilościowa – trwały jednym ciągiem od południa do dwudziestej, a czasami, kiedy godzili się na to asystenci, nawet i dłużej. Trudny był też okres przystosowania się do pracy laboratoryjnej. Zanim nauczyliśmy się precyzji w analizie wagowej, często znajdowaliśmy się na pograniczu rozpaczy! A ileż to razy trzeba było powtarzać niektóre analizy. Gdy porównuję to z łatwością obsługiwanymi obecnie nowoczesnymi automatami analitycznymi... Niemniej jednak wydaje mi się, że nikomu z nas to nie zaszkodziło. Po prostu nauczyliśmy się dokładności, dowiedzieliśmy się, że w życiu dorosłym nie wszystko jest łatwe. Często po zajęciach – mimo zmęczenia – szliśmy całą grupą piechotą na Karłowice, gdzie mieszkało nas parę osób. Chcieliśmy w ten sposób wywietrzyć ubrania, nasiąknięte zapachami laboratoryjnymi (nie zawsze miłymi!). Temu samemu celowi służyła też karuzela z wesołego miasteczka przy pl. Grunwaldzkim. Bywało, że grupa chemików wieczorami okupowała wszystkie miejsca na karuzeli, bawiąc się przy tym wesoło.



Czasem niektórzy z nas nagromadzony stres zwalczali jeszcze w inny, z dzisiejszego punktu widzenia patrząc, trochę dziecinny sposób: któregoś dnia, oczywiście pod chwilową nieobecność asystenta, Januszek i ja zebraliśmy stłuczki po tyglach ceramicznych do wielkich parownic i wrzeszcząc niemiłosiernie, skakaliśmy po stołach laboratoryjnych, trzęsąc przy tym zawartością parownic! Hałas był potworny – podobny chyba do obecnych dyskotek. Szczęście, że koledzy w naszej grupie byli nie tylko wyrozumiali, ale i poważniejsi, i ściągnęli nas dosłownie „na ziemię”, zanim przyszedł pan mgr Idzikowski. Uratowali nas przed wstydem, choć pan Idzikowski pewnie śmiałyby się z tej dziecinady – on zawsze był wyrozumiały dla studentów, za to kochaliśmy go jak ojca. Nasz ówczesny „występ” pomógł mi bardzo. Wykurował mnie... z depresji spowodowanej nadmiarem pracy, niewyspaniem i zmartwieniem z powodu konieczności powtarzania analizy ilościowej krzemianu. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek później miała jeszcze jakieś problemy natury psychicznej. Widocznie czasami wrzask i hałas pomagają...

W czasie zajęć z „ilościówki” zdarzył się też wypadek bardzo przykry w skutkach. Zakończył się na szczęście bez większych uszkodzeń zdrowotnych. Jeden z naszych kolegów (Gienek?) wylał przez pomyłkę do zbiornika na zlewki kwasów większą ilość ługu (a może odwrotnie?). Gwałtowność reakcji, jaka wtedy nastąpiła, była przerażająca: buchnęła falą żrącej mieszanki – prosto na niego! W okamgnieniu jego spodnie przestały istnieć... Koledzy musieli pójść do akademika i przynieść mu inne portki. Później śmialiśmy się, że „przyszedł w długich portkach, a wyszedł w krótkich”.

Zajęcia na Uczelni planowane były bardzo skrupulatnie, prawie nie było „okienek”, pozostawała jedynie niewielka przerwa na obiad. Mieszkałam z rodziną, jednak nie zawsze zdążyłam pojechać do domu, wówczas – o radości! – korzystałam ze stołówki. W zasięgu Politechniki było kilka, nie różniły się za bardzo między sobą ani jakością, ani też ilością potraw. Ale stołówka na terenach wystawowych cieszyła się najlepszą opinią. Przypominam sobie wstrząs, jaki przeżyłam, gdy byłam tam po raz pierwszy. Właśnie rozglądałam się za sztucami do jedzenia. Wskazano mi wtedy wiszący obok okienka, gdzie wydawano jedzenie, nóż na łańcuchu, którym można było sobie rozkroić mięso. Łyżki i widelce „fasowało” się normalnie. Widocznie noże cieszyły się wśród braci studenckiej zbyt dużym popytem, były drogie, więc radzono sobie w ten sposób. Drugim urozmaiceniem w stołówce na terenach wystawowych było to, że należało unikać niektórych miejsc przy stołach na środku sali i ich nie zajmować. Znajdowały się bowiem bezpośrednio pod ulubionymi miejscami gołębi (czy też jaskółek?), fruujących pod wysokim sufitem...

No cóż, czasem trzeba było pracować, chociaż oficjalnie było to zabronione. Także i ja pracowałam przez cały okres studiów. W ciągu pierwszego roku prowadziłam księgowość dla niewielkiej firmy instalacyjnej należącej do ojca mojego kolegi z liceum. Poza tym, w soboty i niedziele, porządkowałam magazyny tej firmy. Pamiętam, że znajdowały się przy ul. Księcia Witolda i okropnie bałam się chodzić tam wieczorami. Była to dzielnica dość niebezpieczna, wokół znajdowały się jeszcze nieuprzątnięte gruzy, bywało, że zdarzały się napady.

Oczywiście udzielałam również korepetycji, przeważnie z chemii. Trafiła mi się w którymś roku nawet cała klasa z Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Parkowej. Trzeba było nadrabiać zaległości powstałe przez kilkumiesięczny brak nauczyciela chemii. Brrrr, było to straszne – stąd później bez szemrania płaciłam za korepetycje moich wnuków, wiedząc, jaka to ciężka i niewdzięczna praca!

Potem była to praca „chemika” w czasie kampanii cukrowniczej. Zaczęliśmy razem z Mirką w Cukrowni „Pastuchów” koło Żarowa. Mirka została od razu przyjęta na etat „chemika kampanijnego” (miała odpowiednie przygotowanie), a ja – ponieważ nie miałam żadnego przygotowania specjalistycznego – na etat „chemika do analiz specjalnych”. Czekano na nas  $7 \times 8 = 56$  godzin tygodniowo pracy w cukrowni. A na uczelni obowiązywała przecież dyscyplina studiów! Właściwie miałyśmy na realizację pracy zarobkowej tylko dwa dni w tygodniu! Jakoś uporałyśmy się z tym problemem. Ponieważ soboty były wolne dla dziewcząt (chłopcy mieli „wojsko”), wyjeżdżałyśmy w piątek po południu do Jaworzyny Śląskiej, a wracałyśmy na zajęcia w poniedziałek rano. Oczywiście byliśmy wtedy kompletnie wykończone i niewyspane. Zdarzało się, że wprawdzie byliśmy ciałami na sali wykładowej, ale „dusze nasze spały w środku”. Najgorsze były wykłady z ekonomii politycznej z prof. Popkiewiczem, odbywające się w pięknej wówczas, amfiteatralnej sali medycyny weterynaryjnej przy ul. Norwida. Sala była duża, przejrzysta, studentów widać było jak na dłoni, a pan profesor „liczył główki” po otrzymaniu listy obecności. Życzliwi koledzy budzili nas w momencie zbliżania się profesorskiego palca do naszej ostatniej ławki, gdzie spałyśmy błogo na położonych tam płaszcach. Podnosiłyśmy się, usiadły grzecznie, palec profesorski nas policzył i – spałyśmy dalej. Było to normalne nasze postępowanie, licząc od października do świąt Bożego Narodzenia, kiedy kończyła się kampania cukrownicza. Wracałyśmy w samą wigilię do domu.

Właśnie Mira przysłała mi e-mail, przypominając niektóre epizody naszych jazd do Pastuchowa: w Jaworzynie trzeba było przesiąść się na kolej wąskotorową do cukrowni. Różne były to jazdy, czasem siedziałyśmy na burakach, ale też nierzadko życzliwi kolejarze wpuszczali nas do „salonu” w lokomotywie. Tam było ciepło, mogłyśmy się przyglądać, jak „...jeszcze palacz węgiel w nią spie...”.

Następne kampanie – na trzecim i czwartym roku studiów, były już dla mnie łatwiejsze. Pracowałam wtedy w cukrowni „Sułkowice” w Sołtysowicach Wrocławskich, a więc stosunkowo niedaleko mojego domu. Można było dojeżdżać na rowerze. Dzięki nauce Mirki, która w Pastuchowie wtajemniczała mnie w arkana pracy chemika zmianowego, mogłam w Sułkowicach podjąć się pracy na tym etacie. Ku wielkiej radości pozostałych chemików zmianowych prosiłam o pracę wyłącznie na zmianie nocnej, tak aby nie kolidowała ze studiami. Gorzej było z odpoczynkiem, ale zawsze jakoś znajdowałam odrobinę czasu na kilka godzin snu, czy to rankiem, czy też po południu. Nauczyłam się wtedy spać o każdej porze, w każdej pozycji i w każdym miejscu – jak żołnierz. Trudno było jedynie wstawać wieczorem, gdy trzeba było zdążyć na zmianę do cukrowni rozpoczynającą się o 22.00. Ilekroć w późniejszych latach przejeżdżałam samochodem przez Karłowice ulicą Boya Żeleńskiego, wspominałam czasy kampanijne. Najgorsze były światła samochodów jadących naprzeciw. Okropnie oślepiały, gdy jechałam wieczorami na rowerze do cukrowni.

Były jeszcze inne propozycje dla studentów: np. praca likwidatorów szkód spowodowanych gradem lub suszą. Można było się jej podjąć po odbyciu kursu organizowanego przez Zakład Ubezpieczeń. Od końca maja zaczynał się okres „gradobicia” i wtedy należało oczekiwać wezwania na tereny dotknięte taką klęską. Przypominam sobie, że wraz z Krysią zostałyśmy skierowane do Rzeszowa, do tamtejszego PZU. Praca likwidatora była dla nas, mieszcuchów, bardzo zdrowa, ale też męcząca – od rana do wieczora chodziłyśmy po polach dotkniętych gradem i w asyście przedstawicieli danej wsi określaliśmy wysokość szkód dla każdego pola oddzielnie. Co prawda noclegi były w przeróżnych miejscach, u różnych ludzi, i nie zawsze odpowiadały nawet naszym ówczesnym pojęciom higieny. Zdarzały się też sytuacje komiczne. Przypominam sobie pewną wieś, nocowałyśmy wtedy u Pani Nauczycielki, a więc „światłodawczyni” – tak nam się wydawało... Pozwoliła nam wieczorem, po całym dniu pracy, umyć się w oborze, nawet dała trochę ciepłej wody. Szczęśliwie udało się tam, ale okazało się, że nie byliśmy same! Z dużym zaciekawieniem naszym ablucjom przyglądał się jakiś mężczyzna w średnim wieku, zajęty akurat wyrzucaniem gnoju! Kiedy pełne oburzenia wpadłyśmy do kuchni i poskarżyłyśmy się naszej pani, wzruszyła tylko ramionami i odpowiedziała: „to tylko Walek!” Uważała więc, że parobek (!!!) nie liczy się jako człowiek i nie mogła zrozumieć, że nam on przeszkadzał. Później, gdy nadarzała się sytuacja podobna, obie z Krysią cytowałyśmy unisono: „to tylko Walek!”

Oprócz gradu, również susza powodowała duże straty w zbiorach. I tak latem 1954 r. (?) wrocławskie PZU skierowało mnie do Olsztyna dla określenia szkód od suszy w lnii i konopiach. Piękna sprawa – przecież stamtąd żabi

skok nad morze, czyli do Sopotu! I tak w sobotnie wieczory wyjeżdżałam do Sopotu, by nocą z niedzieli na poniedziałek wrócić np. do Dobrego Miasta w olsztyńskim. Ale na plaży sopockiej „się było”! Oczywiście korzystałam również z mojej znajomości języka niemieckiego. Pracowałam dorywczo jako tłumaczka w gazecie „Arbeiterstimme”, przeznaczonej głównie dla górników niemieckich w Wałbrzychu. Była to praca bardzo przyjemna, wymagająca ode mnie najmniej wysiłku. Niestety, nie za często potrzebny był dodatkowy tłumacz...

Wreszcie na tak zwanym kursie magisterskim, czyli czwartym i piątym roku studiów, znalazłam pracę chemika kontroli jakości produkcji w Spółdzielni Chemicznej im. „9-go Maja” przy ul. Borowskiej na Krzykach. Ponieważ praca odbywała się w systemie dwuzmianowym, nie było już absolutnie żadnych problemów, by pogodzić ją ze studiami. Od 18.00 do 6.00 byłam na zmianie, a potem – do domu! Cudowna rzecz, jechać rowerem wczesnym rankiem przez dopiero co budzące się miasto: prościutko z południa na północ! Co prawda bywałam czasami odrobinę oszołomiona. Wynikało to po prostu z przyczyn związanych ze sposobem produkcji i wyposażeniem działu produkcyjnego. Spółdzielnia nasza bowiem, poza np. pastą do butów, zajmowała się również syntezą półproduktu do sporządzania syropu sulfogwajakolowego (przeciwkaszlowego), rozprowadzanego przez zaprzyjaźnioną Spółdzielnię Farmaceutyczną „Galena”. Wymogi czystości produktu w związku z tym musiały być ściśle przestrzegane. Proces produkcji przewidywał m.in. przemywanie otrzymywanych w trakcie syntezy kryształków 95-procentowym alkoholem etylowym. Oczywiście robiło się to pod wyciągiem, ale ten nie zawsze działał w sposób zadowalający... Nie dziwota, że do dzisiejszego dnia nie znoszę żadnych mocnych trunków! Mimo to, może dzięki niezbyt natężonemu ruchowi samochodów, zawsze jakoś docierałam „cało i zdrowo” do domu, na Karłowice, skąd szybciotko jechałam na nieobowiązkowe już wtedy wykłady. Przyzwyczajenie stało się drugą naturą – wykładów mimo to nie opuszczałam. Bardzo niewielu z nas korzystało z rozluźnienia dyscypliny. Sale wykładowe były nadal wypełnione słuchaczami.

## Praktyki wakacyjne

**P**o pierwszym roku obowiązywała nas jednomiesięczna praktyka robotnicza w wybranych przez Uczelnię zakładach chemicznych. „Robotnicza” oznaczało, że praktykanci byli zatrudniani na stanowiskach niewykwalifikowanych robotników. Oczywiście nie otrzymywaliśmy zapłaty przewidzianej dla robotników, lecz ryczałt za praktykę, uzgadniany przez Uczelnię. Zresztą praktykanci bardziej przeszkadzali, niż pomagali w pracy.

Jednak dzięki tym praktykom otrzymaliśmy wgląd w procesy produkcyjne wybranych zakładów. Moja praktyka odbywała się w Zakładach Włókien Sztucznych we Wrocławiu, na Kowalach. Znałam te zakłady jedynie z powodu zapachu siarkowodoru unoszącego się nad Karłowicami przy odpowiednim kierunku wiatru, nie miałam jednak pojęcia, co się tam produkuje. Teraz zapoznano nas z produkcją wiskozy od podstaw i pozwolono nawet w niewielkim stopniu włączyć się do produkcji. Sprowadzało się to przeważnie do prac porządkowych, a jednak... W tym samym zakładzie praktykę odbywali studenci z różnych uczelni z wielu miast Polski. Większość z nich pochodziła z Politechniki Warszawskiej, a niewielka część z Gdańska. Ulokowano ich w akademiku na Krzykach. Tam też odbywały się nasze spotkania towarzyskie, organizowane były różne obowiązkowe akademie, a także opracowywaliśmy wspólnie sprawozdania z praktyk. Poznawaliśmy się, powstały przyjaźnie, trwające czasem kilka lat.

Właściwie po każdym roku akademickim kierowano nas na praktyki wakacyjne. Brałam udział jeszcze tylko w jednej – w Zakładach Chemicznych „Oświęcim” – po drugim roku. Później zaliczano mi jako praktykę pracę w cukrowniach. Dzięki temu mogłam w czasie wakacji zająć się pracą zarobkową. Praktyka w Oświęcimiu była już bardziej wymagająca. Pokazano nam nie tylko cały zakład; wyjaśniano procesy chemiczne, pozwolono na pytania i przeważnie na nie odpowiadano. Wprawdzie w wielu miejscach oglądaliśmy jedynie gołe fundamenty lub wykopy po urządzeniach chemicznych, które zostały – jak nam lakonicznie wyjaśniano – „wywiezione przez Amerykanów”. W Zakładach „Oświęcim” zdecydowałam się właśnie na wybór paliw płynnych jako specjalizacji, chciałam wiedzieć, jak wygląda produkcja tych paliw od początku.

Instytut Technologii Paliw Płynnych znajdował się (i jest chyba nadal) przy ul. Bujwida, w baraku. Wykłady odbywały się w bibliotece, przy długim owalnym stole, pokrytym zielonym sukniem. Siedzieliśmy grzecznie, trzymając przed sobą skrypt prof. Tomasika, i słuchaliśmy jego odczytu. Potem, na kursie magisterskim, zostało nas tylko czworo: Kira, Józio, Romek i ja. Wtedy już profesor Tomasik zabierał nas do świętego przybytku – swojego gabinetu, gdzie studiowaliśmy różne plany rafinerii nafty. Czasami pozostawiał nas samych i zdarzało się, że niektórych zmógł sen z powodu wygodnych foteli w gabinecie profesorskim...

Prace dyplomowe były robione pod okiem nie tylko profesora Tomasika (czasami podchodząc do Kiry i mnie pytał, „a co panie robią poza pić herbaty?”), ale również docenta Rutkowskiego i asystentów. Oni też jechali z nami na wycieczkę terenową do Gorlic, gdzie zobaczyliśmy małe źródła ropy naftowej. Również dane nam było zwiedzić Rafinerię Nafty, gdzie największe wrażenie robiła na mnie opowieść o tym, jak robotnik, przyłapany na paleniu papierosa, zgasił go, wrzucając do wiadra z resztkami destylatu...

Przypomina mi się jeszcze jedna anegdota, z którą byłam osobiście związana. Były to ćwiczenia z preparatyki organicznej na drugim roku, prowadzone przez mgr. Krzysztofa Piątkowskiego. Zajęcia odbywały się w Nowym Gmachu Chemii, na piętrze. Sala była niewielka, dla lepszej organizacji (pewnie też dla bezpieczeństwa) grupy podzielono na mniejsze, miejsca więc było dosyć. Nie pamiętam już, jaki preparat miałam przygotować, jedynie to, że podgrzewałam benzen w niewielkiej kolbce, chyba na 300 ml. Krótko: zawartość kolbki zaczęła wrzeć, pary benzenu wydostały się na zewnątrz i zapaliły się. Moja reakcja była natychmiastowa: żeby zapobiec pęknięciu kolbki (była bardzo cenna), złapałam ją gołą ręką i zdjęłam z palnika. Oczywiście oblałam przy tym rękę benzenem palącym się pięknym, dużym, dymiącym płomieniem. Obecni na sali wpadli w popłoch, większość pobiegła, by ugasić pożar, ratować mnie... Pan Piątkowski drżącą ręką wylał wszystkie zapasy tłuszczów i olejów, jakie miał, na moją nieszczęsną, spaloną, czarną rękę i ciągle pytał, czy bardzo boli. Tylko jedna z naszych koleżanek – Basia – zachowała zimną krew: złapała z wieszaka swoje futro i wybiegła z nim na korytarz!

Mnie wysłano do domu w asyście Antka. Biedak wycierpiał niemało, bo jazdę tramwajem na Karłowice przerywaliśmy co kilka przystanków. Ręka bolała mnie tak bardzo, że na ulicy, żeby nie płakać, śpiewałam. Na płacz pozwoliłam sobie dopiero w domu, w ramionach mojej matki.

Wszystko zakończyło się dobrze, ręka zagoiła się bez śladów, została tylko pamięć.

Ludwik Bednarz

## Fragmenty wspomnień studenckich

W czasie studiów byliśmy mocno zaangażowani w działalność kulturalną. Mieliśmy na roku chór rewelersów w składzie: Benek Karczewski, Romek Parylak, Jasio Renc i ja. Występowaliśmy na wielu uroczystościach i śpiewaliśmy różne piosenki, wiele rosyjskich, np. *Nikогда nie pomirała sława tulskich kuzniecow...* i oczywiście *Suliko* – ulubioną piosenkę Józefa Stalina. Zdjęcie, niżej zamieszczone, zrobiono w sali wykładowej Nowego Gmachu Chemii, gdzie śpiewaliśmy z okazji jakiejś uroczystości. Nie widać stołu prezydyjnego (na prawo od nas), gdzie zasiadali profesorowie i asystenci, ale doskonale widoczny jest portret Stalina.



Istniał wtedy także chór Politechniki, do którego należałem, jak kilku innych kolegów z roku. Ze względu na brak głosów żeńskich (było niewiele dziewcząt) do chóru tego zaangażowano uczennice ze szkoły pielęgniarek, gdzieś z pobliza. W repertuarze były głównie pieśni patriotyczne i oczywiście *Kantata o Stalinie*. Jednego roku odbył się konkurs chórów uniwersyteckich we Wrocławiu (w operze) i tam śpiewaliśmy właśnie *Kantatę o Stalinie*.



Występ chóru rewelersów

Pamiętam jedno wydarzenie. Na placu Grunwaldzkim zainstalował się cyrk. Był tam, między innymi, gabinet śmiechu. W pomieszczeniu rozwieszono były na ścianach lustra o wykrzywionych płaszczyznach, co powodowało bardzo śmieszne wykrzywianie twarzy. Kiedy wychodził z tego gabinetu jeden z naszych kolegów (zdaje się, że był to Broniek Stelmaszek), drugi kolega (prawdopodobnie Romek Parylak)



Na obozie wojskowym

takiego kaprała, który dawał nam porządek w kość. Zatem do jego zupy wiano jakiś środek chemiczny (zdaje się fenoltaleinę) i kaprał na kilka dni został wyłączony, leżał na izbie chorych z biegunką, a my mieliśmy spokój.

zapytał, co tam jest, a Broniek odpowiedział, że czytają tam naszą konstytucję (bo było to zdaje się w 1953 roku, kiedy przygotowywano nową konstytucję i jej tekst został rozesłany do tzw. „konsultacji” z narodem). Ktoś doniósł o tym do władz uczelni i Broniek (jeżeli to był on) miał poważne problemy, łącznie z groźbą relegowania z uczelni.

Na obozie wojskowym w Grupie koło Grudziądza mieliśmy natomiast



Benedykt Karczewski

## Z ziemi kaszubskiej na studia w polskim Wrocławiu

Jestem absolwentem Politechniki Wrocławskiej z lat 1951–1955. Przyjechałem na studia z Kaszub. Rozpocząłem je, gdy Uczelnia funkcjonowała jeszcze pod nazwą Uniwersytet i Politechnika, ze wspólnym rektorem, panem prof. Kulczyńskim. Po kilku miesiącach Politechnika stała się samodzielną uczelnią z rektorem prof. Dionizym Smoleńskim na czele. Studiowałem na Wydziale (Oddziale) Chemii Technicznej. Obowiązywał wtedy 4-letni system studiów I stopnia (inżynierskie) oraz 5,5-letni II stopnia (magisterskie).



Ja zaliczyłem czteroletnie I stopnia w 1955 roku, kończące się egzaminem dyplomowym i uzyskaniem tytułu inżyniera chemika. Po odbyciu w lipcu tego roku ćwiczeń wojskowych w Grupie koło Grudziądza oraz praktyki studenckiej w sierpniu w Mościcach koło Tarnowa, otrzymałem skierowanie do pracy do Żarowskich Zakładów Materiałów Ogniotrwałych w Żarowie na Dolnym Śląsku. W zakładzie tym przepracowałem osiemnaście lat. W tym czasie, równoległe z pracą, kontynuowałem studia magisterskie na Akademii Górniczo-Hutniczej w królewskim mieście Krakowie, na Wydziale Ceramicznym – specjalność inżynieria materiałowa. Studia te ukończyłem w 1970 roku z tytułem magistra inżyniera chemika-ceramika. Następnie zapisałem się na studia doktoranckie, które kontynuowałem na uczelni macierzystej, tj. na Politechnice Wrocławskiej. Moim promotorem był prof. dr hab. inż. Zbigniew Świecki, a po jego wyjeździe do Algierii – doc. dr hab. inż. Leokadia Kucharska. Temat pracy doktorskiej brzmiał: „Wpływ czynników reologicznych na proces prasowania i właściwości użyteczne materiałów typu AL70 nie zawierających składników ilastych”. Studia doktoranckie odbyłem w Instytucie Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych, którego kierownikiem był doc. dr hab. Henryk Górecki.

Pracę doktorską obroniłem 18 grudnia 1986 roku z wynikiem bardzo dobrym, wyróżnioną przez ówczesne Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Nauki.

Podczas studiów stacjonarnych, w latach 1951–1955, udzielałem się społecznie; byłem między innymi aktywnym członkiem uczelnianego Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Wrocławskiej. W roku 1954 zostałem jego kierownikiem organizacyjnym. Byłem także członkiem chóru rewelersów, o którym w swoich wspomnieniach napisał wcześniej Ludwik Bednarz.

Gdy przyjechałem po raz pierwszy do Wrocławia, pod koniec września 1951 roku (bo rok akademicki rozpoczynał się wtedy w trzeciej dekadzie września), miasto leżało w gruzach. Jako student brałem bezpośredni udział w odgruzowaniu szeregu ulic, między innymi Traugutta i położonych dalej ulic w pobliżu Poczty Głównej. Brałem też udział w odgruzowywaniu i budowie przystani wodnej, która znajduje się naprzeciwko Gmachu Głównego Politechniki – przy Wybrzeżu Wyspiańskiego 27.

Zaraz na początku studiów, w październiku czy listopadzie 1951 roku, braliśmy udział w zbiorze kukurydzy w jednym z podwrocławskich PGR-ów. Takie były tam zaniechania, że kukurydzę pokryła gruba warstwa śniegu. Dopiero wtedy była zbierana z pola. Pamiętam, że porządnie zmarzliśmy i dopiero grochówka trochę nas rozgrzała. Podczas całych studiów mieszkałem w akademiku. Wtedy były to po prostu pojedyncze domy mieszkalne, opuszczone podczas działań wojennych przez byłych mieszkańców Wrocławia, położone w dzielnicy Biskupin.

Mieszkałem kolejno przy ulicy Stanisławskiego 1 – na pierwszym roku i przy ulicy Stanisławskiego 12 – na roku drugim. Z tego okresu pamiętam incydent, który się zdarzył 5 marca 1953 roku w związku ze śmiercią Stalina. Na trzecim roku mieszkałem przy ulicy Skłodowskiej-Curie, na czwartym znowu zagościłem na Biskupinie. Na uczelnię, wykłady i ćwiczenia dojeżdżało się tramwajami 4 i 12. Bilet w jedną stronę kosztował wtedy 15 groszy. Na pierwszym roku ilość wykładów i ćwiczeń absorbowwała prawie cały dzień, od świtu do późnej nocy, z małą przerwą na obiad. Posilaliśmy się w stołówkach w Hali Ludowej lub przy ulicy Wojciecha z Brudzewa.

Na pierwszym roku było nas przeszło 200 osób, tak że gdy był wspólny wykład, to Sala Wałbrzyska ledwie nas mieściła. Jako studenci nie „pachnący” groszem, chodziliśmy mimo to często do opery na przedstawienia. Z samej zasady kupowaliśmy najtańsze bilety na tak zwaną „jaskółkę”. Podczas pierwszej odsłony wypatrywaliśmy z góry, czy są wolne miejsca w łoży. Gdy tak było, zajmowaliśmy je, udając „angielskich lordów”.

W roku 1955, zaraz po Świątach Wielkanocnych, brałem udział w akcji sadzenia drzewek na placu Grunwaldzkim, wzdłuż ulicy biegnącej w stronę mostu Szczytnickiego i Stadionu Olimpijskiego. Gdy byłem ostatnio we

Wrocławiu z okazji kolejnego spotkania absolwentów naszego roku, to tych drzew nie mogłem poznać. No, ale nic dziwnego; minęło już ponad 50 lat.

W roku 1955, na przełomie lipca i sierpnia, już po ukończeniu studiów, odbywał się w Warszawie V Festiwal Młodzieży i Studentów, w którym nasz uczelniany Zespół Pieśni i Tańca brał czynny udział. I tak, po pracowitym roku i egzaminach, trafiłem na występy do Warszawy.

Z tego spotkania pozostały po dziś dzień niezatarte wspomnienia i przyjaźnie. Na studiach we Wrocławiu spotkałem się z ludźmi ze wszystkich stron Polski. Szczególnie zaprzyjaźniłem się z kolegami, pochodzącymi z dawnych Kresów Wschodnich. Na Politechnice Wrocławskiej tamtych lat byłem jedynym Kaszubą. Cieszyłem się, że mogłem studiować w polskim Wrocławiu. Pomimo pochodzenia z różnych stron Polski, o różnych tradycjach, przyzwyczajeniach i przywarach, cechowało nas, studentów, wspólne asertywne zrozumienie. Dlatego, jak to ująłem w wierszu *Co nam pozostało z tamtych lat*, tworzyliśmy nierozzerwalną pakę „Ludwików”, „Romków”, „Kozaków”, zacnych „René”, „Bociańskich”, „Juniorów” i „Karcza-haków”. Nie zdołał nas poróżnić nawet przykry incydent z 5 marca 1953 roku.

W Żarowskich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych pracowałem w latach 1955–1973, przechodząc wszystkie szczeble kariery zawodowej, od mistrza do głównego technologa i asystenta głównego inżyniera.

Byłem racjonalizatorem i wynalazcą. Zgłosiłem w tym Zakładzie ponad 40 wniosków racjonalizatorskich, z czego 13 zostało uznanych przez Urząd Patentowy w Warszawie.

W sierpniu 1973 roku zaproponowano mi pracę na Kaszubach, w Zakładach Porcelany Stołowej „Lubiana” w Łubianie koło Kościerzyny, na stanowisku zastępcy dyrektora ds. technicznych. Pracę w tym zakładzie podjąłem od 1 września 1973 roku. Tu zgłosiłem dalsze wnioski racjonalizatorskie z dziedziny ceramiki szlachetnej, z których cztery zostały uznane za wynalazki. Jestem twórcą porcelany kaszubskiej.

Za całokształt działalności racjonalizatorskiej i wynalazczej oraz prac pisarskich zostałem w 1984 roku odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 2004 roku – Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W latach 2001–2002 byłem radnym Sejmiku Województwa Pomorskiego, jestem członkiem Kaszubskiego Instytutu Rozwoju, członkiem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz członkiem Kaszubskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kościerzyna”. Aktualnie pełnię funkcję radnego Rady Miasta Kościerzyna z ramienia partii Prawo i Sprawiedliwość.

Jestem aktywnym działaczem kaszubskim – pisarzem regionalnym. W latach 1999–2009 wydałem 11 tomików wierszy, przysłów i anegdot napisanych w języku kaszubskim.



Janusz Jarmuła

## Wspomnienia z Politechniki Wrocławskiej

### Egzaminy wstępne

*B*ył początek września 1951 roku. Po całonocnej jeździe z Krakowa, pociąg zbliżał się we wczesnych godzinach rannych do celu mojej podróży – Wrocławia. Mijał po drodze mocno zrujnowane dolnośląskie miasteczka. Widok przygnębiający, ale nie był dla mnie zaskoczeniem. Już raz jechałem tędy w 1948 roku – z wycieczką szkolną – na Wystawę Ziem Odzyskanych. Zapamiętałem wtedy Wrocław jako miasto ruin, wśród których odróżniały się zachowane od zniszczenia tereny wystawowe. Imponował wielki gmach Hali Ludowej z ustawionymi przed nią trzema drewnianymi łukami i słynną stalową Iglicą. Zwraçały także uwagę dwa betonowe mosty nad torami tramwajowymi i szeroką jezdnią, zapewniające bezpośredni dostęp do tak zwanych terenów wystawowych B. Z pamięci wyłaniał się jeszcze wypalony częściowo rynek, gdzie na północnej stronie, w jednym z zachowanych budynków z przeszkloną ścianą zewnętrzną, mieliśmy zapewniony wtedy nocleg. Rano budziło nas donośne dzwonięcie tramwajów, kursujących wtedy wokół rynku.



W myślach przewijał się miniony etap nauki szkolnej, zakończony maturą i uroczystym komersem w noc świętojańską w auli Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Myślenicach. W tamtych czasach nie organizowało się przed maturą studniówek, natomiast po maturze komers był obowiązkowy. Przez całą zabawę mogłem z okna na drugim piętrze obserwować północną część horyzontu. Najpierw, od północnego zachodu, słońce zeszło ukośnie poza horyzont, pozostawiając za sobą jasną poświatę. Potem to piękne światło lekko zanikało, schodząc stopniowo w dół i równocześnie

poruszając się wolno w prawą stronę. W środku nocy, cały czas widoczne, minęło kierunek północny i zaczęło ponownie narastać, aż w pewnym momencie na północnym wschodzie znad horyzontu ponownie wyszło słońce. Dla młodego miłośnika astronomii był to dodatkowy prezent od natury. Ale to już była przeszłość. Teraz czekało nieznanne. Czy uda się przebrnąć przez egzaminy wstępne i zostać studentem?

Dlaczego wybrałem Wrocław? Trudno do końca powiedzieć. Miałem studiować w Moskwie. Kandydatów typowała szkoła spośród uczniów mających bardzo dobre stopnie, no i oczywiście – Związek Młodzieży Polskiej. Do ZMP należała większość uczniów, bo były czynione odpowiednie naciski. Niektórzy, z nas, wśród nich ja, przeżywający kryzys wiary i okres młodzieńczego buntu, dali się nabrać na podsuwane przez zewnętrznych agitatorów ściągę z filozofii marksistowskiej, szczególnie te z hasłami przeciwko Kościołowi, a także uwierzyli, że sowieckie państwo to oaza wolności, sprawiedliwości, nauki i postępu. Przyjęcie takich poglądów zapewniło mi rekomendację ZMP. Rodzice nie byli zachwyceni tym wyborem, ale w zasadzie nie bardzo mogli się przeciwstawić. Miałem przygotowane dziesięć (!) fotografii i wypełnione odpowiednie kwestionariusze, które złożyłem w sekretariacie liceum.

Niedługo po maturze dowiedziałem się, że wyjazdu do Moskwy nie będzie. Pytałem – dlaczego, ale jakoś nikt nie chciał udzielić mi odpowiedzi. W końcu przewodniczący ZMP oświadczył, że wyjazd odwołano, ponieważ sześciu kolegów z naszych czterech klas maturalnych wstąpiło do seminarium duchownego. Doznałem szoku. Przecież to był ich wybór, a nie mój. Dlaczego ja miałem za to cierpieć? Zacząłem wątpić, czy to wszystko rzeczywiście tak wyglądało, jak było przedstawiane.

Tak oto Opatrzność ocaliła mnie od złego wyboru. Nie wiem, jaki wróciłbym z tej Moskwy i czy na pewno bym wrócił. A koledzy mieli wspaniałe kariery duszpasterskie.

Teraz trzeba było wybrać studia w Polsce. Nie byłem nastawiony szczególnie na jakiś kierunek. Lubiłem matematykę, chemię, mniej fizykę, pasjonowałem się astronomią; z drugiej strony interesowałem się także literaturą polską, językiem łacińskim i angielskim. Mogłem również zostać aktorem, ale to był jedyny zawód stanowczo oprotestowany przez moich rodziców. Zdecydowałem się studiować chemię.

Najbliższym ośrodkiem akademickim był Kraków. Być może wydawał się za bardzo znany i usytuowany zbyt blisko rodzinnego domu? Za mała przygoda... Człowiek mający zaledwie osiemnaście lat chciałby odkrywać nowe drogi. Duże znaczenie miał dla mnie fakt, że Polska odzyskała Wrocław po wielu wiekach. Chciałem tam być. Ponadto na Politechnice można było studiować chemię techniczną, której ukończenie dawało szansę zatrudnienia w przemyśle chemicznym.

Po przyjeździe do Wrocławia zgłosiłem się na uczelnię i zostałem skierowany do domu akademickiego na ulicę Kotsisa. Zabudowane piętrowymi domami dwie równoległe ulice – Kotsisa i Stanisławskiego – służyły kilku uczelniom wrocławskim jako jeden wielki dom akademicki. Miejsc było w nim jednak o wiele za mało, aby pomieścić wszystkich zamiejscowych kandydatów na studia, przystępujących do egzaminów wstępnych. W tych warunkach przydzielano po jednym łóżku dla dwóch zakwaterowanych. W łóżku były trzy materace i materacowy podglówek; pościeli nie było. Postanowiliśmy razem z nieznanym mi kolegą, starającym się na inny wydział, spać na dwóch materacach, a trzeci wykorzystywaliśmy jako „kołdrę”. Na szczęście wrzesień był bardzo ciepły i pogodny, a my nie mieliśmy wielkich wymagań.

Wszyscy byliśmy biedni. Żywiliśmy się przez cały czas wyłącznie chlebem ze smalcem i pomidorami, bo były to najtańsze produkty żywnościowe. Egzaminy zdawaliśmy przez dwa tygodnie z wielu przedmiotów, mniej lub bardziej związanych z obranym kierunkiem studiów, w tym pięć pisemnie. Z całą pewnością pisaliśmy prace z języka polskiego i z matematyki, natomiast na pewno nie było egzaminu z żadnego języka obcego.

Jak się potem okazało, oceny z egzaminów były ważne, ale nie najważniejsze. O przyjęciu decydował wynik specjalnej rozmowy, którą należało odbyć z wyznaczonym przedstawicielem zarządu uczelnianego Związku Młodzieży Polskiej. Czekano się na nią na korytarzu gmachu głównego Politechniki. Przy okazji zawieraliśmy znajomości i wymienialiśmy uwagi. Jeden z oczekujących powiedział: „ty się dostaniesz i ty się dostaniesz; ja – nie. Zobaczycie. Staram się już po raz piąty, ale się nie dostanę, bo byłem w AK”. Zdziwiłem się. Pamiętałem wciąż okrucieństwo Niemców, a z drugiej strony przypomniałem sobie znajomych chłopców z AK, niewiele starszych ode mnie, którzy z tymi Niemcami walczyli. Nie przypuszczałem, że można im było coś zarzucić. Dopiero później zrozumiałem, czym kierowała się władza, przyjmując określone stanowisko.

Oczekiwanie na decyzję o przyjęciu przedłużało się. Codziennie jeździłem na uczelnię, aby sprawdzić, czy jest już wywieszona lista. Resztę dnia spędzałem na basenie olimpijskim, gdzie z ulicy Kotsisa można było szybko dojść na piechotę i tam przebywać dowolnie długo bez niepotrzebnych wydatków. Czuję się bardzo samotny i tęskniłem do własnego łóżka, a także do normalnego domowego jedzenia.

Na wyniki czekałem cały tydzień. Wreszcie wywieszono listę. Z radością zobaczyłem, że zostałem przyjęty. Szybko wróciłem do domu, choć nie na długo. Po kilku dniach zaczynał się październik i trzeba było rozpocząć studia. Znowu jechałem znaną trasą do Wrocławia, aby zostać tu już na całą resztę dni mojego życia.

## Studia na Wydziale Chemicznym

Kiedy zdawałem egzaminy wstępne, rodzice zorientowali się, że we Wrocławiu mieszkają na Karłowicach znajomi, którzy poprzednio, po repatriowaniu się z Syberii, przebywali przez pewien czas u swojej rodziny w Myślenicach. Nawiązali kontakt i otrzymali zapewnienie, że mogę się tam zatrzymać, dopóki nie znajdę stałego miejsca zamieszkania. To było dla mnie duże ułatwienie. Zaraz po przyjeździe do Wrocławia udałem się więc na Karłowice i skorzystałem z gościny. Tato zobowiązał się przysyłać mi co miesiąc pewną sumę pieniędzy, zaznaczając, żebym dawał znać w przypadku, gdyby mi brakowało. Nigdy z tej propozycji nie skorzystałem, choć często było mi ciężko. Zdawałem sobie sprawę, jak wielkim uszczerbkiem dla budżetu rodzinnego było to, co dostawałem. Na „wyprawę” zaopatrzył mnie w swoją kurtkę podszytą kożuchem, uszytą w 1935 roku, którą wprawdzie nosił przez piętnaście lat, ale była w stosunkowo dobrym stanie i służyła mi jeszcze przez całe studia. Dał mi także solidne zimowe buty, wykonane na zamówienie w tym samym roku i noszone tyleż lat, co kurtka. Buty od czasu do czasu wymagały tylko zelowania, a wierzchy wytrzymały do końca studiów.

Jak to już opisali w swoich wspomnieniach Ania i Benek, na uczelni przebywaliśmy od wczesnego rana do późnych godzin wieczornych, poddani ostrej dyscyplinie studiów. Droga z Karłowic na Politechnikę zabierała dużo czasu. Dojeżdżałem tramwajem, do którego trzeba było dojść długą ulicą. Konstrukcja wozów nie przypominała dzisiejszej. Miały tylny i przedni pomost zamykany drzwiami, przesuwanymi ręcznie przez pasażerów. Drzwi można było zamknąć, gdy na pomoście był dostatecznie duży luz, ale w godzinach szczytu komunikacyjnego było to niemożliwe. Na stopniach pomostu zwisały wtedy tak zwane „winogrona”, co powodowało liczne wypadki. W godzinach rannych tramwaje były przepełnione i poruszały się zółwim tempem, a spóźnić się na uczelnię nie było można. Często trzeba było jechać na stopniu, bo do środka nie dało się wejść, a jadąc w środku, można było nie wy dostać się na czas. Pewnego razu jechałem na stopniu, trzymając się lewą ręką uchwyty, a w prawej pod pachą trzymałem rysownicę, bo miały być zajęcia z rysunku technicznego. Obok mnie stał żołnierz z „pepeszą”, zawieszoną na ramieniu. W pewnym momencie, w panującym tłoku, docisnął żelazny magazynek od pistoletu do mojej ręki, którą trzymałem się uchwyty, raniąc mnie boleśnie, a ja nie mogłem puścić ręki, groziło to bowiem odпадnięciem od tramwaju. Mogłem tylko zacisnąć zęby z bólu. Aby uniknąć tych niedogodności, trzeba było szybko znaleźć mieszkanie.

Na dom akademicki nie mogłem liczyć. Przy deficycie miejsc pierwszeństwo mieli koledzy z pochodzeniem robotniczym lub chłopskim, a ja miałem to gorsze – inteligenckie. Najgorsze było „drobnomieszczańskie”, to znaczy takie,



gdy rodzice posiadali warsztat rzemieślniczy albo sklep. Te kryteria obowiązywały również w przypadku rozdziału stypendiów. Na wyższych latach „sankcje” za pochodzenie łagodniały, bo zaczynały liczyć się też wyniki osiągane w nauce.

Duże wrażenie wywarły na mnie pierwsze wykłady i ćwiczenia. Poznawałem profesorów i asystentów, ale nade wszystko – poznawaliśmy się wzajemnie wśród koleżanek i kolegów. Ogólnie byliśmy dla siebie życzliwi, tworzyły się jednak bardziej zintegrowane grupy, na przykład spośród absolwentów szkół wrocławskich, czy też spośród przybyszów z określonych regionów Polski. Jakoś szybko dopasowałem do grupy wrocławian, która zasiadała w kilku rzędach ławek z lewej strony Sali Wałbrzyskiej, naszej głównej sali wykładowej. Zostałem łatwo zaakceptowany, może dlatego, że prawie wszyscy mieliśmy to samo „gorsze” pochodzenie społeczne.

Poprosiłem miejscowych kolegów o pomoc w znalezieniu mieszkania. Po kilku dniach podszedł do mnie Andrzej i zaproponował zamieszkanie z nim u jego rodziców. Poszukiwał kolegi, który byłby dla niego partnerem do nauki i wybór padł na mnie. To był jakby dar z nieba, choć wtedy deklarowałem się jako zagorzały ateista. Andrzej miał zresztą takie same poglądy, więc pasowaliśmy do siebie. Mieszkanie było po drugiej stronie ulicy Smoluchowskiego, dokładnie naprzeciw wejścia do Sali Wałbrzyskiej. Aby tam się dostać, trzeba było wprawdzie obejść dookoła budynek gmachu chemicznego, do którego wejście od ulicy było na stałe zamknięte, ale w murze okalającym podwórko Politechniki były wmontowane dwie grube śruby, pomagające wspierać się na mur, a po drugiej stronie stał wagonik wyrzucony z kotłowni, po którym schodziło się prosto przed wejście do sali. Któremu młodemu człowiekowi chciałoby się przy takich „udogodnieniach” obchodzić gmach dookoła i niepotrzebnie tracić czas?

Podziękowałem znajomym z Karłowic, pożegnałem się i nie tracąc z nimi kontaktu, przeniósłem się na ulicę Smoluchowskiego. Rodzice Andrzeja mieli duże, wygodne mieszkanie w stosunkowo nowym budynku. Pan domu był inżynierem rolnikiem i pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych. Pani domu była pracownikiem naukowym Ossolineum. Przyjęty zostałem na warunkach nieomal członka rodziny.

Otrzymaliśmy z Andrzejem osobny pokój. Miałem ustalony niewielki czynsz, pokrywający mój udział w kosztach eksploatacyjnych mieszkania (energia, gaz, woda itp.). Moi gospodarze nie zarabiali na mnie ani złotówki. W mieszkaniu było zainstalowane lokalne centralne ogrzewanie. W kuchni znajdował się niewielki piecyk ogrzewany koksem i mały zbiornik poziomy, z którego ciepła woda dopływała do kaloryferów we wszystkich pomieszczeniach. W związku z tym męska część mieszkańców (pan domu, Andrzej, jego brat Witek i ja) pełniła w kolejnych dniach całodzienne dyżury, polegające

na pilnowaniu piecyka, aby nie wygasł, przyniesieniu odpowiedniej ilości koksu z piwnicy na drugie piętro, a ponadto trzeba było kupić mleko na dany dzień. Ten ostatni obowiązek to wcale nie było łatwe zadanie. Na rogu ulicy Norwida, tam gdzie obecnie jest sklep z artykułami piśmiennymi, był sklep spożywczy, otwierany o szóstej rano. Do tego sklepu dostarczano codziennie dwie bańki mleka (czasem tylko jedną). To miało wystarczyć dla wszystkich mieszkańców ulicy Norwida i Smoluchowskiego. Aby dostać dwa litry mleka, bo tyle przysługiwało, trzeba było ustawić się dostatecznie wcześniej w kolejce i odczekać, bez względu na pogodę, do chwili otwarcia sklepu. Było to uciążliwe, szczególnie w zimie. Ustawialiśmy się przeważnie o wpół do piątej. Spóźnienie się o kilka minut mogło oznaczać, że w tym dniu pozostaniemy bez mleka.

Mieliśmy w pokoju jeszcze jedno udogodnienie – radio detektorowe. Była to prostokątna tekturka z pojemniczką na kryształek blendy ołowiowej, do którego było z jednej strony doprowadzenie od anteny, a z drugiej odprowadzenie równoległe do dwóch par słuchawek. To prymitywne radio doskonale odbierało pierwszy i drugi program Polskiego Radia. W dzień nie było nam potrzebne, bo przebywaliśmy na uczelni, natomiast codziennie wieczór, od godziny dziesiątej do północy, dawała wspaniałe koncerty muzyki tanecznej orkiestra Jana Cajmera. Grały też pięknie inne orkiestry, między innymi Mantovaniego albo Glenna Millera. Kładliśmy się do swoich łóżek, każdy zakładał na uszy słuchawki z dostatecznie długim przewodem i słuchaliśmy aż do zaśnięcia.

Śniadania robiłem sobie w domu i jadłem z pośpiechem, aby zdążyć na wykłady. Obiad jadało się w wyznaczonej stołówce akademickiej. Na pierwszym roku studiów chodziliśmy na ulicę Wojciecha z Brudzewa; stąd nazwa „stołówka na Wojtku”. Przy okienku mówiłem grzecznie „dzień dobry” i prosiłem o trochę więcej ziemniaków do drugiego dania. Po niedługim czasie mówiłem już tylko „dzień dobry”, a wydająca obiady pani odpowiadała „dzień dobry” i odwracała się w kierunku kuchni, wydając polecenie: „podwójne ziemniaki”. W sali jadalnej stał fortepian, który dawno nie widział stroiciela. Każdy kto chciał mógł na nim zagrać. Studenci byli muzykalni i zawsze ktoś grał, a gdy jeden kończył, natychmiast siadał drugi. Mówiliśmy, że to dobrze, bo zwiększa się w ten sposób przelotowość stołówki.

W następnym roku chodziliśmy na ulicę Wróblewskiego, stąd nazwa: „stołówka na Wróblu”. W końcu przeniesiono nas do stołówki przy pergoli na terenach wystawowych. Zapamiętałem stamtąd dwa rodzaje dań: „sztuka zjeść mięso” i „sztuka znaleźć mięso”, a zupy podawano przeważnie dwie na zmianę – szczawiową i krupnik. Potem przez wiele lat, gdy stawiano na stół jedną z tych zup, nawet najsmaczniej przygotowaną, zawsze pierwszy odruch był negatywny i trzeba było pewnego wysiłku, aby zacząć jeść.

Na kolacje chodziłem przeważnie do baru mlecznego. Asystenci od ćwiczeń z analizy chemicznej zachęcali nas do picia jak najwięcej mleka, jako odtrutki na wdychane w pracowni opary. W barze mleko było droższe niż w sklepie, ale za to nie brakowało go aż do późnego wieczora. Zamawiało się półlitrowy kubek i dwie duże bułki z masłem, a na początku miesiąca jeszcze dodatkowo jedną bułkę z masłem i żółtym serem. Pod koniec miesiąca czasem brakowało pieniędzy. Rezygnowałem wtedy z kolacji, starając się równocześnie, aby mama Andrzeja nie zorientowała się, że nie jadłem.

Do domu rodzinnego miałem daleko. Niedługo po mojej maturze, tato został przeniesiony służbowo do Nowego Targu. Mogłem się widzieć z rodzicami tylko podczas świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy oraz podczas wakacji i to przeważnie tylko we wrześniu, bo lipiec i sierpień były przeznaczone na praktyki wakacyjne i obozy wojskowe. Jechało się ponad szesnaście godzin pociągiem, z przesiadką w Krakowie. Nie pamiętam, czy jeździł pociąg pospieszny; wybierało się osobowy, żeby było taniej. Do Krakowa jechało się nocą. Podróż trwała ponad dziesięć godzin. Potem czekało się dość długo na pociąg do Zakopanego i jechało się jeszcze około pięciu godzin. Pociągi były zatłoczone. Nieraz przez całą podróż trzeba było stać. Wyjazd na święta był bardzo krótki, ze względu na dyscyplinę studiów. Na święta Bożego Narodzenia wyjeżdżałem w dzień przed Wigilią i w domu byłem prawie na samą kolację. Po południu w drugi dzień świąt trzeba już było wsiadać do pociągu w kierunku przeciwnym, aby zdążyć na czas na wykłady. Na Wielkanoc wyjeżdżałem w Wielki Czwartek i pod wieczór w Wielki Piątek byłem w domu. Wracałem po południu drugiego dnia świąt. Pamiętam dobrze pierwszy wyjazd na święta Bożego Narodzenia. Pociąg przyjechał do Wrocławia o dziesiątej wieczorem i był kompletnie załadowany. Nie mogłem się do niego dostać, a jechać chciałem koniecznie. Na szczęście był złożony ze starych wagonów, które miały osobne drzwi wejściowe od zewnątrz do każdego przedziału, a na zewnątrz wzdłuż wagonu była deska, po której konduktor mógł się przemieszczać od przedziału do przedziału. Deska też była zatłoczona, udało mi się jednak stanąć na niej i złapać za uchwyt przy drzwiach. W drugiej ręce trzymałem walizkę. Jechałem tak dwie stacje. W międzyczasie pasażerowie wewnątrz wagonu jakoś się upchnęli i ci z deski mogli wejść do środka. W ten sposób, na stojąco, mogłem już bezpiecznie dojechać do Krakowa.

Rywalizowaliśmy z Andrzejem o stopnie z egzaminów, co po każdym semestrze owocowało zawieszaniem naszych podobizn na tablicy przodowników nauki, usytuowanej w holu gmachu głównego Politechniki. Andrzej był studentem zdolnym, pracowitym i sumiennym. Poświęcał dużo czasu na naukę, osiągając doskonałe rezultaty, i był wyraźnie zgorszony tym, że ja też miałem bardzo dobre stopnie, choć pracowałem o wiele mniej niż on. Trudno mi

było wytłumaczyć, że miałem jedno szczególne ułatwienie. Potrafiłem nieomal słowo w słowo zanotować każdy wykład i notatki za każdym razem służyły mi równie dobrze co podręczniki, o które wtedy było tak trudno. Choć na przerwach między wykładami trzymały się nas różne figle, to na wykładach byłem maksymalnie skupiony, aby wszystko zanotować i przy dobrej pamięci wzrokowej, a także słuchowej, zapewniało mi to możliwość opanowania materiału w około sześćdziesięciu procentach. Potem już niewiele trzeba było dosiedzieć, aby całkowicie przygotować się do egzaminu. Takie notatki miały jednak pewną wadę – były jednorazowego użytku. Po zdanym egzaminie podchodził któryś z kolegów z prośbą: „pożycz”. Oczywiście nie odmawiałem. Notatki już do mnie nie wracały, choć nie ulegały zniszczeniu. Były przekazywane z ręki do ręki, najpierw na naszym roku, potem rok niżej i jeszcze dalej. Czasem, gdy już sądziłem, że notatki zaginęły, informowano mnie: są, krążą dwa lata niżej.

Miał jednak Andrzej rację, gorsząc się moją małą pracowitością. Kiedy podjąłem pracę naukową, wiedza zdobywana z doskoku nie wystarczała do należytego rozwiązywania wyłaniających się problemów. Myślę jednak, że była to wina mojej natury. Miałem dużo, na pewno za dużo zainteresowań ubocznych, którym oddawałem się z pasją i na to potrzebny był mi czas. Zyskiwałem go dzięki łatwemu zdawaniu egzaminów. Takie ustawienie się w życiu kosztowało mnie wiele rozczarowań, choć nie mogę narzekać na to, co w końcu osiągnąłem.

Zaraz na początku odezwało się nabyte w liceum zamiłowanie do sceny i do recytacji poezji. Zrzeszenie Studentów Polskich poszukiwało takich zapaleńców, mając określone fundusze na organizację licznych imprez kulturalnych i akademii. Ze wszystkich wydziałów Politechniki zebrała się grupka kilkunastu entuzjastów sceny. Opiekował się nami młody reżyser, świeży absolwent Wyższej Szkoły Teatralnej. Był pełen zapału. Nazwisko miał nieszczególne, obrał sobie wobec tego romantyczny pseudonim sceniczny – Mirosław Baj. Zaczęliśmy od przygotowania recytacji poematu Władysława Broniewskiego pod tytułem *Komuna Paryska*. Poemat był zgrabnie napisany i dawał duże możliwości interpretacyjne. Pod fachowym kierownictwem przygotowaliśmy dobrą recytację zbiorową. Zachęceni sukcesem, namówiliśmy reżysera do wystawienia sztuki teatralnej. Po niewielkim wahaniu, zgodził się. ZSP obiecało patronat finansowy. Wybór padł na *Sprytną wdówkę* Carlo Goldoniego. Sztuka była łatwa do przyswojenia przez amatorów i miała stosunkowo niewielką obsadę. Reżyser chciał mieć dodatkowo podkład muzyki Rossiniego. Nie było z tym problemu, bo ZSP dysponowało także studentami muzykującymi. Ponieważ zajęcia studenckie na uczelni trwały przeważnie do godziny dwudziestej, pracowaliśmy od dwudziestej pierwszej do około pierwszej w nocy.

Do odbywania prób wynajęto nam salę teatralną w Młodzieżowym Domu Kultury przy ulicy Kołłątaja. Spotykaliśmy się na początku dwa lub trzy razy w tygodniu, natomiast gdy zbliżała się próba generalna – codziennie. Od reżysera nauczyłem się wiele: właściwej analizy tekstu, umiejętności stawiania akcentów w odpowiednich miejscach zdania, właściwego wykorzystywania znaków przestankowych, oszczędnego podkreślania wypowiedzi gestem itp. Najważniejszą zdobyczą było jednak ustawienie głosu, aby brzmiał naturalnie i był dobrze słyszalny, a także umiejętność zwalczania tremy. To wszystko bardzo pomogło mi w życiu. Pomoc reżyserska w zakresie sztuki aktorskiej była daleko idąca, natomiast muzycy musieli radzić sobie sami. Wynikały z tego czasem duże niedoskonałości, zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że jesteśmy amatorami. Liczyliśmy wszyscy na wyrozumiałość przyszłej widowni.

ZSP zapewniło nam kostiumy, wypożyczone z Opery, fachowego charakteryzatora teatralnego z całym wyposażeniem peruk i kosmetyków, dekoracje sporządzone profesjonalnie i wynajętą salę Teatru Kameralnego z całą obsługą techniczną, łącznie z obsługą garderoby. Potem, przez wiele lat, aż do przejścia tych pracowników na emeryturę, kiedy ktoś z nas przychodził do teatru jako widz, był natychmiast rozpoznawany i witany z sympatią. Wydrukowano także afisze z zamieszczonymi naszymi nazwiskami.

Podczas przedstawienia mieliśmy do swojej dyspozycji garderoby aktorskie, gdzie przygotowywaliśmy się i oczekiwaliśmy przed kolejnymi wyjściami na scenę. Reżyser czuwał za kulisami nad przebiegiem przedstawienia i pełnił równocześnie rolę inspicjenta, wchodząc w odpowiednim momencie do garderoby, aby skierować kolejną osobę na scenę. Oczywiście, zwracaliśmy się do siebie nie za pomocą naszych imion, tylko imion lub nazwisk postaci sztuki.

Pewnego razu siedzieliśmy podczas przedstawienia w garderobach; koleżanki w swojej, a my w swojej. Przeważnie tak się zdarza, że jeśli w jakimś miejscu przebywają młode kobiety w liczbie większej niż jedna, odczuwają potrzebę omówienia wielu niezwykle ważnych problemów, znacznie bardziej absorbujących niż to, co się wokół nich dzieje, na których rozstrzygnięcie nigdy nie wystarcza czasu. Ponadto w garderobie teatralnej znajduje się zawsze szeroki zestaw kosmetyków i – pomimo perfekcyjnej pracy charakteryzatora – kobiety często mają wrażenie, że trzeba jeszcze coś przypudrować albo podkreślić szminką. A tu akurat reżyser wchodzi na prowadzący do garderoby korytarz i oznajmia: Marionette, na scenę. Z garderoby pada odpowiedź: tak, już idę. Za chwilę reżyser wpada, maksymalnie zdenerwowany, krzycząc na całe gardło: Marionette, na scenę! I znowu pada odpowiedź: tak, już idę. Po chwili wchodzi reżyser, ubrany w płaszcz i oznajmia: koleżanka Grażyna będzie dalej prowadziła przedsta-

wienie. Ja wychodzę. Do widzenia! I wyszedł z teatru. Grażyna wreszcie zrozumiała sytuację, momentalnie wpadła na scenę, a my wszyscy przeszliśmy wystraszeni za kulisy, pilnując od tego momentu nie tylko swoich wejść, ale także asekurując wejścia innych. Widzowie nie zorientowali się, że za kulisami coś się stało. Po półgodzinie wrócił reżyser i otwierając szeroko oczy ze zdumienia, mówi: to wy gracie? Jesteście wspaniali. A ja myślałem, że przedstawienie dawno się zawaliło. I zaczął na nowo pełnić rolę inspicjenta. Wszystko wróciło do właściwego porządku.

Graliśmy co kilka dni, przy wypełnionej widowni Teatru Kameralnego. Równocześnie Teatr Polski wystawiał *Człowieka z karabinem* – rosyjską apoteozę rewolucji październikowej. Mimo doskonałej obsady aktorskiej widownia świeciła pustkami. Powstała sytuacja konfliktowa.

Skandal był podwójny. Nie tylko dopustem było wybranie przez widzów teatru amatorskiego, ale do tego „zgniła” komedia zachodnia zdołała „poważną” sztukę rewolucyjną. Postanowił rozprawić się z nami hrabia Wojciech Dzieduszycki, który, niezależnie od aktywności w wielu zawodach, był także miejscowym krytykiem teatralnym, no i mężem zawodowej aktorki. Przyszedł na przedstawienie, zasiadł w pierwszym rzędzie na widowni, a potem napisał w „Słowie Polskim” paszkwil na nasz zespół. Najbardziej skrytykował muzyków, ale zespołowi aktorskiemu też nie żałował cięgów. Nic to nie pomogło. Dalej mieliśmy pełną widownię. Reżyser triumfował, bo nie lubił socrealizmu, to mu jednak przysporzyło wrogów.

ZSP poczuwało się także do niesienia kultury w lud. Organizowano nam wyjazdy „w teren”. Tam nie mieliśmy takiego komfortu jak w Teatrze Kameralnym. Warunki były spartańskie. W Ziębicach graliśmy w Domu Kultury w sali z niewielką sceną, na której stał mały fortepian z odrąbaną połową klawiatury. Trzeba go było umiejętnie upchnąć, aby ustawić dekoracje. Za garderobę dla wszystkich służyło niewielkie pomieszczenie. Nocleg po przedstawieniu mieliśmy teoretycznie załatwiony w miejscowym hotelu, ale pokoje okazały się zajęte, przycupnęliśmy więc na schodach i przedrzemali do rana. Podobny wyjazd był na Psie Pole, które wtedy było jeszcze poza granicami Wrocławia. Tam słyszeliśmy na widowni głośne uwagi w rodzaju: „a moja żona jest ładniejsza” w odpowiedzi na słowa „pani jesteś piękna”, wypowiedziane na scenie.

Następną sztuką była *Nawojka*, autorstwa żyjącej jeszcze wtedy pisarki – Hanny Januszewskiej. Temat był o studentach w średniowiecznym Krakowie. Zespół powiększył się do ponad siedemdziesięciu osób. Mieliśmy już nie tylko muzyków, ale także balet, tańczący pięknego stylizowanego krakowiaka na scenicznym rynku krakowskim. Podczas jednej z prób w Teatrze Kameralnym odwiedził nas wielki Wilam Horzyca, inscenizator, krytyk i dramatopisarz, który w tym czasie przebywał kilka dni we

Wrocławiu. Byliśmy zaszczyceni. Obejrzał całe przedstawienie i wymienił uwagi z naszym reżyserem, który potem zdawał nam relację. Wiecie, co mi powiedział? „Jak to łatwo wprowadzić tłum na scenę, a jak trudno go z niej sprowadzić”. Teraz już wiem. Wejścia są dobre, zejścia są złe. Musimy je poprawić. To przedstawienie dało nam pierwsze miejsce na ogólnopolskim festiwalu teatrów studenckich. Widownię też mieliśmy pełną, ale po kilku przedstawieniach nasz reżyser nagle zniknął. Działy się wtedy różne rzeczy z ludźmi, którzy nie mieli „jedynie słusznych” poglądów. Podejrzewaliśmy najgorsze, ale po roku dowiedzieliśmy się, że gra w teatrze w Gnieźnie. Odetchnęliśmy z ulgą.

ZSP zatrudniło na jego miejsce znanego aktora Teatru Polskiego. Starszy pan nie miał tego entuzjazmu, co jego poprzednik. Pilnował bardzo godzin, za które mu płacono i potrafił przerywać pracę, nie kończąc rozpoczętego wątku, oznajmiając, że jego czas się właśnie skończył i spieszo mu na kawę. Chcieliśmy grać dalej *Nawojkę*, nie podobały mu się jednak poprzednie koncepcje reżyserskie i zaczął wszystko poprawiać. Robił to tak, aby nas do tej sztuki maksymalnie zniechęcić, co mu się w końcu udało. Zrezygnowaliśmy. Przygotował inną sztukę, rosyjskiego produkcyjniaka pod tytułem *Zwykły człowiek*, ale ja już w tej sztuce nie uczestniczyłem. Na pierwszym przedstawieniu zawaliły się dekoracje. Potem były jeszcze dwa lub trzy przedstawienia i zespół się rozwiązał. „Konkurencja” została zniszczona. Prawdopodobnie o to właśnie chodziło.

Warto wspomnieć, że moja artystyczna dusza korzystała z niecodziennej okazji – z faktu, że Filharmonia Wrocławska nie miała jeszcze wtedy własnej siedziby i swoje cotygodniowe koncerty organizowała w Auli Politechniki. To była wielka uczta duchowa, szczególnie, kiedy po zakończonym konkursie szopenowskim mogliśmy słuchać recitali laureatów, w tym także Adama Harasiewicza. Chodziłem także z wielkim entuzjazmem do opery. Była to dla mnie czarodziejska nowość. Nigdy przedtem nie miałem takiej okazji, bo nawet z doskoku do Krakowa nie było to możliwe, w Krakowie bowiem opery wtedy nie było.

Kalkulowałem i miałem nadzieję, że głębokie zaangażowanie w zespole dramatycznym uchroni mnie od prób wciągnięcia do aktywniejszej działalności w ZMP, na co po epizodzie „moskiewskim” nie miałem ochoty. Tak było rzeczywiście przez pierwszy rok studiów, ale na początku drugiego roku, kiedy wraz z Andrzejem mieliśmy już status przodowników nauki, poprosił nas na rozmowę sympatyczny, starszy od nas kolega Józek, aktywny działacz ZMP. Przekonywał: wy przecież jesteście nasi ludzie, macie bardzo dobre stopnie i szanse pozostania po studiach na uczelni, trzeba więc, abyście zaczęli aktywniej działać. Daliśmy się namówić. Oczywiście, nie wpłynęło to na moje dalsze uczestnictwo w przygodzie z teatrem, ale zajęło mi dodatkowy czas.

Kiedy już stwierdzono, że jesteśmy zaangażowani, uświadomiono nam, że w naturalny sposób nasza droga prowadzi do PZPR i uczestniczymy we wprowadzaniu jej na uczelnię. Organizacja partyjna była nieomal na wszystkich uczelniach bardzo słaba, partyjnych profesorów można było policzyć na palcach, a inni pracownicy też się do członkostwa nie kwapili. Większość z nich przybyła do Wrocławia z Kresów i zdążyła dobrze poznać system sowiecki. Komuniści zdawali sobie sprawę, że tu nie mają na co liczyć. Zaplanowali wobec tego „długi marsz” i postawili na aktyw zetempowski, licząc na brak orientacji młodych ludzi i ich młodzieńczy entuzjazm. W ten sposób organizacja zetempowska usiłowała rządzić uczelnią, a w zasadzie szarogęsiła się pewna grupa kolegów ze starszych roczników studenckich. Zniknęli oni potem niespodziewanie. Niektórzy wyemigrowali. Ich miejsce zajęli aktywiści z naszych roczników, którzy wyrobili sobie w międzyczasie pozycję partyjną, a dzięki temu – także i naukową. Cel „długiego marszu” został osiągnięty.

Zaangażowanie aktywisty polegało w zasadzie na uczestniczeniu w wielkiej ilości zebrań, na których godzinami odbywały się jałowe dyskusje w gęstych oparach papierosowego dymu. Nauczylśmy się wtedy z Andrzejem palić papierosy. Z tego nałogu udało mi się wyjść po dwunastu latach, radykalnie, z dnia na dzień. Aktywiści organizowali także szkolenia, prasówki, kolportowali na ulicach tanie książki komunistycznych autorów zachodnich (co zwykle kończyło się zakupem z własnej kieszeni, bo nie udawało się sprzedać swojego limitu) i byli do dyspozycji przy organizowaniu imprez ogólnomiejskich. Szczególnie ważne było pilnowanie uczestnictwa wszystkich studentów w pochodach pierwszomajowych. Należało stawić się na uczeni o ósmej rano i wtedy jeździły wszystkie tramwaje. Potem ruch uliczny ustawał, aby zorganizowane kolumny mogły udać się pieszo na miejsca wyczekiwania, gdzie czekało się na swoją kolej przemarszu przeważnie kilka godzin, przemieszczając się co pewien czas o kilkadziesiąt metrów. Po rozwiązaniu pochodu tramwaje wracały na ulice.

Po pewnym czasie zostaliśmy z Andrzejem wciągnięci do PZPR. Moje uczestnictwo było na szczęście krótkie. Trwało niecałe dwa lata. Zmiana moich poglądów była stopniowa, a złożyła się na nią kumulacja szeregu zdarzeń, podobnych do epizodu „moskiewskiego” z liceum.

W roku 1953 umarł Stalin. Na roku wybuchła nagonka na jednego z naszych kolegów, mniej znanego, cichego i raczej nieśmiałego. Okazało się nagle, że jest wielkim wrogiem klasowym, bo znieważył towarzysza Stalina. Urządzono nad nim sąd publiczny. Był kompletnie zaszczuty i nawet nie próbował się bronić. Został usunięty z uczelni. Dopiero niedawno dowiedziałem się od jednego z kolegów, że wypowiedział jakieś nierozważne słowa na temat tego, co słyhać było w głośnikach ulicznych. Ktoś to usłyszał i doniósł



do UB. Na przesłuchania był ciągany nie tylko on, ale wszyscy jego koledzy, mieszkający z nim w domu akademickim. Sprawa zakończyła się dla nich szczęśliwie prawdopodobnie tylko dlatego, że rektor wstawił się za nimi osobiście.

Druga sprawa dotyczyła asystenta, zatrudnionego w jednej z katedr, który kręcił romans z żoną adiunkta innej katedry. Organizacja partyjna postanowiła zrobić z tego aferę i usunąć go z zajmowanego stanowiska. Było to dziwne, bo doktryna komunistyczna na takie łamanie obyczajów nieomal przyzwalała. Zapytałem, jakie są zarzuty wobec tego człowieka i usłyszałem odpowiedź, że nie ma zarzutów, ale trzeba w niego uderzyć, bo w ten sposób uderzy się w jego profesora. Profesor rzeczywiście miał poglądy dalekie od „jedynie słusznych”, ale nie można go było usunąć, bo był wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie. Można mu było tylko dokuczać i przeszkadzać, ale sprawa prawdopodobnie nie skończyła się źle.

Wreszcie trzecia sprawa dotyczyła dwojga młodych ludzi, którzy – będąc członkami PZPR – wzięli ślub kościelny. Wyrzucono ich z partii z hukiem. W tym czasie zaczęło się ukazywać studenckie pismo „Po prostu”, niosące nowy powiew ideologiczny, społeczeństwo zaczęło się buntować przeciwko „zamordyzmowi”, do władzy doszedł Gomułka. Prymas Wyszyński wrócił z wygnania. Odbywały się różne wiece i pochody przeciw dotychczasowej władzy. Zacząłem inaczej patrzeć na sprawy wiary, choć jeszcze czekała mnie pewna droga do przebycia. Nasz przyjaciel – Józek – zachorował na nieuleczalną chorobę i wkrótce zmarł. Przed śmiercią wyspowiadał się i przyjął sakrament chorych. Chowany był w innym mieście; było tylko katolickie wyprowadzenie trumny do samochodu. Przyszedłem do kaplicy, uklęknałem i odmówiłem modlitwę. Zostało to bardzo źle odebrane przez aktyw partyjny. Chciałem tę przygodę partyjną jak najszybciej zakończyć, ale w taki sposób, aby nie robić tego demonstracyjnie. Przestałem chodzić na zebrania i płacić składki. Czekałem, aż mnie wyrzucą.

Przez wiele tygodni nic się nie działo. W końcu dostałem wezwanie do lokalu egzekutywy. Kolega, któremu powierzono obowiązek rozmowy ze mną, miał bardzo nietęgą minę. Nie wiedział, jak zacząć. Wreszcie nadmienił, że dawno nie byłem na zebraniu. Potwierdziłem, że tak. Zalegam mocno ze składkami. Potwierdziłem, że tak. W końcu wydusił z siebie to, co było najważniejsze – że chodzę do kościoła. Odpowiedziałem, że chodzę i będę chodził, a jeśli to stanowi przeszkodę, to mogę nie należeć do partii. To poprosimy o legitymację. Miałem przygotowaną. Oddałem i wyszedłem. Poczuję ogromną ulgę.

Po kilku dniach poinformowano mnie, że miałem przyznane mieszkanie w wybudowanym na placu Grunwaldzkim Domu Młodego Naukowca, ale ponieważ wystąpiłem z partii, otrzyma je ktoś inny. Nawet powiedziano mi

nazwisko. Nie jestem pewny, czy informacja była prawdziwa, bo nie starałem się o takie mieszkanie i uważałem, że na pewno nie miałbym szans. Co jednak szkodziło organizacji, dla której kłamstwo jest ważnym elementem walki klasowej, podać mi fałszywą informację, aby mnie upokorzyć?

Jeszcze przed ukończeniem studiów rozpocząłem pracę na stanowisku asystenta w Katedrze Fizyki. Egzamin magisterski zdałem na początku roku 1957. Promotorem był prof. Włodzimierz Trzebiatowski, który zaproponował mi przejście do jego Katedry Chemii Nieorganicznej. Był wtedy ostry rygor uzyskania doktoratu w ciągu sześciu lat. Ponieważ nie zmieściłem się w tym odstępie czasu, musiałem opuścić Politechnikę. Zatrudniłem się w Instytucie Elektrotechniki w Oddziale Technologii i Materiałoznawstwa Elektrotechnicznego we Wrocławiu, przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie, gdzie w roku 1978 uzyskałem doktorat. Ale to już nie jest związane z Politechniką Wrocławską.

Teraz, dopóki zdrowie i siły jeszcze pozwalają, spotykamy się z kolegami i kolegami ze studiów co roku we wrześniu, aby odświeżyć znajomość i wspomnieć dawne czasy. Są to dla nas ważne i miłe spotkania.

## Aneks

Niniejsza książka, zawierająca wspomnienia absolwentów naszej Uczelni, powstała w wyniku zakończonego sukcesem konkursu na temat *Politechnika Wroclawska w mojej pamieci*, ogłoszonego przez Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Wroclawskiej.

Trzeba jednak podkreślić, że już wcześniej wspomnienia absolwentów i pracowników, korespondujące z tematyką naszego konkursu, były zamieszczane w różnych wydawnictwach Stowarzyszenia Absolwentów. Niektórzy autorzy nie zgłosili się może do konkursu, ponieważ takie wspomnienia już wydali, i choć niektórzy spośród nich już nie żyją, to ich wspomnienia „żyją” wśród nas i podkreślają ideę naszego konkursu.

Ten dorobek, choć bogaty ze względu na liczbę publikacji, tu jednak może być przywołany tylko w sposób ograniczony przy zachowaniu zgodności idei tych opracowań z ideą naszego konkursu. Wydawnictwa, na które się powołujemy, zawierają teksty niekiedy tylko częściowo odnoszące się do naszej tematyki, ale za to bardzo istotne.

Postaram się przedstawić, czy raczej odnotować, te właśnie prace.

***Księga pamiątkowa pierwszych słuchaczy Politechniki Wroclawskiej roku inauguracyjnego 1945.*** Komitet redakcyjny: Kazimierz Banyś (przewodniczący), Jerzy Fekecz, Tadeusz Izbicki, Edward Mielcarzewicz, Tadeusz Pieniążek. Redaktor: Leszek Piątek. Projekt okładki: Wojciech Kaniowski. Wydawnictwo Politechniki Wroclawskiej. Wroclaw 1985.

W książce tej obok ciekawych skrótów biograficznych pierwszych absolwentów znajdują się szersze wypowiedzi wiążące się z tematyką konkursową autorstwa: Kazimierza Banysia, Zdzisława Samsonowicza, Edwarda Mielcarzewicza, Karola Dyby, Tadeusza Izbickiego, Ottona Dąbrowskiego, Tadeusza Pieniążka, Stanisława Maciaszka, Jerzego Fekecza.

***Politechnika Wroclawska we wspomnieniach pierwszych absolwentów.*** Opracowanie techniczne: Elżbieta Żurawska-Łuczyńska. Korekta:

Krzysztof Dawidowicz, Elżbieta Żurawska- Łuczyńska. Rysunek na okładce: Waldemar Skórski. Wydawnictwo Politechniki Wrocławskiej. Wrocław 1990.

Autorami ważnych wspomnień są: Jan Kmita, Kazimierz Banyś, Krzysztof Bednarczyk, Marian Bogucki, Augustyn Borcz, Stanisław Ciastoń, Zygmunt Dmowski, Antoni Dziama, Andrzej Idzikowski, Stefan Józewicz, Bolesław Hebrowski, Marian Horawski, Władysław Gołąb, Tadeusz Izbiński, Jerzy Kozior, Henryk Ostromięcki, Tadeusz Pieniążek, Zdzisław Ruziewicz, Witold Skowronek, Jerzy Stańda.

Rok później została wydana przez Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Wrocławskiej równie ważna książka, choć o nieco innym charakterze, a mianowicie ***Politechnika Wrocławska we wspomnieniach pierwszych absolwentów. Moja droga do Politechniki Wrocławskiej***. Komitet redakcyjny: Otton Dąbrowski, Henryk Hawrylak, Felicjan Szymankiewicz. Opracowanie tekstu: Anna Cieślarkowa. Rysunek na okładce: Ryszard Natusiewicz. Druk: Zakład Graficzny Politechniki Wrocławskiej. Wrocław 1991.

Po pięknym *Przedstawi* redakcji zamieszczono 25 arcyciekawych wspomnień. Ich autorzy to: Karol Branny, Tadeusz Czajka, Zdzisław Drozdowski, Stanisław Dziurzyński (Tadeusz Czupryn), Stanisław Fortuna, Henryk Furmanowski, Mieczysław Głuszak, Władysław Gołąb, Lechosław Gwiazdowski, Bolesław Hebrowski, Marian Horawski, Kazimierz Kaniok, Stanisław Kawka, Romuald Kolman, Michał Kałużyński, Marian Kwiatkowski, Franciszek Ludwin, Zygmunt Miller, Szymon Pilecki, Waclaw Połozynski, Włodzimierz Skibiński, Witold Skowronek, Tadeusz Sulima, Jan Trzęsimiech, Zbigniew Wencel.

***Politechnika Wrocławska we wspomnieniach pierwszych absolwentów. Spojrzenie na minione lata. Wrocław 1945–1995***. Redaktor: Jerzy Stańda. Redaktor techniczny: Krzysztof Dawidowicz. Projekt okładki: Tadeusz Biesiekierski. Zdjęcia: Krzysztof Mazur i archiwa autorów. Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej. Wrocław 1998.

Po *Słowie JM Rektora PWr. prof. Andrzeja Mulaka* i *Słowie wstępnym* ówczesnego przewodniczącego Stowarzyszenia Absolwentów przedstawiono 20 wspomnień, w tym trzy ważne wspomnienia pań z administracji uczelnianej Agnieszki Walkowiak i Marii Wyzgowej.

Obszerne, interesujące wspomnienia przedstawili także: Jerzy Zdanowski, Tadeusz Sulima, Tadeusz Czajka, Kazimierz Thiel, Bolesław Hebrowski, Romuald Kolman, Lesław Hawling, Wojciech Fuliński, Józef Rogowski, Henryk Kaswisner, Jerzy Stańda, Stanisław Romaniuk, Władysław Gołąb, Stanisław J. Sawkowicz, Zbigniew Politowski, Henryk Furmanowski, Kazimierz Banyś.

***Absolwenci. Uzupełnienie. Losy Absolwentów Politechniki Wrocławskiej, którzy rozpoczęli studia na Wydziale Elektrycznym w roku 1949.*** Zebrali i opracowali: Jan Pytel i Andrzej Kostowski. Korekta: Elżbieta Żurawska-Łuczyńska. Fotografia na okładce: Krzysztof Mazur. Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej. Wrocław 2005.

Książka ta składa się z dwóch części.

**Część I. Absolwenci.** Po *Słowie wstępnym* ówczesnego przewodniczącego Stowarzyszenia Absolwentów oraz *Wprowadzeniu* Jana Pytla i Andrzeja Kostowskiego następują **Wspomnienia absolwentów** – opis losów absolwentów w złożonej powojennej sytuacji kraju, także kolegów pochodzenia żydowskiego. Ich autorami są: Bernard Chudziński, Mieczysław Drozd, Justyn Futymski, Tomasz Gondzik, Włodzimierz Górski, Romuald Korzeniowski, Mojżesz Litmanowicz, Józef Litwin, Zdzisław Pichłacz, Józef Trela, Józef Woźniak, Julian Zieliński.

**Część II. Technische Hochschule Breslau.** Opracował Jan Pytel. Część ta jest również bardzo ważna, obrazuje bowiem doświadczenia i przemyslenia okresu przełomowego – koniec funkcjonowania Technische Hochschule Breslau i powstanie Politechniki Wrocławskiej. Składa się z następujących rozdziałów: **1. Geneza tematu.** **2. Technische Hochschule Breslau**, złożony z 12 podrozdziałów, w których autor przedstawia początek i rozwój tej uczelni oraz jej stan w czasie przejmowania i przekształcania w polską uczelnię. **3. Powstanie Politechniki Wrocławskiej z podrozdziałem Uzupełniająca baza materialna Politechniki Wrocławskiej.**

Część główną książki zamyka **Aneks TH Breslau – życie po życiu.**

Myśl przewodnią konkursu naszego Stowarzyszenia można również odnaleźć w innych wydawnictwach pozjazdowych poszczególnych roczników i różnych wydziałów naszej Uczelni, dostępnych w bibliotece uczelnianej. Trudno jednak nie wspomnieć o trzech publikacjach.

***Księga Jubileuszowa 50-lecia Politechniki Wrocławskiej 1945–1995***, pod redakcją Ryszarda Czocho. Opracowanie redakcyjne: Aleksandra Wawrzynkowska-Dwojak. Projekt okładki: Maciej Szłapka. Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej. Wrocław 1995.

W księdze tej Ryszard Czocho jest również autorem wielu rozdziałów korespondujących z tytułem naszego konkursu.

Dzieło zbiorowe ***Wrocławskie środowisko akademickie. Twórcy i ich uczniowie. 1945–2005.*** Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo. Wrocław 2006.

Informacje i treści związane z tematyką naszego konkursu można znaleźć w części ogólnej oraz na stronach 687–689 tego dzieła.

***Wspomnienia o Straży Akademickiej Politechniki we Wrocławiu.*** Autor: Zdzisław Samsonowicz. Wydanie III poprawione i rozszerzone, wersja

polsko-angielska,. Opracowanie redakcyjne i korekta: Maria Izbicka i Elżbieta Żurawska-Łuczyńska. Tłumaczenie na język angielski: Anna Tyszkiewicz. Fotografie i załączniki ze zbiorów Uniwersytetu Wrocławskiego, Ryszarda Czocho, członków Straży Akademickiej i Krzysztofa Mazura. *Słowo wstępne*: JM Rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Tadeusz Więckowski. *Od Przewodniczącego Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Wrocławskiej*: Jerzy Łaskawiec. *O Autorze*: Jan Kmita.

Jest to ważna książka zawierająca informacje źródłowe związane tematycznie z konkursem Stowarzyszenia Absolwentów.

Gdy rozmyślam teraz nad przygotowaniem do naszej książki *Politechnika Wrocławska w mojej pamięci*, to widzę ogrom tytanicznej pracy, na którą złożyły się: podjęcie koncepcji tematycznej zamierzenia, zorganizowanie zbioru opracowań, opiniowanie nadesłanych opracowań, przygotowanie redakcyjne tego materiału do druku (wiązące się z tym wyjaśnienia, poprawki, opóźnienia terminowe ze strony autorów...), współpraca z redakcją Oficyny Wydawniczej naszej Uczelni.

Nie wszyscy zaangażowani w to wydawnictwo byli pierwszymi absolwentami Politechniki, ale Panowie: Ludomir Jankowski (Prorektor ds. Ogólnych w latach 1996–2002) i Stanisław Lochyński (Zastępca Przewodniczącego Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Wrocławskiej) mieli dobre rozeznanie w tej tematyce. Za szczególne zaangażowanie w przygotowaniu naszej książki podziękowania należą się pani redaktor Marzenie Czaporowskiej i pani kierownik redakcji Oficyny Wydawniczej Elżbiecie Żurawskiej-Łuczyńskiej. Należy też zauważyć, że w tych złożonych pracach natury organizacyjnej bardzo dobrze pracował sekretariat Stowarzyszenia Absolwentów.

Kończąc, chcę nawiązać do *Słowa wstępnego* JM Rektora prof. Tadeusza Więckowskiego – to rzeczywiście dzięki tym pierwszym profesorom i wychowanym przez nich następcom oraz studentom zawdzięczamy szybką budowę naszej Uczelni na gruzach uczelni niemieckiej.

Ta myśl przebija się we wspomnieniach zamieszczonych w naszej książce. Wspomnienia te rzucają dumny i szlachetny blask na szybko formującą się naszą Uczelnię z gruzów wojennych, w którym to rozwoju Oni mieli udział zgodnie ze starym łacińskim przysłowiem „*Non viri locis sed loca viris efficiuntur honorata*”.

**Chwała Im za to.**

*Jan Kmita*

Honorowy Przewodniczący  
Stowarzyszenia Absolwentów  
Politechniki Wrocławskiej

## Spis treści

<i>Słowo wstępne JM Rektora Politechniki Wrocławskiej prof. Tadeusza Więckiego</i>	3
<i>Wprowadzenie, Jerzy Łaskawiec</i>	5
Kazimierz Banyś, <i>Moje studia na Politechnice Wrocławskiej</i>	7
Urszula Dołęga-Molasy, <i>Cztery pory roku dziecka Politechniki</i>	17
Zbigniew Girulski, <i>Na Wydziale Lotniczym Politechniki Wrocławskiej</i>	27
Michał Jadczyk, <i>Politechnika Wrocławska – okruchy wspomnień</i>	55
Edward Włodzimierz Mielcarzewicz, <i>Jak związałem swój los z Politechniką Wrocławską</i>	63
Ferdynand Niškiewicz, <i>Wrocław 1954–1959</i>	79
Zenon Prętczyński, <i>Pamięć i wdzięczność za edukację</i>	125
Jan Pytel, <i>Moje studia na Politechnice Wrocławskiej</i>	139
Jeremi Sieczkowski, <i>Wspomnienia z minionych lat</i>	185
Irena Maria Tomera, <i>Moja uczelnia i ja</i>	205
Barbara Zapaśnik, <i>Tak zapisało się w mojej pamięci</i>	233
Co jeszcze pamiętamy po upływie sześćdziesięciu lat?	269
Anna Kollender-Szych, <i>Moje studia na Politechnice</i>	271
Ludwik Bednarz, <i>Fragmenty wspomnień studenckich</i>	279
Benedykt Karczewski, <i>Z ziemi kaszubskiej na studia w polskim Wrocławiu</i>	281
Janusz Jarmuła, <i>Wspomnienia z Politechniki Wrocławskiej</i>	285
<i>Aneks, Jan Kmita</i>	299







Osoby zaangażowane w przygotowanie książki *Politechnika Wrocławska w mojej pamięci*.

I rząd od lewej: Piotr Berkowski, Jan Kmita, Tadeusz Więckowski – Rektor PWr., Jerzy Łaskawiec, Andrzej Mulak, Halina Dudek, Ludomir Jankowski;

II rząd od lewej: Ewa Rysiakiewicz-Pasek, Zdzisław Nawrocki, Elżbieta Żurawska-Luczyńska, Marzena Czaporowska, Jan Cieżak, Stanisław Lochyński, Jadwiga Sołoducho, Małgorzata Malisz, Adam Zalas, Zdzisław Samsonowicz, Paweł Kafarski, Zbigniew Gnutek. Fot. Krzysztof Mazur